

wojciech  
**dutka**

taniec  
szarańczy



# Dutka Wojciech

## Taniec szarańczy

**Paryż, rok 1940. Jean Gilbert, paryski przedsiębiorca, w rzeczywistości sowiecki szpieg Leopold Trepper, przygotowuje się do tajnej misji. Cięży na nim przeszłość - udział w krwawej hiszpańskiej wojnie i wolta, jakiej dokonał, okradając kompanów z NKWD. Po piętach depcze mu niemiecki kontrwywiad, poszukujący tajemniczego, zmieniającego tożsamość agenta, dla celów operacyjnych nazwanego "Kameleonem", i fanatyczny francuski policjant tropiący sprawcę serii zbrodni... Paryż, rok 1998. Przy rue St-Lazare, w przerobionej na hotel kamienicy, w której niegdyś mieszkał Gilbert, ginie starszy człowiek z izraelskim paszportem. Komisarz Yves Festiger odkrywa, że morderstwo było w rzeczywistości sprawnie wykonanym wyrokiem śmierci na emerytowanym generale wywiadu. Śledztwo przyjmuje nieoczekiwany obrót, a Festiger staje oko w oko z liczącą sobie pół wieku obsesją zemsty i tajemnicą, której korzenie tkwią w wojennej przeszłości.**



## PROLOG

Raz na kilkadziesiąt lat znad gorącej Sahary nadciąga ogromna chmura szarańczy, gnana z głębi Afryki powiewami gorącego wiatru, który Arabowie nazywają *samum*, i dopada żyznych pól uprawnych położonych nad brzegiem Morza Śródziemnego. Latający najeźdźcy pożerają każdą roślinę, każde najmniejsze źdźbło trawy, pęd owocowego drzewa, dojrzewające kiście winogron z nadbrzeżnych winnic. Nikt i nic nie zatrzyma szarańczy. Arabowie twierdzą, że czasami można zaobserwować dziwne zjawisko — owady atakują drzewo lub krzew i kołyszają się na wietrze, jakby tańczyły. Kto zobaczy taki taniec, mówią, na tego spadnie nieszczęście.

W czerwcu 1961 roku, kiedy szarańcza pojawiła się w Algierii, wydawało się, że to prawdziwa kara niebios.

Pewien człowiek, niegdyś policjant, pracował w Algierze dla francuskich służb specjalnych. Gromadził informacje na temat członków algierskiego ruchu oporu ukrywających się w mieście. Kiedyś, przypadkiem, na ulicy w Algierze, zobaczył człowieka, którego złapanie od czasów drugiej wojny światowej było jego obsesją. Przez niego trafił do obozu koncentracyjnego. Teraz przekonał się, że szpieg żyje. Nadszedł czas zemsty.

Kiedy wieczorem wracał do domu, zobaczył, jak szarańcza atakuje samotne drzewko figowe. Zdawało mu się, że owady tańczą, kołyszając się w powiewie morskiej bryzy. Widział coś takiego pierwszy raz w życiu.

# CZĘŚĆ I

## ROZDZIAŁ 1

### Przedsiębiorca

Było ciepłe popołudnie dziesiątego kwietnia 1940 roku. Paryż, jak co roku na wiosnę, budził się do życia. Zieleniły się już krzewy i drzewa. Promienie słońca tańczyły wesoło na dachówkach Montmartre'u, a kopuła Bazyliki Sacré-Coeur, unosząca się nad dachami niczym wielki biały wieloryb, była przystanią dla tysięcy gołębi.

Do Café de la Nouvelle Athènes wszedł wysoki, szpakowaty mężczyzna w eleganckim beżowym garniturze. Wyglądał na zmęczonego ciężkim dniem człowieka, który wreszcie opuścił duszne biuro. Usiadł przy stoliku, wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki srebrną papierośnicę, wydobyl z niej papierosa, po czym przez chwilę trzymał go w palcach, jakby się nad czymś zastanawiał. W końcu włożył go do ust, zapalił i zaciągnął się z zadowoleniem. Skinął na kelnerkę. Podeszła do niego młoda ładna dziewczyna o rudych włosach, zgrabnej figurze, ubrana w czarną spódniczkę, białą bluzkę z dekoltem i biały fartuszek.

— Co podać? — zapytała z uśmiechem.

— To co zwykle — odpowiedział mężczyzna. Obrzucił szybkim spojrzeniem jej figurę o wdzięcznej linii

bioder i jędrnym biuście rysującym się pod bluzką. Patrzyli na siebie przez moment, po czym dziewczyna odwróciła się szybko i poszła w stronę baru.

Mężczyzna przychodził tu codziennie, z wyjątkiem sobót i niedziel. Zwykle zamawiał zupełną cebulową i omlet z szynką, a do tego kieliszek chardonnay. Zawsze zostawiał spory napiwek. Jednak dobre jedzenie nie było tym, co przyciągało go do tego lokalu.

Przychodził tu dla Sylvie. Gdy zjadł i wypił wino, spojrzął na dziewczynę, a ta przyniosła mu rachunek.

— Pięćdziesiąt pięć franków.

Mężczyzna położył na stoliku banknot stufrankowy. Nachylił się nieco, żeby nikt nie usłyszał, co mówi:

— Sylvie... jutro o dziesiątej wieczorem. Tam gdzie zawsze. Dziewczyna obdarzyła go lekkim wymownym uśmiechem

i schowała banknot do kieszonki fartuszka. Wiedziała, że nie musi wydawać reszty.

Widywali się od dwóch miesięcy, w każdą środę. Sylvie po raz pierwszy spotykała się ze starszym od siebie, doświadczonym mężczyzną. Jej chłopak, Augustine, był w wojsku, ale Sylvie, ku swojemu zdziwieniu, nie miała najmniejszych wyrzutów sumienia, że go zdradza. To był obezwładniający impuls, który poczuła, kiedy ten mężczyzna dotknął jej po raz pierwszy. Nie miała jednak pewności, czy to, co do niego czuje, jest miłością, czy tylko fascynacją.

W szkole średniej umawiała się z kilkoma nierozgar-niętymi chłopakami, próbującymi niezdarnie ją obmacywać, ale czym jest miłość, pokazał jej dopiero ten mężczyzna. Miał na imię Jean. Imponował jej. Elegancko się ubierał, używał drogiej wody kolońskiej — zmysłowej mieszaniny ziół i orientalnych przypraw. Uwielbiała ten zapach. Spotykali się w hotelu Continental przy Quai Voltaire. Jean zawsze zamawiał butelkę drogiego szampana. I oczywiście truskawki.

Nie pytała go ani o rodzinę, ani o pracę, choć widać było, że jest bogaty. Jego dyskrecja, powściągliwość i nienaganne maniery były charakterystyczne dla wykształconego urzędnika jakiegoś ministerstwa, pochodzącego z rodziny z tradycjami.

Tacy mężczyźni, myślała, lubią odrobinę ekstrawagancji zarówno przy stole, jak i w łóżku.

Znajomość z Jeanem była dla niej z początku jedynie nieoczekiwaną przygodą, ale po dwóch miesiącach Sylvie stwierdziła, że coraz częściej myśli o wspólnej przyszłości. Czowała się przy nim bezpieczna. Koleżankom z pracy nic nie powiedziała. Każda miała jakiegoś faceta, sypiały nawet z żonatymi. Tego rodzaju przechwałki nie były w jej stylu. Nawet myśli o Jeanie chciała mieć tylko dla siebie.



Jean Gilbert skierował się w stronę placu Goudeau. Po drodze wstąpił do antykwariatu, gdzie kupił dziewiętnastowieczne wydanie tomiku poezji Baudelaira *Kwiaty zła*, po czym ruszył szybkim krokiem, mijając zakochane pary, kwiaciarki, studentów akademii sztuk pięknych, którzy korzystając z popołudniowego słońca, próbowali uchwycić grę światła, szkicując po raz setny ulubioną uliczkę Montmartre'u. Po kilku minutach doszedł do rogu rue de Gabrielle i placu Goudeau. Przystanął i spojrzął na zegarek. Za dwadzieścia pięć piąta. Na rogu znajdowała się kawiarnia Le Consulat. Po chwili do niej wszedł.

Usiadł pod ścianą i kazał podać sobie kieliszek białego porto i popołudniowe wydanie „Le Nouvel Observateur”. Na pierwszej stronie widniało duże zdjęcie sędziwego głównodowodzącego francuskiej armii, generała Gamelina, a pod nim tytuł:

LINIA MAGINOTA NIE DO ZDOBYCIA. INSPEKCJA  
GAMELINA ZAKOŃCZONA.

— Co za głupcy — mruknął Jean.

Dalsze strony przeglądał bez zainteresowania, popijając porto. Punktualnie o piątej do kawiarni wkroczył postawny francuski oficer w błękitnym mundurze, w towarzystwie ładnej kobiety. Gilbert czekał właśnie na niego. Oficer miał mu przekazać

przesyłkę, a Gilbert zastanawiał się, jak tego dokona, ponieważ nie wspomniał, że przyjdzie z kobietą. Po krótkiej chwili do kawiarni wszedł młody student malarstwa. Niósł pod pachą dużą teczkę. Rozglądał się, jakby kogoś szukał. Kiedy zauważył Gilberta, natychmiast skierował się w jego stronę.

— Dzień dobry. Czy mam przyjemność z panem Jeanem Gilbertem?

— spytał uprzejmie.

— Tak, o co chodzi?

— Polecono mi oddać panu tę teczkę — odpowiedział chłopak, kładąc teczkę na stoliku. — Mam nadzieję, że będzie pan zadowolony.

— Skąd pan wie, jak się nazywam? Chłopak się zmieszał.

— Od oficera, który tam siedzi... — wyszeptał po chwili.

— Dobrze, dziękuję — odparł Gilbert i wręczył studentowi monetę pięciofrankową.

Gdy chłopak wyszedł, Gilbert zauważył, że towarzysząca oficerowi kobieta poszła do łazienki. Gilbert wstał, zabierając teczkę i zostawiając niedopite porto. Przechodząc koło oficera, pochylił się i powiedział cicho:

— Przyjdź do mnie jutro o północy, Pierre. I nie mów obcym, jak się nazywam. A już na pewno nie takim tępowym studentom.

Oficer udał, że nie słyszy, a Gilbert skierował się do wyjścia.



Gilbert wynajmował mieszkanie w kamienicy przy rue Saint-Lazare 16, położonej naprzeciwko synagogi, dobre dwadzieścia minut piechotą od Bazyliki Sacré-Coeur. Miał do dyspozycji trzy duże pokoje, kuchnię i łazienkę, w sam raz na potrzeby samotnego czterdziestoletniego mężczyzny.

Właścicielka kamienicy, Marie Pregnac, popatrywała na swojego najprzystojniejszego lokatora, nie kryjąc zainteresowania. Była wdową, a bogaty handlowiec, Jean Gilbert, mógł podobać się kobietom. Przypadł do gustu również innym loka-



torkom. Żałowały, że jest taki wyniosły i nie wdaje się w sąsiedzkie pogaduszki.

Zawsze był starannie ogolony, a na jego krótko ostrzyżonych włosach nie było śladu brylantyny. Używał wody toaletowej, która wprawdzie niespecjalnie podobała się Marie, ale czegoż nie znosi się w imię miłości? Właśnie, miłość... Marie bała się tego słowa. Była porządną paryską mieszczańką i dbała o reputację. Owdowiała sześć lat temu, jej mąż zmarł na wylew. Urodziła dwóch synów, wiodła spokojne życie, miała stały dochód z kamienicy, a w banku dwadzieścia tysięcy franków odłożone na czarną godzinę. Jednak czegoś w jej życiu brakowało. Nie była z mężczyzną od śmierci męża, a nie czuła się stworzona do życia w samotności. Wiedziała, że nie powinna interesować się tym dziwnym lokatorem, mogła go przecież spłoszyć, ale serce i zmysły brały górę nad zdrowym rozsądkiem.

Gilbert wynajmował u niej mieszkanie od dwóch lat, zawsze płacił w terminie, nigdy nie było z nim żadnego kłopotu. Pani Pregnac od czasu do czasu wchodziła w nocy na czwarte piętro i podsłuchiwała pod jego drzwiami. Z obserwacji, jakie poczyniła, wynikało, że Gilbert mieszka sam, z nikim się nie spotyka. To znaczy z żadną kobietą. Wprost nie mieściło jej się w głowie, że taki przystojny mężczyzna nikogo nie ma.

Czasami jednak, późno w nocy, przychodził do niego jakiś francuski oficer. Kilka razy widziała go w mundurze, choć przeważnie był po cywilnemu. Czasem wychodził po kwadransie, innym razem dopiero rano. Marie pomyślała, że może oni... Nie, nie, to nie wchodzi w rachubę, przekonywała siebie. To niemożliwe, by obiekt jej westchnień mógł żyć w takim związku jak Rimbaud i Verlaine. Może są po prostu przyjaciółmi i piją do rana? Jej nieboszczyk mąż też lubił sobie wypić z kolegami i proszę, jak skończył. Tak naprawdę to nie był wylew. Zapił się. Ale „wylew” brzmiało tak jakoś dystygowanie i dramatycznie.

Zegar wybił siódmą, kiedy przez okno salonu wychodzące na synagogę Marie zobaczyła Gilberta. Zatrzymał się na chwilę przed świątynią, po czym skierował się do domu. Czyżby był

Żydem? Marie szybko odrzuciła również i tę myśl, bo nazwisko Gilbert nie pasowało do jej wyobrażenia o tej nacji. Oczywiście nie była antysemitką, po prostu zaczynała ją męczyć ta ciągła gadanina o Żydach. Jej znajomi z niesłabnącym podnieceniem opowiadali o bankierach, ludziach kultury i sztuki, którzy z powodu swego pochodzenia musieli opuścić Niemcy.

Marie podbiegła do drzwi i zaczęła nasłuchiwać. Gilbert otworzył kluczem drzwi na dole. Poznała charakterystyczny zgrzyt zamka. Gdy zaczął wchodzić po schodach, natychmiast wyszła na korytarz.

— Dobry wieczór, panie Gilbert! Przyszło dziś wspólne rozliczenie za prąd za marzec. Czy zechciałby pan do mnie wstąpić? Może napije się pan kieliszeczek wina? — powiedziała kokieteryjnie.

— Z ogromną przyjemnością— odparł uprzejmie Gilbert — ale nie dziś. Mam mnóstwo papierkowej roboty... Sama pani wie, zaległe faktury, rozliczenia... Poza tym jestem trochę zmęczony, więc chciałbym szybko rozprawić się z tymi papierzyskami.

Marie zauważyła, że trzyma pod pachą dużą teczkę, która wyglądała raczej na blok kreślarski, a nie na blok rachunkowy.

— A jutro? — zapytała z nadzieją.

— Już prędzej. Teraz wybacz pani, pójdę do siebie... Znowu zrobiłam coś nie tak, pomyślała. Pewnie mu się nie podobam. No cóż, wyglądam jak podstarzała wdowa, ubieram się okropnie...

— Podlałam kwiaty w klatce na pańskim piętrze! — krzyknęła jeszcze za nim.

— Dziękuję! — odkrzyknął Gilbert, wchodząc po schodach. — Jest pani prawdziwą gospodynią tego domu! — dorzucił, nie odwracając głowy.



Nie mógł oprzeć się wrażeniu, że ta Pregnac dziwnie się zachowuje, kiedy z nim rozmawia. To przewracanie oczami, te

rumieńce... W ostatnich miesiącach często się koło niego kręciła, zauważył, że zawsze wita go w progu swojego mieszkania, jakby na niego czekała. Ona mnie podrywa, pomyślał. Trzeba będzie w przyszłym roku zmienić lokum. Nie może pozwolić sobie na kłopoty. Nie w jego fachu. Postanowił jej unikać, a już na pewno nie popijać z nią wina.

Wszedł do pokoju, który służył mu za garderobę. Stały w nim cztery wielkie szafy. Kolekcja garniturów od najlepszych paryskich krawców była imponująca. Zdjął ten, który nosił dzisiejszego dnia i wyjął lekkie bawełniane spodnie i szary golf. Ubrał się i wyszedł z pokoju, zabierając do salonu teczkę, którą dostał od studenta.

W teczce znajdowało się piętnaście arkuszy z planami i szkicami sytuacyjnymi Linii Maginota, w tym przekroje okopów i bunkrów, stanowisk artylerii i karabinów maszynowych. Wyciągnął jeden szkic. Była to konturowa mapa Francji z pozycjami dywizji francuskich oraz liczbą żołnierzy. Spojrzał na całą linię umocnień, biegnącą od granicy belgijskiej na południe. Linia Maginota była grubą kreską z zaznaczonymi miejscami największej koncentracji artylerii i umocnionych gniazd karabinów maszynowych. Każda dywizja to błękitny kwadracik. Działa oznaczono na mapie cyfrą i literami. Na przykład rejon Nancy: osiem kwadracików to osiem dywizji, czyli A — dwieście dziewięćdziesiąt dział i ciężkich moździerzy.

Gilbert skoncentrował jednak uwagę na tej części mapy, gdzie przedstawiono granicę francusko-belgijską. Tam nie było umocnień. Na tym odcinku granicy stały nieliczne francuskie wojska oraz Brytyjczycy z Korpusu Ekspedycyjnego.

— Co za głupcy — powiedział cicho. — Cholerni głupcy...

Wiedział już, jaka jest sytuacja wojsk francuskich. Po przeczytaniu meldunków z teczki stwierdził, że armia francuska, licząca prawie dwa miliony ludzi, została w ponad siedemdziesięciu procentach skoncentrowana na Linii Maginota, natomiast reszta francuskich dywizji oraz Brytyjski Korpus Eks-

pedycyjny znajdowały się w północno-wschodniej części Francji, aby osłonić Paryż przed atakiem od strony Belgii.

Gilbert wiedział, jak Francja zamierza się bronić, i doświadczenie podpowiadało mu, że Francuzi zmierzają do samobójstwa. Czuł, że Niemcy nie zaatakują Linii Maginota. Chciał jednak dostać niepodważalny dowód.



Nazajutrz wstał wcześniej niż zwykle, o siódmej. Szybko wyszedł z domu i po drodze zjadł w kafejce śniadanie złożone z rogalika i kawy, następnie skierował się do siedziby swojej firmy, żeby załatwić kilka spraw. Nie zabawił tam długo. Koło dziesiątej dotarł do hotelu Imperial przy placu Trocadero. Przychodził tu zawsze dwunastego każdego miesiąca. Tego samego dnia pojawiał się również nieznany mu z nazwiska pracownik szwedzkiej ambasady, który przekazywał mu informacje. Gilbert kontaktował się z nim mniej więcej od roku.

Był to dziwny kontakt. To Szwed odnalazł Gilberta i zaproponował współpracę. Pozostawało tajemnicą, w jaki sposób dowiedział się, że Gilbert jest szpiegiem. Ponieważ informacje dostarczane przez Szweda były ważne, Gilbert postanowił utrzymywać ten kontakt, mimo ryzyka dekonspiracji. Informacje dotyczyły pewnych działań politycznych podejmowanych przez hitlerowskie Niemcy.

— Niech pan nie udaje, że nie wie, dla kogo pracuję — prychnął Szwed, kiedy Gilbert pewnego razu zadał mu pytanie wprost. — Nie pomagamy panu z dobrego serca. Proszę nie próbować mnie śledzić, bo zniknę i już więcej się nie zobaczymy.

Gilbert nie należał jednak do ludzi, którzy dawali się zbyć byle czym. Wiedział, że od czasów wojny domowej w Hiszpanii ktoś z niemieckiego wywiadu depte mu po piętach. Był doświadczonym szpiegiem i nie zostawiał śladów. Tym większą

mocodawcy Szweda stanowili dla niego zagadkę. Nie mieściło mu się w głowie, że zdołano wpaść na jego trop we Francji, gdzie działał jako handlowiec Jean Gilbert.

Po niecałych dwudziestu minutach przyszedł Szwed. Usiadł przy stoliku w drugim końcu kawiarni, w cieniu rozłożystej palmy rosnącej w wielkiej donicy. Był potężnym przysadzistym mężczyzną o blond włosach. W butonierce miał małą błękitną różę. Po chwili do Gilberta podszedł kelner i powiedział:

— Tamten pan, koło palmy, zaprasza pana do swojego stolika. Znalazł chyba pański portfel...

— Doprawdy? — Gilbert udał zdziwionego. — Dziękuję. Odczekał chwilę, po czym wstał i ruszył między stolikami w kierunku Szweda.

— Kelner powiedział mi, że znalazł pan mój portfel — zagadnął uprzejmie.

Mężczyzna podniósł wzrok znad kawy i lekko się uśmiechnął.

— Tak — odpowiedział. — Proszę, oto on.

Wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki mały skórzany portfel. Gilbert wziął go, podziękował i wrócił do swojego stolika. Zawsze przekazywali sobie informacje w podobny sposób; albo w gazecie, albo w serwetce, albo zostawiając kopertę w recepcji.

Szwed wkrótce wyszedł, a Gilbert zajrzał do przegródki na banknoty. Znalazł w niej karteczkę, na której przeczytał:

Zadzwoń pod numer 71-32-81 o szesnastej. Przekażę dalsze instrukcje.

Po wyjściu z kawiarni Gilbert pojechał tramwajem do firmy. Zatrudniał w niej starą księgową, panią Valentine Noel, oraz dwoje młodych uciekinierów z Hiszpanii: sekretarkę Elene Ortiz oraz szefa działu handlowego, Pablo Huescara. Firma „Syntex” była mała, ale dochodowa.

Dochodziła czwarta, kiedy Gilbert zadzwonił pod numer z kartki. Odebrał Szwed.

— Proszę iść zaraz na plac Colombie — powiedział. — Jest tam budka telefoniczna. O siedemnastej będzie miał pan ważny telefon z zagranicy.

— Nie może zadzwonić tutaj? Mój telefon na pewno nie jest na podsłuchu — zapewnił Gilbert.

— Ostrożności nigdy za wiele. Jeżeli w najbliższym czasie coś się we Francji zmieni, dostanie pan nowy numer kontaktowy. Da go panu nasz człowiek w Paryżu. Ja niedługo wracam do Sztokholmu.

— To nie działa pan sam? — udał zdziwienie Gilbert

— Naturalnie, że nie. Nie przedłużajmy rozmowy. Proszę pamiętać, punkt siedemnasta, budka na placu Colombie.

Rozłączył się. Gilbert zastanawiał się, cóż to miało się zmienić we Francji? Jeżeli Szwed pracował dla niemieckiego wywiadu lub dla jakiejś opozycyjnej niemieckiej grupy, to mogło znaczyć, że inwazja niemiecka na Francję jest już bliska. Podejrzał, że najprostszym rozwiązaniem z punktu widzenia Niemców byłoby umieszczenie we Francji swoich agentów w ambasadach państw neutralnych, ponieważ od ataku na Polskę w 1939 roku Niemcy nie mieli w Paryżu ambasady. Dlaczego jednak niemiecki wywiad chce się z nim skontaktować? Gilbert obawiał się, że może to być prowokacja gestapo. Postanowił jednak zaryzykować.



Był koniec sierpnia 1939 roku, kiedy Szwed wezwał Gilberta po raz pierwszy do budki telefonicznej na ważną rozmowę z kimś z Niemiec. Rozmówca mówił po francusku z silnym niemieckim akcentem. Powiedział, że dwudziestego trzeciego sierpnia podpisano w Moskwie tajny protokół, godzący w interesy Polski. Wprawdzie francuskie gazety huczały, że minister Ribbentrop niespodziewanie podpisał ze Związkiem Radzieckim pakt o nieagresji, jednak nikt na Zachodzie nie wiedział o tajnym protokole. Gilbert próbował wówczas ostrzec pol-

skiego ambasadora w Paryżu, Juliusza Łukasiewicza, ale Polacy mu nie uwierzyli. Pierwszego września wybuchła wojna.

Gilbert czuł, że coś wisi w powietrzu, tylko że tym razem zagrożona jest Francja.

Wyszedł z firmy dziesięć po czwartej. Przywołał taksówkę i kazał się zawieźć na plac Colombie, niedaleko Lasku Bulońskie-go. Z powodu korków droga zajęła mu dwadzieścia pięć minut. Kiedy podchodził do budki telefonicznej, jedynej na placu, była za dwadzieścia pięć piąta. Kiedy od budki dzieliło go jakieś czterdzieści metrów, zauważył, że weszła do niej młoda kobieta w rudej peruce i różowej garsonce. Za dziesięć piąta. Postanowił poczekać. Za pięć piąta. Kobieta nadal trajkotała, nie zamierzając skończyć. Śmiała się, gestykulowała i nie zwracała uwagi na znaki, jakie dawał jej Gilbert. W końcu nie wytrzymał. Rozejrzał się, otworzył gwałtownie drzwi budki, złapał kobietę za rękę i wywłókł na ulicę.

— Pokazywałem pani, że czekam na ważny telefon — syknął jej do ucha.

— Ty chamie! — wrzasnęła kobieta. — Zawołam policję! Tylko na to czekał. W tym momencie wyraz jego oczu

w niczym nie przypominał wzroku Jeana, w którym zakochała się Sylvie z kawiarni na Montmartrze. Stały się szkliste, zimne, jakby przesłonięte mgiełką. Kobieta najwyraźniej miała ochotę powiedzieć mu, co o nim myśli, kiedy odezwał się cichym lodowatym głosem:

— Spierdalaj stąd, panienko. Klienci są na placu Pigalle... Zostawił oniemiałą kobietę na chodniku, wszedł do budki

i zamknął za sobą drzwi. Za minutę piąta. Po chwili telefon zadzwonił.

— Dzień dobry, miło mi pana słyszeć — powiedział rozmówca, a jego głos brzmiał głucho, stłumiony zapewne przez dłoń lub chusteczkę.

— Mnie również — odpowiedział Gilbert. — Czy mogę wiedzieć, z kim mam przyjemność?

— Nie może pan — uciął głos. — Mam dla pana ważne informacje. Proszę zrobić z nich właściwy użytek.

— Zamieniam się w słuch.

— Już niedługo zacznie się inwazja na Francję, Belgię i Holandię. Termin ofensywy nie jest dla pana istotny.

— Dlaczego?

— Najważniejsze jest to, że nasze wojska nie zaatakują Linii Maginota, tylko przez masyw Ardenów czołgi Guderiana i Rommla skierują się w stronę środkowej Mozy i jej ujścia do kanału La Manche. Rozumie pan, co to oznacza dla Francji?

— Tak, rozumiem. Dlaczego pan mi to mówi?

— To nieistotne. — Mężczyzna się rozłączył.

★

Marie Pregnac tego samego dnia wieczorem wpadła w ponury nastrój. Nie zrobiła synom kolacji, mimo że chłopcy wrócili z meczu piłki nożnej i byli głodni jak wilki. Oczywiście na boisku piłkarskim Francja pokonała Niemcy.

Ale ich mama wcale się z tego nie cieszyła. Co by szkodziło Gilbertowi poplirtować ze mną, choćby ze zwykłej próżności?, myślała rozgoryczona, stając przy oknie w kuchni. Mogła dać mu szczęście. Była tego pewna. Ale napotykała tylko obojętność. Tego popołudnia czekała na niego, krążąc nerwowo między oknem a drzwiami. Postanowiła, że musi przeprowadzić z nim poważną rozmowę. Tak radziły jej koleżanki. „Jeżeli go kochasz, powiedz mu to, bo w przeciwnym razie nigdy sobie nie wybaczysz, że nic nie zrobiłaś”, mówiły.

O wpół do ósmej nareszcie go zobaczyła. Tym razem szedł wolno i spokojnie. Znów przystanął na chwilę przed synagogą. Pomyślała, że może jest zmęczony. Chwilę potem doszła do wniosku, że jednak musi mieć jakąś kobietę. Taki mężczyzna nie może być impotentem, jak jej mąż. Zdecydowała, że już wkrótce zbierze się w sobie, pójdzie do niego i wszystko mu wyzna.

★



Paryż tak naprawdę zaczyna żyć po północy, ale tego wieczoru było spokojnie i pusto. W stronę kamienicy Gilberta szedł mężczyzna w mundurze francuskiego oficera. Stróż otworzył mu drzwi bez zbędnych pytań. Mundur budził zaufanie. Oficer wszedł na schody i ruszył do góry, nie zapalając światła. Zapukał lekko dwa razy, a zaraz potem trzy razy mocniej. Nastąpiła chwila ciszy i zapukał jeszcze raz. Usłyszał dźwięk przekreścanego w zamku klucza, drzwi się uchylły.

— Wejdz, Pierre—powitał go Gilbert. — Czekałem na ciebie. W mieszkaniu było ciemno, za wyjątkiem jednego pokoju, z którego przez uchylone drzwi padał snop bladego światła kinkietu lub nocnej lampki.

— Chodź ze mną — rzucił gospodarz.

Pierre Georges nie wiedział o nim zbyt wiele. Tylko tyle, że pracuje dla radzieckiego wywiadu.

Gilbert poprowadził Pierre'a do pokoju.

— Przyniosłeś mikrofilmy? — zapytał.

— Tak, proszę. — Pierre wyjął z kieszeni munduru mały rulonik zawinięty w czarny papier.

— Powinieneś być bardziej ostrożny — upomniał go Gilbert. — Gdyby złapała cię z tym żandarmeria... Poza tym dałeś szkice Linii Maginota jakiemuś smarkaczowi! To niedopuszczalne.

— Nie przesadzaj. Ten student jest komunistą — bronił się Pierre.

— Nie przesadzam. Nie wolno ufać nikomu, nawet towarzyszom z partii. Byłeś na manewrach w Nancy?

— Tak. Rozmawiałem nawet z kilkoma generałami. Między innymi z de Gaulle'em. Nie zmienią zasadniczej linii obrony. Zresztą Linia Maginota jest pewna.

Gilbert uśmiechnął się kwaśno.

— Mam wiarygodne informacje, Pierre. Nie pytaj skąd. Niemcy niebawem uderzą. Rzucają dywizje pancerne przez Ardeny na linię Mozy. Zamierzają chyba odciąć część waszych sił oraz sił Anglików i Belgów we Flandrii.

Pierre słuchał, kręcąc z niedowierzaniem głową.

— Ardeny? Przecież to niemożliwe! Nawet de Gaulle, który jest specem od broni pancernej, mówił mi w Nancy, że żadne czołgi nie przejadą przez te wzgórza porośnięte gęstym lasem i poprzecinane wąwozami.

— Już wkrótce się przekonasz, że to możliwe — odrzekł chłodno Gilbert. — Ale obawiam się, że dla Francji jest już za późno. Ci gamonie ze sztabu myślą, że znowu powstrzymają Niemców w jednej wielkiej bitwie, jak pod Verdun przed dwudziestoma laty, i że znów okażą się dla republiki niezastąpieni. Nie wiecie nawet, co to będzie za wojna. Klęska Polski niczego was nie nauczyła.

Pierre'owi zrobiło się duszno. Rozpiął guzik pod szyją i usiadł w fotelu.

Poznał Gilberta podczas wojny domowej w Hiszpanii. Poznał zresztą wtedy wielu „radzieckich instruktorów”. Byli to w przeważającej większości ludzie brutalni, bezwzględni, chciwi i okrutni. Stanowili największą zaporę dla zbyt samodzielnego myślenia hiszpańskiej lewicy. Wówczas na wyidealizowanym wizerunku Związku Radzieckiego, jaki Pierre wyniósł z szeregów francuskich komunistów, pojawiła się pierwsza rysa. Nigdy nie przypuszczał, że wysłannicy państwa socjalistycznego mogą być tak mało ideowi, a tak bardzo zajęci tłumieniem wszelkiej niezależności, w tym aktywności hiszpańskich socjalistów, anarchistów i lewicowych radykałów baskijskich oraz członków brygad międzynarodowych.

Wtedy pojawił się Gilbert. Nazywał się Ulysses de la Cruz i był urugwajskim ochotnikiem, walczącym po stronie republiki. Poznali się w Barcelonie. Ulysses wciągnął Pierre'a do roboty wywiadowczej. Szkolił go przez kilka miesięcy. Pierre miał za zadanie przeniknąć w szeregi francuskich falangistów walczących po stronie Franco, skrajnie prawicowych radykałów spod znaku ultranacjonalistycznej organizacji Action Française. Ale nie starczyło mu na to czasu. Był marzec 1939 roku, padł Madryt i republika była już tylko wspomnieniem. Wtedy Gilbert

pomógł mu przedostać się do Francji. Wydał na niego niemałe pieniądze. Pierre wiele razy zastanawiał się, jak Jean Gilbert alias Ulysses de la Cruz zdołał w tak krótkim czasie wtopić się we francuski krajobraz. Teraz niemal wierzył, że Gilbert zawsze był przedsiębiorcą i Francuzem.

Gilbert patrzył przez chwilę na załamane Pierre'a.

— Potrzebuję twojej pomocy — odezwał się po chwili. — Masz w partii dojście do władz.

— Czego chcesz? — mruknął Pierre.

— Muszę się spotkać z Jakiem Duclosem.

Pierre nie krył zaskoczenia. Przewodniczący Francuskiej Partii Komunistycznej ukrywał się w Paryżu od czasu jej zdelegalizowania w 1939 roku.

— Czy mógłbym wiedzieć po co?

— Mógłbyś. — Gilbert wzruszył ramionami. — Przez ostatni rok moja firma przekazała partii nieformalnymi kanałami sto tysięcy franków. To wystarczający powód. Musisz mi załatwić spotkanie z Duclosem. Możliwie szybko. Mam dla niego propozycję nie do odrzucenia.

Pierre wyszedł o wpół do pierwszej. Gilbert przystąpił do sporządzania krótkiego raportu na podstawie materiałów, jakie otrzymał. Następnie zakodował raport szyfrem cyfrowym. Dokument kończył się następującym akapitem:

Francja nie wytrzyma ataku. Inwazja jest kwestią dwóch, może trzech tygodni. Niemcy uderzą przez Ardeny. Czekam na sygnał.

Raport zapisał atramentem sympatycznym na wybranych stronach tomiku poezji. Następnie obłożył książkę w szary papier pakowy i zaadresował przesyłkę: Joseph Greenveld, Van der Hagem 34, 00543 Amsterdam, Koninkrijk der Nederlanden.

## ROZDZIAŁ 2

### Raport Kameleona

Późnym wieczorem, dwunastego kwietnia 1940 roku, w berlińskiej siedzibie Abwehry, jej szef, admirał Wilhelm Canaris, czekał w swoim gabinecie na majora Heinricha Marię Böhma. Kiedy Hitler rozpoczął na dobre wyścig zbrojeń, admirał zdecydował, że musi mieć koło siebie lojalnych oficerów, ceniących honor, jednak nie chciał, aby byli to naziści.

Abwehra w ciągu kilku pierwszych lat dyktatury stała się jedynym środowiskiem, gdzie poważnie myślano o pozbyciu się Fihrera i jego sfory. Canaris uważał SS za stado prymitywnych bydlaków. Podobnie myślał major Böhm i dlatego dobrze się rozumieli.

Böhm znał biegle cztery języki, w tym rosyjski i polski. Dowodził specjalną grupą operacyjną o kryptonimie *Weinberg* — „Winnica”. Jej działania były objęte tajemnicą, nie wiedzieli o niej nawet inni funkcjonariusze Abwehry. Grupa składała się z kilkunastu znakomicie przygotowanych do pracy w warunkach konspiracji agentów. Były wśród nich kobiety. Przed przystąpieniem do „Winnicy” ludzie ci musieli ukończyć szkolenie, obejmujące techniki walki, konspiracji, fotografowanie oraz poznać różne typy radiostacji. Böhm dobierał ich zarówno pod względem predyspozycji psychicznych, jak i wykształcenia, przy czym warunkiem koniecznym była znajomość

co najmniej czterech języków. Członkowie „Winnicy” musieli być nastawieni sceptycznie do reżimu. Naturalnie major zwracał również uwagę na to, czy dana osoba ma „szósty zmysł” szpiega. Należało być lojalnym, spostrzegawczym, małomównym, zdolnym do szybkiego przystosowywania się do życia w innym kraju, a także bezwzględny w dążeniu do celu. Źle widziany był pociąg do alkoholu i nadmierne zainteresowanie seksem. Długo studiowano życiorysy kandydatów, poddawano ich ciężkim próbom na poligonie, musieli także rozwiązać dziesiątki różnych testów psychologicznych. Wyławiano ludzi o oryginalnych zainteresowaniach, bezdzietnych i niepozostających w stałym związku. Przygotowania do utworzenia „Winnicy” trwały ponad półtora roku. W tym czasie reżim stał się monolitem.

Canaris nie miał złudzeń co do charakteru rządów Hitlera, dlatego cały czas myślał o zmianie władzy i czekał na jakiś sygnał ze strony generalicji. Na próżno. Admirał był samotny. Aneksja Austrii, a potem konferencja w Monachium we wrześniu 1938 roku, podczas której Anglia i Francja sprzedały Hitlerowi Czechosłowację, uspiły czujność bliskiej ideowo Canarisowi kadry oficerskiej. Już wtedy wiedział, że wojna jest nieunikniona, lecz w jej powodzenie nie wierzył. Instynkt podpowiadał mu, że należy otworzyć sobie furtkę na wypadek klęski Niemiec.

W 1936 wybuchła wojna domowa w Hiszpanii i ten konflikt świetnie nadawał się do wypróbowania „Winnicy”. Celem grupy było przeniknięcie do środowiska wroga i próba nawiązania kontaktu z kimś z Zachodu. Operacja ludzi majora Böhma w Hiszpanii uzmysłowiła Canarisowi, jak niezwykle aktywność w tym konflikcie przejawiają agenci radzieccy. Admirał mógł na hiszpańskim przykładzie dokładnie przestudiować, jak działa radziecka machina infiltracji, sabotażu, dywersji i destrukcji. Wśród niemieckich komunistów walczących w brygadach międzynarodowych po stronie republiki, „Winnica” zdołała umieścić swoich ludzi. Dzięki temu Böhm i Canaris mogli zobaczyć „od wewnątrz” stan rozprzeżenia wojsk republikańskich.

Agenci majora zdołali też wykryć kilku szpiegów NKWD\* na terenie Niemiec. W Berlinie od pewnego czasu Canaris gromadził dossier wszystkich agentów NKWD działających w Niemczech. Nie mógł pojąć, do czego zmierza radzieckie kierownictwo. W połowie 1937 roku stało się jasne, że psychoza wielkiej czystki ogarnęła całe czerwone imperium. Komórki wywiadu w ambasadzie japońskiej i amerykańskiej (Niemcy jeszcze wtedy nie utrzymywały z ZSRR stosunków dyplomatycznych) mówiły w raportach wyraźnie, że Stalin zaczął wyrzynać cały stary garnitur partyjny i wojskowy. Latem 1939 roku Canaris próbował dogadać się z wywiadem brytyjskim w Holandii. Bez powodzenia. Postanowił też przekazać przez Bóhma tajemniczemu człowiekowi w Paryżu informację o ataku na Polskę.

Podczas pracy agentów „Winnicy” w Hiszpanii powstał niezwykle intrygujący raport, zwany „Raportem Kameleona”, autorstwa Bóhma. Opierał się na poszlakach i był przeznaczony tylko dla Canarisa.

Niemcy nazwali tego niesamowitego agenta Kameleon, ponieważ zaskakująco szybko potrafił zmieniać tożsamość i wygląd. Był nie do wytropienia. Gdzieś pod koniec 1937 roku na jego ślad natrafili dwaj niemieccy agenci — kobieta o kryptonimie Funke — Iskra, oraz agent Sanger — Śpiewak. Funke zdołała wejść do Komitetu Kobiet Hiszpańskiej Lewicy, złożonej z radykalnych sufrażystek, socjalistek i komunistek, skupionych wokół Dolores Ibarruri, La Pasionarii. Kobieta ta zasłynęła stwierdzeniem, że nie spocznie, dopóki nie przegryzie gardła ostatniemu księdzu w Hiszpanii.

Funke trafiła na ślad Kameleona dwukrotnie. Za pierwszym razem przy okazji niewyjaśnionego i zuchwałego zabójstwa

\* NKWD — Narodnyj Komissariat Wnutriennych Dieł — Ludowy Komisariat Spraw Wewnętrznych, centralny organ radzieckich władz bezpieczeństwa, przekształcony w 1946 roku w Ministerstwo Spraw Wewnętrznych ZSRR

słynnego madryckiego działacza lewicy Enrique Coltázara, który na wiecach w Madrycie otwarcie krytykował rządy Stalina. Młody rewolucjonista był z przekonania trockistą, a więc kimś w rodzaju komunistycznego heretyka. Otwarcie nawoływał hiszpańską lewicę do ostrożności wobec radzieckich doradców wojskowych. Zginął na wiecu szesnastego października 1937 roku, zastrzelony przez snajpera. Milicja republikańska stwierdziła, że oddanie takiego strzału było praktycznie niemożliwe. A jednak ktoś to zrobił. Funke, badając sprawę tego zabójstwa, doszła do następujących wniosków:

Coltázar stał na podium, oglądało go kilka tysięcy ludzi. Przechadzał się, gestykulował, cały czas był w ruchu, a obserwowanie go uniemożliwiały dziesiątki czerwonych sztandarów trzymany przez tłum. Jedyne wyższe budynki, z którego mógł paść strzał, znajdowały się w odległości kilkudziesięciu metrów od placu. Kula trafiła młodego komunistę w lewe oko i wyszła z tyłu głowy. To oznaczało, że zabójca musiał mieć ułamek sekundy na perfekcyjny strzał w warunkach, gdy cel poruszał się i był źle widoczny. Jeśli strzelec zdołał znaleźć lukę między flagami, świadczyło to o jego nieprzeciętnych umiejętnościach.

W budynku, z którego mógł paść strzał, znajdował się sztab jednej z brygad międzynarodowych działających na madryckim froncie. Funke sprawdziła dokumentację milicyjną, bo przespała się z młodym Hiszpanem, który stał na czele grupy śledczej. Według dokumentacji w sztabie owej brygady znajdowało się wtedy czterdzieści siedem osób, w tym grecki komunist, Aleksander Papadopoulos. Na to nazwisko tego dnia wystawiono przepustkę do sztabu. Problem polegał na tym, że obecność tego człowieka w sztabie nie wzbudziła niczyjego zainteresowania, mimo iż nikt go nie znał. Niemiecka agentka wyjęła jego zdjęcie z formularza, na podstawie którego wydano przepustkę. Wiedziała już, jak ten człowiek wygląda. Zabójca musiał uzyskać przepustkę od kogoś wpływowego,

następnie, niezauważony, wszedł na dach lub któreś z wyższych pięter budynku i oddał jeden precyzyjny strzał do ruchomego celu.

Zabójca pojawił się jeszcze raz. Pod koniec listopada 1937 roku rząd republikański postanowił wywieźć z Madrytu strategiczną rezerwę złota, wartą około dziesięciu milionów franków szwajcarskich. Złoto miało trafić do Francji i zostać przeznaczone na zakup broni. Do jego przewiezienia wyznaczono trzech ludzi — dwóch Hiszpanów, znanego działacza socjalistycznego z Madrytu, Joaquina Martineza, oraz Antonio San-cheza, zaufanego oficera byłego prezydenta republiki, Gila Roblesa. W ostatniej chwili, na prośbę radzieckiego doradcy, generała Orłowa, dołączył do nich Portugalczyk, anarchista Pedro Gomes, żołnierz 2. Batalionu z XIV Brygady Międzynarodowej Les Marsaillaise złożonej z Francuzów oraz anarchistów różnych narodowości.

Złoto nigdy nie dotarło do Francji. Ten skandal wstrząsnął hiszpańską lewicą. W połowie grudnia patrol republikański odnalazł ciała dwóch Hiszpanów na drodze do Walencji, skąd złoto miało wyruszyć statkiem do Marsylii. Po Portugalczyku nie było ani śladu. W Madrycie zarządzono poszukiwania. Agentka „Winnicy” była blisko całej sprawy, ponieważ zabity towarzysz Martinez był kochankiem Dolores Ibárruri, z którą Funke współpracowała, oczywiście pod fałszywym hiszpańskim nazwiskiem. Ibárruri, opłakując ukochanego (sama była dobrze po pięćdziesiątce, ale lubiła młodych mężczyzn), energicznie włączyła się w poszukiwania domniemanego złodzieja i mordercy.

I znaleziono go... na cmentarzu poległych żołnierzy republikańskich blisko dworca Atocha w Madrycie, w kwaterze numer 137. W dokumentacji XIV Brygady Międzynarodowej przechowywano jego zdjęcie. Nie był to bynajmniej ten sam człowiek, którego do ochrony konwoju polecił generał Orłów. Osoby, które widziały tego osobnika tuż przed zniknięciem transportu, powiedziały Funke, że był bardzo podobny do



mężczyzny ze zdjęcia, które zdobyła po madryckim zamachu na Coltazara — do Greka Aleksandra Papadopoulosa.

Drugi z niemieckich agentów, Sanger, działał w Barcelonie, mekce katalońskiej i hiszpańskiej lewicy. Tamtejszy aspekt sprawy Kameleona również miał związek z generałem Orłowem, szefem radzieckiego NKWD w Hiszpanii. Otóż generał Orłów przekonał katalońskie kierownictwo, że trzeba zabezpieczyć resztę finansowych zasobów lewicy. Było to konieczne, albowiem szala zwycięstwa zaczęła przechylać się na stronę Franco. Osobnik podobny do Papadopoulosa, tym razem ucharakteryzowany na urugwajskiego komunistę, Ulyssesa de la Cruz, pojawił się w chwili, gdy Katalończycy zdecydowali się ukryć złoto i dolary. Kilka osób widziało Urugwajczyka w towarzystwie Orłowa na różnych oficjalnych rautach i przyjęciach. Był chyba kimś w rodzaju ochroniarza generała z Moskwy. Jego podobieństwo do Papadopoulosa było uderzające.

Postanowiono, że należy wywieźć złoto i zakopać je na terenie starego klasztoru karmelitów niedaleko Barcelony. Jednak w zrujnowanym przez wojska lewicy klasztorze zaczął się morderca — Ulysses de la Cruz. Pozabijał wszystkich członków komisji finansów rządu Katalonii, którzy mieli ukryć skarb. Czekał na nich, schowany w dzwonnicy. Ktoś musiał donieść mu o zamiarach Katalończyków. A człowiekiem tym mógł być tylko Orłów. De la Cruz nie dobił jednak wszystkich rannych i jeden z nich, udając martwego, obserwował, jak ładuje skrzynie ze złotem na samochód Międzynarodowego Czerwonego Krzyża. Towarzyszył mu jakiś człowiek. Ranny żołnierz zapamiętał ich twarze. Sanger pracował jako duński dziennikarz i zdołał przeprowadzić z nim wywiad. Raport wysłał do Kopenhagi, a stamtąd pracownik „Winnicy” przekazał go do Berlina. Bóhm mógł wówczas porównać rysopis sprawcy ze zdjęciem, które przesłała Funke. Był to ten sam człowiek, tyle że świetnie ucharakteryzowany. Major nie powiedział jednak nikomu, że twarz ze zdjęcia wydała mu się znajoma.

I wtedy stało się coś, czego nikt nie przewidział. Generał Orłów dostał z Moskwy polecenie powrotu do kraju. Była to konsekwencja listu, jaki wystosował do Stalina prezydent Robles. List ów dotyczył powiązań zagadkowych morderstw i kradzieży z osobą generała. Orłów jednak ani myślał wracać do ojczyzny, bo ukradł złoto republikanom na wyraźne polecenie Kremla. Teraz miał za to zapłacić głową. Stał się kozłem ofiarnym. Nie miał złudzeń, jaki los czeka go po powrocie do Kraju Rad. Zniknął w styczniu 1938 roku. Prawdopodobnie uciekł do Ameryki. Po tajemniczym zabójcy ślad również zaginął, co potwierdzało, że ci dwaj mogli działać razem. Sanger opisał również, że po zniknięciu generała Orłowa w radzieckim kierownictwie w Hiszpanii działy się przerażające rzeczy.

W końcu stycznia 1938 roku jakiś wyjątkowo zdolny snajper zastrzelił w barcelońskim porcie trzech wysłanników NKWD, którzy przybyli z Odessy na radzieckim frachtowcu „Komuna Paryska”. Zamachowiec ukrył się w zabudowaniach stoczni, a kiedy oficerowie NKWD schodzili po długim wąskim trapie na ląd, dostali po kulce. Zamachowiec strzelał z samopowtarzalnego karabinu tak szybko i celnie, że żaden z Rosjan nie zdołał wrócić na statek i się ukryć. Ciała z pluskiem wpadły do morza, wzbudzając niemałą sensację wśród ludzi w porcie. Sprawca oczywiście uciekł. Wśród radzieckich doradców zapanował popłoch.

Kilka tygodni później ten sam zabójca, tym razem przebrany za zakonnicę, zabił przed kościołem Sagrada Familia w Barcelonie dwóch najbardziej oddanych Związkowi Radzieckiemu ludzi: asa lotnictwa Andrieja Woźnickiego i jego kochankę, Anglika Jonathana Sparrowsa, poetę i rewolucjonistę z XV Brygady Międzynarodowej im. Waszyngtona-Lincolna, tej samej, przy której jako korespondent wojenny pracował Ernest Hemingway.

Agent Sanger załączył do raportu artykuł Hemingwaya z katalońskiej gazety „Revolution” poświęcony tym zbrodniom. Hemingway napisał w nim, że prawdopodobnym motywem

zabójstwa była chęć pomieszczenia szyków ZSRR po ucieczce Orłowa. Dwaj zabici mężczyźni byli niezwykle oddani Stalinowi.



Canaris czuł, że sprawa Kameleona może być ważna dla niemieckiej opozycji. Chciał pozyskać dla Abwehry tak wszechstronnego szpiega i zabójcę. Zakładał, że uciekając z Hiszpanii, Kameleon postawił się w trudnej sytuacji, ponieważ Moskwa nigdy nie wybaczała zdrady. Trzeba było go tylko odnaleźć. I to było zadanie Böhma.

Zadzwoił telefon linii wewnętrznej. Admirał podniósł słuchawkę:

— Przyszedł major Böhm — poinformował adiutant.

— Wprowadzić natychmiast i proszę nikogo nie łączyć. Böhm był wysokim blondynem o przyjemnej, pociągłej,

inteligentnej twarzy z orlim nosem. Lekko łysiał, ale nie próbował tego ukrywać, jak robiło to wielu mężczyzn w jego wieku, zaczesując włosy do przodu.

— Proszę siadać, Böhm. — Admirał wskazał kanapę obok kominka.

— Wygląda na to, że nasze wojska w ciągu miesiąca pomaszczą na Zachód — zaczął, siadając naprzeciwko gościa.

— Wiem o tym, *Herr Admiral* — odparł Böhm. — Jeśli pracuje się w wywiadzie, nie sposób nie zauważyć przesunięcia osiemdziesięciu dywizji ze Wschodu na Zachód.

— Słusznie. Ale to znaczy, że Francuzi również spodziewają się inwazji.

— Chyba nie. Większość ich dywizji nadal stoi na Linii Maginota.

— Tym gorzej dla nich — skwitował admirał. — Wezwałem pana, ponieważ powinniśmy omówić zakres działań ludzi z pańskiej siatki w perspektywie prawdopodobnej okupacji Francji, Belgii i Holandii przez naszą armię. Podobnie jak ma to miejsce w Polsce, musimy się liczyć ze zorganizowanym oporem.

— Admirale, nasze działania nie ograniczą się jedynie do zwykłej pracy wywiadowczej. Cała Abwehra, tak jak w Polsce, zostanie siłą rzeczy zaangażowana do działań wywiadowczych przeciwko ruchowi oporu, a ja nie chciałbym, żeby moi ludzie gonili po Francji czy Holandii za dzieciakami roznoszącymi ulotki.

— Podzielam pański punkt widzenia — odpowiedział Canaris. — Musimy liczyć się z tym, że im wojna będzie dłuższa, tym lojalniej wobec Fuhrera będzie się zachowywała większość oficerów Abwehry. Taka jest nasza niemiecka mentalność. Oczywiście Abwehra nie zdoła uniknąć zwalczania ruchu oporu, zresztą taki jest jeden z celów kontrwywiadu. Mam nadzieję, że ludzie z pańskiej grupy są gotowi do działania w całkowitej konspiracji. Pracownicy Abwehry i ci sadyści z SS nie mogą się o niczym dowiedzieć.

— Do czego pan zmierza, admirale?

— Przeczytałem jeszcze raz „Raport Kameleona”. Jestem przekonany, że na podstawie meldunków z Hiszpanii sprzed dwóch lat nie można z całą pewnością stwierdzić, czy ten zabójca był współpracownikiem generała Orłowa.

— Admirale, takie założenie jest jednak najbardziej prawdopodobne. Zresztą nasz agent w Barcelonie, Sànger, który widział Orłowa przy okazji różnych wieców oraz rautów w radzieckiej ambasadzie, zauważył człowieka, którego wygląd odpowiada rysopisowi, jaki zawarłem w raporcie.

— Przyzna pan jednak, że sprawa tego szpiega i zabójcy nie jest do końca jasna. Jeśli się nie mylę, mamy do czynienia z co najmniej dwoma różnymi mężczyznami, Grekiem i Portugalczykiem. Zmiana tożsamości w warunkach wojny jest ryzykowna, a ten człowiek, jeśli rzeczywiście to ta sama osoba, musi być diabelnie sprytny i inteligentny, musi mieć dostęp do znakomicie podrobionych dokumentów i znać języki. Jednym słowem, musiałby być to ktoś niesłychanie uzdolniony.

— Admirale, sam znam cztery języki... — wybąkał major, czerwieniejąc.

— Wiem, zazdroszczę panu tego. — Canaris uśmiechnął się lekko.

— Admirale, w pracy wywiadowczej, dopóki nie zdobędziemy dowodów, jesteśmy skazani na poruszanie się w świecie spekulacji i domysłów. Moje założenie, że to może być ta sama osoba, opiera się na fantastycznej pracy agentki Funke. Zdobyła na razie jedyny niezaprzeczalny dowód fałszywej tożsamości człowieka, który zastrzelił CoMzara. Mamy zeznania świadków, oni widzieli go w innym wcieleniu, jako Portugalczyka, Pedra Gomesa. Jest też ten Urugwajczyk, Ulysses de la Cruz.

— To już trzy osoby — zauważył admirał.

— Tak, ale to wciąż ten sam styl pracy. Strzela z samopowtarzalnego karabinu, jest pewny i zdecydowany, umie pracować w trudnych warunkach. Strzelał na przykład z dzwonnicy kościoła pod ostrym kątem, w niewygodnej pozycji. To są fakty, admirale. Po ucieczce Orłowa zniknął.

— Trzeba założyć, że mógł równie dobrze zrezygnować z pracy w NKWD, jak też działać na własną rękę — uzupełnił Canaris.

— Otóż to. Może mieć kontakty z Anglikami i jeśli jest dostatecznie zdeterminowany, udzieli nam wielu informacji o NKWD. Tacy ludzie jak Kameleon nigdy nie wypadają z gry.

— Co pan proponuje?

— Wspominałem już o agentce Funke. Działa od ponad dwóch lat. Zna zarówno środowisko hiszpańskich komunistów, jak i wielu towarzyszy z Brygad Międzynarodowych. Współpracowała z tą wściekłą komunistyczną suką Dolores Ibárruri. Przedostała się do Francji. Teraz pracuje w Paryżu. W razie inwazji będziemy mieli wtyczkę wśród francuskich komunistów.

— To bardzo dobrze. Niech szuka tego Kameleona.

— Admirale, ona już go znalazła.

— Doskonale, Böhm. Kim on teraz jest?

— Nazywa się Jean Gilbert. Jest przedsiębiorcą.

— Niezwykłe. — Admirał pokręcił z podziwem głową. — Proszę zatem utrzymywać z nim kontakt. Zobaczymy, dokąd ta gra nas zaprowadzi.

Bóhm już miał wyjść, gdy admirał zapytał żartem:

— A pan nie wybiera się do Francji?

— Nie, panie admirale. Nie lubię tłoku.

## ROZDZIAŁ 3

Ulysses de la Cruz

Kameleon obudził się wcześnie. Poleżał jeszcze przez chwilę, po czym wstał, wziął prysznic i zjadł śniadanie. Tego dnia miał się spotkać z przywódcą Francuskiej Partii Komunistycznej Jakim Duclosem. Pierre Georges zaaranżował spotkanie w kawiarence Amitié, w zacisznym zaułku w Dzielnicy Łacińskiej. Oczywiście Kameleon miał się tam udać jako Ulysses de la Cruz.

Jacques Duclos, przywódca francuskich komunistów, był zmuszony działać w konspiracji, ponieważ w 1939 Francuska Partia Komunistyczna została zdelegalizowana, z powodu potępienia francuskiego rządu, który głosem swego przedstawiciela w Lidze Narodów doprowadził do wykluczenia ZSRR z grona tej organizacji. Prezydent republiki, Poincare, nie lubił nieposłuszeństwa w swoim kraju i komuniści musieli zejść do podziemia. Francuska Partia Komunistyczna zachowała jednak ogromne wpływy w środowiskach intelektualnych, nieco mniej w robotniczych, gdzie ostro rywalizowała z chrześcijańskimi związkami robotniczymi.

Towarzysz Duclos był niskim krępyim człowieczkiem z siwiejącą kocią bródką i coraz wyraźniejszą łysiną, lśniącą na okrągłej małej głowie. W ogóle nie przypominał przedstawiciela klasy robotniczej, pracującego po szesnaście godzin na dobę za

marne grosze. Był typowym reprezentantem warstwy, która w partiach komunistycznych w Europie Zachodniej wyraźnie dominowała: zblazowanych intelektualistów, snujących wizje powszechnej równości.

Przyszedł w umówione miejsce punktualnie o dziesiątej rano. Kameleon przyglądał mu się ze sklepu naprzeciwko kawiarni. Miał w zwyczaju obserwować swoich rozmówców zawsze, kiedy podejrzewał, że mogą ciągnąć za sobą ogon francuskiej policji. Gdy upewnił się, że Duclosa nikt nie śledzi, a pilnuje go tylko jeden ochroniarz siedzący dwa stoliki dalej, wyszedł ze sklepu i mszył w stronę kawiarni.



Duclos był zdenerwowany. Miał się spotkać z kimś, kogo nie znał. W dodatku ten ktoś się spóźnił. Jedyнным powodem, jaki zatrzymywał towarzysza Duclosa przy stoliku, był niemal nabożny lęk, jakim napawali tego starego komunistę wysłannicy z centrali. Słowo „Moskwa” działało na zachodnich komunistów jak słowo „papież” na katolików. Wywoływało niemal religijny lęk. Pierre Georges poinformował go, że osoba, z którą ma się zobaczyć, jest właśnie wysłannikiem centrali.

Kilka minut po dziesiątej Duclos dostrzegł bruneta w okularach, który zbliżał się do kawiarni. Gdy podszedł do jego stolika, powiedział uprzejmie:

— Witajcie, towarzyszu Duclos.

Duclos podskoczył. Nie przypuszczał, że ktoś zna jego prawdziwe nazwisko, ukrywał się w Paryżu pod pseudonimem.

— Jesteście zaskoczeni, towarzyszu Duclos? — powiedział z silnym hiszpańskim akcentem nieznajomy. — Byliśmy umówieni. Nazywam się Ulysses de la Cruz, jestem Urugwajczykiem. Komunistą... — dodał.

— Pierre mówił mi o was. Skąd znacie moje prawdziwe nazwisko?

— Ależ towarzyszu, dowiedzenie się tego nie jest dla pro-



fesjonalisty niczym trudnym — odrzekł z uśmiechem brunet, siadając.

Kameleon znakomicie znał hiszpański i francuski. Na co dzień mówił po francusku bez obcego akcentu, jak zwykły paryski mieszczuch, teraz zaś znakomicie naśladował hiszpański akcent. Nauka języków obcych zawsze sprawiała mu przyjemność.

— Towarzyszu, Pierre powiedział mi, że jesteście wysłannikiem centrali radzieckiej.

— Można to tak nazwać...

— Czy macie dla nas jakieś nowe wytyczne? Muszę szczerze przyznać, że trudno nam było zrozumieć ostatnie posunięcia centrali.

— A to dlaczego?

— Wiecie, podstawowym wrogiem światowej rewolucji jest faszyzm, a tymczasem kierownictwo radzieckie zawarło pakt z Hitlerem. — Duclos powiedział ostatnie zdanie po cichu, jakby zrzucił ciężar z serca.

Kameleon uśmiechnął się ironicznie. Doskonale pamiętał, że Francuska Partia Komunistyczna nie zrobiła nic, kiedy wysłannicy NKWD podczas wojny domowej w Hiszpanii wyrzynali wszystkich znaczących członków hiszpańskiej lewicy.

— Towarzyszu, muszę wam wyznać równie szczerze, że ja, jako Urugwajczyk, nie mam takich dylematów. Doskonale rozumiem intencje radzieckich towarzyszy.

— Doprawdy? — Duclos wyglądał na zbitego z tropu. Co chwilę nerwowo gładził brodę.

— Oczywiście. Towarzysz Stalin nie musi wam przecież tłumaczyć, że każda droga wiodąca do światowej rewolucji jest dobra, nawet jeśli jej ceną będzie pakt z Hitlerem i śmierć, na przykład, miliona Finów i Polaków — odrzekł Kameleon.

— Towarzyszu de la Cruz, Polska nie jest dla Francji żadnym problemem — zapewnił Duclos. — Oficjalne stanowisko naszej partii jest takie, że Armia Czerwona wzięła pod opiekę Białorusinów i Ukraińców żyjących pod polskim jarzmem. Jednakże

pakt z Hitlerem jest dla nas pewną przeszkodą ideową... Nie rozumiecie, jak bardzo Francuzi są wyczuleni... na różnice i subtelności ideologiczne. Nie wiem, jak mam uzasadnić moim towarzyszom ostatni pakt radziecko-faszystowski — westchnął bezradnie.

Co za świnią, pomyślał Kameleon. Gdyby wiedział, ilu ludzi rozstrzelano na Łubiance tylko w 1937 roku. Nie chciał jednak, aby Duclos odniósł wrażenie, iż towarzysz de la Cruz jest zwolennikiem tępionego przez Stalina trockizmu.

— Cóż, towarzyszu, musicie wykazać się elastycznością i fantazją. Powiedzcie, że zamysły wielkiego Stalina nie są znane nawet jego współpracownikom. Gdybyście nadal mieli problem ideowy, to pomyślcie, ile dziesiątek tysięcy amerykańskich dolarów, ile złota dostała wasza partia od towarzyszy radzieckich. To powinno wam uświadomić, co to jest prawdziwa lojalność. I ja właśnie oczekuję od was takiej lojalności, towarzyszu.

— Przecież nawet was nie znam. — Duclos spojrzał na Kameleona z rozpaczą.

— To dobrze! Nie musicie mnie znać. Jeśli mi nie ufacie, tym lepiej. Jak mówił towarzysz Lenin, gdzie nie ma zaufania, wystarczy strach. Chciałbym, żebyście pomogli mi odszukać w Belgii lub we Francji pewnego człowieka.

— Komunistę?

— Sympatyka partii, choć nie należy zapewne do partii francuskiej ani belgijskiej. Nazywa się Alfred Corbin. Wiem, że w trzydziestym szóstym mieszkał w Brukseli.

— Dlaczego chcecie go odnaleźć, towarzyszu?

— Jest nam potrzebny. Niech to wam wystarczy. Waszym zadaniem jest lojalnie współpracować. Chyba nie chcecie, żeby na następnym zjeździe partii został wybrany inny przewodniczący?

— Grozicie mi? — wyjąkał Francuz.

I w tej sekundzie uświadomił sobie, z kim rozmawia. Poczuł, że wzdłuż kręgosłupa spływa mu kropla zimnego potu. Miał

przed sobą bezlitosnego zabójcę z NKWD. Wiedział, że jeśli nie będzie współpracował, zapłaci za to życiem.

— Czy wy pracujecie dla... NKWD? — szepnął przestraszony.

— Nieistotne dla kogo pracuję — uciał Kameleon. — Pomożecie czy nie? Macie lojalnie i rzetelnie współpracować. Centrala niczego więcej od was nie oczekuje. Rozumiecie, towarzyszu?

— Tak. — Duclos głośno przełknął ślinę.

Miał wrażenie, że za chwilę dostanie zawału. Słyszał straszne rzeczy o NKWD. Komuniści francuscy, podobnie jak połowa lewicy europejskiej, mieli niezwykle wyidealizowane pojęcie o Związku Radzieckim, ale Duclos słyszał od zaprzyjaźnionych trockistów w Paryżu co nieco o radzieckich specjalistach od bezpieczeństwa. George Bernard Show chwalił przecież Stalina, dlaczego więc we Francji miało być inaczej? Teraz Duclos rozmawiał z jednym z tych strasznych ludzi z NKWD. Rozpiął koszulę pod szyją i upił solidny łyk kawy.

— Czego... czego pan chce? — wyjąkał.

Lekko zamglone, lodowate oczy Kameleona świdrowały Duclosa.

— Już powiedziałem! Musicie odnaleźć człowieka o nazwisku Corbin. — Kameleon powoli tracił cierpliwość. — Zaczynicie szukać w Belgii. Oczywiście możecie działać pod pozorem międzypartyjnej współpracy. Ale ta osoba nie może dowiedzieć się, dlaczego się nią interesuję. Jako przywódca partii we Francji macie nieograniczone możliwości odnajdywania dawnych towarzyszy. Będziecie mnie informowali na bieżąco o postępach w poszukiwaniach. Informacje przeznaczone dla mnie macie zostawiać w kopercie w skrytce pocztowej numer sto trzydzieści cztery w urzędzie pocztowym na dworcu Montparnasse. Jeśli uznam, że muszę się z wami spotkać, macie stawić się o oznaczonym czasie i miejscu. Jasne?

— Tak...

Kameleon zapalił papierosa i wpatrywał się w rozmówcę zza

chmurki dymu. Duclos był blady i spocony. Kameleon wiedział, że komunistów i innych lewicowych lekkoduchów z Europy Zachodniej można łatwo złamać bez uciekania się do zbyt drastycznych metod. Wystarczyło ich porządnie nastraszyć. Właśnie to zrobił. Odczekał chwilę i zadał kolejny cios.

— Już wkrótce będziecie musieli się ukrywać nie tylko przed francuską policją, dlatego zróbcie sobie dobre papiery.

Duclos milczał, przybity. Nie miał pojęcia, dlaczego towarzysz z centrali tak się zachowuje. Kameleon wstał od stolika i dorzucił:

— Jeszcze jedno, towarzyszu Duclos. Jeśli każecie swoim ludziom mnie śledzić albo jeśli spróbujecie dowiedzieć się, jak naprawdę się nazywam, zostaniecie zlikwidowani.

I wyszedł z kawiarni.



Cztery lata wcześniej, w kwietniu 1936 roku, w dusznej i ciasnej celi na Łubiance, osławionym więzieniu NKWD w Moskwie, siedział młody Urugwajczyk. Przyjechał do Moskwy na zaproszenie południowoamerykańskiej sekcji Kominter-nu. Przez dwa dni mu dogadzano: dobre jedzenie, ładne rosyjskie towarzyszki, spotkania z przodownikami pracy, mauzoleum Lenina i zwiedzanie miasta samochodem. Po prostu chciało się żyć. Było jak w bajce. Ale, jak się okazało, radzieckie bajki szybko się kończą.

Trzeciego dnia obudzono go w nocy w hotelu, gdzie zatrzymał się wraz z innymi towarzyszami z Argentyny i Urugwaju. Ktoś brutalnie kopnął go w brzuch. Chłopak zwinął się z bólu. Ktoś zaświecił mu w oczy latarką.

— Towarzysz de la Cruz?

— *Si...*

Kilku barczystych drabów zawlokło go do samochodu. Zawieziono go na Łubiankę i pobito do nieprzytomności. Ludzie w mundurach z niebieskimi epoletami chcieli, żeby przyznał

się do zdrady polegającej na propagowaniu zakazanej odmiany marksizmu, zwanej trockizmem, a w konsekwencji do faszyzmu, do którego nieuchronnie — w myśl stalinowskiej teorii — prowadziły wszelkiego rodzaju ideologiczne odchylenia. Nie chciał się do niczego przyznać. Wyłamano mu wszystkie palce i wybito wszystkie zęby, wpadł w apatię, ale wciąż milczał.

Potem zmieniono metody przesłuchania. W nocy pojawiał się zły oficer, który bił pejcem, wyzywał, sadzał na nodze od krzesła albo wkładał ołówek do penisa. W dzień przychodził dobry oficer. Ten z kolei mówił niezłe po hiszpańsku, częstował papierosami i herbatą.

— No i dlaczego nie chcecie się przyznać, towarzyszu, do zdrady? — pytał.

I w końcu skatowany młody urugwajski komunista Ulysses de la Cruz przyznał się do zdrady polegającej na dążeniu do ideologicznego sabotażu oraz do propagowania trockizmu. Przyznałby się do wszystkiego, byleby tylko przestali go bić. Został skazany na śmierć przez rozstrzelanie.

Zaprowadzono go do celi w podziemiach, gdzie wykonywano egzekucje. Oficer, który rozmawiał z nim po hiszpańsku przy herbacie, strzelił mu w tył głowy. Ciało chłopaka osunęło się na poplamioną krwią posadzkę celi. Dla tego oficera była to już kolejna egzekucja i nie robiła takiego wrażenia jak pierwsza. Do zabijania można się przyzwyczaić jak do załatwiania potrzeb fizjologicznych. Wszystko zależy od motywacji. Ale tego dnia oficer NKWD zapamiętał wyraz oczu urugwajskiego chłopca, którego ciało leżało teraz pod jego butami.

Były pełne smutku i rezygnacji.

I wtedy po raz pierwszy w życiu ów oficer zdał sobie sprawę, że zabił zupełnie niewinnego człowieka. Widok tych oczu nigdy go już nie opuścił. Ukazywały mu się w snach... Budził się z przekonaniem, że prawdziwy Ulysses de la Cruz ufał mu nawet wtedy, kiedy on mierzył z rewolweru w jego potylicę. Coraz częściej widział w snach twarze ludzi, których zabił — zrozpaczone, przerażone, niemo błagające o życie.

## ROZDZIAŁ 4

### Śmierć przy rue St-Lazare *Paryż, 1998 rok*

Młoda recepcjonistka wzięła zapasowy klucz od apartamentu numer 20. Jego mieszkaniec, starszy mężczyzna, od dwóch dni nie dawał znaku życia, uznała więc, że pora zacząć działać.

Zapłacił za trzy dni, do dziesiątego czerwca. Na jego paszporcie widniał napis: Erec Israel. W dniu przyjazdu zatelefonował do recepcji i zapytał, o której godzinie powinien opuścić hotel dziesiątego czerwca, żeby zdążyć na samolot izraelskich linii EL-AL do Tel Awiwu, odlatujący o osiemnastej.

Dochodził kwadrans po piątej. Recepcjonistka wsiadła do windy, nacisnęła przycisk ze srebrną czwórką i pojechała na górę. Gdy wysiadła, poczuła zapach farby po niedawnej renowacji kamienicy, którą w zeszłym roku przerobiono na hotel. Przedtem była to prywatna kamienica, ale poprzedni właściciele, bracia Aloise i Lucas Pregnac, sprzedali ją w 1996 roku.

Otworzyła drzwi i weszła do salonu. Starszy mężczyzna leżał w kałuży zaschniętej krwi. W jego klatce piersiowej ziały dwie rany po kulach. Ciało zaczynało cuchnąć.



Przed kamienicę zajechał czarny citroen. Kierowca rozglądał się przez chwilę, szukając miejsca do zaparkowania. Zatrzymał

się w końcu między policyjnymi wozami. Był to trzydziestokilkuletni brunet o krótkich włosach i pociągłej twarzy, na czarny podkoszulek włożył jasną letnią marynarkę.

Przeszedł pod policyjną taśmą, pokazując policjantom legitymację oficera wydziału kryminalnego policji. Szybkim krokiem skierował się do bramy kamienicy. Zauważył, że policyjna psycholog, Agnès Duby, uspokaja jakąś młodą kobietę.

— To ona znalazła zwłoki — powiedział któryś z policjantów, uprzedzając pytania komisarza.

Yves Festiger uśmiechnął się do pani psycholog. Lubił ją za otwartość i serce, jakie okazywała ofiarom gwałtów, świadkom brutalnych zabójstw i ludziom, którzy przeżyli nagłą śmierć kogoś bliskiego. Poza tym podobała mu się jako kobieta. Niestety nie mógł liczyć na zainteresowanie z jej strony. Już na pierwszym wspólnym piwie, na które poszli kiedyś po pracy sporą grupą, dała mu do zrozumienia, że ani przelotny romans, ani dłuższy związek nie wchodzi w grę.

Wszedł na czwarte piętro schodami przeciwpożarowymi, wypatrując jakichś śladów. Nie zauważył jednak niczego interesującego. Wydawało mu się, że mimo widocznych oznak remontu hotel był kiedyś zwykłą czynszową kamienicą. Na korytarzu przed apartamentem, w którym dokonano zabójstwa, zobaczył ludzi ze swojego komisariatu.

— Znaleźliście coś ciekawego? — zagadnął.

— Na razie nic, ale żeby wszystko dokładnie sprawdzić, potrzebujemy co najmniej półtorej godziny.

Był to chyba najdroższy apartament w tym małym hoteliku. Kręcili się po nim ludzie z ekipy technicznej. Jeden z nich, w gumowych rękawiczkach, zdejmował odciski palców z klamki drzwi do łazienki. Przy zwłokach klęczał Joseph Al-Douri, Algierczyk, który od półtora roku pracował z Festigerem w wydziale zabójstw dwóch dzielnic, Łacińskiej i Montmartre'u.

— I co tam?

— Dwie dziury po kulach w klatce piersiowej — odpowiedział Al-Douri, wstając.

— Tylko się pospieszcie — powiedział do techników Festiger, na którym trupy nie robiły specjalnego wrażenia. — Dzisiaj Brazylia gra ze Szkocją.

Tego dnia na stadionie w St-Denis rozpoczynały się mistrzostwa świata. Komisarz lubił piłkę nożną, tym bardziej że gospodarze ostrzyli sobie zęby na pierwsze miejsce.

— Przecież wiesz, jak będzie wynik, Yves. Brazylia to solidna firma — odpowiedział Al-Duori. — Mamy tu mnóstwo roboty.

— Jacyś świadkowie?

— Żadnych, zero, *niente*... Nikt niczego nie widział, nikt niczego nie słyszał. Chłopcy na dole kończą przesłuchiwać ludzi, którzy mieszkają w hotelu. Oczywiście nie wszyscy są teraz obecni. To potrwa.

Festiger podszedł do ciała. Musiał zasłonić nos chusteczką higieniczną, jednak przez zapach mięty przenikał słodkawy odór rozkładających się zwłok. Przyklęknął. Po podłodze snuła się smuga zakrzepłej krwi — od drzwi wejściowych do salonu. Było jasne, że morderca zadał sobie trud, by przeciągnąć ciało z przedpokoju i ułożyć je w salonie. Tylko po co?

— Ukradziono coś?

— Prawdopodobnie nie — odpowiedział Al-Douri. — W pokoju jest porządek. Torba podróżna, a jest tylko jedna, znajduje się w szafie w przedpokoju. Wiszą tam również dwie marynarki od Versacego...

Festiger zagwizdał.

— No to staruszek był przy kasie... Naprawdę niczego nie ukradziono? — upewnił się.

— Zamek szafy nienaruszony... Klucz do niej znaleźliśmy na nocnej szafce. Była tam też gotówka, kilkanaście tysięcy szekli izraelskich, sto czterdzieści dwa dolary amerykańskie oraz trzysta sześćdziesiąt tysięcy franków w używanych banknotach. Oprócz tego rachunek transakcji wymiany pieniędzy z oddziału Banque de France w Dzielnicy Łacińskiej, przy rue St-Dominie. Wymienił na franki niemieckie marki i funty szterlingi.



— Podróżował sobie po Europie — stwierdził Festiger.

— Być może... No i teraz uważaj... znaleźliśmy dwa paszporty na dwa różne nazwiska.

— Jak to?

— Jeden leżał obok portfela z gotówką. To szwedzki paszport na nazwisko Anders Jarl Gustavsson, a drugi izraelski, który pokazał, kiedy się meldował. Izraelskie nazwisko brzmi Leopold Trepper. Na szwedzkim urodził się szesnastego września tysiąc dziewięćset jedenastego roku w Karlskoronie, a na izraelskim dwunastego maja tysiąc dziewięćset ósmego w miejscowości Nowy Targ. Nie mam pojęcia, gdzie to jest. — Al-Douri wzruszył ramionami.

— No tak, dwa paszporty, nic nie zginęło... — zastanawiał się głośno Festiger. — Wygląda to na egzekucję albo jakieś porachunki. Nie ma śladów walki. No, ale może pod paznokciami coś się znajdzie... — Podrapał się z roztargnieniem po głowie. — A więc wiemy, że według jednego paszportu miał osiemdziesiąt siedem lat, a według drugiego dziewięćdziesiąt, czyli, tak czy inaczej, stał nad grobem. Dziwne. W takim wieku wybrał się w podróż. Ja nie wiem, czy kiedy stuknie mi dzie-więćdziesiątka, sam trafię do kibla.

— Mnie to nie dziwi. W moich stronach ludzie dożywający tak późnego wieku nie są niczym nadzwyczajnym.

— Jednego nie mogę zrozumieć — ciągnął komisarz, nie zwracając uwagi na słowa partnera — dlaczego morderca zawlókł trupa do salonu? Strzały padły przy drzwiach, to nie ulega wątpliwości, ta smuga krwi mówi sama za siebie. Musiał wiedzieć, że to właśnie on otworzy drzwi.

— Na to wygląda — mruknął Al-Douri.

— Taak, egzekucja... Tylko co ten stary człowiek robił w Paryżu w tanim hotelu? Skoro stać go było na marynarkę od Versacego, to pewnie mógł sobie pozwolić na hotel pięciogwiazdkowy.

Przez kilka sekund obaj policjanci wpatrywali się w milczeniu w trupa.

Zwykle do pewnych ustaleń można dojść w ciągu pierwszych czterdziestu ośmiu godzin po znalezieniu zwłok, ale w tym przypadku od chwili morderstwa minęły co najmniej dwie doby. Pojawiły się pierwsze ślady rozkładu. Lada chwila miała przybyć ekipa patologa, doktora Antoine'a Busé.

— Nie podobają mi się te paszporty — westchnął Festiger.

— Wyczuwam nadgodziny. — Algierczyk też westchnął. — Żeby chociaż przyzwoicie za nie płacili...

Korzystając z chwili spokoju, komisarz jeszcze raz przyjrzał się ciału. Lewa dłoń była wyciągnięta i zaciśnięta, jakby kurczowo coś trzymała. Na palcu wskazującym błyszczał złoty sygnet, a na lewej ręce złoty zegarek firmy Patek. Nie, stanowczo to nie był napad rabunkowy, taki zegarek kosztuje ponad tysiąc dolarów, pomyślał Festiger. Na drzwiach nie było zresztą śladów włamania.

Żaden z gości hotelowych nie widział mordercy. Wiele osób zatrzymało się na jedną lub dwie noce, więc policjantów czekało odnalezienie tych, którzy już wyjechali. Mężczyzna mógł zginąć między siódmym a dziesiątym czerwca.

Doktor Busé, potężny mężczyzna z rudawą, krótko ostrzyżoną czupryną, wytoczył się z windy wraz z dwojgiem ludzi ze swojej ekipy, stażystami z akademii medycznej. Na jego widok, zapalonego kibica Olympique Marsylia, Festigerowi zawsze poprawiał się humor. Nie tylko dlatego, że przez lata pracy zdążyli się poznać i zaprzyjaźnić, ale dlatego że przez lata owej przyjaźni zażarcie dyskutowali o piłce nożnej. Festiger, jako paryżanin, kibicował Paris Saint-Germain.

— Antoine, wyglądasz dziś jak Cyrano de Bergerac... — powitał go komisarz.

— A ty jak Sherlock Holmes — mruknął patolog. — Co mamy?

— Zastrzelony mężczyzna — zameldował Al-Douri, który właśnie do nich podszedł.

— Boże, to już dzisiaj trzeci trup — westchnął Busé. — Rano dwóch ćpunów stoczyło walkę o działkę w Dwudziestej Dzielnicy. Padam z nóg... Gdzie on jest?

Al-Douri wskazał salon. Busé, który przewyższał wszystkich policjantów o półtorej głowy, a najwyższego w wydziale zabójstw Al-Douriego o głowę, ruszył energicznym krokiem, za nim podążyło dwoje stażystów, chłopak i dziewczyna w okularach. Widząc ją, technicy mimowolnie się uśmiechnęli, bo wyglądała, jakby zaraz miała zwymiotować. Co robi z ludźmi policyjna rutyna, przemknęło przez głowę komisarzowi. Tymczasem Busé zabrał się do pracy. Poleciał praktykantom wyjąć z torby nylonowy worek i rozłożyć go na podłodze obok zwłok. Sam założył fartuch i rękawiczki.

— Zrobiliście zdjęcia salonu i przedmiotów wokół ciała? — zapytał.

Gdy policjanci potwierdzili, przełożono zwłoki na worek. Stażystka, spojrzawszy na otwarte usta i wytrzeszczone matowe oczy trupa, lekko pozieleniała i odwróciła głowę.

Busé, cały czas coś do siebie mrużąc, sfotografował uzębienie denata, obejrzał jego paznokcie i do szklanej fiolki zebrał to, co pod nimi było. Następnie przyjrzał się ranom postrzałowym. Biała koszula, jaką mężczyzna miał na sobie, dla doktora była jak otwarta książka.

— Strzały padły z bliskiej odległości — zaczął mówić do dyktafonu. — Metr, może półtora. Brak śladów prochu na koszuli świadczy o tym, że morderca użył tłumika, ale dokładnie potwierdzą to testy balistyczne...

— Kul nie znaleźliśmy... Jeszcze nie — wtrącił się Al-Douri.

— Szukajcie, a znajdziecie — rzekł sentencjonalnie Busé. — Stwierdzam wstępnie, że zgon nastąpił do czterdziestu ośmiu godzin temu. Więcej powiem po sekcji — zakończył, zdejmując rękawiczki. Następnie kazał swoim ludziom położyć zwłoki na noszach i zanieść je do karetki.

Tymczasem Al-Douri i Festiger przeszli do przedpokoju.

— Co o tym myślisz, Yves? — zapytał Algierczyk.

— To robota zawodowca. Morderca musiał wiedzieć, że Izraelczyk zatrzymał się właśnie w tym hotelu, w tym apartamencie. Kiedy stary otworzył drzwi, dostał dwie kule. Upadł w tym miejscu, a następnie ktoś zadał sobie trud, żeby zawlec ciało do salonu.

— Po co?

— Właśnie to mi nie pasuje. Gdyby to był zawodowiec, zabrałby jakiś dowód, że wykonał robotę, na przykład jeden z paszportów albo jakiś inny dokument, i po prostu wyszedł, zamykając drzwi. A tutaj ktoś, nie wiadomo po co, włókł trupa.

— Może chciał ukryć ciało?

— W salonie? Nie... coś mi tu nie gra... — powtórzył Festiger. — Przesłuchaj recepcjonistkę, jak tylko Agnès ją uspokoi. Myślę, że morderca mógł mieszkać w tym hotelu. Chłopcy już przeglądają książkę meldunkową. Ty pojedziesz jeszcze dzisiaj do szwedzkiej ambasady. Kiedy chłopcy skończą zabezpieczać dowody, zeskanuj szwedzki paszport.

— A ty?

— Ja zrobię to samo z izraelskim.

Algierczyk kiwnął głową. Docenił wycucie przyjaciela.

— Chłopcy, chcę mieć jeszcze dziś na biurku listę wszystkich przedmiotów, które znajdziecie — zwrócił się komisarz do policjantów.

— I nie obchodzi mnie, że jest już popołudnie. Miłej pracy.

Schodząc po schodach, z irytacją pomyślał, że nie obejrzy meczu otwierającego mistrzostwa.

★

Natychmiast po przyjsciu do komisariatu Festiger zatelefonował do ambasady Izraela. Uprzejmy damski głos z taśmy informował o departamentach ambasady oraz podawał numery wewnętrzne od 1 do 7. Festiger nacisnął trójkę — charge d'affaires, doktor Eliza Baum.

Po chwili usłyszał twardy gardłowy głos, który dziwnie kontrastował z faktem, że rozmówcą jest kobieta.

— Dzień dobry, tu Yves Festiger z wydziału zabójstw. Dzisiaj znaleziono zwłoki obywatela izraelskiego. Został zamordowany. Próbujemy ustalić, kim był. Muszę zadać pani kilka pytań.

— Proszę pana, jest już dziesięć po szóstej, właśnie wychodzę — odpowiedziała kobieta opryskliwie.

Festiger nie zamierzał dać się spławić. Pomyślał, że jego rozmówczyni musi być dość szczególną osobą. Jej głos przypominał rechot żaby. Ciekawe, jak wygląda?

— Rozumiem, ale popełniono morderstwo...

— Domyślam się, że to coś poważnego, ale czy możemy porozmawiać jutro?

Komisarz przygryzł wargi.

— Tak... Myślę, że tak — powiedział, starając się zachować spokój. — Jutro będę prawdopodobnie wiedział więcej — dodał nieco na wyrost.

— W takim razie jutro o dziesiątej trzydzieści rano.

— W porządku. Jesteśmy umówieni.

Chciał powiedzieć „do widzenia”, ale pani Baum odłożyła słuchawkę. Co za bezczelna baba, pomyślał. Był wyczulony na pewien typ kobiet, które wiedzą, czego chcą, są pewne, zdecydowane, czasem obcesowe, a czasem nawet opryskliwe. Jak jego była żona Louise. Ale przynajmniej obejrzę mecz, pocieszył się. Postanowił, że kolację zje na mieście, w jakiejś knajpce, w której jest telewizor. Brazylia miała grać ze Szkocją.

★

Niewysoki barczysty chłopak o włosach w kolorze palonej mokki, w dzinsach i czerwonym podkoszulku z napisem JE T'AIME CHE GUEVARA kilkakrotnie próbował połączyć się z numerem komórkowym. Jednak za każdym razem głos nagrany na pocztce głosowej prosił o pozostawienie wiadomości.

— *Put*a — zaklął i spróbował jeszcze raz.

I tym razem nic. Chłopak wyrzucił z siebie jeszcze jedną wiązanę wyszukanych hiszpańskich przekleństw i wcisnął komórkę do kieszeni. Chciał się wyładować, ale nie miał na kim. Dwa dni temu zrobił coś najgorszego w swoim krótkim, dwudziestosiedmioletnim, nędznym życiu emigranta z Ameryki Południowej. A zrobił to dla forsy. Dla niej przyjechał do Europy. Błąkając się od Hiszpanii do Francji, podejmował się różnych zadań za pieniądze, czasem przyjemnych, jak bycie żigolakiem, czasem mniej przyjemnych, kiedy trzeba było rozkwasić komuś nos. Ale dawało się żyć. Wszystko dla forsy — to była jego dewiza.

Wściekły, błąkał się po nocnym Paryżu, mijając smutnych szkockich kibiców w kiltach. Szkocja przegrała z Brazylią jeden do dwóch. Według Szkotów *canarinhos* wygrali tylko przez przypadek.

## ROZDZIAŁ 5

### List

Sześćdziesięcioletni sędzia śledczy Georges Fauchaux uważany był za mende, która wtrącała się do śledztwa na każdym jego etapie. Miał obsesję na punkcie praw obywatelskich i pilnował, by przestrzegano praw ludzi, którym z racji obrzydliwości popełnionych zbrodni żadne prawa, zdaniem komisarza, przysługiwać nie powinny. Kiedy jedenastego czerwca rano Festiger przyszedł do pracy, koledzy powiedzieli mu, że Fauchaux o niego pytał. Żartowali, że pewnie chce mu wlepić drugą naganę.

Pierwszą naganę, z wpisaniem do akt, komisarz dostał półtora roku temu za brutalne potraktowanie pewnego Turka, obywatela Francji, podejrzanego o okaleczenie kobiety. Ofiara była jego kuzynką i została przez niego ukarana za zdjęcie chusty w dyskotecie. Turek pociął dziewczynie twarz nożem i zagroził, że ją zabije. Festiger złamał mu rękę, rozkwaślił nos, następnie wrzucił go do śmietnika. Sprawa wyszła na jaw, bo Turek złożył skargę, a sędzia Fauchaux przydzielił komisarzowi jako partnera trzydziestosiedmioletniego Josepha Al-Douriego, Algierczyka z pochodzenia.

Jednak policjanci od razu się polubili. Obydwaj kibicowali Paris Saint-Germain i mieli podobny styl pracy, który szybko zaczął przynosić efekty. Algierczyk sporo wiedział o życiu półświatka tureckich i arabskich emigrantów. Blisko osiem

dziesiąt procent morderstw popełnianych w Paryżu zdarzało się właśnie w zamieszkanym przez nich dzielnicach. Często były to sprawy zawikłane, trudne, wymagające znajomości mentalności muzułmanów i innych przybyszów z Afryki, którzy najwyraźniej nie mieli ochoty się asymilować.

Festiger zasiadł przed komputerem. Uprzedzony przez kolegów, oczekiwał, że wkrótce odezwie się do niego sędzia. Telefon zadzwonił już po kilku minutach.

— Słucham, Festiger.

— Fauchaux. Witam, komisarzu.

— Dzień dobry, panie sędzio.

— Wczoraj wieczorem dowiedziałem się, że będę nadzorował sprawę zabójstwa w hotelu. Mam nadzieję, że pamięta pan o zakresie swoich obowiązków oraz o prawach, jakie przysługują podejrzanym, komisarzu?

Co za palant! Komisarz przewrócił oczami.

— Oczywiście, panie sędzio.

— Proszę informować mnie na bieżąco o wynikach śledztwa — skrzeczał sędzia.

— Tak, panie sędzio — potakiwał coraz bardziej zirytowany komisarz.

— W takim razie, komisarzu, pierwszy raport chcę otrzymać... powiedzmy trzynastego czerwca. Zapraszam do mnie, do Ministerstwa Sprawiedliwości. Czy ma pan telefon komórkowy?

— Nie, panie sędzio. — Festiger czuł się jak nakręcana zabawka. — Ukradziono mi go i nie kupiłem nowego — skłamał.

Gdy się rozłączyli, zdjął marynarkę i położył nogi na biurku. W tym momencie do komisariatu wszedł Al-Douri.

— Widzę, że od rana masz niezły humor — powiedział na widok Festigera.

— Ten palant Fauchaux właśnie dzwonił — westchnął komisarz. — Co nowego?

— Byłem wczoraj w szwedzkiej ambasadzie. Nie mają w komputerze żadnego Andersa Jarla Gustavssona. Paszport



jest fałszywy, ale Szwedzi byli pod ogromnym wrażeniem kunsztu fałszerza. W ich opinii nikt działający na własną rękę nie mógł tak dobrze podrobić paszportu. Podejrzewają, że powstał na bazie oryginalnego dokumentu, bo są w nim niemożliwe do podrobienia elementy zabezpieczające, jak na przykład kody kreskowe. Pomyśl, Yves, kto mógł tak dobrze podrobić paszport? Tylko ludzie, którzy mają dostęp do najnowszych technologii zabezpieczania dokumentów.

— Wywiad izraelski — mruknął Festiger. — No to pięknie...

— To nie wszystko. Dostałem od doktora Busé raport z autopsji. Sekcję zrobił wczoraj wieczorem. Powiedział mi, że jest w tym raporcie kilka nad wyraz interesujących dla komisarza Festigera spostrzeżeń, jak kazał mi to ująć. Czytaj.

Al-Douri rzucił na biurko niebieską teczkę.

— Ach, miałem ci powiedzieć, że Agnès przyprowadzi dzisiaj na przesłuchanie recepcjonistkę — przypomniał sobie.

— Ile osób pracuje w hotelu?

— Trzy. Recepcjonistka, Melisa le Beouff, oraz polscy studenci, dziewczyna i chłopak. Firma Silvain zatrudnia osoby spoza Francji na zasadzie płatnych staży studenckich.

Przesłuchaj dziś tych Polaków. Gdy tylko skończę czytać raport, pojedę do ambasady izraelskiej.

— Mam jechać z tobą?

— Nie, dzięki, poradzę sobie, choć izraelska pani chargé d'affaires zapowiada się raczej jako średnio miła osoba. Sprawdź, czy jest już lista wszystkich przedmiotów znalezionych w pokoju.

— Chłopcy znaleźli kulę. Jedna utkwiała w ścianie salonu. Oddali ją wieczorem do ekspertyzy balistycznej. Drugiej jeszcze nie ma.

★

Busé stwierdził w swoim raporcie, że starca zabiła kula małokalibrowa. Biorąc pod uwagę stan organów wewnętrznych,

uznał, że najprawdopodobniej była powleczone teflonem. Taka kula przebija nawet kamizelkę kuloodporną. Potwierdził też przypuszczenia komisarza, że morderca strzelał z bliskiej odległości.

Jednak dopiero drugi strzał okazał się śmiertelny. Pierwsza kula przeszła przez ciało w okolicach mostka, zmiażdżyła go, skręciła, odbijając się od kości, rozszarpała prawe płuco i wyszła przez plecy pod kątem mniej więcej czterdziestu stopni, co oznaczało, że morderca w chwili strzału trzymał broń pod kątem ostrym.

Drugi pocisk poczynił dużo groźniejsze spustoszenia. Przebił otrzewną, powodując krwotok wewnętrzny, uszkodził aortę i wychodząc, strzaskał kręgosłup. Festiger uprzytomnił sobie, że w apartamencie są gipsowe ścianki działowe. Teflonowa kula, opuszczając ciało, miała na pewno jeszcze dość morderczego impetu, żeby przebić ścianki i utkwic gdzieś w ścianie oddzielającej apartament od sąsiedniego pokoju. Natychmiast zadzwonił do sekcji, która zabezpieczała ślady. Poprosił, by sprawdzono, czy pocisk mógł przebić się przez ścianę znajdującą się naprzeciwko drzwi wejściowych, a jeśli tak, to czy jest w innym pokoju. Nie sprawdzili tego wczoraj. Co za pataluchy, pomyślał Festiger z irytacją.

Denat nie miał żadnych innych obrażeń. Pod jego paznokciami nie znaleziono niczego, co wskazywałoby na to, że próbował walczyć, tak więc z pozyskania DNA mordercy nici. Ale na tym raport się nie kończył. Buse stwierdził, że mężczyzna miał zaawansowany nowotwór płuc z przerzutami do wątroby i śledziona. Patolog wątpił, by starzec nie wiedział o swoim stanie. Zwykle ludzie tak bardzo chorzy leżą w szpitalach, ten jednak został znaleziony z dwoma paszportami, z zaawansowanym rakiem, w hoteliku w Paryżu, z dziurami po kulach w piersi. Po co przyjechał do Francji? Na pewno nie na leczenie, bo dziesiątego czerwca miał lecieć do Tel Awiwu.



Ambasada izraelska mieściła się przy rue de Rabelais. Ponieważ przed budynkiem nie było parkingu, Festiger zostawił citroena dwie przecznice dalej.

Przed wejściem został dokładnie obszukany przez francuskich żandarmów, którzy mimo iż wiedzieli, że jest policjantem na służbie, potraktowali go tak jak zwykłego interesanta. Izraelscy ochroniarze kazali mu zostawić broń w depozycie.

Eliza Baum była najmniej urodziwą kobietą, jaką widział w życiu. Miała czarne kręcone włosy, inteligentną twarz o nieregularnych rysach upstrzoną piegami, z grubym nosem, wystającą szczęką i wyraźnie zarysowanymi kośćmi policzkowymi. Nosiła okulary w masywnej oprawie, które nadawały jej wygląd owada. Była wyjątkowo brzydka, ale najwyraźniej doskonale zdawała sobie z tego sprawę.

— Dzień dobry, komisarzu — powiedziała, nie wstając zza biurka. — Widzę, że jak każdy męski szowinista ocenił pan mój wygląd. Wiem, że Tootsie jest ode mnie ładniejsza, choć to przebrany Dustin Hoffman.

— A więc lubi pani Dustina Hoffmana, a nie lubi francuskich policjantów — stwierdził z przekąsem Festiger. Zauważył, że zaakcentowała słowo „męski”, które w jej ustach zabrzmiało jak Obcy — ósmy pasażer Nostromo.

— Hoffman jest Żydem — ucięła pani Baum. — Proszę, niech pan siada. Słucham.

Festiger rozsiadł się w fotelu po drugiej stronie biurka, wyjął z kieszeni marynarki wizytówkę i położył na biurku. Pani Baum ledwo na nią spojrzała, jakby chciała powiedzieć: „Nie zamierzam tracić czasu dla kogoś takiego jak ty”.

— Wczoraj w hotelu przy rue St-Lazare znaleziono ciało starszego mężczyzny, w wieku około dziewięćdziesięciu lat — zaczął Festiger. — Miał dwa paszporty, jeden izraelski, drugi jednego z państw europejskich. Sprawdziliśmy, że ten drugi paszport jest znakomicie podrobiony.

— Chce pan powiedzieć, że denat był obywatelem izraelskim, który sfalszował paszport?

— Niczego takiego nie powiedziałem. Człowiek, którego zamordowano, nazywał się, według izraelskiego paszportu, Leopold Trepper — ciągnął komisarz. — Chciałbym, żebyście sprawdzili, czy ten człowiek był obywatelem waszego kraju.

Przez nieruchomą twarz pani Baum przemknął dziwny grymas.

Festiger wyjął z kieszeni zeskanowany paszport i położył go obok wizytówki.

— Wyślemy to do MSZ w Tel Awiwie — powiedziała pani Baum sucho. — Rozumiem, że zależy wam na czasie. Czy mogę zrobić dla pana coś jeszcze? — zapytała uprzejmie, choć zabrzmiało to nieco sztucznie.

Co za zmiana tonu, pomyślał komisarz.

— W zasadzie tak... — zawahał się. — Wczoraj wieczorem przeprowadzono sekcję zwłok. Denat miał raka płuc z przerzutami. Czy mogłaby pani sprawdzić, czy nie leczył się, posługując się nazwiskiem Trepper, w którymś z izraelskich szpitali?

— Oczywiście, dziś jeszcze napiszę do odpowiednich służb.

— Doskonale.

— Ja również mam do pana prośbę, komisarzu. Nie wiemy jeszcze, czy człowiek, którego zamordowano, był rzeczywiście naszym obywatelem. Jeśli tak, być może jego rodzina zażąda wydania ciała, lub, jeśli rodzina jest ortodoksyjna, zażąda od nas zapewnienia, że zgodę na sekcję zwłok wydał rabin Paryża... Co mam im powiedzieć?

— Morderstwa dokonano we Francji — odpowiedział komisarz, kładąc nacisk na słowo „Francja” — dlatego będziemy stosowali przepisy prawa francuskiego. Właśnie to może im pani powiedzieć. Czytałem dziś rano raport patologa, z którego nie wynikało, że zmarły był obrzezany. Wnioskuje więc, że nie należał do ortodoksyjnej rodziny.

Pani Baum wstała, uznając spotkanie za zakończone.

Podali sobie ręce. Festiger, wychodząc, miał jednak wrażenie, że trop z paszportem izraelskim jest bardzo ważny. Pomyślał, że ta Baum musiała już kiedyś słyszeć nazwisko Trepper.

Zadzwoiła komórka komisarza. Na ekraniku ukazał się napis ZIDANE, bo pod takim przezwiskiem Al-Douri znany był w policyjnym świecie.

— Cześć, Joseph, co się stało?

— Recepcjonistka zniknęła.

— Co?!

— Agnes pojechała do niej do domu, żeby przywieźć ją do komisariatu, ale jej nie zastała. Sąsiedzi powiedzieli, że wyszła z plecakiem. Oddała im klucze, prosząc, żeby podlewali kwiatki.



Dwudziestodwuletnia Melisa le Beouff nie miała szczęścia do facetów. Jej koleżanki już w szkole średniej chodziły z chłopakami, a ona, chociaż mogła się podobać, nigdy nie miała okazji poznać księcia z bajki. Jej problem polegał na tym, że szukała ideału. No i w końcu znalazła.

Nie był Francuzem. Ta okoliczność oczywiście nikogo już nie dziwiła, może tylko jednego z sąsiadów dziewczyny, który głosował na Front Narodowy LePena i patrzył podejrzliwie na wszystkich, którzy nie byli dostatecznie francuscy albo nie mieli wystarczająco białej skóry. Melisa miała to gdzieś.

Nazywał się Allonso Escobar i pochodził z Kolumbii. Poznali się na dyskotecce i już pierwszej nocy poszli do łóżka. Melisa przedtem sypiała z facetami, ale dopiero ta noc uświadomiła jej potęgę tej najbardziej intymnej sfery życia. Zostali parą. Nie przeszkadzało jej również to, że jej ukochany nie mówił najlepiej po francusku. Ona znała dość dobrze hiszpański dzięki ojcu, hiszpańskiemu kierowcy, z którym przez dziesięć lat żyła jej matka.

Ostatnie dni ją wykończyły. Była na krawędzi załamania nerwowego. Do tego jeszcze policja w hotelu... Tak długo ją wypytywali. Udawała przerażoną najlepiej, jak umiała. Kazali jej przyjechać do komisariatu i złożyć dodatkowe zeznania. Bała się. Nie mogła w nocy spać. Allonso nie dzwonił, co

doprowadzało ją do rozpacz. Była pewna, że wyjechał i ją zostawił. Dopiero rano zorientowała się, że wyłączyła komórkę. Kiedy rano weszła do menu połączeń przekonała się, że poczta głosowa jest zapchana wiadomościami, które wczoraj wieczorem i w nocy wysyłał Allonso. Musiał dzwonić kilkanaście razy, pomyślała. Szybko wybrała jego numer. Po chwili usłyszała jego głos.

— Co się z tobą działo? — wykrzyknął. — Dzwoniłem ze dwadzieścia razy albo więcej.

— Przepraszam cię, kochanie, miałam wczoraj ciężki dzień. Wezwałam policję, dokładnie tak jak ustaliliśmy.

— Długo siedzieli?

— Kilka godzin. Masz już pieniądze?

— Dziś zadzwonię do tego gościa. Jestem pewny, że nas nie wykiwa. Wszystko będzie dobrze — uspokajał ją.

— Wiesz, jak bardzo potrzebujemy tej forsy... Tak się boję — mówiła gorączkowo Melisa. — Kazali mi przyjść dzisiaj do komisariatu...

— Nie złożyłaś wczoraj zeznań?

— Złożyłam, ale chcę jeszcze o coś zapytać. Te gliny są takie upierdliwe. Kazali mi dokładnie opisać, jak znalazłam starego, jak wyglądał, czy zauważyłam coś podejrzanego... Prosilili, żebym sobie przypomniała, czy jakieś osoby wchodziły tego dnia do hotelu i takie tam... Boję się, że w końcu coś popieprzę!

— Kotku, uspokój się, zaraz zadzwonię do tego faceta. Spotkajmy się, powiedzmy, za trzy godziny, koło Centrum Pompidou. Umówię się z nim i jeszcze dzisiaj odbierzemy nasze pieniążki...

— Kocham cię, Allonso.

— Ja cię też kocham.

Rozłączył się. Melisa nie była jednak pewna, czy w ciągu tych trzech godzin nie przyjdzie po nią ta psycholog... chyba Agnes, o ile dobrze zapamiętała. Nie lubiła psychologów, uważała, że są wścibscy i zadufani w sobie. Z doświadczenia

wiedziała, że kobiety psychologowie są gorsze od facetów. Kilka razy stykała się z nimi w ośrodkach opiekuńczo-wychowawczych. Pamiętała długie seanse, na jakie musiała chodzić jako dziecko należące do tak zwanej trudnej młodzieży. Jej matka była alkoholiczką, ojciec odszedł, kiedy miała dziesięć lat. Wcześniej zaczęła palić trawkę, miała nawet skrobankę, na którą musiała się zapożyczyć. Od tamtego czasu unikała kobiet psychologów jak ognia.

Kiedy poznała Allonsa, od razu wiedziała, że to facet dla niej. To on powiedział jej, że można zarabiać dużo i szybko. Mówił, że forsa po prostu leży na ulicy, trzeba tylko umieć ją zauważyć i podnieść. Zmieniła otoczenie, wyprowadziła się z podłej dzielnicy pod Paryżem, gdzie się wychowała, wynajęli mieszkanie w dzielnicy Malakoff w południowej części miasta. Allonso miał regularne dochody. Mówił, że pracuje jako wykidajło w kilku nocnych klubach. Wierzyła mu, nigdy tego nie sprawdziła. Wydawało jej się, że złapała wreszcie wiatr w żagle. Znalazła pracę recepcjonistki w hoteliku firmy Silvain, która wydała jej się szczytem marzeń. Pierwsze stałe zatrudnienie.

A teraz musieli uciekać. Spakowała do plecaka trochę ubrań, kartę kredytową i paszport. Klucze zostawiła sąsiadom. Miała zamiar przeczekać te trzy godziny, jakie pozostały jej do spotkania z chłopakiem, kręcąc się po sklepach.



Zniknięcie Melisy le Beouff było tym dziwniejsze, że nie postawiono jej żadnych zarzutów. Festiger cały czas zastanawiał się, czy morderca był mieszkańcem hotelu. Żaden inny scenariusz nie wydawał się na razie bardziej prawdopodobny, a nagłe zniknięcie Melisy nie uczyniło go wiarygodniejszym. Agnes Duby stwierdziła, że Melisa jest osobą nieźrównoważoną emocjonalnie. Komisarz odnosił wrażenie, że dziewczyna wie o zabójstwie więcej, niż powiedziała policji. Al-Douri, który

przesłuchał dwoje pozostałych pracowników hotelu, dowiedział się, że nie cieszyła się najlepszą opinią. Spóźniała się do pracy, przez co chłopak i dziewczyna z Polski musieli zostawać dłużej. Melisa była im winna pieniądze i nieoczekiwanie poprosiła dziewczynę, dwudziestoczteroletnią Monikę Kwiatkowską, o odstąpienie jej nocy z ósmego na dziewiątego czerwca. Ponieważ Melisa miała odpracować zaległe godziny, jej propozycja nie wzbudzała zastrzeżeń, jednak Polka mówiła, że było co najmniej dziwne, iż Melisa poprosiła ją, żeby nie wpisywała zmian w dyżurach do grafiku, jakby nie chciała, żeby dowiedział się o tym szef.

Ten mało znaczący szczegół był jednak podstawą do wszczęcia poszukiwań Melisy le Beouff. Festiger zadzwonił do sędziego Fauchaux, prosząc o wydanie nakazu przeszukania jej mieszkania. Pojechał tam Al-Douri z kilkoma policjantami, a Festiger w tym czasie miał zamiar zapoznać się z raportem z oględzin miejsca zbrodni i przeanalizować listę przedmiotów, jakie znaleziono przy zwłokach.

Wśród różnych nieistotnych drobiazgów był list napisany po francusku, lecz na kopercie widniał stempel ze Stanów Zjednoczonych z datą 17 maja 1998 roku — Silverspring, Arizona. Adresatem był Jean Gilbert, avenue du Jean Cauvin 18, 35160 Genewa, Szwajcaria.

Dziwne. Czyżby zamordowany miał trzecią tożsamość? A może ten list należał do kogoś innego? Jednak po zapoznaniu się z jego treścią Festiger nie miał wątpliwości, że chodzi o tego samego człowieka.

***Drogi Jean!***

***Nie wiem, jak mnie znalazłeś, minęło przecież ponad pięćdziesiąt lat. Czy mogę i czy powinnam nazywać Cię nadal tak, jak myślałam o Tobie przez pół wieku? Kiedy odezwałeś się po tylu latach, myślałam, że to sen, że niemożliwe, abyś to był Ty.***

***Po wojnie wyszłam za wspaniałego człowieka. Urodziłam mu trójkę dzieci, patrzyłam, jak dorastają, jak kończą studia, a potem***



*same mają dzieci. Czy uwierzysz, że jestem babcią sześciu wnuków? Teraz, po latach, myślę, że to, co nas łączyło w czasie wojny, było wielką miłością na miarę tamtego czasu. Wiesz dobrze, że przy Tobie nigdy nie zaznałabym takiego szczęścia i spokoju jak przy moim mężu. Nigdy nie zapomniałam bólu i strachu w dniu, w którym zniknąłeś. Byłam pewna, że nie żyjesz. Wierzyłam w to przez pół wieku. Nie wiem, jak mnie znalazłeś, ale, na ile Cię znam, nie było to dla Ciebie zbyt trudne.*

*Myślałam, że wtedy mnie zostawiłeś. Byłam pewna, że mógłbyś być zdolny do takiego zakończenia naszej miłości. Kiedy dostałam Twój list, czy uwierzysz, że nie mogłam go otworzyć przez wiele dni? Nie przypuszczałam, że przeżyłeś wojnę. Zdecydowałam się otworzyć go dopiero wtedy, gdy uznałam, że należy przegnać stare demony i sprawić, aby już nigdy nie zakłóciły mi snu.*

*Mój drogi, nie wiesz nawet, jak było mi przykro, kiedy przeczytałam, że jesteś chory na raka. Uznałam, że nie mogę odmówić Ci spotkania. Napisałeś, że chcesz się spotkać w miejscu, w którym mieszkałeś w Paryżu w czasie wojny. Ponieważ mój mąż, James, nie żyje od sześciu lat i mieszkam teraz z córką i jej rodziną (mam też dwóch synów — jeden pracuje w Massachusetts Institute of Technology, obronił niedawno doktorat, a drugi, młodszy, jest oficerem piechoty morskiej), dlatego pozwól, że na wycieczkę do Paryża zabiorę wnuczkę, która nigdy nie była w Europie. Chciałabym jej pokazać kraj i miasto, gdzie się urodziłam, dorastałam i gdzie przed laty spotkałam... Ciebie. Chciałabym, żebyś ją poznał. To wspomniała dziewczyna. Studiuje dziennikarstwo na uniwersytecie stanowym w Arizonie i marzy, żeby zobaczyć Paryż. Jest bardzo podobna do mnie sprzed pięćdziesięciu kilku lat.*

*Drogi mój, nigdy mnie nie interesowało, jak się naprawdę nazywasz. Dla mnie zawsze byłeś Jeanem Gilbertem, moim księciem z bajki, dlatego byłam mile zaskoczona, że nadal używasz tego nazwiska. Twoje prawdziwe imię i nazwisko, Leopold Trepper, zupełnie do Ciebie nie pasuje. Nie mogłabym się do niego przyzwyczaić.*

*Jest cos, o czym muszę Ci powiedzieć... To bardzo bolesne...  
Mam już rezerwację na lot z Nowego Jorku do Paryża na 6 czerwca.  
Zatrzymam się w Continentalu, tam, gdzie się spotykaliśmy.  
Boże, jak ja Cię wtedy kochałam...  
Twoja S.*

## ROZDZIAŁ 6

### Zapłata

Spotkali się przed stacją metra.

— Kochanie, będziemy bogaci! — mówił gorączkowo Escobar. — Pomyśl, jak nas to ustawi. Za pięćdziesiąt kawałków możemy otworzyć biznes i normalnie żyć. I, kurwa, nie mam żadnych skrupułów. Zawsze żyłem w cieniu ludzi, którym się powodziło. Teraz mam szansę... Mamy szansę — poprawił się.

— Ale czy ten facet nie wystawi nas do wiatru? — dopytywała się Melisa.

— Kochanie, posłuchaj — Allonso położył dłonie na jej ramionach — przecież zapłacił nam już pięć tysięcy zielonych zaliczki, prawda? Myślę, że pięćdziesiąt tysięcy dolców to naprawdę dużo. Kasy będziemy mieli potąd. — Escobar machnął ręką nad głową.

— Wiem, ale trochę się boję.

— Powiedz, czy kiedykolwiek było cię stać na dobry ciuch od Chanel? Kupisz sobie takie ciuchy. Te pięćdziesiąt tysięcy to dopiero początek — tłumaczył, gładząc ją po policzku.

— Kocham cię, skarbie — szepnęła Melisa rozpromieniona. Pocałowali się. Przekomarzali się jeszcze przez chwilę, po czym ruszyli na poszukiwanie budki telefonicznej.

Bulwarem Exelmans szedł wysoki mężczyzna w eleganckim letnim, kremowym garniturze. Miał ciemne okulary oraz zabaw-

ny słomkowy kapelusz, jak gdyby chciał ukryć szeroką szramę przecinającą jego prawy policzek. Śledził Escobara od kilku dni. Wiedział, że Kolumbijczyk najprawdopodobniej wykonał zadanie, bo ósmego czerwca w nocy widział ze swojego czarnego passata, jak wszedł do hotelu przy rue St-Lazare. Idąc w stronę stacji, zastanawiał się, czy zabić tylko jego, czy oboje.



Festiger kilkakrotnie przeczytał list, zapisując spostrzeżenia w notatniku. Inni koledzy z wydziału zabójstw używali laptopów, ale nie lubił zmieniać przyzwyczajzeń.

Zastanawiał się, jaki związek list Pani S. (jak ją nazwał) może mieć z zabójstwem w hotelu. Wszystko wyglądało na jakiś przedziwny zbieg okoliczności: mężczyzna odnajduje po pięćdziesięciu latach kobietę, z którą był związany podczas wojny. Dlaczego w takim razie ją odszukał, skoro tak długo nic ich nie łączyło?

Drugą wątpliwość budził czas: druga wojna światowa. Mój Boże, myślał komisarz, kogo to dzisiaj obchodzi? Pięćdziesiąt kilka lat to szmat czasu... Jak bardzo ten stary schorowany człowiek musiał być zdeterminowany, żeby po tylu latach odnaleźć dawną kochankę (z listu nie wynikało przecież, że byli małżeństwem), a także nakłonić ją do przyjazdu do Paryża? Szkoda, że nie miał komórki. Nie znaleziono jej ani przy nim, ani w pokoju. Analiza połączeń i spis numerów z pewnością wiele mogłyby powiedzieć, a tak można było tylko snuć domysły.

Festiger podsumował fakty: zmarły posługiwał się fałszywym szwedzkim paszportem, miał również drugi paszport, izraelski. Był nadziany. Przyjechał do Paryża, by spotkać się z kochanką, której nie widział od czasów zakończenia drugiej wojny światowej, posługiwał się jeszcze trzecim nazwiskiem, prawdopodobnie mieszkał w Szwajcarii i zginął straszną śmiercią.

A list Amerykanki był jedynym wyraźniejszym tropem, którym można było podążać.



Escobar zszedł na peron. Melisa stwierdziła natomiast, że jest głodna. Zauważyła na stacji metra w galerii kilka tureckich knajp, gdzie można było zjeść pikantną sałatkę z krewetkami lub kebab. Postanowili, że zaczeka w knajpie, a on załatwi sprawę pieniędzy. Po lewej stronie znajdowały się ruchome schody, a po prawej małe sklepiki z prasą i pamiątkami oraz budka telefoniczna.

Wyjął z kieszeni garść monet, wybrał kilka pięciofrankówek i zaczął wrzucać je do aparatu. Wybrał dziewięciocyfrowy numer telefonu komórkowego. Znał go na pamięć.

— Słucham — odezwał się męski głos.

Escobar pomyślał, że jego rozmówca nie może być Francuzem, ponieważ miał twardy i gardłowy akcent.

— To ja, Escobar.

— Zadanie wykonane?

— Tak. — Kolumbijczyk mówił cicho, mocno przyciskając słuchawkę do ucha. — Kiedy dostanę forszę?

— Tak bardzo ci się spieszy?

— Słuchaj pan — parsknął nerwowo chłopak — odwaliłem robotę i chciałbym dostać, co mi się należy. Za uczciwą pracę można wymagać uczciwej zapłaty, no nie?

— No, no, Escobar, aleś się zrobił nerwowy. Uważasz, że to uczciwe zajęcie?

— Kiedy dostanę forszę? — nalegał chłopak, jakby nie usłyszał pytania. — Chciałbym puścić trochę kasy z moją dziewczyną.

— W porządku, nie denerwuj się. Dostaniesz swoje pieniądze. Może jednak podyskutujemy ile?

Wiedziałem, że tak będzie, pomyślał Escobar. Uderzył pięścią w aparat. Zapaliło się czerwone światelko. Za niecałe trzydzieści

sekund w słuchawce rozlegnie się głos mówiący: „Wrzuć więcej monet”. Wyjął resztę drobniaków i zaczął wrzucać bilon iak popadnie.

— Halo, jesteś tam? — zapytał rozmówca.

— Tak... tak. Kiedy mogę odebrać forszę?

— Powtarzam pytanie, czy nie byłbyś skłonny rozważyć raz jeszcze ceny?

— Nie. Tak jak ustaliliśmy, pięćdziesiąt kawałków. To moje ostatnie słowo.

— W porządku. Pieniądze będą schowane w skrytce sto jeden na Gare du Nord. Skrytka jest na twoje nazwisko. Kluczyk przekażę ci w galerii handlowej na stacji metra Mairie dTsy Czy możesz tam przyjechać, powiedzmy, za godzinę?

— Jasne.

— W takim razie za godzinę. Będę czekał w ormiańskiej herbaciarni. Wiesz, jak wyglądam - zakończył mężczyzna

Escobar odetchnął z ulgą.

Nie miał pojęcia, dlaczego właśnie on został wybrany do tej roboty, ale to nie było ważne. Ważne, że będzie kasa. Przypomniał sobie, jak w dyskotecce jego kumpel, Raoul Jimenez handlarz narkotyków, powiedział, że zna gościa, który dobrze zapłaci za małą mokrą robótkę. Escobar, który był już podpity a wcześniej wypalił z Jimenezem działkę haszu, nieopatrznie powiedział, że się zgadza. Kumpel kilka razy pytał, czy wie, na co się porywa. Escobar niezmiennie odpowiadał, że tak

Następnego dnia zatelefonował ktoś, kto przedstawił się jako poszkodowany przez pewnego chciwego starucha. Powiedział że zapłaci pięćdziesiąt tysięcy dolarów za jego sprzątnięcie. Było to siódmego czerwca. Umówili się, że zleceniodawca zadzwoni tego dnia po południu, kiedy upewni się, gdzie ofiara się zatrzymała. Okazało się, że facet wybrał mały hotelik firmy Silvain, w którym pracowała Melisa. Wieczorem Escobar spotkał się z blondynem z blizną po raz pierwszy. Dostał od niego dużą szarą kopertę, w której oprócz najprawdziwszych pięciu tysięcy dolarów amerykańskich znajdowała się spluwa — sześć-

ciostrzałowy smith & wesson kalibru 9 mm z tłumikiem, a do tego cztery teflonowe kule. Człowiek z blizną powiedział mu, że po wykonaniu zadania rewolwer powinien wylądować na dnie Sekwany.

Escobar jednak bardzo przeżywał, że ma zabić człowieka. Stłuc, skopać, proszę bardzo, ale morderstwo... Decyzję pomogła mu podjąć Melisa. Argumentowała, że nawet gdyby oboje harowali po dwadzieścia godzin na dobę, nigdy nie będą mieli takiego startu w życiu, jakie zapewni im pięćdziesiąt tysięcy baksów.

— Przecież ten stary ramol na pewno niedługo kopnie w kalendarz — tłumaczyła. — Ty mu tylko pomożesz. To się, kurwa, nazywa akt miłosierdzia, no nie?

Umówili się, że Melisa weźmie dyżur za koleżankę i wystawi mu faceta.

★

Escobar postanowił, że kluczyk do skrytki odbierze sam, a potem wróci metrem do Melisy. Nie chciał tracić czasu i za resztę bilonu zatelefonował na jej komórkę, ponieważ nie chciało mu się wracać po schodach na galerię, do knajpki. Wytłumaczył, jaka jest sytuacja i zapewnił, że wróci za półtorej godziny. Poza tym lepiej, żeby człowiek z bliznanej nie widział.

— Kocham cię, kotku — powiedział na zakończenie. Pomachał jej jeszcze z daleka i ruszył w stronę peronu. Był

pewny, że właśnie ten dzień będzie najbardziej sensowny ze wszystkich, jakie przeżył.

Escobar był już na peronie, kiedy na ruchomych schodach jadących w dół pojawił się mężczyzna w słomkowym kapeluszu. Idealnie wtopił się w różnokolorowy tłum. Trwała właśnie popołudniowa godzina szczytu. Pociągi przyjeżdżały i odjeżdżały co dwie minuty. Człowiek w kapeluszu zaczął powoli przesuwać się w stronę chłopaka.

Melisa, która właśnie kończyła jeść, spojrzała tam, gdzie

spodziewała się zobaczyć Allonsa. Mignął jej przez moment ale natychmiast zasłonił go jakiś gość w kapeluszu. Pomyślała zirytowana: że też musi sterczeć akurat w tym miejscu'

Tymczasem mężczyzna włożył rękę do kieszeni marynarki a z tunelu dobiegł łoskot nadjeżdżającego pociągu. Tłum drgnął! Gdy stalowe cielsko pociągu zatrzymało się, bezszelestnie otworzyły się drzwi i ludzie zaczęli wysiadać i wsiadać, Escobar oraz stojący za nim mężczyzna zaczęli przesuwać się w stronę wejścia.

Melisa spojrzała wtedy na Allonsa Escobara po raz ostatni. Chciała mu pomachać, ale jej nie widział. Odwróciła się więc i zainteresowała jakimś czasopiśmie leżącym na stoliku obok

Mężczyzna w kapeluszu i Allonso znajdowali się pół metra przed drzwiami wagonu. Za chwilę mieli do niego wsiąść. Nagle mężczyzna wyciągnął rękę z kieszeni i zrobił nieznaczny ruch. Chłopak poczuł w boku parzący ból. Osunął się na kolana a po sekundzie upadł twarzą na płyty peronu. Mężczyzna wsiadł spokojnie do wagonu. Wszystko trwało około dziesięciu sekund. Rozległ się sygnał, drzwi się zasunęły, pociąg ruszył

Escobara otoczyli ludzie. Jakiś człowiek uklęknął nad nim przewrócił go na wznak, sprawdził puls na szyi, po czym spojrzawszy na nachylone nad nim twarze, powiedział:

— Nie żyje. Niech ktoś wezwie policję.

\*

Festiger siedział przy biurku w komisariacie, gdy zadzwoniła komórka. Al-Douri.

— Yves, mamy robotę. Stacja metra Exelmans. Trup na peronie. Nie zgadniesz, kto nad nim rozpaczał... — Al-Douri zawiesił dramatycznie głos. — Melisa le Beouff!

— O cholera... Gdzie jesteś?

— Wracam ze szwedzkiej ambasady. Zadzwonili do mnie zebrali informacje o człowieku ze szwedzkiego paszportu.

— Przecież paszport był fałszywy.



— Tak, ale nazwisko nie. Należało do rosyjskiego szpiega, który pracował w Szwecji w latach sześćdziesiątych. Interesujące, nie?

— Coraz ciekawsza jest ta sprawa. Dobrze, za dwadzieścia minut na Exelmans.

★

Melisy nie można było oderwać od ciała. Wyła, wczepiona kurczowo w koszulę Allonsa. Festiger poprosił Agnès Duby, żeby się nią zajęła i przygotowała do składania zeznań. Teraz już miał pewność, że dziewczyna była zamieszana w zabójstwo w hotelu.

Ludzie, którzy stali obok Escobara twierdzili, że chwilę przed tym, nim chłopak upadł, znalazł się obok niego postawny mężczyzna w słomkowym kapeluszu. Jedna z kobiet zauważyła, jak wyjął coś z kieszeni, po czym młody człowiek osunął się na ziemię.

— Myślę, że mamy dwa trupy, które są jakoś powiązane — stwierdził Festiger.

— Przynajmniej wrzucimy coś do gardła sędziemu Fau-chaux — ucieszył się Al-Douri.

★

Festiger wpatrywał się przez weneckie lustro w twarz dziewczyny, która siedziała sama w pokoju przesłuchań. Obok niego stała Agnès.

— Czy ona mogła zamordować człowieka? — zastanawiał się komisarz.

— To źle postawione pytanie.

— To znaczy?

— Każdy człowiek w ekstremalnej sytuacji jest zdolny do popełniania czynów, które określilibyśmy jako okrutne. Ona zapewne nie była w jakimś szczególnie trudnym położeniu,

pochodzi natomiast z rozbitej patologicznej rodziny, więc pewnie nie ma poczucia odpowiedzialności i nie potrafi odróżnić dobra od zła. Rozmawiałam z jej matką, bezrobotną alko-holiczką.

— I czego się dowiedziałaś?

— Właśnie tego, że miała ciężkie życie. Na szczęście nie była karana. To zapewne zostanie uznane za okoliczność łagodzącą.

Komisarz zgasił papierosa i poszedł po Al-Douriego, żeby towarzyszył mu podczas przesłuchania.

★

Melisa siedziała ze wzrokiem wbitym w stół, kiwając się w przód i w tył. Kiedy weszli, nerwowo ukryła dłonie w rękawach swetra, lecz po chwili je wyjęła i zaczęła obgryzać paznokcie, co i raz pociągając nosem. Policjanci usiedli przy drugim końcu stołu.

Teraz wygląda brzydko, pomyślał Festiger. Włosy związane w kucyk w sinym świetle jarzeniówek lśniły tłustawym połyskiem, jej twarz była czerwona i opuchnięta.

Nawet nie spojrzała na policjantów. Festiger położył na stole paczkę cameli.

— Mogę? — zapytała, wyciągając rękę. Festiger milczał.

Po chwili dodała:

— Proszę...

Komisarz pchnął paczkę w jej stronę. Al-Douri wyjął z kieszeni marynarki zapalniczkę i zrobił to samo. Melisa zapaliła papierosa i zaciągnęła się tak łapczywie, że Al-Douri miał przez chwilę wrażenie, że dym rozerwie jej płuca. Zakrztusiła się i zaczęła kaszleć, ale nie przerwała palenia. Drżały jej ręce. Nie próbowała tego ukryć.

— Na początek chcielibyśmy poinformować panią, jak wygląda pani sytuacja — zaczął Festiger oficjalnym tonem. —

Zanim oddam głos koledze, musi pani wiedzieć, że jest pani podejrzana o współudział w zabójstwie mężczyzny z hotelu, w którym pani pracowała. Oskarżymy panią również o złożenie fałszywych zeznań oraz o próbę ucieczki.

— Oczywiście — włączył się Al-Douri — wszystko zależy od pani gotowości do udzielenia pomocy policji. Była pani związana z Allonsem Escobarem, tak?

— No i co z tego? Powiedzieliście, że oskarżycie mnie o składanie fałszywych zeznań. Udowodnij mi, glino, że kłamałam — warknęła.

— Bardzo proszę — powiedział spokojnie Al-Douri. — W zeznaniach, jakie złożyła pani dziesiątego czerwca, stwierdziła pani między innymi, że pracowała siódmego czerwca oraz w dniu, kiedy znalazła pani ciało tego starego człowieka, czyli właśnie wczoraj, dziesiątego czerwca, czy tak?

— Skoro tak macie napisane, to musiałam tak powiedzieć.

— Nadal utrzymuje pani, że miała pani dyżury tylko w te dwa dni, siódmego i dziesiątego? — zapytał dla pewności Festiger.

— No...

— Masz nas, kurwa, za idiotów?! — Festiger wstał z krzesła i oparł ręce o blat stołu. — Właśnie strzeliłaś sobie samobójczą bramkę, podtrzymując fałszywe zeznania. Zidane, wytłumacz jej, w którym miejscu mija się z prawdą.

— Chciałaś dodatkowy dyżur. Rozmawialiśmy z twoją koleżanką. Co ciekawe, poprosiłaś ją również, żeby nie odnotowywała tego w grafiku. Monika zeznała także, że winna jej byłaś kilkanaście tysięcy franków i zrozumiała, że chcesz wziąć dyżur, żeby odpracować te pieniądze. Wykorzystałaś więc sytuację, żeby wpuścić mordercę do hotelu.

Dziewczyna energicznie zgasiła papierosa.

— Gówno prawda... nie macie prawa mnie tu trzymać — warknęła.

Festiger wyjął z teczki plik fotografii. Przedstawiłały młodego mężczyznę z małym plecakiem, stojącego przed hotelem. Zdję-

cia zrobiła kamera z policyjnego systemu zabezpieczenia miasta umieszczona na budynku synagogi, stojącej po drugiej stronie ulicy.

Chłopak zachowywał się, jakby na kogoś czekał albo jakby sprawdzał, czy na ulicy jest pusto. Jego twarz była bardzo dobrze widoczna. Inne zdjęcia przedstawiały dziewczynę, która wyszła z hotelu, na kolejnych para się obejmowała. Razem weszli do środka. W prawym dolnym rogu każdego zdjęcia widniała data i godzina.

Festiger wiedział, że to wystarczyłoby do zamknięcia Melisy. Zamierzał jednak wykorzystać to, że dziewczyna jest na skraju załamania, i wyciągnąć z niej jak najwięcej.

— Czy chcesz mi powiedzieć, że twój chłopak przyszedł do ciebie do pracy i bzykaliście się przy piosenkach Enrique Iglesiasa? — Festiger podniósł głos. — Pójdiesz siedzieć, smarkulo! Za odmowę składania zeznań i za kłamstwa postaram się, żeby cię zamknęli w więzieniu kobiecym o zaostrozonym rygorze, słyszysz?!

— Słyszę...

— Twoją jedyną szansą jestem ja i podkomisarz Al-Douri... Rozumiemy się?!

Melisa ukryła twarz w dłoniach.

— Kilka dni przed śmiercią tego starucha — zaczęła cicho — Allonso powiedział mi, że dostał zlecenie od kolegi. Za dużą kasę...

— Nazwisko tego kolegi, szybko — przerwał jej Al-Douri.

— Nie wiem, kurwa, naprawdę nie wiem, jak się nazywał. Spotykali się w klubie Étoile.

— To w dzielnicy Ivry — powiedział do Festigera Algierczyk. — Chłopaki z wydziału narkotykowego mówili mi, że zamykają tam zawsze kilkoro dzieciaków za posiadanie i sprzedawanie.

— No to ładnych przyjaciół miał twój chłopak — mruknął komisarz. — Dalej.

— Ten kumpel... dał mu kontakt do jakiegoś człowieka,

który zaproponował mu pięćdziesiąt tysięcy dolców za sprzątnięcie starucha. Tamten gość powiedział Allonsowi, że ten człowiek zatrzymał się w hotelu, gdzie pracowałam...

— Chcesz nam wmówić, że to był przypadek? — zapytał Festiger.

— Ale to był przypadek!!! — krzyknęła Melisa. — Bo niby skąd miałabym, kurwa, wiedzieć, że on się tam zatrzyma?

Otarła rękawem łzy i wpatrzyła się w jakiś punkt na ścianie.

— Chcę zapalić — powiedziała po chwili. Festiger znów podał jej papierosy i zapalki.

— Kim był ten facet? — zapytał

— Nie wiem... Allonso dzisiaj dzwonił do niego... na komórkę z budki.

— Trzeba zamówić billing z tego aparatu — powiedział Festiger do Al-Douriego.

— Tamten facet umówił się z Allonsem gdzieś na mieście, żeby dać mu kluczyk do skrytki, gdzie miały czekać pieniądze... — dodała Melisa.

— Widzisz teraz, jacy obydwójce byliście głupi?! — wrzasnął Al-Douri, a dziewczyna aż podskoczyła. — To był zawodowiec, który nie chcąc upaprać sobie rąk, posłużył się wami, głupimi, napalonymi na forsy szczeniakami! Przyjmij do wiadomości, dziewczyno, że od początku nie było żadnej forsy, to był blef, żeby was podejść!

— Przecież dał nam zaliczkę... pięć tysięcy... — łkała Melisa.

— Jeśli założymy, że to zabójstwo było egzekucją, to wynajętemu mordercy musiało się opłacać zatrudnić was za te nędzne kilka kawałków. Miałaś wyjątkowe szczęście, idiotko, że jeszcze żyjesz! Gdyby zobaczył was razem, zabiłby i ciebie! — powiedział zirytowany Festiger.

— Dlatego powiedz nam wszystko, co wiesz o tym facecie. Jeśli nam pomożesz, to my pomożemy tobie — wyjaśnił Al-Douri nieco łagodniej.

— Jeszcze jedno... — wyszeptała Melisa.

— Zamieniamy się w słuch — powiedział komisarz.

— Allonso nazwał tego faceta od pieniędzy „człowiekiem z blizną”. Na twarzy miał tę bliznę...

— To już coś — westchnął Festiger. — Na dzisiaj koniec. Aha, jeszcze jedno. — Wyprostował się i przybrał oficjalny ton. — Meliso le Beouff, czy przyznajesz się do współudziału w zamordowaniu dnia ósmego czerwca tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego ósmego roku obywatela Izraela, Leopolda Treppera?

Dziewczyna milczała. Wiedziała, co to oznacza.

— Czy mam, kurwa, przedstawić to pytanie na piśmie?! — wrzasnął Festiger.

— Jeśli się przyznasz, dostaniesz mniejszą odsiadkę — zaznaczył Al-Douri.

Po chwili padło najważniejsze zdanie wieczoru:

— Tak, przyznaję się...

★

Po przesłuchaniu Melisy umówili się, że zjedzą kolację na mieście. Trwały przecież mistrzostwa. Tego wieczoru nie zanosilo się na żadną sensację, ale był ciekawy mecz Kamerun—Austria. Postanowili obejrzeć go w jakiejś arabskiej knajpce. Od kiedy Festiger poznał Al-Douriego, polubił orientalne jedzenie, a najbardziej pikantne sosy, które kucharze dodawali do baraniny i ryżu.

Podczas meczu Festiger zauważył, że Al-Douri dzwonił gdzieś z komórki. Siedząc obok kolegi, słyszał świszczący astmatyczny głos starego mężczyzny, mówiącego po arabsku.

— To ktoś z rodziny — wyjaśnił potem Al-Douri, jakby nieco zmieszany i niespokojny. — Musiałem zadzwonić.

— W porządku. — Komisarz uśmiechnął się i wrzucił ramionami.

## ROZDZIAŁ 7

### Wdowa

Marie Pregnac wpadła w depresję. Wysłała synów do swojego brata do Bretanii. Nie chciała, żeby widzieli, co się z nią dzieje. Koleżanki namawiały ją, żeby pojechała odpocząć do jakiegoś kurortu. Kogoś spotkasz i zapomnisz szybko o tym całym Gilbertcie, mówiły. Mężczyźni też przecież szukają przygód. Ale ona doskonale wiedziała, czego jej trzeba.

Znała rozkład dnia Gilberta. Wiedziała, o której wychodzi, o której wraca. Zauważyła, że tylko we środy i piątki przychodzi z miasta później, koło pierwszej lub drugiej w nocy. Wiedziała już nawet, co to za woda toaletowa pachnie tak dziwnie, bo dwa dni temu, po wyjeździe synów, sprawdziła zawartość jego kubła na śmieci. Bała się, że dostaje obsesji.

Wieczorami, kiedy wiedziała, że Gilbert jest u siebie, czuła, że piersi twardnieją jej pod sukienką. Była przerażona. Moja droga, mówiła do siebie, nie jesteś przecież smarkulą! Opanuj się! Ale podczas kąpieli, na myśl o mężczyźnie, którego tak pożądała, mdlała z podniecenia, kilka razy musiała pomóc sobie palcami. Potem się tego wstydziła i biegła do spowiedzi. Ksiądz zawsze mówił to samo: „Proszę wyjść za mąż, droga pani”.

Wczesnym popołudniem postanowiła, że wieczorem pójdzie do Gilberta i z nim porozmawia. Tylko co mu powie? Przecież nie: „Kocham pana, panie Gilbert”. To byłoby żalosne. Brak ci

odwagi, moja droga, pomyślała. „Nie musisz wstydzić się swoich uczuć. Jeśli okaże się draniem, niczego nie będziesz żałowała”, powiedziała jej przez telefon przyjaciółka. „Jeśli odmówi, trochę popłaczesz i zapomnisz”, mówiła inna. Marie Pregnac uznała, że jeśli Gilbert nie zachowa się tak, jak tego od niego oczekuje, wymówi mu mieszkanie. Nie zniosłaby go dłużej pod swoim dachem.



Tego wieczoru Kameleon miał włączyć radiostację, jak każdego piętnastego dnia miesiąca, między dwudziestą trzecią i pierwszą po północy. Oczekiwał wiadomości od innego radzieckiego szpiega, Josepha Greenvelda, który mieszkał w Amsterdamie i mógł nadawać w Święto Pracy, pierwszego maja, oraz siódmego listopada, kiedy to przypadała rocznica rewolucji październikowej.

Kameleon był znakomicie zakamuflowany. Poza tym chciał żyć, a jedyną gwarancją przeżycia było, choćby nawet pozorne, podporządkowanie się Kremlowi. I Kameleon szukał powrotu do szpiegowskiej „macierzy”. Poczynił już pierwsze kroki. Rok temu odnalazł Josepha Greenvelda, od czterech lat tajnego rezydenta NKWD w Europie Zachodniej. Greenveld nie odmówił przesyłania do Moskwy wiadomości Kameleona. I tak syn marnotrawny powoli wracał na łono Kremla.

Poza odnowieniem kontaktu z Greenveldem Kameleon wpadł na pomysł zorganizowania własnej siatki. Lecz powodzenie tego pomysłu zależało w dużej mierze od tego, czy uda mu się odnaleźć Alfreda Corbina, uśpionego agenta NKWD mieszkającego w Belgii.

\*

Sylvie tego dnia kończyła pracę w południe. Jej dom znajdował się we wschodniej części miasta, przy rue de Fessart. Mieszkała z babcią, Olivią Faveur, emerytowaną nauczycielką.

Pani Olivia nie należała do osób o gołębim sercu i Sylvie musiała za pokój płacić.

Gdy stanęła pod drzwiami mieszkania, usłyszała męskie głosy. Co się dzieje? Babcia nie ma w zwyczaju przyjmować gości o tak wczesnej porze. Włożyła klucz do zamka, przekręciła, drzwi cicho skrzypnęły.



— Wejdz, kochanie! — dobiegł z salonu wesoły głos babki. W saloniku siedzieli trzej żołnierze. Na stoliku stała otwarta butelka alzackiego wina i do połowy opróżnione kieliszki.

— Augustine — wyszeptała Sylvie.

Jeden z żołnierzy podbiegł do niej i wziął ją w ramiona.

— Dostałem trzy dni przepustki! — powiedział roześmiany. — Postanowiłem zrobić ci niespodziankę, kochanie! Chyba nie masz mi tego za złe?

Popatrzył jej w oczy. Kiedyś to lubiła. Teraz z trudem maskowała niezadowolenie.

— Nie, skądże... — próbowała się uśmiechnąć. — Bardzo się cieszę...

Pocałował ją, nie zważając na kolegów i madame Olivie. Całował jak kiedyś, delikatnie i chłopięco. Ale te pocałunki już nie cieszyły Sylvie. Jej ciało należało do innego.

— Augustine, zabieraj się do pracy! — krzyczeli koledzy. — Zaniebdałeś ją przez to wojsko!

Sylvie czuła się zażenowana. Babcia uśmiechała się z pobłażaniem, kręcąc głową.

— Nie przeszkadzajcie sobie — powiedziała. — I tak po południu miałam iść na kieliszeczek do pułkownikowej Montagne...



Wieczorem babcia grała w wista u pułkownikowej, a koledzy Augustine'a poszli na miasto na całonocną pijatykę. Narzeczeni zostali sami. Augustine okrywał jej ciało pocałunkami, starał się być delikatny, ale jego ruchy były pełne nerwowej i niecier-

pliwej siły, zdradzającej brak doświadczenia w sztuce miłości. Sylvie zamknęła oczy. Starła się odwzajemniać pieśczoć, ale jej ciało przywykło już do wyrafinowania Jeana, potrafiącego opóźnić moment własnej rozkoszy, by doprowadzić ją na szczyt uniesienia pieśczoćami, które potem jej się śniły.

Augustine skończył za szybko i opadł, spocony, na poduszki. Odwróciła głowę. W oczach miała łzy, na szczęście w pokoju było ciemno.

Kiedy trzy dni później zegnała go na dworcu, Augustine był najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi. A ona, stojąc na peronie z rozwianymi włosami, marzyła o tym, żeby już nigdy więcej się nie spotkali.



Tego samego dnia major Bóhm znajdował się w centrum nasłuchowym w Oldenburgu, w Dolnej Saksonii. Ośrodek Abwehry mieścił się w zaadaptowanym starym pałacu.

Prowadzono tu nasłuch oficjalnych stacji radiowych z Belgii, Francji, Holandii, a w szczególności brytyjskiej BBC. Abwehra zgromadziła w Oldenburgu ludzi znakomicie przygotowanych do tej pracy. Zнали języki obce, a do ich zadań, prócz nasłuchu, należało pisanie ulotek propagandowych. Istniało kilka rodzajów takich pisemek. Część z nich adresowano do różnych grup zawodowych lub mniejszości narodowych, które mogły podjąć kolaborację z Niemcami. Abwehra miała za zadanie „inteligentnie” rozpracowywać obce siatki wywiadowcze i ruch oporu. Przemoc zostawiano katom z gestapo.

Major wiedział już od admirała Canarisa, że atak Wehrmachtu na Belgię, Holandię i Francję rozpocznie się rano, dziesiątego maja, od nalotów na porty w Rotterdamie, Antwerpii, Calais i Dunkierce. Następnie do akcji miały wkroczyć oddziały pancerne i zmotoryzowane, które zgodnie ze strategią blitzkriegu, koncentrowały uderzenie na jednym wybranym wąskim odcinku, by szybkim atakiem przełamać front, zajmując tyły

wroga. Kropkę nad „i” miała postawić piechota, posuwająca się w zwartych kolumnach za czołgami. Major zdawał sobie sprawę, że zwycięstwo Niemców zależy jednak głównie od ryzykownego, ale i genialnego planu uderzenia oskrzydłającego przez Ardeny, wzgórza położone na pograniczu Belgii i Luksemburga.

Czekając na moment rozpoczęcia inwazji, był w dziwnym nastroju. Nie miał ochoty iść do kantyny ani grać w karty przy piwie. Wciąż rozmyślał o sprawie Kameleona. Nie mógł oprzeć się wrażeniu, że go zna, że twarz ze zdjęcia przesłanego przez agentkę Funke, przedstawiającego Greka Papadopulosa, gdzieś już kiedyś widział. Nie potrafił sobie jednak przypomnieć gdzie. Postanowił przejrzeć albumy ze zdjęciami, które zabrał z rodzinnego domu we Wrocławiu. Pasją fotografowania zaraził go ojciec, z zawodu fotograf. Razem chodzili na wspinaczki, razem robili zdjęcia.

Setki fotografii zgromadzone były w kilkunastu dużych albumach, lecz majorowi chodziło o trzy zdjęcia. Przerzucał więc albumy strona po stronie, starając się nie oddawać wspomnieniom, choć z każdym oglądanym zdjęciem czuł coraz silniejszy ucisk w gardle. Miał wrażenie, że zagłębia się w świat ludzi umarłych, świat, którego już nie ma.



Zbliżała się dwudziesta druga. Marie Pregnac wyszła z mieszkania ubrana w kremową koronkową nocną koszulę i różowy szlafrok. Na ten wieczór dała stróżowi wolne, nie musiała się więc obawiać, że ktoś ją zobaczy.

Ruszyła po schodach, a kiedy stanęła pod drzwiami Gilberta, wydało jej się, że dobiega zza nich jakiś szmer. Jakby ktoś przesuwiał meble lub zwinięty dywan. Na klatce schodowej było cicho, tylko przez uchylone okno dolatywały odgłosy z ulicy: czyjeś szybkie kroki, stłumiony śmiech, warkot przejeżdżającego auta.

Zawahała się. Czuła pulsowanie krwi w skroniach. Może wrócić do siebie i o wszystkim zapomnieć? Ale czy kiedykolwiek jeszcze zdobędzie się na taką odwagę?

Zapukała.

Cisza.

Zapukała jeszcze raz, nieco głośniej. Nic.

Wyjęła z kieszeni szlafroka klucze do mieszkania Gilberta. Jako właścicielka miała zapasowe klucze do wszystkich mieszkań, ale nigdy nie robiła z nich użytku.

Włożyła klucz do zamka, przekręciła. Nacisnęła klamkę i w tej sekundzie pomyślała, że może być jej trudno usprawiedliwić tę niespodziewaną wizytę. Och, najwyżej powie, że sąsiedzi skarżą się, że na piętrze czuć gaz. Może przecież sprawdzić, czy instalacja gazowa jest w porządku. Tak, tak, zdecydowanie.

Przedpokój tonął w mroku. Zauważyła, że pod wieszakiem po lewej stronie drzwi stoją trzy pary butów: mokasyny oraz dwie pary eleganckich lakierków. Mieszkanie Gilberta było położone w tym samym pionie co jej i miało taki sam rozkład. Z dużego przedpokoju wchodziło się do obszernego salonu, z którego okien widać było ulicę prostopadłą do rue St-Lazare, rue de Mogador. W przedpokoju były też drzwi do dwóch mniejszych pokoi. Jeden z nich, położony po lewej, był zamknięty, ale z drugiego przesączała się lekka poświata. Marie zdecydowała, że nie będzie zamykała drzwi wejściowych. Tak na wszelki wypadek.

Postanowiła, że wejdzie do pokoju, w którym się świeci. Pomyślała, że Gilbert zasnął nad książką i zapomniał zgasić lampę. Ruszyła cicho w stronę uchylonych drzwi. Parkiet nie skrzypiał tak jak u niej. Kiedy dotknęła klamki, zauważyła kątem oka, że drzwi do kuchni są otwarte. Zastanowiło ją to. Z kuchni, dużej i wygodnej, połączonej z jadalnią, było drugie wejście do łazienki. Słychać było szum lejącej się wody.

A więc się kapie!

Marie poczuła falę gorąca.

W pierwszym impulsie chciała wejść do łazienki. Natychmiast jednak uznała, że takie zachowanie nie przystoi porządnej kobiecie.

Wycofała się cicho do holu, a gdy zrobiwszy kilka kroków, stanęła na progu oświetlonego pokoju, zamarła. Na masywnym dębowym biurku zobaczyła skórzaną walizkę z radiostacją. Tak, nie ulega wątpliwości, to była radiostacja. Bo cóż by innego... Urządzenie cicho szumiało, cykało jak mały świerszcz. Na biurku leżały też słuchawki oraz otwarty notatnik i ołówek.

Mój Boże, pomyślała Marie, on jest szpiegiem... na pewno niemieckim! Odwróciła się gwałtownie, chcąc jak najszybciej uciec. W tej samej chwili Gilbert, z twarzą białą od kremu do golenia, otworzył drzwi łazienki, trzema krokami przemierzył kuchnię i zapalił w przedpokoju światło. W prawej ręce trzymał otwartą brzytwę.

— Ja tylko chciałam... — zdołała wyszeptać Marie.

Przez ułamek widziała innego Gilberta niż tego, którego obraz zbudowała sobie z nadziei i marzeń. Jego twarz była obca, nie wyrażała niczego prócz zimnej wściekłości. Wpatrywał się w kobietę jak w robaka lub śmiecia, którego trzeba jak najszybciej usunąć. Jego oczy przypominały dwie bryłki lodu.

Sparaliżowana strachem Marie nie mogła się ruszyć. Nagle Gilbert rzucił się na nią, lewą dłonią zakrywając jej usta. Upadli na podłogę. W przeblysku świadomości Marie pomyślała, że oto ten jeden raz może poczuć na sobie ciężar jego ciała. Zaraz potem ostrze brzytwy przecięło jej gardło. Na biały podkoszulek Gilberta trysnęła krew.

Ich spojrzenia spotkały się na moment, zaraz jednak oczy kobiety zasnuła mgła, widziała swojego kata coraz mniej wyraźnie, jakby patrzyła przez kryształ...

Ciało Marie znieruchomiło w powiększającej się kałuży

krwi. Kameleon wstał, oparł się o framugę drzwi i w ciszy zmaconej tylko tykaniem zegara kołysał się w przód i w tył, zakrywając rękami twarz.



Tymczasem major Böhm odnalazł zdjęcia, których szukał. Wszystkie trzy przedstawiały tego samego człowieka. Zaczął sobie przypominać, jak wszedł w ich posiadanie. Pierwsze trafiło do jego rąk w Hiszpanii w 1939 roku.

Mijały właśnie dwa lata, odkąd oddziały kolonialne pod dowództwem generała Francisco Franco wydały socjalistycznej republice wojnę na śmierć i życie. Niemiecki legion „Condor” przybył do Hiszpanii na osobistą prośbę generała. Szybko zyskał złą sławę. Zbombardowanie baskijskiego miasteczka Guernica było jednak kroplą w morzu okrucieństw tej wojny, których dopuszczały się obydwie strony. Prócz tego legionu Niemcy przysłali wielu znakomicie przygotowanych agentów.

Jednym z nich był major Böhm. Trafił do Burgos, głównej kwatery Franco. Hiszpanie, wierni generałowi, na ogół odnosili się do Niemców z rezerwą. Böhm działał jako porucznik łączności Oscar Stoltz. O jego prawdziwej roli nie wiedzieli nawet szpicle wysłani na dwór Franco przez szefa SS, Himmlera. Porucznik Stoltz w kasynie oficerskim w Burgos nawiązał kontakt z pewnym Hiszpanem, Alejandro de Castilla, zmanierowanym arystokratą. Ten powiedział mu, że zna kuriera o podejrzanej reputacji, który jako pracownik Hiszpańskiego Czerwonego Krzyża kursuje przez linię frontu do zajętego przez siły republikańskie miasta Albacete.

Kurier nazywał się Pablo Huéscar.

— Od pewnego czasu nasza służba bezpieczeństwa podejrzewa — mówił Alejandro — że Huéscar pracuje dla Rosjan. Nie aresztowaliśmy go tylko dlatego, że działa na dwie strony...

— Nie bardzo rozumiem — powiedział zaskoczony Böhm.

— Przekazuje nam informacje od bardzo ciekawego czło-

wieka z Madrytu. Nazywamy go Kameleon... To znakomity szpieg, ma wiele twarzy.

— Zakłada maski? — Niemiec próbował żartować.

— Trafił pan w sedno. Potrafi stać się zupełnie innym człowiekiem. Gdyby spotkał go pan wczoraj na przykład jako Hiszpana, a jutro jako amerykańskiego żołnierza z tych ohydnych komunistycznych Brygad Międzynarodowych, to założę się o tysiąc dolarów, że by go pan nie poznał.

— Od jak dawna dla was pracuje?

— Ach, wy Niemcy, chcielibyście wszystko wiedzieć — westchnął Castilla. — Nie tak szybko! Ile gotów jest mi pan zapłacić za kontakt z nim?

— My nie płacimy za informacje — uciał sucho Bóhm. — Ale... zobaczę, może coś dla pana wykombinuję — dodał z ironicznym uśmiechem.



Kameleon ocknął się z zamyślenia. Musi ukryć ciało, i to tak, żeby zostało znalezione jak najpóźniej. Musi też opuścić mieszkanie, zabrać wszystkie swoje rzeczy i zatrzeć ślady. Nie interesowało go, dlaczego ta Pregnac wlała o tak późnej porze do jego mieszkania. Zauważył, że w ostatnim czasie sprawiała wrażenie nieco rozkojarzonej, rzucała mu tęskne spojrzenia, pozwalała sobie na jakieś półsłówka, gesty. Może się we mnie zakochała? Stara krowa. Niech to szlag!

Plama krwi na podłodze szybko się powiększała. Trzeba działać. Z szafy w przedpokoju wyjął duży wełniany koc. Z kuchni przyniósł ścierkę. Założył stare drelichowe spodnie i bawełnianą bluzę. Z apteczki w łazience wyjął buteleczkę z roztworem kwasu solnego. Kiedyś chciał ją wyrzucić, ale na szczęście uznał, że może się jeszcze przydać. Z piekarnika wyjął dużą brytfannę z hartowanego szkła.

Rozłożył koc na podłodze, położył na nim ciało i przeciągnął pod drzwi wejściowe, uważając, by nie rozmazać krwi. Ścierką

i szmatami do podłogi tak długo czyścił parkiet, aż zaczął lśnić. Zakrwawione szmaty zaniósł do łazienki, gdzie włożył je do szklanej brytfanny i, zatykając nos, zalał wszystko roztworem kwasu solnego. Zamknął drzwi i zgasił światło.

Dochodziła jedenasta. Z powodu wizyty pani Pregnac na sygnał od Greenvelda musiał poczekać przynajmniej do północy, choć szansa, że szpieg z Amsterdamu się odezwie, była niewielka. Zapalił papierosa. Czekał i obmyślał plan działania.

Minęła północ i sygnał nie zabrzmiał. Kameleon zadzwonił więc do Pablo Huescara.

— Masz za półtorej godziny przyjechać na dworzec St-Lazare. Jeśli się spóźnię, poczekaj.

— Szeffie... jest noc... — zaprotestował Pablo zaspanym głosem.

— Skoro mówię, kurwa, że masz przyjechać, to masz to zrobić! — syknął Gilbert. — Muszę zniknąć i jeszcze dziś dostać się do mojego drugiego mieszkania.

Dopiero teraz Pablo oprzytomniał.

— Robi się, szefie.

Kameleon podwinął rękawy bluzy, zdjął z haczyka w przedpokoju klucze do piwnicy i schował je do kieszeni. Z szuflady w komodzie wyciągnął dwa krótkie stalowe druciki. Bezszelestnie otworzył drzwi wejściowe i nie bez trudu zarzucił sobie na ramię ciało zawinięte w koc. Zachwiał się, cicho zaklął. Co za spasione babsko.

Klatka schodowa była ciemna i cicha. Tylko latarnia uliczna rzucała nieco światła na schody. Gilbert zaczął schodzić, uważnie stawiając stopy. O ile pamiętał, na każde piętro wiodło dwadzieścia pięć stopni.

Zejszcie na parter zajęło mu dobry kwadrans, podczas gdy zwykle pokonywał te kilka pięter w pół minuty. Ciało położył na ziemi dopiero wtedy, kiedy zatrzymał się przed drzwiami piwnicy. Miał szczęście, na nikogo się nie natknął. Przez chwilę oddychał ciężko. Ta baba waży chyba ze sto kilo, pomyślał z irytacją.



W pęku kluczy odnalazł długi i mosiężny, którym otworzył drzwi do piwnicy. Odczekał chwilę, wsłuchując się w odgłosy nocy. Gdy upewnił się, że nic niepokojącego się nie dzieje, wszedł do mrocznego wnętrza i zapalił małą lampę naftową, stojącą na skrzyni pod ścianą. Uznał, że najlepiej będzie ukryć ciało pod węglem.

Nagle zaczął się zastanawiać, czy synowie pani Pregnac wiedzą, dokąd poszła matka. Jeśli tak, ich także będzie musiał zabić. Nie wiedział, że Marie przed paroma dniami wysłała synów do rodziny w Bretanii.

W ciągu niecałych dwudziestu minut Marie Pregnac została pochowana pod bryłami węgla. Ponieważ w piwnicy było dość chłodno, Gilbert miał nadzieję, że zwłoki zaczną się rozkładać i śmierdzieć dopiero za tydzień lub dwa. To dawało mu bezcenny czas. Wbił łopatę w stertę węgla obok miejsca, gdzie leżały zwłoki, by sprawdzić, czy zmieszczą się tam jeszcze dwa ciała. Na samą myśl, że głupota matki może sprowadzić śmierć na jej synów, przeszedł go dreszcz. Nie miał jednak wyjścia. Otrzeptał się z pyłu. Postanowił nie zamykać na razie drzwi do piwnicy. Jeśli chłopcy są w domu, zabije ich i ukryje w ciągu trzydziestu minut. Zdecydował, że pozbawi ich życia uderzeniem w kark. Takiego sposobu zabijania uczył się na szkoleniach w NKWD. Własnymi rękami. Żeby czuć, że się zabija.

Co ma jeszcze do zrobienia? Szybki prysznic. Jest strasznie brudny i spocony. Pablo poczeka.

Gdy stanął pod drzwiami mieszkania Marie Pregnac, z tylnej kieszeni spodni wyjął dwa druciki. Pierwszy wsunął do zamka, drugi tuż za nim. Pręcik obrócił się lekko, coś zgrzytnęło. Gilbert wyprostował się, nacisnął klamkę i wszedł do środka. Zajrzał do każdego pokoju.

Pusto.

Odetchnął z ulgą.

Wszedł do sypialni Marie. Jego uwagi nie uszedł fakt, że wciąż stało w nim podwójne małżeńskie łóżko. Biedaczka! Nożem, który zabrał po drodze z kuchni, rozciął poduszki

i wysypał pierze na dywan. Rozrzucił zawartość kosmetyczki znalezionej w garderobie, a także rozerwał sznur pereł oraz wyrzucił zawartość dwóch komód z bielizną. W szkatułce na kredensie znalazł duży plik banknotów przewiązanych wstążeczką. Zabrał go. Nóż cisnął na łóżko i wyszedł szybko, zamykając drzwi wejściowe tak samo, jak je otworzył. Zszedł do piwnicy, zamknął ją i wrócił do siebie. Umył starannie wannę, a zawartość brytfanny wylał do sedesu. Dokończył golenie i wziął prysznic.

O wpół do drugiej Pablo Hućscar zabrał jak zwykle eleganckiego szefa z bagażami z dworca St-Lazare. Drugie mieszkanie Kameleona znajdowało się przy rue Vèronése, niedaleko placu d'Italie. Po drodze kazał Pablowi zatrzymać się na moście nad Sekwaną i wrzucił do wody klucze od swojego mieszkania oraz plik banknotów zabranych z mieszkania nieboszczki. Zabijał, ale nie był złodziejem. Już miał wsiadać do auta, kiedy nagle o czymś sobie przypomniał. Zaklął siarczyście.

— Zapomniałem ją przeszukać! — mruknął do siebie. — Pewnie miała przy sobie zapasowe klucze. Znajdą ją z kluczem do mojego mieszkania... Niech to diabli!

Było jednak za późno. Wsiadł do samochodu. Ruszyli.

— Od dziś znów nazywam się Ulysses de la Cruz. Na jakiś czas. W pracy powiesz, że wyjechałem w interesach — powiedział do Pabla.

Hućscar o nic nie pytał. Znał Kameleona od czterech lat. Poznali się podczas wojny w Hiszpanii, gdzie Kameleon podawał się za urugwajskiego komunistę. Pablo wiedział, że to nie jest jego prawdziwe nazwisko, ale kim naprawdę był szef, nie miał pojęcia. Popatrzył w lusterko. Twarz Gilberta była posepna

i nieprzenikniona. Nie malowały się na niej żadne emocje.

★

W mieszkaniu nie było prawie mebli, ale Kameleonowi to nie przeszkadzało. Z jedynej szafy wyciągnął materac i rozłożył

go na ziemi. Mimo zmęczenia szybko rozpakował walizki. Poszedł do łazienki i z kosmetyczki wyjął tubkę z czarną farbą do włosów z napisem „Żywa czerń dla każdej kobiety”. Wycisnął jej zawartość do kubeczka i wymieszał z utrwalaczem, po czym starą szczoteczką do zębów zaczął delikatnie nakładać farbę na włosy. Na opakowaniu przeczytał: „Spłukać po trzydziestu minutach”. Znalazł w walizce futerał z okularami. Prawdziwy Ulysses de la Cruz miał niewielką wadę wzroku.

Gdy spłukał farbę i wysuszył włosy, włożył piżamę, wziął dwie pastylki nasenne. Zastanawiał się, czy nie wziąć trzeciej, żeby tylko nie myśleć, zapaść się w ciemność, w której nie będą prześladowały go obrazy tego, co stało się tej nocy.

## ROZDZIAŁ 8

### Przeszłość

Pablo Huescar i Elene Ortiz znali się od czasu wojny w Hiszpanii. Pablo przyjeżdżał do Madrytu jako pracownik Czerwonego Krzyża, a Elene pracowała w sztabie Dolores Ibarruri. Widywali się jednak rzadko. Nie zanosilo się na romans. Kiedy wojna się kończyła, los ich rozdzielił. Spotkali się dopiero w Paryżu na zebraniu komitetu pomocy hiszpańskim komunistom. Pablo pracował już wtedy dla Gilberta, a Elene rozglądała się za jakimś zajęciem. Pierwszej nocy poszli do łóżka. I Elene dostała pracę. W firmie „Syntex”.

Była ósma rano. Elene siedziała w szlafroku na skraju łóżka. Pablo patrzył na jej drobną sylwetkę, miękkie kasztanowe włosy, piegi na szyi, delikatny profil i zastanawiał się, czy ją kocha. Sypiali ze sobą, ale nie traktowali poważnie tego związku. Za bardzo cenili sobie niezależność.

— Dzień dobry, kochanie. — Pablo ziewnął szeroko.

— Po co szef wzywał cię w nocy? — zapytała Elene. Mówiła jak czystej krwi Kastyljka. Huescar dopiero uczył się od niej akcentu madryckiego. Sam pochodził z Andaluzji.

— Nic ważnego — mruknął. — Musiałem go zawieźć na dworzec.

— Dokąd pojechał?

— Nocnym ekspresem do Bordeaux.

— Nie powiedział, kiedy wróci? Kto będzie podpisywał faktury? Mamy tak dużo pracy — westchnęła.

— Nie przejmuj się. — Pablo usiadł, opierając się o poduszki. — Już wcześniej zdarzało się, że wyjeżdżał na dłużej i jakoś dawaliśmy sobie radę.

Przyciągnął do siebie Elene i zaczął zdejmować jej szlafrok. Położyła się obok niego. Skoro szef wyjechał, mają czas...



Trzy tygodnie po rozmowie z frankistowskim dygnitarzem major Bóhm, wciąż jako porucznik Stoltz, spotkał się z Hues-carem. Castillo zaaranżował to spotkanie bardzo starannie. By nie spłoszyć Hiszpana, powiedział mu, że niemiecki oficer chce odnaleźć w brygadach międzynarodowych walczących po stronie Republiki swojego kuzyna, niemieckiego komunistę.

Spotkali się w Burgos, przy okazji wizyty delegacji Czerwonego Krzyża. Huescar wydał się majorowi niezwykle inteligentny. Miał miłą powierzchowność i przyjazne usposobienie. Szybko złapał przynętę. Bardzo zainteresował się losem nieistniejącego kuzyna Stoltza, którego major przedstawił jako nieodpowiedzialnego romantyka. Bóhm zażartował nawet, że kuzyn za dużo naczytał się w młodości Wertera i Heinego. Dodał, że ostatni raz miał z nim kontakt koło Bożego Narodzenia 1936 roku: dostał od niego kartkę z Madrytu. Bóhm zapytał Huescara wprost, czy podjąłby się, oczywiście nie za darmo, odnalezienia go w Madrycie.

— *Senor* Stoltz, to nie jest takie proste. Madryt jest miastem frontowym — odrzekł Huescar.

Niemiec wyjął z kieszeni szarą kopertę i położył ją na stole.

— Tutaj jest dwieście pięćdziesiąt dolarów amerykańskich. Taką samą kwotę dostanie pan po wykonaniu zadania.

Huescar popatrzył łakomie na pieniądze.

— Postaram się. Mam w Madrycie znajomego. To ważna persona...

Böhm tylko na to czekał. Umówili się na kolejne spotkanie. Hiszpan, na pożegnanie, pochwalił Niemca za znakomitą znajomość hiszpańskiego.

— To niezbyt częste — zauważył.

Böhm chciał mieć pewność, że Kameleon jest jeszcze w Madrycie i że jest nim człowiek, którego kiedyś poznał. Po spotkaniu z Huescarem natychmiast przesłał do Madrytu zaszyfowaną wiadomość dla agentki Funke, by zaalarmowała go, gdyby Huescar pojawił się w stolicy. Kilka dni później Funke przesłała kilka intrygujących meldunków, z których wynikało, że ktoś zastrzelił Coltazara, znanego działacza republikańskiego. Fakty te stały się potem podstawą „Raportu Kameleona”.

Funke zdobyła dowody, że to Huescar umożliwił dostanie się mordercy, Grekowi Papadopoulosowi, do oblężonego miasta. Człowiek ten pracował dla Huescara jako kierowca. Agentka weszła w posiadanie kopii przepustki, jaką żandarmeria republikańska wystawiła dla samochodu Huescara poruszającego się po Madrycie. To wyjaśniało, dlaczego nikt nie potrafił złapać Kameleona po dokonaniu zamachu.

Do umówionego spotkania z Huescarem nigdy jednak nie doszło. Hiszpan nagle zerwał wszelkie kontakty z Burgos. Być może zdał też Kameleonowi dokładną relację, z kim się spotykał. Dla wytrawnego szpiega prośba porucznika Stoltza była zbyt podejrzana.



Armia Franco zdobyła Madryt w marcu 1939 roku. W mieście panował taki chaos, że nikt nie zwrócił uwagi na niemieckiego oficera, który zaczął szperać w archiwum ambasady portugalskiej. Wtedy było to jeszcze możliwe. Rząd republikański, widząc zaangażowanie portugalskiego rządu w popieranie rebelii Franco, przejął całe archiwum ambasady oraz jej budynek. Dokumenty trafiły do depozytu Ministerstwa Spraw Zagranicznych, ale w marcu 1939 roku przejął je Franco.

Zdjęcia osób, którym wydano paszport zastępczy, trafiały do podręcznego archiwum. Bóhm podejrzewał, że Portugalczyk Gomes, zamieszany w aferę z republikańskim złotem, nie był tym, za kogo się podawał. Potrzebował jednak niezbitego dowodu. Widział już zdjęcie Greka przesłane do Niemiec przez Funke, teraz chciał zdobyć zdjęcie Gomesa i porównać obie fotografie.

Okazało się, że w archiwum ambasady istniały dwa zdjęcia Gomesa. Co ciekawe, podpis na formularzu potwierdzającym zgubienie dokumentu z roku 1937 był dokładnie taki sam, jak na innym dokumencie, z którym prawdziwy Pedro Gomes zgłosił się do ambasady w 1934 roku jako student madryckiego uniwersytetu. Rząd portugalski wydał w tym czasie polecenie, aby wszyscy jego obywatele zgłosili swój pobyt w Madrycie. To dawało pojęcie rządowi Salazara, ilu Portugalczyków znajduje się w stolicy Hiszpanii. I prawdziwy Gomes to zrobił. W 1937 roku inny mężczyzna o takim samym nazwisku i używający takiego samego podpisu, zgłosił się po duplikat paszportu. Wyglądało na to, że prawdziwy Gomes już nie żył. Jak to się stało, że pracownicy ambasady niczego nie zauważyli?

Odpowiedź na to pytanie okazała się prosta. W ambasadzie portugalskiej pracowały tylko dwie osoby. Na więcej pracowników nie zgodził się rząd republiki, ponieważ Portugalia sympatyzowała z Franco. I te dwie osoby nie mogły sprawdzić, czy Pedro Gomes był tym, za kogo się podawał, ponieważ rząd hiszpański skonfiskował archiwum ambasady portugalskiej, podobnie jak niemieckiej i włoskiej, czyli krajów, które otwarcie poparły rebelię Franco. Jedynym dokumentem, jaki potwierdzał, że obywatel portugalski Pedro Gomes zgłosił wcześniej swój pobyt w Madrycie w 1934 roku, był dziennik podawczy ambasady, w którym rejestrowano każdy dokument wpływający i wypływający i którego Hiszpanie szczęśliwie nie zabrali. W dzienniku był wpis dokonany przez prawdziwego Gomesa. Podpisy się zgadzały. Jednak po trzech latach nikt nie pamiętał twarzy. Nowe podanie z nowym zdjęciem Portugalczycy ode-

słali do republikańskiego ministerstwa. A tam nikt tego nie sprawdził. Całe archiwum ambasada portugalska otrzymała z powrotem dopiero po zdobyciu Madrytu przez wojska Franco. Na pytanie majora, dlaczego tak nierozważnie wydano zastępczy paszport, urzędnik z wydziału konsularnego odpowiedział, że to przecież rząd republikański zabrał bezprawnie archiwum i dwaj pracownicy nic więcej nie mogli zrobić.

Böhm znalazł swój dowód. Już wiedział, kim jest snajper z Madrytu. Znał go sprzed wojny, choć widział tylko raz, w czerwcu 1934 roku podczas manewrów w Prusach Wschodnich. Jeden z oficerów NKWD wygłosił wówczas po niemiecku znakomity wykład o nowych możliwościach pracy operacyjnej wywiadu niemieckiego i radzieckiego przeciwko Polsce.

Człowiekiem tym był Kameleon.



Kameleon wstał rano po bezsennej nocy, ubrał się byle jak i poszedł do najbliższego sklepu, gdzie kupił trzy butelki koniaku. Zamierzał pić. Sam. Nie rozumiał, co się z nim dzieje. Nie rozumiał, dlaczego zabicie tej kobiety tak wytrąciło go z równowagi. Nie mógł przestać myśleć o tym, że była to zupełnie niepotrzebna śmierć. Przez całą noc prześladował go obraz zwłok z poderżniętym gardłem, nozdrza drażnił zapach krwi...

Był pewny, że wariuje. Czasami, gdy spotykał się z kimś w interesach, widział kogoś zupełnie innego: Ulyssesa de la Cruz, innych ludzi, których zamordował. Ich przerażone twarze majaczyły w szybach kredensu lub w oknach wystaw. Sylwetki znikwały za rogami ulic. Czyżby wyrzuty sumienia? Może... Może nie jest jednak podobny do katów z Łubianki?

Pił przez cały dzień i część nocy. Rankiem drugiego maja spojrzął w lustro. Obok własnej twarzy ujrzał gnijącą twarz Marie Pregnac.

— Odczep się ode mnie, ty głupia suko! — wrzasnął.



Wypadł z łazienki. Pół butelki koniaku wypił niemal duszkiem. Chciał, by twarz Pregnac rozplynęła się w nicości. Wyciągnął się na materacu. Miał wrażenie, że jest kłódą unoszącą się na morzu. Z całych sił starał się nie zasnąć, bo sen nie przynosił ukojenia. Zamiast marzeń sennych napływały wspomnienia...



Został aresztowany dwudziestego stycznia 1937 roku. Od chwili, w której latarka funkcjonariusza NKWD wyrwała go ze snu, wiedział, co go czeka. Sam wielokrotnie aresztował innych. Wiedział, jak będzie wyglądało śledztwo. Wiedział też, że w końcu się przyzna. Przyznawali się wszyscy, niezależnie od tego, czy byli winni, czy nie. W Związku Radzieckim za Stalina każdy miał coś na sumieniu. Niektórym już winę udowodniono, i teraz ich kości gniły gdzieś w tundrze. Inni żyli jeszcze jak zwierzęta w jednym z obozów za kręgiem polarnym.

Przez pierwsze dni śledztwa bito go drewnianą pałką, potem posadzono na nodze od krzesła. Wytrzymał tylko chwilę. Czuł w odbycie rozdzierający ból. Zemdlał. Najgorszy był brak snu. Co noc wędrował na przesłuchanie, gdzie setki razy zadawano mu te same pytania, a za dnia gnano do pracy, a to do latryn, a to do więziennej kuchni. Przesłuchiwali go jego byli podwładni. Wiedział, że nie popuszczą. Po miesiącu męczarni, kiedy postawiono mu wreszcie oficjalne zarzuty, był wrakiem, kopanym i opluwanym strzępem, który tylko zewnętrźnie przynależał do gatunku homo sapiens.

Ale zarzuty, paradoksalnie, przywróciły mu cień nadziei.

Zarzucono mu mnóstwo przestępstw przeciwko państwu radzieckiemu, przy czym pasożytnictwo i szkodnictwo były w miarę lekkimi oskarżeniami. Dlaczego? Dla człowieka, który miał pewne pojęcie o tym, czym jest „pranie mózgu”, każdy zarzut był dobry, jeśli nie padło słowo „zdrada”. Radziecka praworządność nakazywała karać wszystkich współników zdra-

dy. Tak więc zdrada oznaczała śmierć oskarżonego o nią człowieka i jego rodziny.

Nie dbał o siebie. Chciał, żeby przeżyli Natasza i ich dziesięcioletni synek, Kola. Dopóki nie pojawiła się wśród zarzutów zdrada, istniała szansa, że jego rodzina przeżyje, choćby na zesłaniu.

Praca w NKWD nauczyła go bycia twardym. Jakaś część jego umysłu broniła się przed złożeniem podpisu pod fałszywym zeznaniem, które sprawiłoby, że naprawdę stałby się pasożytem społecznym z pierwszych stron radzieckich gazet. Przy czym słowo „prawda” miało w więzieniach NKWD zupełnie inne znaczenie niż na zachodzie Europy. W Związku Radzieckim wszystko mogło stać się prawdą, szczególnie w protokole z przesłuchania lub w akcie oskarżenia podpisanym przez prokuratora.

Opierał się. Podbijał cenę. Wiedział, że zazwyczaj nie okazywano łaski rodzinom oskarżonych, którzy przyznawali się zbyt szybko. Podczas śledztwa między katem i ofiarą nawiązywała się przewrotna i perwersyjna więź. Oficer śledczy był panem życia i śmierci. Jeśli widział, że oskarżony szybko idzie na współpracę, zastanawiał się, co może się kryć za takim zachowaniem, zaczynał podejrzewać, że więzień próbuje zbyt skwapliwym przyznaniem się do winy ukryć inne przestępstwa, dużo cięższe i groźniejsze, których władza radziecka mogła nie zauważyć. Wtedy przyciskano go jeszcze mocniej.

Dlatego postanowił jeszcze trochę wytrzymać. Nie zaprzeczył stawianym mu zarzutom, ale też nie podpisał zeznania. Zaczynało się przekonywanie prawie już skruszonego, ale jeszcze nie w pełni nawróconego grzesznika. Wyłamano mu wszystkie palce, nie mógł samodzielnie jeść. Bito go tak, by przeżył, ale po każdym przesłuchaniu czuł, że jest bliski załamania.

Podczas jednego z nocnych przesłuchań zdał sobie sprawę, że się przeliczył. Oficer śledczy, wysoki mężczyzna z trzema złotymi zębami, które błyskały w świetle lampy, powiedział:

— Jesteście szkodnikiem, towarzyszu Trepper. Gdyby to ode mnie zależało, jeszcze dzisiaj zaprowadziłbym was do piwnicy i strzelił w tył głowy. Ale wasza żona okazała się mądrzejsza. Przyznała się. Potwierdziła, że wciągnęliście ją do spisku przeciwko Związkowi Radzieckiemu, polegającego na szerzeniu pasożytnictwa ideologicznego w szkole wyższej NKWD w Moskwie. Nic nie powiecie? Dobrze, nie mówcie, to też zostanie odnotowane. Milczenie oznacza pogardę. Ale nie wiecie jeszcze wszystkiego. Wasza żona została skazana na dziesięć lat robót w kołchozie blisko granicy z Mongolią. Wasz syn zostanie poddany reedukacji w poprawczaku. Może jeszcze zostanie porządnym pionierem.

Na słowo „syn” Trepper spojrzał w twarz śledczego. Była bezlitosna i arogancka. Tak wyglądał kat jego rodziny. Tepper powoli opuścił głowę. Zdał sobie sprawę, że niedawno sam tak się zachowywał.

\*

Mijał czas. Któregoś dnia oficer NKWD zapytał po raz kolejny:

— Czy przyznajecie się do winy, towarzyszu Trepper? Wina... pomyślał, w tym kraju winni są wszyscy. Więc się

przyzna. Zrobi to dla Koli. Wiedział, że pewnie nigdy go nie zobaczy. Chciał, żeby przeżył. Choćby w sierocińcu. Rok wcześniej Stalin wydał dekret, zgodnie z którym dzieci miały ponosić pełną odpowiedzialność karną za najrozmaitsze przestępstwa — w tym za zdradę.

— Do czego mam się przyznać? — spytał zrezygnowany. Śledczy uśmiechnął się z triumfem. Otworzył teczkę, wyjął z niej jakąś kartkę i zaczął czytać:

— Czy od kwietnia tysiąc dziewięćset trzydziestego pierwszego roku do grudnia trzydziestego szóstego kierowaliście sekcją Europy Zachodniej w Ludowym Komisariacie Spraw Wewnętrznych?

— Tak.

— Czy do waszych zadań należało uczenie agentów wywiadu obcych języków?

— Tak.

— Czy uczyliście również osoby nieupoważnione do takiej nauki?

— Zdarzało się.

— Opiszcie to.

— Jeśli ktoś chciał się uczyć angielskiego, to go uczyłem w wolnym czasie.

— I braliście za to pieniądze?

— Tak.

— Czy prowadziliście cykl wykładów w Akademii Sztabu Generalnego Armii Czerwonej od maja trzydziestego czwartego do czerwca trzydziestego piątego na temat wykorzystania języków obcych w pracy kryptologa?

— Tak.

— A więc przyznajecie, że nakłanialiście młodych oficerów Armii Czerwonej do uczenia się i porozumiewania w językach państw nastawionych wrogo do państwa radzieckiego?! — grzmiał śledczy.

— Tak, przyznaję.

— Przyznajecie, że umiejętność mówienia w językach niezrozumiałych dla obywateli radzieckich niesie teoretycznie możliwość krytykowania władz za ich plecami?

— Teoretycznie... tak — wykrztusił więzień.

Pytania były doskonale skonstruowane. Jedno przestępstwo wynikało z poprzedniego.

— Rozumiem, że ostatecznie przyznajecie — śledczy oparł dłonie o blat stołu — że wasza działalność w strukturach NKWD mogła przynieść szkodę interesom Związku Radzieckiego?

— Tak, przyznaję.

Miał dość tego cyrku. Zarzuty były absurdalne. I właśnie dlatego stały się prawdziwe. Przyznając się, sprawił, że takimi się stały. Na tym polegała schizofrenia radzieckiego systemu.

— Znakomicie — powiedział śledczy, zacierając ręce. — Teraz musicie jeszcze wskazać waszych mocodawców i współpracowników. Dzisiaj pomogliście wykryć groźny spisek wymierzony w podstawy naszego państwa, towarzyszu. Gratuluję wam odwagi.

Trepper podpisał zeznanie, w którym przyznał się do sabotażu intelektualnego, polegającego na nauczaniu i znajomości oraz porozumiewaniu się w następujących językach obcych: polskim, węgierskim, jidysz, niemieckim, angielskim, francuskim i hiszpańskim. Nie mógł zgodzić się tylko na jedno stwierdzenie, że władał językiem amerykańskim. A tak było napisane w dokumentach. „Posługiwał się językiem amerykańskim na szkodę ZSRR”!

— Taki język nie istnieje, towarzyszu poruczniku — wyjaśnił. — Istnieje natomiast amerykański dialekt języka angielskiego.

Śledczy natychmiast sprawdził dokument. Faktycznie, napisali „język amerykański”.

— Towarzyszu, w biurze to poprawią, ale lepiej, kurwa, podpiszcie, nawet jeśli w papierach jest błąd. Przyznanie się do winy to podstawa!

Podpisał.

I natychmiast wszystko się zmieniło. Został przeniesiony z izolátky do celi ze słomianym siennikiem i małym oknem, wychodzącym na podmoskiewskie lasy. Zorientował się, że musi być w więzieniu na Butyrkach. Dzielił celę z młodym oficerem Armii Czerwonej, którego winą było to, że pojechał na stypendium do Niemiec, a także z Aleksandrem Mieńczukiem, Ukraińcem, profesorem inżynierii wodnej na uniwersytecie w Kijowie. Wybudował on tamę na Dniestrze, która się zawaliła. Oczywiście zawaliła się dlatego, że do budowy użyto za mało betonu. A jeśli miał za mało betonu, to znaczy że spiskował z wytwórcami betonu, którzy chcieli sabotować unowocześnianie radzieckiej ojczyzny. A ci spiskowali z trockistami, a trockiści z faszystami...

A to była, oczywiście, zdrada.

Trzecim towarzyszem był małomówny Czechen. Zabił trzech komunistów z kołchozu, w którym pracował.



Zaczął współpracować. Wskazywał wszystkich, których śledczy wymieniał jako uczestników jego fikcyjnego sabotażu. Na niczym mu nie zależało. Czuł do siebie obrzydzenie. Robił, co chcieli. Ale ratował życie. Tylko to się liczyło. Został skazany na dziesięć lat ciężkich robót w kołchozie nad Amu-darią. To była stosunkowo lekka kara. Cieszył się, że ominęły go Workuta i kopalnie złota na Magadanie, gdzie zdychało się po dwóch miesiącach.

Po pół roku pracy w kołchozie został przewieziony do Moskwy. Tym razem miał pewność, że zostanie skazany na śmierć. Musieli coś znaleźć. Na przykład że jako zawód ojca w rodzinnej Polsce podał „nauczyciel akademicki”. Czyli burżuj. Do tego urodził się przecież w burżuazyjnej Polsce w żydowskiej rodzinie. Chciał umrzeć. Próbował wyskoczyć z pociągu. Inni więźniowie złapali go za płaszcz i wciągnęli do wagonu.

Jednak i tym razem władza radziecka go zaskoczyła. Nagle został, jak gdyby nigdy nic, przywrócony do czynnej służby w NKWD w stopniu porucznika, ale pod warunkiem lojalnego działania w warunkach wojny poza granicami ZSRR. Przeszedł szkolenie szpiegowskie i w sierpniu 1937 roku, w czasie największych czystek, ze swoim dawnym przełożonym, generałem Orłowem, wsiadł na statek do Hiszpanii, gdzie toczyła się wojna domowa. Nazywał się teraz Ulysses de la Cruz. Tak samo jak Urugwajczyk zabity przez niego dwa lata temu.

Człowiekiem, który wyciągnął go z obozu, okazał się generał Aleksander Orłow.

— Jesteście najlepszym szpiegiem, jakiego znam. Mówicie tyloma językami, towarzyszu Trepper. Potrzebuję was — powiedział, gdy stali na górnym pokładzie statku. — Stalin kazał

mi zorganizować grupę likwidacyjną. Mamy zabijać nieprawomyślnych komunistów, czyścić szeregi. Rozumiecie?

— Tak jest, towarzyszu generale.

— To dobrze. Stalin zapytał mnie, kogo mógłbym zaproponować do takiej roboty — ciągnął generał. — Powiedziałem, że znam wielu sadystów, ale do cichego likwidowania ludzi potrzeba fachowca. I zaproponowałem was, towarzyszu. Stalin zgodził się was zwolnić i tak trafiliście na ten statek.

Wtedy, na morzu, pomyślał, że musi uciec z ZSRR na zawsze. Kiedy generał Orłów uciekł przed Stalinem do Ameryki w 1938 roku, Trepper również zniknął.



Nieobecność szefa zaniepokoiła Elene Ortiz. Nie było też Huescara, postanowiła więc obejrzeć sobie dokładnie gabinet Gilberta. Przed dwoma miesiącami odcisnęła w mydle klucz i dorobiła kopię.

Chciała się przekonać, czy szef naprawdę wyjechał. Na początek sprawdziła teczkę z delegacjami. Nie znalazła niczego interesującego. Podobnie w kalendarzu spotkań. Przejrzała wszystkie papiery. Było tego niewiele: druki dostaw z pieczętą „Synteksu”, dwie niezaksięgowane faktury, kilka pustych kopert. Spisała prywatny adres Gilberta z notatnika.

W wykazie telefonów odnalazła numer filii „Synteksu” w Bordeaux. Przeszła do głównego biura, by zatelefonować.

— Firma „Syntex”. W czym mogę pomóc? — usłyszała.

— Dzwonię z dyrekcji z Paryża. — Elene zmieniła nieco głos, mówiąc przez chusteczkę. — Czy szef dojechał do was szczęśliwie?

Nastąpiła krótka chwila ciszy.

— O Boże... — wyszeptał przestraszony pracownik — a miał przyjechać? Nic o tym nie wiemy.

— A taak... przepraszam, nie chciałam niepokoić... Pewnie zaszło nieporozumienie.

— Ale nas pani nastraszyła! — Pracownik z Bordeaux najwyraźniej odetchnął z ulgą. — Nie zrobiliśmy bilansu z ostatniego tygodnia.

— Nic nie szkodzi — powiedziała Elene szybko i odłożyła słuchawkę. Koło pierwszej po południu przyszedł wreszcie Huescar.

— Zrobiłeś sobie wakacje — mruknęła Elene z przekąsem. — Mamy dziś urwanie głowy z zamówieniami.

— Dacie sobie radę, dziewczyny — odpowiedział Huescar, ziewając.

Wymowne spojrzenie starej księgowej również nie zrobiło na nim wrażenia.

— Dzwoniłem przed chwilą do szefa — oznajmił. — Dojechał bez problemu do Bordeaux.

— To miło. Też wyjechałabym z Paryża, gdybym tylko mogła — westchnęła Elene.



Elene dojechała tramwajem do rue St-Lazare. Zanim wyszła, Huescar próbował namówić ją na kolację, ale się wykreśliła.

Przed kamienicą, w której mieszkał Gilbert, zobaczyła kilku policjantów i tłumek gapiów. Stała też karetka pogotowia. Elene przecisnęła się przez tłum i ruszyła w stronę bramy.

— Nie ma przejścia — oznajmił szorstko policjant.

— Ale ja muszę odwiedzić znajomego w tym domu.

— Nie teraz.

Z bramy wyszli sanitariusze z noszami. Leżało na nich ciało przykryte prześcieradłem, spod którego wystawała ubrudzona węglem ręka.

W tym samym momencie ktoś dotknął jej pleców. Odwróciła się i zobaczyła starszą panią w beżowym kapelusiku z piórkiem.

— Zabili panią Pregnac — poinformowała. — Mnie też ten brutal z policji nie chciał wpuścić.



— Pani mieszka w tym domu? — zapytała Elene.

— Tak. Na parterze. Byłam sąsiadką Marie... Mój Boże, tacy młodzi chłopcy... stracili mamę, co za nieszczęście! Nie zdążyłam go nakarmić... — westchnęła.

— Przepraszam, kogo nie zdążyła pani nakarmić?

— Filipa!

— To pani syn?

— Kot...

Staruszka wzdychała bez przerwy: „Boże, to straszne” i wznosiła oczy do nieba.

— Mój znajomy mieszka w tym domu... — zaczęła Elene.

— Doprawdy? A jak się nazywa?

— Jean Gilbert.

— Pani zna tego odludka?

— Tak. To mój kolega.

— Kolega, ach taak... Tutaj wiele kobiet chciało się z nim kolegować, kochanie. Ładna jesteś, moje dziecko.

— Nie wiem, o czym pani mówi. — Elene starała się wyglądać na zmieszaną.

— Stara jestem, znam życie. Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby tego odludka nie było w domu. Z nikim nie utrzymywał kontaktów. Kota mi kiedyś wystraszył, łobuz jeden.

— Przykro mi. — Elene chciała zakończyć tę rozmowę. — Pójdę już...

Przeciskając się przez tłum, nabierała pewności, że morderstwo to sprawka Gilberta. Mówił jej to szósty zmysł, który rzadko ją zawodził.

Agentka Funke znów złapała trop.

Nie zauważyła, że od tłumy gapiów oderwał się jakiś mężczyzna i ruszył za nią. Był ubrany schludnie, ale nie wyglądał na człowieka dobrze sytuowanego, raczej na emigranta. Postawny brunet koło czterdziestki miał włosy obficie posmarowane brylantyną i zaczesane do tyłu. Nosił okulary.

\*

Późnym wieczorem, piątego maja, radiooperator w Olden-burgu odebrał zaszyfrowany meldunek od agentki Funke dla majora Bóhma. Niecałe pół godziny po nadaniu wiadomości z Paryża odczytał ją Bóhm.

Kameleon zniknął. W domu, gdzie mieszkał, dokonano zabójstwa. Szukam go. Czekam na instrukcje.

Major odpowiedział od razu. Funke odebrała wiadomość następnego dnia rano. Przeczytała, że ma nadal prowadzić obserwację obiektu zidentyfikowanego jako Kameleon. Zdziwiło ją tylko, że czas nadawania ustalono dopiero na lipiec. Wywnioskowała z tego, że Niemcy już niedługo uderzą na Francję.

## ROZDZIAŁ 9

### Komisarz Juvet

Komisarz Edgar Juvet był naczelnikiem wydziału kryminalnego paryskiej policji. Niski, krępy, o niewyparzonym języku, zawsze w znoszonym prochowcu, miał opinię najlepszego paryskiego detektywa. Indywidualista, ultrakatolik, nie cieszył się sympatią przełożonych, ponieważ w laickiej III Republice otwarte przyznawanie się do konserwatywnego katolickiego światopoglądu nie było mile widziane.

Juvet się tym jednak nie przejmował. Robił swoje: łapał przestępców i za to go ceniono. Po udanym aresztowaniu seryjnego mordercy kobiet, Nicolasa Oudeta w Lille, gdzie komisarz kiedyś mieszkał, prasa okrzyknęła go francuskim Sherlockiem Holmesem. Szczególnie dużo uwagi poświęcił mu dziennik „Le Temps”, co było nobilitacją dla policjanta z prowincji. W nagrodę przeniesiono go do Paryża, gdzie szybko wslawił się rozbiciem bandy przemycającej do Anglii alkohol. Awansowano go na naczelnika wydziału kryminalnego i ściągnął z Lille kilku zaufanych ludzi z prowincjonalnych komisariatów, którzy wnieśli w działania wydziału paryskiego nieco inwencji i polotu.

W ciągu kilku następnych lat paryska policja kryminalna skupiła się na przestępstwach gospodarczych i politycznych. Pod koniec 1936 roku, kiedy Hitler połknął Nadrenię i wypo-

wiedział traktat wersalski, z pierwszych stron gazet nie schodziło słowo „korupcja”. Rzeczywiście, dzięki komórce stworzonej przez komisarza Juveta na światło dzienne wyszło kilka bulwersujących skandali. Największy z nich wstrząsnął paryskim establishmentem w roku 1938. Juvet aresztował jednego z wiceministrów pod zarzutem przyjęcia kolosalnej łapówki. Skandal opisywały wszystkie wysokonakładowe francuskie dzienniki. Wtedy na energicznego komisarza zwrócił uwagę Eugène Delouche, szef organizacji La Cagoule\*. Był to skrajny, nacjonalistyczny i ultrakatolicki odłam słynnej partii Action Française, która postawiła sobie za cel walkę z ustrojem republikańskim. Juvet został kagulardem, choć bardziej z wyrachowania niż z przekonania. La Cagoule była organizacją tajną i elitarną. Składała się głównie z wysoko postawionych oficerów, którzy za wroga uważali i republikę, i francuskich komunistów. A Juvet nie znosił komunistów. Od czasu delegalizacji Francuskiej Partii Komunistycznej bez przerwy ich śledził. Polował szczególnie na ich przywódcę, Jacques'a Duclosa, który pod zmienionym nazwiskiem ukrywał się gdzieś w Paryżu.

Juvet przeglądał, jak co dzień po pracy, kartotekę nowych spraw kryminalnych, chociaż powinien zlecić to jednemu ze swoich detektywów. Nie mógł jednak odmówić sobie przyjemności prowadzenia przynajmniej jednego szczególnie ciekawego śledztwa. Zainteresowała go trzecia sprawa w kolejności. Oto co przeczytał na jej temat:

Wczesnym przedpołudniem, 3 maja 1940, w kamienicy przy me St-Lazare dozorca, który przyszedł rano do pracy, zauważył nieporządek w piwnicy z węglem. Kilkadziesiąt kilogramów węgla wysypało się z boksu na korytarz. Sterta sprawiała wrażenie, jakby ktoś rozsypał ją celowo. Zabrał się do sprzątania. Gdy przerzucił kilka łopat, wyłoniła się ludzka stopa. Przerażony, natychmiast wezwał policję.

\* *cagoule* (franc.) — habit, maska

W stercie węgla leżało ciało właścicielki kamienicy, Marie Pregnac. Ktoś poderznął jej gardło. Policjanci wyłamali drzwi do jej mieszkania. Sąsiedzi zeznali, że nie widzieli Marie Pregnac od popołudnia pierwszego maja. W jej mieszkaniu panował straszny bałagan. Poduszki i część kosztowności zostały wyrzucone na dywan. Jej śmierć wyglądała na zabójstwo na tle rabunkowym, komisarz miał jednak wrażenie, że chodziło o coś innego niż parę nędznych franków czy sznur pereł. Do koncepcji morderstwa na tle rabunkowym nie pasowały trzy fakty.

Po pierwsze ślady krwi. Dokładnie kilkanaście zaschniętych kropli. Zostały znalezione na pierwszym i trzecim piętrze, co wskazywało, że morderstwa nie dokonano w mieszkaniu denatki, gdzie żadnych śladów krwi nie znaleziono. Po drugie w mieszkaniu denatki grupa dochodzeniowa znalazła w skrytce za obrazem w salonie standardowy sejf zamykany na klucz, a w nim sporą gotówkę. Czyżby złodziej nie miał czasu na dokładne przeszukanie mieszkania? A może coś go spłoszyło? Po trzecie ciało znaleziono w stercie węgla. Po co złodziej, który chciał obrobić mieszkanie bogatej właścicielki kamienicy, miałby taszczyć ciało do piwnicy? Juvet złapał w swojej karierze sporo złodziei, którzy przy okazji kradzieży, przyłapani na gorącym uczynku, zabijali okradanych. Większość z nich po dokonaniu morderstwa traciła głowę i uciekała z miejsca przestępstwa, nie troszcząc się o zatarcie śladów. Słowem, coś tu się nie zgadzało.

Dwa dni później, kiedy z Bretanii wrócili z bratem ofiary jej synowie, Juvet był już na miejscu jako inspektor prowadzący sprawę. Policjanci odnaleźli dziennik zamordowanej, z którego wynikało, że biedaczka kochała się w sąsiedzie spod numeru dwudziestego. Opisywała dosłownie wszystko: jak znalazła na śmietniku opakowanie po jego wodzie kolońskiej, odtworzyła szczegółowo plan dnia Gilberta; o której wychodził, o której wracał, opisała jego życie towarzyskie. Pod datą trzydziestego kwietnia napisała, że musi porozmawiać z Gilbertem i wyznaczyć

mu, co do niego czuje. Kilka dni później została znaleziona z poderżniętym gardłem.

Po lekturze pamiętnika komisarz zapragnął porozmawiać z Gilbertem. Problem polegał jednak na tym, iż żaden z sąsiadów nie potrafił powiedzieć o nim niczego konkretnego. Mieszkanie Gilberta było zamknięte na cztery spusty. Okazało się również, że nikt z mieszkańców nie spotykał pana Gilberta zbyt często i nikt nie utrzymywał z nim kontaktów.

— Panie komisarzu, ten Gilbert to ponoć gość przy forsie, ale odludek — powtarzali sąsiedzi.

Nikt nie potrafił podać jego dokładnego rysopisu. Mówiono, że był wysoki, elegancko ubrany, ale nic poza tym. W opowieściach sąsiadów Gilbert był miłym, spokojnym gościem. Nie rzucał się w oczy. Sąsiad idealny.

Tylko dozorca zeznał, że co parę tygodni przychodził do Gilberta francuski oficer i jeszcze jeden gość... taki podejrzany typ. Na pytanie, dlaczego podejrzany, dozorca odrzekł, że słyszał kiedyś, jak rozmawiał z Gilbertem po hiszpańsku. Wyglądał na emigranta, jakiegoś Hiszpana, a może kogoś z Ameryki Południowej.

— Sam pan wie, co to teraz za ludzie gadają we Francji po hiszpańsku, panie władzo — powiedział.

No właśnie. Po hiszpańsku w Paryżu w 1940 roku mogli mówić tylko dysydenci, którzy uciekli z Hiszpanii po wojnie domowej. A więc komuniści. A Juvet nienawidził komunistów. I był pewny, że zna każdego komunistę cudzoziemca, jaki kręci się po Paryżu.



Juvet urodził się w Lille, centrum ówczesnego francuskiego ruchu robotniczego. Jego ojciec był z zawodu księgowym, a z przekonania rojalistą. W Lille, gdzie było wiele dobrze prosperujących kopalni węgla, kręciło się sporo komunistycznych agitatorów, którzy działali na komisarza jak płachta na byka.

W roku 1937, kiedy Juvet był już w Paryżu, komuniści w Lille zaczęli nawoływać do organizowania hufców robotniczych, które miały pospieszyć na pomoc republikańskiemu rządowi w Hiszpanii. Ojciec komisarza, na emeryturze dorabiający jako księgowy w jednej z kopalni, powiedział synowi, że szczególnie agresywnym agitatorom jest niejaki Jean Gilbert. Sam komisarz nigdy go nie spotkał, ale policja w Lille, która nie bardzo potrafiła sobie poradzić z manifestacjami i rekrutacją do komunistycznych Brygad Międzynarodowych, zwróciła się do Paryża o pomoc. Komisarz wydelegował kilku ludzi. To właśnie oni, przesłuchując robotników, potwierdzili prawdziwą rolę Jeana Gilberta w Lille. Próbowali go nawet aresztować, ale wyjechał na front hiszpański. Juvet przypomniał sobie jednak, że znajomy policjant z Lille powiedział mu rok później, iż doszły go słuchy, że ów Gilbert z Lille zginął w bitwie nad Ebro jako żołnierz XIV Brygady Międzynarodowej Les Marseillaise.

Policyjny nos komisarza podpowiadał mu, że Gilbert z Lille być może zmartwychwstał i zabił panią Pregnac. Na razie były to jedynie domysły. Śledztwo trzeba od czegoś zacząć: od jakiejś poszlaki, przypuszczenia, czasami racjonalnego, czasami z pozoru bezsensownego. Juvet był skłonny wierzyć w najbardziej nieprawdopodobne przypadki, choć zachowywał podejrzliwość wobec tego, co podpowiadał mu jego umysł. Racjonalna podejrzliwość — to była podstawa jego postępowania.

Tego samego dnia zatelefonował do Lille, aby tamtejsza policja jak najszybciej przesłała do Paryża wszystkie dokumenty dotyczące Gilberta. Postawił też na nogi połowę wydziału kryminalnego. Chciał mieć nazajutrz wszystkie dokumenty ze wszystkich paryskich urzędów, w których jest mowa o kupcu Jeanie Gilbercie.



Trepper wytrzeźwiał dopiero po dwóch dniach. Po południu, trzeciego maja, poczuł nieprzepartą chęć sprawdzenia, co dzieje się w jego starym mieszkaniu. Wmieszał się w tłum. Wszędzie

pełno było policji. Wiedział już, że znaleziono ciało tej biedaczki Pregnac. Dla niego była tylko wspomnieniem. Już miał wracać, gdy zauważył w tłumie Elene Ortiz. To wyprowadziło go z równowagi. Co ta dziwka tu robi?, pomyślał. Był pewny, że nie przysłał jej Pablo, choć tylko jemu podał swój adres. Postanowił ją śledzić.



Przed południem, szóstego maja, Trepper wszedł do Café de la Nouvelle Athènes. Chciał popatrzeć na Sylvie. Choćby z daleka. Był też ciekaw, czy go rozpozna w przebraniu. Usiadł przy stoliku obok posagu greckiego dyskobola. Wiedział, że Sylvie pracuje głównie na patio. Zamówił kawę i zamierzał przejrzeć popołudniowe wydanie „Paris Observateur”. Gdy kelnerka przyniosła kawę, dostrzegł Sylvie obsługującą gości. Postanowił, że zostawi dla niej u barmana list.

Rozłożył gazetę. Na pierwszej stronie widniało zdjęcie premiera republiki, Paula Reynauda, oraz głównodowodzącego armii, generała Gamełina. Tekst pod zdjęciem zaczynał się od pompatycznego tytułu: FRANCJA ZAWSZE GOTOWA. W środku znajdowała się wkładka dotycząca spraw miasta. Właśnie ona interesowała Treppera. Pod datą piątego maja widniała lakoniczna notatka:

W kamienicy czynszowej przy rue St-Lazare 16 dokonano okrutnego morderstwa. Ofiarą jest czterdziestopięcioletnia właścicielka kamienicy Marie P. Motywy działania mordercy nie są jasne. Policja prowadzi dochodzenie mające na celu wyjaśnienie okoliczności tej ponurej zbrodni. Uprasza się wszystkie osoby mogące pomóc w ustaleniu faktów o kontakt z najbliższym posterunkiem policji.

Tylko tyle. I aż tyle. Trepper odłożył gazetę i upił łyk kawy. Jego umysł pracował na najwyższych obrotach. Był przekonany,



że policja nie kupiła wersji o morderstwie na tle rabunkowym. Musiał jakoś ratować skórę zamożnego przedsiębiorcy Jeana Gilberta, ponieważ ta tożsamość dawała mu we Francji duże możliwości zbierania informacji. Z kieszeni marynarki wyjął ołówek i notes i wyrwał z niego kartkę. Był to firmowy notes Jeana Gilberta z inicjałami w lewym górnym rogu każdej kartki. Skreślił szybko kilka słów. Wstał i koło filiżanki zostawił należność oraz spory napiwek. Podeszedł do grubego barmana, zarazem właściciela lokalu, znanego jako JoJo.

— W czym mogę panu pomóc? — zapytał uprzejmie JoJo.

— Proszę oddać tę kartkę Sylvie Faveur. A to za fatygę.

I do kieszeni grubasa powędrował pięćdziesięciofrankowy banknot.



W tym samym czasie komisarz Juvet wraz z kilkoma ludźmi odwiedził siedzibę „Synteksu”. Był w złym humorze. Fotografie i informacje dotyczące Jeana Gilberta przysły już do Paryża, ale na żadnym zdjęciu nie było dobrze widać jego twarzy. Tajniak z Lille zdecydowanie nie znał się na swojej robocie.

Dwoje pracowników było wyraźnie zdezorientowanych tą wizytą. Dawało to komisarzowi przewagę psychologiczną, której on, stary lis, nie mógł nie wykorzystać. Poprosił ich o dokumenty. Gdy okazało się, że są obcokrajowcami, natychmiast zażądał pozwoleń na pracę. Gdyby Gilbert zatrudnił ich nielegalnie, policja miałaby dodatkowy powód, by narobić mu kłopotów.

Ku rozczarowaniu komisarza, papiery mieli w porządku. Co ciekawe okazało się, że mężczyzna, Pablo Hućscar, urodzony dwudziestego drugiego czerwca 1918 roku w Sewilli, jest od roku obywatelem francuskim. Juvet doskonale wiedział, iż żaden obcokrajowiec nie dostaje tak po prostu francuskiego obywatelstwa. Jeśli ten młody Hiszpan je dostał, to tylko za wstawiennictwem jakiegoś polityka lub... za pieniądze. Teraz Juvet zabrał się za Elene. Zaczął wypytywać ją o przyczynę

opuszczenia ojczyzny, choć znał ją doskonale. Chciał to jednak usłyszeć od dziewczyny i przy okazji rozwiąć resztę wątpliwości.

— Jestem gościem na ziemi francuskiej. Walczyłam za republikę podczas wojny — oświadczyła dumnie panna Ortiz.

Jeszcze jedna komunistka, pomyślał komisarz. Bawił się jej paszportem, bezczelnie wpatrując się w dekolt jej bluzki.

— Jest pani członkinią zdelegalizowanej Francuskiej Partii Komunistycznej? — spytał z ironią.

— Rozczaruję pana, komisarzu — odpowiedziała lekko drżącym głosem. — Nie jestem członkiem partii komunistycznej. Jestem hiszpańską patriotką!

Dziewczyna zaimponowała komisarzowi. Najwyraźniej się go nie bała.

— Możemy się rozejrzeć?

— Oczywiście — odparł Huescar. — Jeśli pokaże mi pan nakaz rewizji.

Komisarz przygryzł dolną wargę. Rzucił Hiszpanowi długie nieprzyjemne spojrzenie.

— Czy mógłbym porozmawiać z waszym szefem?

— Mógłby pan, gdyby tu był. Kilka dni temu wyjechał w interesach — odparła dziewczyna.

— Ach tak... w interesach... i wyjechał wczoraj?

— Tak. Do Bordeaux.

— W takim razie byłbym wdzięczny, gdyby powiadomili go państwo, że gdy tylko wróci, oczekuję go u siebie. — Komisarz położył na biurku swoją wizytówkę.

— A czy moglibyśmy wiedzieć, o co chodzi? — zapytał Pablo.

— Zamordowana została właścicielka kamienicy, w której mieszkał Jean Gilbert. Przesłuchaliśmy wszystkich lokatorów, brakuje nam tylko zeznań pana Gilberta. Nie sądźcie państwo, że to podejrzane, iż wyjechał właśnie teraz?

— Nie ma w tym niczego podejrzanego — zapewnił Pablo. — Szef często wyjeżdża w interesach.

— Chciałbym w to wierzyć — mruknął komisarz.

— Zaraz, zaraz — wtrąciła się Elene. — Czy jest o coś podejrzący?

— To się zobaczy... to się zobaczy... Żegnam państwa. Juvet wyszedł, taksując beczelnie ponętą figurę dziewczyny.

— Nieźle kłamałaś — powiedział Pablo.

— Ty też.

Półtorej godziny później Pablo wyszedł z biura. Z budki telefonicznej zadzwonił do szefa. Poinformował go, że policja, z niejakim komisarzem Edgarem Juvetem na czele, szukała Jeana Gilberta w siedzibie „Syntexu”. Rozmawiali po hiszpańsku.

Huéscar nie zauważył, że szedł za nim policyjny tajniak. Juvet, gdy już złapał trop, nie odpuszczał.

\*

JoJo wręczył Sylvie liścik. Dziewczyna była podekscytowana. Wypytywała, jak wyglądał człowiek, który zostawił karteczkę od Jeana, ale rysopis podany przez JoJo nic jej nie mówił. Poznała inicjały „JG” drukowane srebrną farbą na firmowym papierze. Nie zapomniał! Napisał, że nie mógł przyjść z powodu kłopotów w pracy. Prosił, by spotkali się o wpół do ósmej wieczorem w hotelu Continental.

— JoJo, mam dzisiaj ważne spotkanie, mogę wyjść wcześniej?

— Randka?

— Może tak, może nie. Mogę?

— Pewnie, idź. Też chciałbym, żebyś się ze mną umówiła... — westchnął ze śmieszną afektacją.

— Masz całusa — odpowiedziała uradowana Sylvie, cmokając go w policzek.

★

Po południu, siódmego maja, komisarz Juvet otrzymał wreszcie z wydziału konsularno-paszportowego Ministerstwa Spraw Zagranicznych odpowiedź w sprawie Gilberta. Notatka zawierała informację o dacie wydania nowego paszportu dla obywatela Jeana Gilberta — rok 1939. Stary paszport został zgubiony. Urzędnik, który sporządził notatkę, napisał również, że wydział paszportowy nie będzie ujawniał informacji dotyczących obywatela Jeana Gilberta, ponieważ nie toczy się przeciwko niemu żadne postępowanie, a także nie jest to osoba skazana prawomocnym wyrokiem.

Francja jest państwem prawa.

Juvet przygryzł wargi. Był wściekły. A więc na razie nie ma sposobu, żeby dopaść skurczybyka. Ale już on coś wymyśli.



Sylvie zjawiła się w Continentalu za piętnaście ósma. Hotelowy boy obrzucił ją wymownym spojrzeniem, Sylvie jednak zignorowała go i poszła prosto do recepcji. Podała recepcjoniście nazwisko i zapytała, czy nie ma dla niej jakiejś wiadomości. Mężczyzna wręczył jej białą kopertę z inicjałami „JG”.

Jean napisał, że jākocha i czeka w pokoju dwieście dziewięć. Wsiadła do windy, która zawiozła ją na drugie piętro. Dziewczyna odnalazła pokój i zapukała dokładnie tak, jak jej kazał w liście, trzy razy. Usłyszała znajomy głos:

— Wejdz, kochanie...

Otworzyła drzwi. Na fotelu siedział jakiś obcy mężczyzna i palił papierosa. Po chwili zgasił go w popielniczce i podszedł do niej. Zdjął okulary. Sylvie odsunęła się, zaszokowana. To był Jean, choć gdyby zobaczyła go na ulicy, z pewnością by go nie rozpoznała.

— Tęskniłem za tobą — powiedział, gładząc ją czule po policzku.

— Ja też.

Pocałowali się. Popatrzyła mu w oczy. To były te same oczy, które pokochała. Nie rozumiała, o co w tym wszystkim chodzi.

— Jean, co to znaczy?

W odpowiedzi położył palec na jej ustach. Wpatrywała się z napięciem w jego twarz. Po chwili zrozumiała, że nie powinna o nic pytać.

— Potrzebuję twojej pomocy — powiedział Jean. — Mam poważne kłopoty i chciałbym, żebyś mi pomogła.

Sylvie odetchnęła z ulgą. Była pewna, że usłyszy: „Wiesz, mała, było nam razem dobrze, ale moja żona... sama rozumiesz”.

Poprosił ją, żeby zeznała na policji, iż noc z drugiego na trzeciego maja spędzili razem w jego mieszkaniu.

— Jestem oskarżony o przestępstwo, którego nie popełniłem — mówił. — Ale nie mogę tego udowodnić. Od twoich zeznań wiele zależy, kochanie.

Ostatnie słowa zabrzmiały jak ostrzeżenie. Poczowała się nieswojo.

— Dobrze, zrobię to. Cieszę się, że mogę ci pomóc — powiedziała, zmuszając się do uśmiechu.

Przytulił ją. Tej nocy Sylvie po raz pierwszy zadała sobie pytanie, kim jest mężczyzna, którego pokochała.



Juvet pił poranną kawę, gdy zadzwoniono z portierni i poinformowano, że chce się z nim zobaczyć jakiś mężczyzna mówiący z hiszpańskim akcentem. Zamierza złożyć zeznania w sprawie pana Gilberta. Komisarz pomyślał, że to dziwne. Nieczęsto ktoś przychodził z własnej woli, by złożyć zeznania. Hiszpański akcent... Następny komunista? Podejrzane...

Jednym haustem dopił kawę, włożył marynarkę i pobiegł do holu. Zobaczył wysokiego ciemnowłosego mężczyznę w okularach, zza których spoglądały ciemne inteligentne oczy.

— Czy pan naczelnik wydziału kryminalnego Edgar Ju-

vet? — zapytał nieznajomy, nie próbując nawet ukryć hiszpańskiego akcentu.

— Tak, to ja. Przejdźmy do pokoju przesłuchań. Komisarz wezwał jeszcze dwóch policjantów oraz stenotypistkę.

— Podobno chciałby pan złożyć zeznania w sprawie Jeana Gilberta?

— A jest jakaś sprawa Jeana Gilberta? — zaciekawiał się nieznajomy, unosząc brwi. — Powiedziano mi, że byli państwo w jego biurze i czynili sugestie, iż jest zamieszany w sprawę morderstwa.

— Kto panu to powiedział?

— Tak się składa — odrzekł mężczyzna spokojnie — że współpracuję z firmą „Syntex”. To pracownicy, niezwykle zaniepokojeni, powiedzieli mi, że go pan szuka. Podejrzewanie go o popełnienie przestępstwa jest niedorzeczne. To człowiek o nieposzlakowanej opinii.

— Nie przeczę, teraz jednak chciałbym zobaczyć pańskie dokumenty, panie...

Nieznajomy wyjął z wewnętrznej kieszeni paszport oraz złożony na czworo dokument z Departamentu do Spraw Obcokrajowców Ministerstwa Spraw Zagranicznych i wręczył go komisarzowi.

— Ulysses de la Cruz, obywatel Urugwaju, tymczasowo zameldowany we Francji od tysiąc dziewięćset trzydziestego szóstego roku — czytał komisarz. — Pozwolenie na pracę jest.

Stenotypistka wszystko notowała.

— W takim razie słucham, co ma pan do powiedzenia, panie de la Cruz. — Juvet wbił w Ulyssesa świdrujące spojrzenie.

Urugwajczyk zeznał, że pierwszego maja gościł w mieszkaniu Gilberta przy rue St-Lazare. Przez całą noc grali w karty, a wczesnym rankiem, drugiego maja, wyjechali z Paryża do podmiejskiego magazynu firmy „Syntex”. Po południu wrócili do miasta. Gilbert miał tego dnia spotkać się ze swoją dziewczyną, Sylvie Faveur.

Komisarz zanotował dane dziewczyny i postanowił, że mimo iż Gilbert wydaje się mieć doskonałe alibi, ją także przesłucha. Na wszelki wypadek.



Sylvie Faveur, bawiąc się nerwowo paskiem od torebki, zeznała, że noc z drugiego na trzeciego maja spędziła z Jeanem Gilbertem. Juvet polecił swoim ludziom, żeby ją sprawdzili. Dowiedzieli się, że dziewczyna pracuje w Café de la Nouvelle Athènes. Potwierdził to właściciel lokalu, Jospin Jovan. Mówił, że dziewczyna spotyka się z jakimś mężczyzną, ale nie znał jego nazwiska.

— Nie zaglądam do łóżek moich pracowników — oświadczył dumnie.

Panna Faveur zeznała, że spotyka się z Gilbertem od sześciu miesięcy, ale gdzie przebywa pan Gilbert teraz — nie wiedziała. Pewnie jak zwykle wyjechał w interesach.

## CZESC II



## ROZDZIAŁ 10

### Na tropie

Po kolacji połączonej z oglądaniem meczu Festiger wrócił do domu późno i był wściekły, kiedy o szóstej trzydzieści rano obudził go sygnał komórki.

— Słucham, Festiger... — bardziej jęknął, niż powiedział.

— Dzień dobry, komisarzu. — Poznał głos Elizy Baum. — Przepraszam, że dzwonię tak wcześnie, chciałabym jednak pana prosić, aby przyjechał pan dziś do ambasady.

— O co chodzi?

— To nie jest rozmowa na telefon. Ma to związek z zabójstwem w hotelu.

— Rozumiem.

— O której godzinie pan będzie?

— O dziesiątej.

— W takim razie czekam. To ważne — dodała i się rozłączyła.

Festiger wiedział, że już nie zaśnie. Wstał, poćwiczył trochę, wziął prysznic, zjadł śniadanie i wypił filiżankę piekielnie mocnej kawy z ekspresu. Rano zawsze lubił patrzeć na zdjęcie stojące na kominku, przedstawiające go z jego byłą żoną Louise, choć rozmyślanie o ich nieistniejącym małżeństwie sprawiało mu ból. A nie myślał o tym tylko wtedy, gdy pracował. Z tym większą przyjemnością pojechał do komisariatu.

Al-Douri już był.

— Witaj, Yves. Na twoim biurku jest raport z sekcji zwłok Escobara.

— Czytałeś?

— Rzuciłem okiem. W drugiej teczce jest analiza balistyczna.

— Zanim zacznę czytać, chciałabym ci powiedzieć, że mam dla ciebie robotę.

— Robota mnie kocha... — westchnął Al-Douri.

— Melisa zeznała, że zabójstwo Izraelczyka zlecił facet z blizną na twarzy. Wiem, że to szukanie igły w stogu siana, ale musisz sprawdzić w bazie internetowej wszystkich ludzi notowanych w ciągu ostatnich dziesięciu lat na terenie państw należących do Grupy Schengen.

— To robota głupiego...

— Wiem, ale blizna na twarzy to jedyny konkret, jaki mamy.

— Coś jeszcze?

— Trzeba też sprawdzić, czy taki facet figuruje w kartotekach i bazach danych Interpolu. Jeśli nie czujesz się na siłach, poproś któregoś z informatyków.

Komisarz usiadł za biurkiem i zabrał się do czytania raportów.

Nie ulegało wątpliwości, że Allonso Escobar został zamordowany. W jego krwi oraz tkankach doktor Busc znalazł roztwór cyjanku potasu, który sprawca musiał wstrzyknąć. Ślady ukłucia Busc znalazł na wysokości prawego biodra. Trucizna zabiła chłopaka, zanim zdążył upaść na peron. W jego krwi znaleziono również śladowe ilości kokainy. Escobar miał podrażnioną śluzówkę, a więc lubił sobie wciągnąć.

Jak morderca wszedł w posiadanie roztworu cyjanku?, zastanawiał się komisarz. Tej substancji nie można było tak po prostu kupić. Trzeba zebrać informacje, skąd w ostatnim roku zniknął cyjanek. W grę wchodziły laboratoria naukowe lub ośrodki wojskowe. Chciał również wiedzieć, czy można kupić cyjanek na czarnym rynku, a jeśli tak, to gdzie i w jaki sposób.

Użycie strzykawki z cyjankiem w środku dnia, w metrze pełnym ludzi, świadczyło o fachowości, ale też i skłonności do brawury. Festiger pomyślał, że mordercą mógł być mężczyzna w słomkowym kapeluszu, którego świadkowie zauważyli obok Escobara. Widziała go również Melisa. Musiał śledzić Melisę i chłopaka. Jeśli widział ich razem, niewykluczone, że spróbuje zlikwidować drugiego świadka. Dobrze, że Melisa siedzi w areszcie.

Skoro Escobar wciągał kokę, musiał mieć kumpli, którzy mu ją sprzedawali. Takie męty jak on trzymają się razem. Należało zatem sprawdzić krąg jego znajomych i spróbować dotrzeć do gościa, którego opisała Melisa, a który miał pośredniczyć między zleceniodawcą i Escobarem. Komisarz nie przypuszczał, żeby Escobar miał znajomości w światku płatnych morderców. Był na to za głupi. Morderca, widząc, z kim ma do czynienia, wynajął go za kilka tysięcy dolarów do brudnej roboty, a po jej wykonaniu zabił go, zacierając ślady prowadzące do niego samego. Skoro jednak dał chłopakowi pięć tysięcy dolarów, to znaczy, że sam miał pieniędzy pod dostatkiem. To rzucało pewne światło na charakter zabójstwa starego Izraelczyka. Komuś musiało bardzo zależeć na zlikwidowaniu go. A tym kimś musiała być osoba, która nie liczyła się z pieniędzmi.

Teraz raport balistyczny. Do mężczyzny strzelano z rewolweru Smith & Wesson kalibru 9 milimetrów z tłumikiem. Broni nie znaleziono.



Tym razem pani Baum zachowywała się inaczej niż podczas ich pierwszego spotkania. Spacerowała nerwowo po gabinecie, unikała wzroku komisarza. W języku dyplomatów i policjantów znaczyło to: mam problem. Komisarz, siedząc w wygodnym fotelu, zrobił minę wyrażającą zdziwienie i troskę.

— Komisarzu, pragnę wyrazić stanowisko mojego rządu... — zaczęła pani Baum.

— Ho, ho... Sprawa zahacza o rząd? Widzę, że nie traciła pani czasu...

— Przekazałam papiery do Teł Awiwu. Jeśli oczekuje pan przeprosin za poprzedni raz, to się ich pan nie doczeka.

— Jeśli byłbym męskim szowinistą, pomyślałbym, że się pani podobam, dlatego jest pani taka nieuprzejma.

— Nie należę do tego typu kobiet. Nic pan o mnie nie wie.

— Czy moglibyśmy już przejść do rzeczy? — zapytał Festiger, którego zaczynała męczyć ta infantylna wymiana zdań.

— Hmm... no tak. Pan ambasador polecił mi przekazać panu wyrazy zaniepokojenia śmiercią naszego obywatela, Leopolda Treppera.

— Był jakąś ważną personą?

— Panie Festiger — Eliza Baum usiadła za biurkiem — chciałabym prosić pana o zachowanie pełnej dyskrecji. Nic nie może przedostać się do mediów.

— Dlaczego?

— Ponieważ sprawa jest bardzo skomplikowana i delikatna...

— To akurat zauważyłem — przerwał jej komisarz. — Wasz obywatel posługiwał się na terytorium Francji fałszywym paszportem. Kim był ten człowiek?

Eliza Baum wbiła w komisarza inteligentne szare oczy.

— Zapali pan? — zapytała.

— A mamy na to czas?

Przesunęła w jego stronę paczkę mentolowych marlboro.

— Gra pani na zwłokę — stwierdził Festiger. Uśmiechnęła się lekko.

— A zatem zamieniam się w słuch — powiedział komisarz, zapalając papierosa.

— Panie komisarzu... moja prośba o zachowanie dyskrecji wiąże się z faktem, że człowiek, którego zamordowano, był ważny dla naszego rządu. Oczywiście z racji jego wieku trudno posądzać, że był...

— Szpiegiem?

— Ja bym tego tak nie określiła... Powiem otwarcie, nasz

rząd podejrzewa udział krajów trzecich w dokonaniu tego zabójstwa. Proszę traktować moje słowa jako roboczą hipotezę. Wierzymy, że znajdziecie mordercę — zakończyła z naciskiem.

Cholera, pomyślał Festiger, zabrzmiało to jak: jeśli nie wyjaśnicie sprawy, dobierzemy się wam do skóry.

— Proszę wybaczyć — rzekł, strzepując popiół do popielniczki stojącej na biurku — ale w śledztwie nie posunąłem się ani o krok. Po prostu muszę dowiedzieć się jak najwięcej o zamordowanym i jego życiu. Pani może podzielić się ze mną tą wiedzą. Pytam raz jeszcze: kim był ten człowiek?

— Nazywał się Leopold Trepper. Wszystkie dane personalne z jego paszportu są prawdziwe. Urodził się w Polsce, w Nowym Targu, na długo przed wybuchem drugiej wojny światowej. Przed wojną i zapewne w jej trakcie był związany z wywiadem radzieckim, a dopiero po jej zakończeniu...

— Z waszym — dopowiedział Festiger. — Jednak fakt współpracy z Mossadem nie tłumaczy używania fałszywego paszportu na terenie Francji.

— Panie komisarzu, jest pan inteligentnym człowiekiem, a nie domyśla się pan, że Trepper nie był zwykłym agentem wywiadu? Był jednym z jego twórców i człowiekiem ogromnie zasłużonym w zwalczaniu wrogów państwa Izrael, dlatego jego nagła śmierć tak bardzo nas poruszyła — wyjaśniła Eliza Baum.

— Ale szwedzki paszport...

— Niech pan to zostawi... wszystko Szwedom wyjaśnimy — ucięła. — Chcemy, żebyście wzięli pod uwagę kontekst międzynarodowy.

— Komu Trepper mógł tak bardzo zależeć za skórę? — zastanawiał się Festiger. — Irak? Syria? Jakieś inne kraje islamskie?

— Nie mogę mówić o tych sprawach ani o żadnych aspektach działalności pana Treppera podczas lat jego służby.

No tak, z wywiadu nigdy tak naprawdę się nie odchodzi, pomyślał komisarz. To układ towarzyski na całe życie.

— Miał rodzinę?

— Nie.

— Czy wiedział, że jest chory na raka?

— Tak. Generał leczył się w klinice onkologicznej na przedmieściach Tel Awiwu, skąd na własne życzenie wyszedł dwa tygodnie temu. Nie wiemy, dlaczego to zrobił. Poleciał do Europy. Zmylił naszych agentów, którzy mieli go ochraniać. Zniknął im z oczu.

— Generał? — zdziwił się Festiger.

— Powiedziała, że uczestniczył w tworzeniu naszego wywiadu, więc powinien się pan domyślić, jaki miał stopień — prychnęła pani Baum.

— Mamy już tych, którzy wykonali wyrok. Zrobimy wszystko, żeby dowiedzieć się, kto ich wynajął.

Brwi Elizy Baum powędrowały w górę.

— To kolumbijski emigrant i młoda Francuzka, pracownica hotelu, w którym Trepper się zatrzymał — oznajmił komisarz. — Nie byli to islamscy fundamentaliści — dodał.

— Gratuluję — mruknęła pani Baum.

Komisarz nie zwrócił uwagi na nutę ironii w jej głosie.

— Czy pani wie, dlaczego ktoś taki jak generał Trepper, noszący złoty zegarek za tysiąc dolarów, wynajmuje pokój w tanim hotelu?

— Mogę tylko powiedzieć, że generał Trepper był człowiekiem samotnym, dziwakiem. Nie miał rodziny. Dlatego nasz rząd chciałby przewieźć jego ciało i pochować je w naszej ziemi...

— Nie widzę przeszkód. Proszę, to jest adres kostnicy. — Komisarz wyrwał z notesu kartkę i napisał szybko adres.

Wyglądało na to, że wyczerpali temat. Uzgodnili, że jeśli wydarzy się coś istotnego, Festiger zadzwoni na komórkę pani Baum.

Jadąc do komisariatu, był pewny, że Eliza Baum nie powiedziała mu całej prawdy.



Przy biurku Festigera siedział Al-Douri. Nie wyglądał na zadowolonego.

— Co jest? — rzucił komisarz.

— Poczytaj sobie. — Al-Douri podał mu najnowsze wydanie „Nouvel Observateur”. — Na trzeciej stronie.

Artykuł był zatytułowany *Morderstwo emerytowanego izraelskiego dyplomaty* i podpisany inicjałami IR. Niewątpliwie doszło do przecieku. Tekst nie zdradzał szczegółów śledztwa, ale wyraźnie sugerował wątek terrorystyczny.

— Dokładnie to samo wciskała mi przed południem pani Baum z ambasady — mruknął Festiger, przebiegając tekst wzrokiem.

— Sądysz, że artykuł został zainspirowany przez kogoś z ambasady?

— Nie wiem. Możliwe. Miałem wrażenie, że Izraelczykom bardzo zależy na tym, żebyśmy dowiedli, iż morderstwo miało takie właśnie tło. Ale to byłoby zbyt proste. Gdyby nawet jakaś palestyńska bądź inna islamska grupa terrorystyczna próbowała pozbyć się generała Treppera, czy wynajmowaliby do tego celu Kolumbijczyka i Francuzkę?

— Był generałem? — Al-Douri zagwizdał. — Myślę, że nie. Sami wykonaliby wyrok — orzekł.

— Morderca — ciągnął Festiger — wynajął tych dwoje, żeby odsunąć od siebie wszelkie podejrzenia. Ale coś go spłoszyło, bo zabił Escobara zbyt szybko i do tego w miejscu publicznym, gdzie łatwo mógł wpaść.

— No właśnie — przytaknął Al-Douri. — Zabił Kolumbijczyka roztworem cyjanku, co dowodzi jego pomysłowości, ale przecież gdyby zależało mu na pozbyciu się go, mógł się z nim umówić w jakimś lesie pod Paryżem i tam go załatwić.

— Mnie też się tak wydaje. Ale to nie wszystko. Trzeba przyznać, że plan nie był głupi. Płatny morderca dostał zlecenie na Treppera, ale zabójstwo miało wyglądać na egzekucję, choć mógł przecież upozorować napad rabunkowy. Wynajął więc głupiego Escobara, zapłacił mu pięć tysięcy zielonych, a potem

go załatwił. Mamy dwa trupy, a prawdziwy morderca zataił ślady po sobie i po swoim zleceniodawcy.

— Tylko dlaczego zabił Escobara w metrze? — zastanawiał się Al-Douri. — Świadkowie mówili, że obok Kolumbijczyka stał wysoki facet w słomkowym kapeluszu. Nietrudno połączyć go z zabójstwem, choć na razie nie mamy na to dowodów.

— Nawet jeśli ich nie mamy, możemy dedukować dalej. Morderca wiedział, że Escobar będzie na stacji Exelmans. Śledził go. Albo się z nim umówił. Ale mamy przynajmniej coś dla sędziego Fauchaux. Musisz ze mną pójść. Chciał, żebyśmy przynieśli raport trzynastego.

— To pojutrze — westchnął Algierczyk.

— Co znalazłeś w komputerowych bazach danych?

— Bez pomocy informatyków niewiele bym zdziałał. Ściągamy teraz pliki z kartoteki Interpolu. Przekazali nam dossier wszystkich notowanych morderców, handlarzy narkotyków, i międzynarodowych handlarzy bronią, którzy mają znaki szczególne na twarzy. Jest tego trochę. Ale jest jeszcze coś.

— A mianowicie?

— Przeglądając strony internetowe, trafiłem na stronę miłośników kryminalistyki. To taka nieformalna grupa studentów prawa ze specjalizacji kryminalistycznej na uniwersytecie w Lyonie, która szuka w archiwach ciekawych nierozwiązanych spraw. Dzieciaki bawią się w detektywów. Jeden artykuł był interesujący... — Al-Douri wyciągnął plik zadrukowanych kartek spiętych zszywaczem i wręczył je Festigerowi. — Napisał to jakiś student, zaintrygowany sprawą zagadkowego zabójstwa sprzed pięćdziesięciu ośmiu lat, jakiego dokonano w tym samym miejscu i w tym samym budynku, gdzie zamordowano Izraelczyka. Zginęła wtedy właścicielka kamienicy, niejaka Marie Pregnac, notabene matka byłych właścicieli kamienicy, braci Pregnac.

— Skąd o tym wiesz? — zapytał zaintrygowany komisarz.

— Przeglądałem dokumentację kamienicy. Od ciebie nauczyłem się, że w śledztwie wszystko jest ważne.



— Dobra robota, ale na razie nie mam czasu czytać artykułu jakiegoś młodego Poirota. Muszę jechać.

— Dokąd?

— Chcę sprawdzić, czy autorka listu znalezionego przy starym, ta Amerykanka, przypadkiem nie jest już w Paryżu.

★

Komisarz zatrzymał samochód przed hotelem Continental. Natychmiast podszedł do niego ubrany w beżową liberię parkingowy.

— Zajmę się pańskim autem — powiedział uprzejmie.

— Uważaj na nie, chłopcze — mruknął Festiger. Nie lubił, gdy ktoś obcy dotykał się do jego samochodu.

Wszedł do pustego hotelowego holu. W recepcji siedział młody mężczyzna, wpatrując się w ekran monitora. Gdy komisarz podszedł do szerokiego blatu z wiśniowego drewna, recepcjonista drgnął, jakby nagle powrócił do rzeczywistości.

— Czym mogę służyć? — zapytał zmieszany, nie omieszkał jednak obrzucić lekko pogardliwym spojrzeniem sztruksowej marynarki i dwudniowego zarostu komisarza. Równie dobrze mógłby powiedzieć: spieprzaj stąd i nie zawracaj mi głowy. Festiger pokazał mu policyjną legitymację. Recepcjonista zbladł i wyprostował się gwałtownie.

— Słucham pana uprzejmie — powiedział.

— Szukam Amerykanki w wieku około osiemdziesięciu lat.

— Nazwisko?

— Gdybym je znał, nie zawracałbym panu głowy.

— W takim razie nie mogę panu pomóc — uciał recepcjonista, a na jego twarz powrócił ten sam wyraz — bezczelny i wyzywający.

— Chciałbym, żeby pan sprawdził, czy w spisie gości nie figuruje Amerykanka o imieniu rozpoczynającym się na literę S, w wieku około osiemdziesięciu lat — powiedział Festiger, starając się, by zabrzmiało to spokojnie i uprzejmie.

— Jest mi bardzo przykro, ale nie mogę panu pomóc. Nie udzielamy informacji o naszych gościach.

— Jestem policjantem.

— Nawet jeżeli ma pan nakaz lub prośbę na piśmie od przełożonego, nie będziemy w stanie panu pomóc. Nasza firma nie udziela informacji o swoich gościach — powtórzył.

Festiger wyciągnął papierosa i już miał zamiar włożyć go do ust, gdy recepcjonista powiedział:

— Jeśli chce pan zapalić, proszę udać się do specjalnie przeznaczonego do tego celu pomieszczenia, które znajduje się na pierwszym poziomie pod ziemią, lub wyjść z hotelu.

Festiger przymknął na chwilę oczy. Czuł, że zaraz wybuchnie.

— Chcę rozmawiać z pańskim szefem — wycedził przez zęby.

— Mój szef powie panu to samo co ja... Nasze przepisy stanowczo zabraniają...

— Podaj mi zaraz książkę meldunkową — powiedział cicho komisarz, opierając się obiema rękami o blat—jeśli nie chcesz, żebym powiedział twojemu szefowi, że w czasie pracy oglądałeś pedalskie porno na komputerze należącym do hotelu. Dobrze widziałem, co robiłeś.

Zapadła cisza. Recepcjonista z pewnego siebie urzędasza zamienił się w potulnego, posłusznego człowieka i zapytał:

— Jak brzmiała pierwsza litera imienia tej Amerykanki?

— S. Proszę sprawdzić wszystkie starsze kobiety ze Stanów, które zameldowały się po szóstym czerwca. Towarzyszyć tej osobie może dwudziestoparoletnia kobieta.

— Tak... jest taka pani — mruknął recepcjonista, wpatrując się w ekran komputera. — Sylvie Ivory. Starsza. Zameldowała się przedwczoraj. Mieszka w apartamencie dwieście dziewięć.

— Świetnie! Czy mógłby pan do niej zatelefonować i oddać mi słuchawkę?

Recepcjonista wskazał dłonią przegródkę, w której znajdował się klucz do jej pokoju.

— Wyszła.

— W takim razie zostawię jej moją wizytówkę.

Recepcjonista włożył ją do przegródki z kluczem. Festiger już miał odejść, kiedy recepcjonista powiedział:

— Panie policjancie, nie wiem, czy to ma jakieś znaczenie, ale nie jest pan pierwszą osobą, która dzisiaj pytała o tę kobietę. Był tu taki dziwny facet...

— Dlaczego dziwny? — zapytał zaintrygowany komisarz.

— Wysoki, bardzo elegancki... zapamiętałem go, bo miał szramę na prawym policzku, o taką.

Przesunął palcem od prawego ucha do brody.

— To był blondyn, nie mówił czysto po francusku, powiedziałbym nawet, że z wyczuwalnym niemieckim akcentem. Wie pan, mamy gości z różnych stron świata. Są to często Niemcy, którzy przeważnie mówią tylko po angielsku, ale jeśli przypadkiem mówią po francusku, to zazwyczaj okropnie... twardo... gardłowo, jak ten blondyn z blizną.

— Nawet nie wie pan, jakie to ważne — odpowiedział Festiger. — Dziękuję. — Wyciągnął do recepcjonisty rękę. — Oczywiście nie sypnąłbym pana przed szefem... — dodał.

— Ach, drobiazg, już zapomniałem — odrzekł recepcjonista, wykonując dłonią teatralnie kobiecy ruch. — Gdyby miał pan kiedyś ochotę... to wie pan, gdzie mnie szukać — uśmiechnął się.

Komisarz miał nadzieję, że chłopak żartuje. Dlatego na wszelki wypadek też się uśmiechnął.

— Nie, dzięki, wolę kobiety — mruknął, starając się ukryć niesmak.

Postanowił, że przyśle do hotelu dwóch policjantów, żeby pilnowali Sylvie Ivory. Morderca z blizną okazał się realny, choć wczoraj Yves nie uwierzył Melisie.

Koło dwudziestej skończył pisać ostateczną wersję sprawozdania dla sędziego. Potem pojechał do pubu, gdzie umówił się z Al-Dourim, który po całym dniu siedzenia przed komputerem wyglądał na wyczerpanego. Do pubu zajrzał też doktor Busć, który zjadł ogromną ilość smażonych krewetek i pokłócił się z Yves'em o piłkę nożną. Opróżnili dwie butelki wina. Al-Douri nie pił. Żył według nakazów swojego świata.

## ROZDZIAŁ 11

### Człowiek z blizną

Siwa czupryna sędziego Fauchaux pochylała się nad raportem, jaki przed kilkoma minutami przynieśli Festiger i Al-Douri.

Fauchaux nie lubił Festigera. Nie akceptował jego brutalnych metod wyciągania zeznań ze świadków, chociaż musiał przyznać, że czasami były niezwykle skuteczne. Jednak ta niechęć miała głębsze podłoże. Ojciec Festigera, Jacques, był emerytowanym wojskowym — zwolennikiem generała de Gaulle'a. Podczas zamieszek w 1968 roku stali po przeciwnych stronach barykady. To wystarczyło, żeby Fauchaux patrzył krzywo na syna kogoś, kto był zwolennikiem rządów silnej ręki.

— Uważam, że hipoteza komisarza Festigera o nieznanym zleceniodawcy jest nieco naciągana — stwierdził sędzia, gdy przejrzał pobieżnie raport. — Nie uważa pan, komisarzu, że dobry detektyw nie powinien budować dochodzenia jedynie na hipotezach?

Festiger posłał Al-Douriemu znaczące spojrzenie.

— To tylko jeden z możliwych scenariuszy — zauważył.

— Otóż to — podchwycił sędzia. — Scenariusze... Pan próbuje mi udowodnić, że ktoś wynajął zawodowego mordercę, który następnie wynajął kolumbijskiego emigranta, który dokonał morderstwa... To się kupy nie trzyma, Festiger. Uważam,

że wątek zasugerowany panu przez panią charge d'affairs ambasady Izraela jest bardzo interesujący. Myślę, że powinniście pójść tym tropem.

Festiger był wściekły, za to Al-Douri siedział niewzruszony, patrząc w okno.

— Panie sędzio, to są fakty — odezwał się komisarz, starając się mówić wolno i spokojnie. — Mamy zeznania świadka i współuczestnika zabójstwa, Melisy le Beouff. Recepcjonista z Continentalu powiedział, że opisany przez nią mężczyzna z blizną pytał o starszą Amerykankę, która napisała do Treppera list. Oczywiście jeśli zapyta mnie pan o dowody, odpowiem, że poza tymi zeznaniami nie mam niczego. Ale mam za to nosa, panie sędzio. Wiem, że idziemy w dobrym kierunku.

— Nosa? — prychnął sędzia. — Pan żartuje, Festiger!

— Tak, nosa. Ile spraw kryminalnych pan nadzorował?!

— A co to ma do rzeczy?

— Ma. Jestem gotowy z panem współpracować, ale nie pozwolę nikomu wtrącać się do śledztwa. Nawet panu.

Twarz sędziego zrobiła się purpurowa.

— Raport, który przygotowaliśmy wspólnie z podkomisarzem Al-Dourim jest rzetelny — ciągnął Festiger. — Jeśli uważa pan inaczej, to proszę wskazać, gdzie popełniliśmy błędy, które mogłyby zdyskwalifikować nas jako detektywów. A jeśli nie, to proszę pozwolić nam pracować.

— Niech pan uważa na słowa, Festiger — wycedził sędzia. Al-Douri oderwał wreszcie wzrok od okna i powiedział,

wyraźnie wymawiając każde słowo:

— Panie sędzio, mój partner wkłada w to śledztwo dużo pracy. Mogę jedynie potwierdzić jego słowa. Ponadto myślę, że jakiegokolwiek spory nie służą dobru śledztwa. Jest czerwiec, jesteśmy zmęczeni, myślimy o urlopach. Dlatego proponuję zabrać się ostro do roboty i zakończyć tę sprawę najszybciej jak to możliwe.

Sędzia zamierzał coś powiedzieć, ale rozdzwoniła się komórka Festigera.

— O, dorobił się pan telefonu komórkowego, jak miło!  
mruknął z przekąsem sędzieja.

Festiger, nieco zmieszany, wyłączył telefon.

— Właśnie wczoraj kupiłem — wybąkał.

— W takim razie poproszę o numer. Muszę mieć z panem kontakt. I proszę informować mnie na bieżąco... Żegnam panów.

— Co za palant! — syknął Festiger, gdy znaleźli się na korytarzu.

— Niepotrzebnie dajesz mu powody do ataków. Jesteś taki narwany — powiedział Al-Douri. — Ale fakt, sędzieja cię nie lubi. Czym tak zalazłeś mu za skórę?

— Czy ja wiem? Może nie wszyscy muszą nas lubić?

— Yves, nic nigdy nie dzieje się bez przyczyny.

Spod ministerstwa pojechali prosto do Continentalu. Dwaj policjanci z ekipy Festigera, którzy spędzili całą noc w holu, powiedzieli, że Amerykanka i towarzysząca jej młoda kobieta nie wróciły na noc.



Hermann Krabbe zatrzymał się w tanim motelu pod Paryżem. Był Niemcem, miał trzydzieści siedem lat. Jako młody chłopak związał się z radykalnym odłamem NPD, faszyzującej partii nacjonalistycznej. Mając lat dwadzieścia, uczestniczył w zabójstwie tureckiego emigranta w rodzinnym Hamburgu. Dostał za to dwadzieścia lat odsiadki. Po dziesięciu latach za dobre sprawowanie został przeniesiony do więzienia o złagodzonej rygorze. To był błąd, bo Hermann szybko złapał kontakt ze starymi kumplami, którzy zorganizowali mu trefne dokumenty, ubranie, trochę pieniędzy i pomogli uciec.

Tak więc po jedenastu latach, czterech miesiącach i szesnastu dniach Hermann Krabbe znalazł się na wolności. Gdy siedział, runął mur berliński, powstała Unia Europejska i łatwiej było podróżować. W Niemczech nie miał czego szukać, więc wyjechał do Francji. Pracował na budowie, ale praca wśród arabskich

emigrantów, którymi z całej duszy pogardzał, zdecydowanie mu nie odpowiadała. Zaciągnął się do Legii Cudzoziemskiej, gdzie mógł, przy okazji interwencji w krajach afrykańskich, bezkarnie rozprawiać się z czarnuchami. To lubił. Czuł, że z każdym zabitym czarnym świat staje się lepszy.

Po czterech latach służby był znakomicie wyszkolonym żołnierzem, ale kiedy kontrakt się skończył, nie zamierzał go przedłużać. Wolał siedzieć w Europie. Tam też mógł usuwać „brudasów”.

Pracował trochę jako ochroniarz, ale tylko po to, by mieć czas na nawiązanie odpowiednich kontaktów. W końcu zaczął dostawać zlecenia na różnych ludzi, ale chętnie wybierał te, przy których mógł dawać upust swojej nienawiści do *unter-menschów* — jak o nich mówił. W 1996 roku dostał najdziwniejsze zlecenie w swojej karierze. Pamiętał dobrze ten listopadowy dzień. Zazwyczaj nie wykonywał zleceń w kraju, w którym mieszkał na stałe, czyli w Szwajcarii — gdzie nikt nikogo nie wypytywał o przeszłość i wszyscy sąsiedzi uważali go za normalnego, płacącego podatki obywatela. Za zaoszczędzone pieniądze otworzył pod Zurychem piwiarnię. Zatrudnił kilka osób, sam rzadko tam bywał.

Zlecenia przyjmował za pośrednictwem anonimowego konta internetowego, jednak w przypadku zlecenia na starego izraelskiego wojskowego było inaczej. Najpierw Hermann odebrał dziwny telefon. Nie miał pojęcia, skąd rozmówca znał jego numer. Był to stary i schorowany człowiek, mówiący świszczącym astmatycznym głosem. Na samym początku rozmowy poprosił, by Hermann nie rozłączał się i go wysłuchał. Wyjaśnił, że polecił mu go były klient z Francji, zamożny handlarz winem, który pozbył się kiedyś z jego pomocą znieawidzonej żony. Hermann pamiętał tę sprawę, to było jedno z jego pierwszych zleceń. Wtedy nie używał jeszcze Internetu, tylko telefonu. Nie zmienił numeru.

Mężczyzna oznajmił, że ma dla Hermanna niezwykle interesującą propozycję. Niemiec już miał odmówić, ponieważ

podejrzewał, że rozmowa jest nagrywana, ale kiedy usłyszał sumę, jaką zleceniodawca zamierzał zapłacić za zlikwidowanie Leopolda Treppera, człowieka znanego w Izraelu, o mało nie zakrztusił się z wrażenia. Dwa miliony franków plus koszty.

W tym zleceniu wszystko było dziwne: i to, że Trepper był szyszką, i to, że był strasznie stary, miał prawie dziewięćdziesiąt lat i pewnie niedługo i tak by umarł. Jednak dwa miliony pozwoliłyby Krabbemu wycofać się wreszcie z interesu, i dlatego zlecenie przyjął.

Pojechał do Izraela i zaczął deptać Trepperowi po piętach. Szybko się zorientował, że stary ma ochroniarza, poza tym dokonanie zabójstwa w Izraelu nie wchodziło w grę. Kiedy zastanawiał się, jak to rozegrać, od zleceniodawcy przyszła wiadomość: Trepper musi umrzeć we Francji. Krabbe potraktował to jako jeszcze jedno dziwactwo klienta, ale było mu to na rękę.

Siedząc Treppera, musiał za nim pojechać na trzy dni do Londynu, a potem do Kolonii. Stamtąd Izraelczyk udał się do Paryża. Najpierw zamieszkał w Continentalu, a potem, z niewiadomych powodów, przeniósł się do małego hoteliku przy rue St-Lazare.

Hermann doszedł do wniosku, że nie będzie nadstawiał karku i sam mordował starego. Przez byłego kolegę z Legii, teraz handlarza narkotyków, Hiszpana Raoula Jimeneza, nawiązał kontakt z młodym Kolumbijczykiem, naiwniakiem, rozpaczliwie potrzebującym forsy.



Hermann włączył laptopa i przesłał e-maila z numerem kupionego rano telefonu komórkowego na kartę. Po rozmowie miał go wyrzucić.

Po półgodzinie komórka zadzwoniła.

— Czy mój przyjaciel wyjechał już w planowaną podróż? — rozległ się w słuchawce ochryply głos przerywany świszczącym oddechem.



— Tak. Razem z nim pojechał ten młody człowiek. Ale wynikł pewien problem, chłopak miał przyjaciółkę...

— Więc proszę się nią zająć! — starzec nie krył irytacji. — I niech pan nie zapomni o mojej amerykańskiej znajomej. Prześlę panu pieniądze na bilet dla niej — dodał i się rozłączył.



Na szafce stojącej obok szpitalnego łóżka leżały dwie książki — *Książę Machiavel* lego i *Faidros* Platona. Chory czytał je namiętnie, a lekturę przerywały mu rozmyślania o zemście, której plan układał od tak wielu lat.

Pierwsza część planu została wykonana. Trepper nie żył. Pozostała druga część — zabicie pewnej starej kobiety. Na jej ślad trafił kilkanaście lat temu, kiedy był na urlopie w Stanach Zjednoczonych. Wtedy jeszcze mógł chodzić. Dwa tygodnie spędził w Arizonie na ranczu przyjaciela, byłego attache wojskowego amerykańskiej ambasady w Paryżu. Jego sąsiadem był lekarz James Ivory i jego żona Sylvie.

## ROZDZIAŁ 12

### Pozdrowienia z Moskwy

Jacques Duclos obudził się wczesnym rankiem dziesiątego maja w złym humorze. Zjadł zbyt obfitą kolację i przez całą noc dokuczala mu niestrawność. Dopiero koło drugiej udało mu się zasnąć, lecz o czwartej się obudził. Zapalił nocną lampkę. Postanowił poleżeć jeszcze ze dwie godziny.

Duclos był wrażliwym człowiekiem. Kolekcjonował piękne przedmioty, lubił chodzić na koncerty. Był estetą i smakoszem.

We Francji mieszkało i działało dość liczne grono komunistów takich jak on. Odnalezienie Alfreda Corbina nie było trudne. Informację, której Urugwajczyk de la Cruz tak bardzo potrzebował, Duclos zdobył szybko i umieścił w umówionej skrytce pocztowej.

O wpół do szóstej wstał i włączył radio. Nadawano muzykę poważną. Zaraz powinny być pierwsze wiadomości. Pościelił łóżko, ogolił się, wziął prysznic i się ubrał. O szóstej z radia nadal płynęła muzyka. To dziwne, pomyślał Duclos. Po chwili nastąpiła irytująca cisza, jakby popsuł się odbiornik. Już miał podejść i sprawdzić, co się dzieje, gdy rozległ się trzask i spiker zapowiedział, że premier Republiki Francuskiej, Paul Reynaud, wygłosi oświadczenie.

Premier mówił cichym, łamiącym się głosem.

Niemiecka armia we wczesnych godzinach rannych dokonała

inwazji na Belgię, Holandię i Luksemburg. Na granicy francusko-niemieckiej, w Lotaryngii i Alzacji, już trwają walki. Premier oświadczył, że wojska Hitlera na razie utknęły w Belgii. Wyraził przekonanie, że tak jak w roku 1918 Francja wyjdzie z tej próby zwycięsko. Potem zabrzmiała *Marsylianka*. Przerażony Duclos w kapciach zbiegł po schodach, by w najbliższym kiosku kupić gazetę.



Przed południem, trzynastego maja, współpracownik Ławrentija Berii, podpułkownik Iwan Sierow, siedział przed gabinetem Stalina na Kremlu. Czekał już godzinę. Po plecach spływały mu krople potu. Jak przed każdą rozmową z wodzem.

O wpół do pierwszej z gabinetu Stalina wyszedł zdenerwowany Georgij Malenkow, sekretarz KC WKP(b)<sup>1</sup>, który z ramienia Komitetu Centralnego nadzorował produkcję lotniczą. Właśnie złożył Stalinowi raport. Usłyszał, że inżynierowie źle pracują. Wiedział, co to oznacza. Miał w teczce dokument, który skazywał na dziesięć lat łagru co dziesiątego inżyniera zatrudnionego w zakładach lotniczych na terenie całego ZSRR. Otwierało to pole do nadużyć, ale Stalin osiągał swój cel — więcej władzy dla NKWD, to więcej strachu, a więcej strachu, to więcej uległości, a im większa uległość obywateli, tym większa władza Stalina. Wszyscy oficerowie NKWD patrzyli sobie na ręce. Każdy pilnował każdego.

— Teraz wasza kolej, towarzyszu — rzucił Malenkow ze złośliwym uśmiechem.

Sierow spojrzał z pogardą na grubego Malenkowa, wstał i obciągnął mundur. Ruszył w kierunku masywnych drzwi.

W wielkim gabinecie Stalina panował zaduch, bo nie było w nim okien. Zamurowano je, ponieważ Stalin bał się zamachu. Niewielu ludzi o tym wiedziało. Ale Sierow wiedział. Parkiet

---

<sup>1</sup> WKP(b) — Wszechzwiązkowa Komunistyczna Partia (bolszewików)

z czarnego orzecha błyszczał od częstego pastowania, ściany zdobiły gobeliny i obrazy rosyjskich malarzy. W pomieszczeniu było mroczno, tylko na biurku paliły się dwie lampy oraz lampa na stoliku obok biurka, gdzie stała też karafka z wodą i druga karafka z wytrawnym gruzińskim winem, ulubionym trunkiem Stalina.

Stalin siedział za biurkiem — niski, barczysty, w szarym mundurze, z włosami przyprószonymi siwizną. Jego ospowata twarz była odrażająca. Palił fajkę i lekko kiwał głową, przeglądając jakieś dokumenty. Sierow stał na baczność, nie miał odwagi przeszkodzić wodzowi.

— No, co tam dla mnie macie, Sierow? — zapytał Stalin po dobrej minucie, nie podnosząc głowy.

Sierow przełknął ślinę, odchrząknął i powiedział:

— Dwie sprawy, Józefie Wissarionowiczu.

Wpatrywał się w portret Lenina wiszący na ścianie za biurkiem. Nigdy nie należało patrzeć wodzowi w oczy. Bardzo tego nie lubił.

— Mówcie.

Stalin rozparł się w fotelu, wysypał popiół z fajki do kryształowej popielniczki, i zaczął na nowo nabijać ją gruzińskim tytoniem z małego woreczka.

— Towarzysz Beria melduje, że sprawa polskich oficerów została zakończona, tak jak planowano. Zlikwidowano cały ten niebezpieczny, wrogi klasowo element.

— Zakopaliście wszystkich?

— Tak jest, dwadzieścia tysięcy ludzi leży w ziemi — odparł Sierow.

— Dobrze, powiedzcie Berii, żeby zasadził tam drzewa.

— Tak jest.

— A druga sprawa?

— Odezwał się Trepper. — Oficer położył przed Stalinem teczkę, po czym zrobił dwa kroki do tyłu.

— Znów nadaje — dodał. — Według niego Niemcy przekroczyli już linię Mozy, prawdopodobnie Linia Maginota jest zagrożona.

— Taak — mruknął Stalin, otwierając teczkę. — Pamiętam go. Zdolny człowiek. Prawie jak Tuchaczewski. Pamiętacie, iloma władał językami?

— Sześcioma.

— A wy, Sierow, ile znacie, co? Lepiej nie mówcie... Wszyscy jesteście niedouczeni.

Stalin przebiegł wzrokiem meldunek szpiega.

— Gdzie on teraz jest? — zapytał.

— Na zachodzie Europy.

— Ale nie wiecie dokładnie gdzie?

— Prawdopodobnie we Francji. Informuje o walkach na froncie w tym kraju. Ukrywa się. Towarzysz Beria nie zdołał go zlokalizować. Wiemy, pod jakim nazwiskiem działał w Hiszpanii podczas wojny domowej.

— Pod jakim?

— Podawał się za Urugwajczyka Ulyssesa de la Cruz. Zapadło milczenie. Stalin pykał fajkę i nad czymś się zastanawiał.

— Powiedźcie Berii, żeby jutro „Prawda” napisała jakiś artykuł o imperium kolonialnym Francji — odezwał się po „hwiH. — Nasi ludzie muszą wiedzieć, że Francuzi gnębili inne ludy w koloniach. Niech napiszą też, że między narodowym socjalizmem w Niemczech a komunizmem u nas jest zasadnicza zbieżność ideologiczna... No, wiecie, takie tam brednie... Nie znam się na sprawach ideowych... niech Żdanow coś napisze. On to potrafi... Ja nie mam do tego głowy.

— Tak jest, towarzyszu pierwszy sekretarzu. — Sierow stuknął obcasami.

— A co do Treppera, to poślijcie mu wiadomość, żeby pracował dalej i że Stalin o nim pamięta. Tak właśnie mu napiszcie, że towarzysz Stalin pamięta.

To było wyraźne ostrzeżenie za niesubordynację w Hiszpanii.

— Wyślijcie też do Francji najlepszego agenta, jakiego macie. Byłoby dobrze, żeby znał Treppera. Niech go odnajdzie i nie spuszcza z oka.

— Rozkaz, towarzyszu Józefie Wissarionowiczu!

Stalin wstał zza biurka i podszedł do Sierowa. Oficer poczuł silny zapach tytoniu.

— Sierow, powiedzcie mi prawdę... — zaczął Stalin ze złośliwym błyskiem w oczach. — Czy nie mielibyście ochoty się zastrzelić?

To żart, pomyślał Sierow, jakiś straszny żart! Stalin lubił dręczyć ludzi.

— Towarzyszu Józefie Wissarionowiczu — wyszeptał — taki idiota jak ja chciałby jeszcze trochę pociągnąć...

Stalin uśmiechnął się pod wąsem i mruknął:

— Pewnie, że chcielibyście pożyć... wszyscy byście chcieli. — Poklepał Sierowa po ramieniu. — *Zuch mołodiec...* idźcie, idźcie złapać tego zdrajcę z Francji.



Nazajutrz Trepper kupił wszystkie najświeższe dzienniki. Na podłodze w dużym pokoju rozłożył kilka wojskowych map. Od kiedy zaczęła się inwazja, zaznaczał kolorowymi skrawkami papieru pozycje wojsk niemieckich, angielskich i francuskich. Wiedział, że gdy Niemcy ostatecznie zwyciężą, zacznie się jego praca.

Tydzień później, dwudziestego maja, sytuacja Francuzów znacznie się pogorszyła. Niemiecka armia dotarła tego dnia do ujścia Sommy pod Abeville. Niemcy w ciągu dziesięciu dni zdołali odciąć cały Brytyjski Korpus Ekspedycyjny i część wojsk francuskich we Flandrii. W sumie czterysta pięćdziesiąt tysięcy ludzi. Stało się dokładnie tak, jak przepowiedział Gilbertowi tajemniczy niemiecki głos w słuchawce podczas rozmowy w połowie kwietnia. Niemieckie czołgi pokonały pasmo Ardenów i odcięły Anglików i Francuzów od Paryża.

Trepper, podczas tych dni, kiedy nie mógł pokazywać się w mieście jako Jean Gilbert, wiele razy zastanawiał się nad

wiadomością, jaką Joseph Greenveld przesłał mu z Amsterdamu. Kończyła się słowami: „Stalin o was pamięta, towarzyszu Trepper”.

Czuł, że na Wschodzie, w jądrze ciemności, czeka na niego cela na Łubiance. Na samo wspomnienie śledztwa krew ścinała mu się w żyłach. Wiedział, że przed NKWD nigdzie się nie ukryje. Jeśli będą chcieli go odnaleźć, to choćby miało im to zająć całe lata — dopną swego.

Wiedział, że żyje na kredyt.



Kapitan Pierre Georges w tych dramatycznych dniach przebywał na froncie w Eperney. Był to małe miasteczko w Szampanii, słynące z produkcji znakomitych białych win. Główną ulicą ciągnęły kolumny uchodźców. Klaksony samochodów mieszały się z rżeniem koni i płaczem dzieci. Nikt nie pilnował porządku. Panował chaos. Kiedy Gilbert mówił mu, że Francja skończy tak samo jak Polska w 1939 roku, Pierre śmiał się. Teraz wojska francuskie cofały się w kierunku Paryża, żeby obronić stolicę przed niemieckimi czołgami.

Nagle ktoś krzyknął, że nadlatuje samolot. Pierre popatrzył w górę, osłaniając dłonią oczy przed słońcem. Messerschmitt wyglądał na tle nieba jak wielki ptak. Zaczął pikować w dół i kilkadziesiąt metrów nad ziemią, z dwóch karabinów maszynowych usytuowanych po obu stronach kadłuba, wystrzeliły strumienie pocisków. Georges rzucił się na ziemię. Gdy uniósł nieco głowę, mógł widzieć upadających ludzi, jak podciętych silnym podmuchem wiatru. Pociski rozrywały maski samochodów i pruły bruk ulicy. Żołnierze zaczęli strzelać w stronę samolotu z karabinów i pistoletów. Wiedział, że to nic nie da, lecz lepiej zginąć, walcząc, niż dać się zastrzelić jak świnia, pomyślał.

Samolot przeleciał nad ratuszem. Mignął szaro-zielony kadłub z wymalowanym czarnym krzyżem w białej obwódce. Tuż

nad budynkiem samolot zrzucił małą bombę i powoli zmieniał się w punkcik na horyzoncie.

Zewsząd dochodziły jęki rannych, płacz i krzyki. Georges wstał i pobiegł w kierunku miejsca, gdzie wybuchła bomba. Koło ratusza, zabytkowego barokowego budynku, w miejscu gdzie przed kilkoma minutami był trawnik, ziała szeroka na kilka metrów dziura. Bomba odpryskowa. Na asfalcie leżały strzępy ludzkich ciał, wnętrzności zmieszane z odłamkami szkła i cegłami. Powietrze wypełniał zapach krwi, spalenizny i benzyny. Przez rozbitą szybę samochodu wypadła kobieta. Leżała martwa przed maską, pod którą dymił uszkodzony silnik. Miała usta pomalowane czerwoną szminką. Jej pies, jamnik, żałośnie skomlał, lizał ją po twarzy.

W ciągu godziny żołnierze ułożyli ciała na poboczu i nie bacząc na błagania ludzi, by zostali, ruszyli w stronę Paryża. Pierre'a rozsadzała bezsilna wściekłość.

Wiedział, że Francja poniosła klęskę.



Sierow po rozmowie ze Stalinem wiedział, że jeśli uda mu się odszukać Treppera, zyska w oczach wodza. Zabrał się energicznie do pracy. Kazał przynieść sobie wszystkie dokumenty dotyczące człowieka, który tak bardzo załazł Stalinowi za skórę.

Dokumenty zawierały przede wszystkim akta z procesu Treppera. Przebrnięcie przez nie zajęło Sierowowi dwa dni. Przejrzał też mnóstwo pojedynczych dokumentów: sprawozdania z jego działalności szpiegowskiej, fakty dotyczące rodziny. Próbował znaleźć jakiś słaby punkt, by uderzyć i śmiertelnie ugodzić.

I znalazł.

Trepper miał żonę! Pracowała razem z nim w wywiadzie, znała obce języki, była wykształcona. Problem polegał jednak na tym, że i ona została aresztowana i skazana na dziesięć lat łagru. Mogła nie przeżyć, zmartwił się Sierow. Nie pozostało mu nic innego, jak sprawdzić, gdzie odbywa karę. Zadzwoił



do jednego z kolegów pracujących w centralnej ewidencji skazanych i polecił bezzwłocznie ją odszukać.

— To rozkaz towarzysza Stalina — zaznaczył.

Po tygodniu kolega zadzwonił z informacją, że Natasza Aleksandrowna Trepper żyje i przebywa w obozie nad środkowym Obem.

— Natychmiast przyślijcie ją do Moskwy — polecił Sierow. — Rozkaz zwolnienia wyślę wam jutro, bo towarzysz Beria musi podpisać.

Sześć dni później, kiedy wycieńczona Natasza wracała z pracy do obozu, zatrzymali ją strażnicy. Była pewna, że to koniec. Jakież było jej zdziwienie, kiedy oficer śledczy powiadomił ją, że przyszedł meldunek „z góry” i ma jechać do Moskwy. Nakarmiono ją i pozwolono przez kilka dni odpocząć, po czym odwieziono na stację i wsadzono do pociągu.



Z powodu działań wojennych dopiero drugiego czerwca Trepper odebrał wiadomość od Duclosa ze skrytki na dworcu. Mieli spotkać się w Ogrodach Luksemburskich. Najpierw przez kilka minut obserwował Duclosa z ukrycia, a gdy nie zauważył żadnych tajniaków ani ochroniarzy z młodzieżówki komunistycznej, ruszył alejką.

— Witajcie, towarzyszu — powitał Duclosa, podchodząc do niego od tyłu.

Duclos odwrócił się gwałtownie.

— Towarzysz... de la Cruz... Proszę, proszę, siadajcie.

— Mam nadzieję, że wyciągnęliście wnioski po naszej ostatniej rozmowie — zaczął Trepper.

— Wnioski dotyczące czego? — zapytał poirytowany Duclos.

— Rozumiem wasze zdenerwowanie. Sytuacja na froncie nie jest dla Francji najkorzystniejsza. Ale nie przejmujcie się. Teraz dopiero zacznie się dla nas prawdziwa robota.

— Nie rozumiem...

— Francuska Partia Komunistyczna — ciągnął Trepper — jest najsilniejsza w Europie Zachodniej. Macie swoich ludzi nie tylko w środowiskach robotniczych, ale przede wszystkim wśród inteligencji. Nawet we francuskiej armii, która teraz tak się kompromituje, są wasi ludzie. Mam rację?

— Tak — odparł z wahaniem Duclos, który wciąż nie wiedział, do czego zmierza rozmówca.

— Towarzyszu Duclos, musicie być przygotowani na to, co przyniosą najbliższe dni. Obydwaj dobrze wiemy, że dla was wojna jest przegrana. Chcę, aby przygotowywał pan dla mnie krótkie meldunki o nastrojach, jakie panują wśród towarzyszy partyjnych, oraz o tym, co jedni towarzysze mówią o innych towarzyszach. Rozumiecie?

— Mam szpiegować moich ludzi?!

— Ciszej, Duclos, jesteśmy w miejscu publicznym. To nie przyniesie wam ujmy. Centrala kazała mi sprawdzić lojalność naszych towarzyszy.

— Jestem zaskoczony. Nikt nigdy nie żądał ode mnie czegoś takiego — wybąkał Duclos.

— To nie przedszkole, Duclos, to nieustająca walka klas — warknął Trepper. — Kiedy wasza ojczyzna znajdzie się pod okupacją, musicie zachować ideologiczną czujność, wykazać, że wierzycie w komunizm.

— Śmiecie w to wątpić, towarzyszu? — obruszył się Francuz. — Przez ten pakt z Hitlerem nie wiem, co mamy robić. Przecież musimy być wierni Francji...

— Nie. Najpierw jesteście komunistami. Waszym celem jest wywołanie rewolucji i zaprowadzenie we Francji dyktatury proletariatu.

— Nie musicie mi tego mówić, znam Marksa.

— Marks, Marks... ciągle teoria. Bardzo się różnimy. Wy intelektualizujecie, piszecie książki o pokoju, a my, w Związku Radzieckim, stosujemy zasadę: wrogów rzeczywistych i potencjalnych się likwiduje. To działa bardzo mobilizująco na tych,

co żyją. Będziecie ze mną współpracowali na moich warunkach, a jeśli zorientujecie się, że coś kręcicie na boku, spadniecie ze schodów albo utoniecie w Sekwanie. Jasne?

Co ja plotę? Przecież sam już nie wierzę w te bzdury, myślał Trepper. Ale bawiło go, że Duclos tak łatwo daje się zastraszyć.

— Rozumiecie? — powtórzył. — Pamiętajcie, że jeśli zauważę, że jestem śledzony przez waszych ludzi, zostaniecie zlikwidowani.



Wieczorem, drugiego czerwca, Luftwaffe zbombardowała dzielnice przemysłowe i robotnicze stolicy Francji.

Piątego czerwca zaczęła się bitwa o Paryż. Niemieckie czołgi rozerwały francuską linię obrony nad Sommą i Marną i wzięły miasto w żelazne kleszcze. Pod Arras jedynym poważniejszym francuskim kontratakami dowodził brygadier de Gaulle. Ale dla Francji było już za późno. Do wojny przyłączył się Mussolini, wkraczając ze swoimi oddziałami na terytorium francuskie od strony Nicei. Wkrótce premier Paul Reynaud podał się do dymisji, a prezydent Poincaré desygnował na szefa rządu marszałka Pétaina, zbawcę Francji spod Verdun. Czternastego czerwca Paryż został ogłoszony miastem otwartym. O trzeciej trzydzieści rano na ulice wjechały pierwsze niemieckie oddziały.

Trepper tego dnia wyszedł z domu dopiero koło dziewiątej rano. Na rue Lincoln zauważył dwóch młodych żołnierzy w szarzielonych mundurach, którzy stali obok motocykla, palili papierosy i wesoło rozmawiali. Byli to dwaj grenadierzy z dywizji Guderiana. W Paryżu zaczynał się pierwszy dzień niemieckiej okupacji.



Tego dnia „Prawda” zamieściła obszerny artykuł o imperialnej polityce Francji. Sierow przeczytał tekst z satysfakcją. Teraz,

kiedy Niemcy rządili Francją, będzie mógł wysłać zabójcę Treppera drogą lądową. Podróż przez Morze Czarne i Śródziemne była przecież o wiele droższa. Sierow czekał tego dnia na osobę, która jako jedyna mogła podjąć się misji wytropienia zdrajcy. Tą osobą była Natasza Aleksandrowna Trepper.

Sierow obserwował ją podczas szkolenia w podmoskiewskich Butyrkach. Kilka lat łagru, pranie mózgu, głód, seksualne wykorzystywanie przez strażników i innych więźniów w obozie nad Obem — wszystko to zmieniło Nataszę w posłuszną bezwolną istotę. Jeśli mimo to odmówiłaby współpracy, mieli w rękę jeszcze jeden argument — jej dziecko.

## ROZDZIAŁ 13

### Propozycja

Wieczorem, osiemnastego czerwca, londyńskie radio nadało przemówienie generała Charles'a de Gaulle'a, w którym stwierdził, że Francja przegrała bitwę, ale nie przegrała wojny. Niewielu Francuzów się tym przejęło. Dla większości niekwestionowanym autorytetem był marszałek Petain, a ten podpisał przecież bezwarunkową kapitulację. Dwa miliony francuskich żołnierzy trafiło do niewoli. Francja została podzielona na dwie części: okupowaną, wraz z Paryżem, oraz tak zwaną wolną Francję, obejmującą jedną trzecią kraju na południu. Rząd marszałka przeniósł się do Vichy.

Trzy dni później, dwudziestego pierwszego czerwca, Trepper widział, jak ulicami Paryża przejeżdża kawalkada luksusowych niemieckich samochodów. Między nimi przemykały motocykle z żołnierzami.auta szybko przejechały przez Pola Elizejskie, okrążyły Łuk Triumfalny i skierowały się w stronę wieży Eiffla.

Fiihrer napawał się widokiem miasta ze szczytu wieży przez ponad dwadzieścia minut. Rzucił wówczas uwagę, że gdyby opatrność nie uczyniła go wodzem Niemców, zapewne pędziłby w Paryżu skromny żywot malarza. Generałowie przytaknęli, tylko admirał Canaris, stojący nieco z boku, zakrył dłonią usta, na których pojawił się ironiczny uśmiech.

Następnie w restauracji na wieży odbyła się narada. Hitler

wygłosił ognistą tyradę, mówił generałom, że nie pozostaje mu nic innego, jak tylko dać narodowi niemieckiemu ziemie na Wschodzie. Generałowie, potomkowie pruskich rodzin, arystokraci, synowie inteligencji, słuchali w milczeniu, sparaliżowani wrzaskami austriackiego gefrajtra.

Gdy nazajutrz Canaris wylądował na wojskowym lotnisku pod Dusseldorfem, natychmiast kazał powiadomić majora Bôhma, że chce się z nim spotkać. Szef Abwehry czuł, że czas rozpocząć najważniejszą grę w życiu.



Ulysses de la Cruz zniknął, a w Paryżu znów pojawił się Jean Gilbert. Wynajął skromne mieszkanko przy rue St-Gilles w dzielnicy Marais. Opłacił czynsz za pół roku. Któregoś czerwcowego popołudnia wybrał się jak zwykle na Montmartre do Café de la Nouvelle Athènes, żeby spotkać się z Sylvie. Postanowił zrobić sobie przy okazji mały spacer. Obok Bazyliki Sacré-Coeur minął niemieckich żołnierzy, którzy pozowali do zdjęcia.

Z Sylvie miał się spotkać o dwudziestej drugiej. Hotel Continental nie wchodził w grę, ponieważ teraz mieszkali w nim wyłącznie Niemcy. Zaproponował, żeby spotkali się u niego.

Kiedy opuszczał kawiarnię około wpół do szóstej, z bramy kamienicy naprzeciwko wyszła młoda kobieta w kremowym kostiumie i kapeluszu z czarną wstążką. Kiedy Gilbert skierował się w dół ulicy, kobieta ruszyła za nim. W torebce miała aparat fotograficzny, którym wcześniej zrobiła mu kilkanaście zdjęć. Uwieczniła go, jak czyta gazetę, jak pije kawę i rozmawia z młodą rudą kelnerką. Szła za Gilbertem aż do placu Pigalle.



Przed secesyjnym pałacem przy rue de Lille zatrzymał się czterodrzwiowy mercedes. Wysiadł z niego wysoki barczysty

esesman w szaro-zielonym polowym mundurze. Stojący przy bramie trzech niemieccy wartownicy natychmiast wyprężyli się i zasalutowali.

Karl Albrecht Oberg był nowo mianowanym szefem gestapo i policji w Paryżu. W gabinecie na drugim piętrze pałacu czekał na niego czterdziestoparoletni mężczyzna o owalnej nalanej twarzy i małych, szklistych, niespokojnych oczkach — Otto Abetz, formalnie ambasador Niemiec w Paryżu, a faktycznie władca okupowanej Francji.

Wśród nazistowskiego establishmentu miał opinię człowieka, który świetnie nadaje się do rządzenia krajem pod okupacją. Łączył umiejętność elastycznego perspektywicznego myślenia z wyczuciem tego, co dla Niemiec jest naprawdę ważne. Niemcy mogły teraz korzystać z francuskich zasobów surowców i z pieniędzy złożonych we francuskich bankach. Abetz mawiał, że kraść też trzeba umieć, zwłaszcza jeśli trzeba to robić tak, by nikt tego nie zauważył.

Gdy oberfuhrer Oberg wchodził po zabytkowych schodach na piętro, w gabinecie Abetza znajdował się jeszcze jeden oficer SS. Był ubrany w czarny mundur z naszywką SD na prawym ramieniu. Stał przy barku i nalewał sobie do kieliszka francuski koniak. Oberg na jego widok nieznacznie się uśmiechnął. Znali się doskonale, ponieważ przez ostatnie półtora roku pracowali razem w Głównym Urzędzie Bezpieczeństwa Rzeszy. Esesman poczekał, aż Oberg odda czapkę kamerdynerowi, po czym podszedł i uścisnął mu dłoń.

— Witam, Knochen — powiedział Oberg. — Teraz już rozumiem, co Himmler miał na myśli, mówiąc, że czeka mnie w Paryżu niespodzianka. Od kiedy jest pan we Francji?

— Od niespełna dwóch tygodni — odrzekł Knochen. — Staram się poznać Paryż.

Obydwaj się uśmiechnęli.

— Panowie się znacie? — zagadnął Abetz, podchodząc do nich. — Jeśli tak, to doskonale. Zapraszam do stołu.

Przeszli do salonu, gdzie czekali kelnerzy.

— Ja dziękuję, mam drinka — powiedział Knochen, kiedy kelner chciał nalać mu wina.

— Ja chętnie napiłbym się wina z Prowansji. Oczywiście, jeśli jest — powiedział generał Oberg.

— Oczywiście. — Kelner, przyuczony do tej roli szeregowy esesman, ukłonił się uprzejmie.

Hitlerowcy zasiedli do stołu: syn grabarza, Otto Abetz, syn piekarza, Oberg, i syn dortmundzkiego rzeźnika, Edmund Knochen. Mieli decydować o losach Francji. Abetz zaserwował gościom pasztet z gęsich wątróbek, jagnię pieczone z rozmarynem i czosnkiem, zupę cebulową i kilka butelek doskonałego wina.

— Panowie — zaczął Abetz, zanurzając łyżkę w zupie — wezwałem was, ponieważ powinniśmy ustalić pewne szczegóły dotyczące naszej linii politycznej w okupowanej Francji oraz zastanowić się, jakie trudności możemy napotkać.

— Poruszył pan, Abetz, dwie sprawy — odpowiedział generał Oberg, popijając wino. — Z pewnością nie możemy wykluczyć, że część Francuzów będzie próbowała stawiać opór. Jednak nie jestem przekonany, czy zdołają zorganizować tak silny ruch oporu jak Polacy. Rozmawiałem niedawno z gubernatorem Polski, Hansem Frankiem, który mówił mi, że w tym przeklętym bandyckim kraju nie ma praktycznie żadnych szans na kolaborację. Naturalnie przyczyną jest nasza polityka względem polskiej ludności. Z oczywistych powodów nie będziemy mogli prowadzić we Francji tak twardej polityki. Takie zdanie ma również Himmler, który polecił mi dbać o Paryż. Jednym słowem, im bardziej będziemy elastyczni, tym większe będą szanse na kolaborację ze strony Francuzów.

— Wybacz pan, generale — wtrącił Knochen — ja mam kontrolować w Paryżu nie tylko potencjalne podziemie, ale i nasz wywiad. Naturalnie będziemy musieli dzielić się tym z Abwehrą. Czy wiecie, panowie, jak wielu jest teraz w Paryżu wszelkiej maści uciekinierów, byłych żołnierzy, bandytów,



którzy są gotowi wsadzić nam nóż pod żebra, Żydów czy szpiegów z ekspozytur wywiadowczych? Zapewniam panów, że bardzo dużo. Zanim nasi ludzie zdążą się zorientować w całym tym galimatiasie i zanim umieścimy wtyczki we francuskiej policji, urzędach i organizacjach społecznych, agenci obcych wywiadów — a w grę wchodzi teraz dwa, brytyjski i bolszewicki — na pewno zdążą się dobrze zakonspirować. Uważam, że nasz sukces we Francji zależy od umiejętnego balansowania między okupacją w białych rękawiczkach a zamordyzmem. Nie zapominajcie, panowie, że Francuzi są zde-generowanymi cwaniakami. To słowa Führera — zaznaczył, dźgając widelcem powietrze.

— Nie zapominajmy, że Francja jest już pokonana. — Abetz nałożył sobie na talerz porcję pasztetu. — Jak wiecie, miałem w partii opinię frankofila. Oczywiście, Knochen, ma pan rację mówiąc, że będziemy postępować z niezwykłą surowością, jeśli zajdzie potrzeba. Chciałbym jednak podkreślić, że sytuacja we Francji jest o wiele bardziej złożona. Rozmawiałem wczoraj z marszałkiem Petainem. Zaznaczył, że miejsce jego nowej Francji jest przy Rzeszy, ale jednocześnie nie chciał oddać nam pod komendę francuskiej floty na Morzu Śródziemnym, która stoi w Algierii. Wiecie, że Führer chce mieć wszystkie okręty tej floty, żeby zaszachować Anglików na Morzu Śródziemnym. Poza tym stary marszałek zasłania się honorem Francji! Jak gdyby Francja kiedykolwiek miała honor! W jego przypadku musimy stosować zasadę kija i marchewki. To tchórz. Trzeba go tylko umiejętnie podejść.

— Co panowie sądzą o działaniach wywiadu brytyjskiego? — zapytał Oberg.

— To pytanie do standartenfuhrera Knochena — odrzekł Abetz z ustami pełnymi pasztetu.

— Anglicy mają teraz kłopoty. Luftwaffe, jak słyszeliście, już niedługo zamieni ich miasta w kupę gruzów — powiedział zadowolony Knochen.

— Tak jak miała pokonać Anglików pod Dunkierką — wtrącił złośliwie Abetz.

— To była wpadka — zbył go Knochen. — Ale jeśli mówimy o wywiadzie, to podejrzewam, że we Francji węższą również Rosjanie. Nie muszę panom mówić, że każda sowiecka ambasada czy placówka handlowa to faktycznie ekspozytura wywiadu. Nie znamy ich metod pracy. Führer zawarł sojusz ze Stalinem, mimo to francuscy komuniści są niebezpieczni. Nie możemy ich jednak wykończyć teraz, bo Stalin jest naszym sojusznikiem.

— Jak pan zamierza współpracować z Rosjanami? — chciał wiedzieć Oberg.

— Nie będę im przeszkadzał, jeśli na terenie Francji będą chcieli coś załatwić. Zawsze jest ktoś do wykończenia — zażartował Knochen. — Na szczęście francuska policja zachowuje się wobec nas nad wyraz lojalnie. Wydałem już rozkazy, aby poszukano dobrych miejscowych policjantów, którzy chcieliby współpracować. Myślę, że marszałek Petain wskaże nam ludzi ideowo mu bliskich. Chciałbym prosić panów o poruszenie tej sprawy w rozmowach z przedstawicielami rządu w Vichy.

— Ma pan to załatwione, Knochen — zapewnił generał Oberg.

— Ja również się pod tym podpisuję — dodał Abetz.

— Czy widzieli już panowie nasze więzienie w Paryżu? — zapytał Oberg po chwili wypełnionej brzękiem sztućców i mlaskaniem.

Rozmówcy pokręcili głowami.

— Muszę wam powiedzieć, że robi wrażenie. Ściągnęliśmy sporo fachowców. Na dziedzińcu budują właśnie szubienicę. Będą również pomieszczenia do porażania prądem, a lochy pamiętają jeszcze Napoleona Trzeciego.

— Gdzie to jest? — chciał wiedzieć Abetz.

— To więzienie Fresnes. Możecie zwiedzić je w każdej chwili. Osobiście was oprowadzę.

— Poponuję wznieść toast, za niemiecki Paryż! — powiedział Knochen, unosząc triumfalnie kieliszek.



Tego samego popołudnia komisarz Juvet siedział w swoim gabinecie i przeglądał kartotekę, którą wreszcie, po dwóch tygodniach usilnych starań, dostał z Ministerstwa Spraw Zagranicznych, zajętego teraz przez proniemiecką administrację Vichy. Niemcy nie przejęli wszystkich gmachów w Paryżu, a część francuskich urzędów nadal działała. Wśród urzędników komisarz miał sporo znajomych. Jeden z nich wypożyczył mu kartotekę.

Zawierała nazwiska obywateli francuskich, którzy złożyli wnioski o wydanie paszportu w roku 1937. Nie było w niej podań, życiorysów, zaświadczeń o niekaralności i innych dokumentów. Po trzech dniach żmudnego przeglądania ponad sześciu tysięcy fiszek, komisarz znalazł to, czego szukał.

Na fiszce widniało małe paszportowe zdjęcie mężczyzny w wieku około czterdziestu lat. Podpis pod zdjęciem brzmiał: JEAN GILBERT, LILLE. Nie było na nim pieczętki. Komisarz postanowił je odkleić, żeby zobaczyć, czy ktoś próbował je wcześniej wymienić. Wiedział, że urzędnicy w wielu francuskich urzędach, tak jak i w policji, używają tego samego kleju, który po wyschnięciu czernieje. Klej pod zdjęciem był biały, ale na obrzeżach zauważył czarną obwódkę. Ktoś musiał ponownie nakleić zdjęcie.

Pod zdjęciem widać było ślady jakiejś urzędowej adnotacji napisanej ołówkiem i wytartej niestarannie gumką. Komisarz podszedł do okna i próbował ją odcyfrować. Przeczytał, że Jean Gilbert, zamieszkały w Lille, zginął szóstego kwietnia 1937 podczas wojny domowej w Hiszpanii, walcząc jako ochotnik w brygadach międzynarodowych.

Wrócił do biurka. Zauważył, że w pliku fiszek znajduje się jeszcze jedna adnotacja, sporządzona na małym druczku z biura

paszportowego, z której wynikało, że ten sam Jean Gilbert poprosił o wydanie paszportu raz jeszcze w roku 1939, po powrocie z Hiszpanii, gdzie rzekomo zgubił dokument. Urzędnik, który przyjmował podanie, nie zorientował się, że petent jest oszustem, ponieważ nie próbował odczytać wymazanej częściowo notatki.

Komisarz uśmiechnął się do siebie. Miał rację. Jean Gilbert zmartwychwstał.

Kim był człowiek, który legitymował się paszportem Gilberta? Nie miał wątpliwości, że to on zabił Marie Pregnac. Jeśli wdowa rzeczywiście się w nim podkochiwała, to może odkryła jego tożsamość? Problem polegał na tym, że komisarz zbyt szybko zamknął sprawę z braku dowodów. Poza tym Gilbert miał alibi potwierdzone przez dwie osoby. Dlaczego jednak sam nie pofatygował się na policję?



Trepera bardzo niepokoiła Elene Ortiz. Dziewczyna zjawiała się nagle pod jego starym adresem, przy rue St-Lazare, dwa dni po jego przeprowadzce. Fakt, że znalazła się tam akurat tego dnia, mógł nic nie znaczyć. Może po prostu zrobiła sobie spacer i zawędrowała w te okolice?

Trepper nie ufał nikomu. Jego pomocnik, Pablo Huescar, miał pilnować Elene, uważać na to, co mówi, z kim się spotyka, i co najważniejsze, co mówi o Jeanie Gilbercie. Kiedy ją poznał, była zapaloną hiszpańską komunistką. Zaufał jej i przyjął do pracy. Nie wydawała się groźna. Ale teraz sytuacja się zmieniła. Musi mieć ją na oku.

Drugą kwestią, która absorbowała Trepera w ostatnich dniach, była konieczność zbudowania siatki szpiegowskiej. Oczywiście nie zamierzał tego robić z miłości do Związku Radzieckiego, ale z dużo bardziej prozaicznej przyczyny — chciał przeżyć. Wyjeżdżając do Hiszpanii z generałem Orłowem, miał przy sobie kilka tysięcy dolarów amerykańskich,

przeznaczonych na rozpoczęcie działalności w Hiszpanii. Kiedy Orłów dostał polecenie stawienia się w Moskwie, uciekł do USA, ale zostawił Trepperowi część złota i pieniędzy, które razem ukradli republikańskiemu rządowi. Ta suma stanowiła materialną podstawę jego działalności we Francji. Za te pieniądze założył „Syntex”, a firma zaczęła na siebie zarabiać. Zorganizowanie siatki szpiegowskiej było dużo trudniejsze i bardziej kosztowne. Musiał też znaleźć odpowiednich ludzi.

Alfred Corbin, którego kazał Duclosowi odszukać, był radzieckim agentem. Teraz Trepper wiedział, gdzie Corbin mieszka i jak wygląda. Znał go jeszcze z Moskwy. Zamierzał dzięki Corbinowi wciągnąć do siatki innych komunistów.

No i była jeszcze Sylvie. Nie chciał jej stracić. Nie chciał też jej oszukiwać. Lato miał zamiar spędzić razem z nią w nie-okupowanej części Francji, nad Morzem Śródziemnym. Postanowił, że organizowaniem siatki zajmie się po powrocie.



*Nokturn cis-moll* Chopina zawsze przypominał majorowi Böhmowi młodość spędzoną we Wrocławiu. Czasem sam siadał do fortepianu, ale z powodu nawału obowiązków robił to coraz rzadziej. Od czterech tygodni przebywał w Sztrasburgu, gdzie Abwehra urządziła jeden z ośrodków nasłuchowych. Mieszkał w hotelu przeznaczonym dla niemieckich oficerów. Lubił to miasto nad Mozą. Gotyk sztrasburskiej katedry i nokturny Chopina nastrajały refleksyjnie, ale tym razem major rozmyślał o wiadomościach, jakie przekazał mu admirał Canaris.

Na rozkaz Canarisa major przeniósł sztab „Winnicy” właśnie do Sztrasburga. Oprócz niego pracował w nim Richard Gahlen, który przedtem był informatorem admirała w Oberkommando der Wehrmacht, niemieckim dowództwie wojsk lądowych. Obaj oficerowie byli zdania, że następnym celem Hitlera nie będzie Anglia, mimo szalejącej nad kanałem powietrznej bitwy, lecz Związek Radziecki. Ani Böhm, ani Gahlen nie pałali miłością

do komunistów, ale zdawali sobie sprawę, że atak na ZSRR prędzej czy później skończy się dla Niemiec katastrofą. Major czuł, że jest zawieszony w próżni. Nie istniały żadne możliwości nawiązania kontaktu z niekomunistycznym wywiadem, ponieważ Anglicy, z oczywistych względów, przyjęli jawnie anty-niemiecką postawę. Przecież na Londyn spadały bomby.

Böhm wysłał do Paryża znajomego z „Winnicy”, kapitana Luftwaffe, Harro Schulze-Boysena. Ostatnio kontaktowali się telefonicznie. Kapitan czuł się w Paryżu dość dobrze, wynajął pokój u jakieś Francuzki, zdaje się przy nie Fessart. Miał stanowić ubezpieczenie agentki Funke, która śledziła Kameleona.



Pablo Huescar nie miał chwili wytchnienia. Nie dość, że szef kazał mu obserwować Elene Ortiz, to jeszcze polecił zająć się pewną Niemką, pracującą w sekretariacie ambasadora Otto Abetza, przy rue de Lille. Znajomość z Niemką zaczęła się tak:

Firma „Syntex” wzięła udział w przetargu na dostarczanie do niemieckiej ambasady materiałów biurowych. Nikt nie zwrócił uwagi na fakt, że firma ta jest również obecna na rynku radioodbiorników. Otto Abetz, realizując politykę obłaskawiania Francuzów, chciał, aby jego kancelarię zaopatrywała właśnie firma francuska. Kilku niemieckich urzędników zajęło się przetargiem, ale Gilbert natychmiast ich przekupił. Przetarg został ustawiony tak, by wygrać mógł „Syntex”, i tak się właśnie stało. W dniu rozstrzygnięcia Gilbert pojechał do niemieckiej ambasady i tam poznał pannę Annę Margaret Hoffman-Schiltz, młodą i niezbyt atrakcyjną sekretarkę. Znał się na kobietach. Wystarczyła jedna rozmowa i wiedział, że dziewczyna będzie doskonałym źródłem informacji. Trzeba było tylko trochę nad nią popracować, i tym miał zająć się Pablo.

Na początek Pablo zapoznał się z jej rozkładem dnia — kiedy wychodziła, z kim się spotykała. Po tygodniu śledzenia wiedział już coś niecoś o pannie Hoffman-Schiltz. Co najważniejsze,

była osobą samotną. A samotne kobiety są łatwym łupem dla łowców serc. Zamierzał ją uwieść jako samotny, pozbawiony środków do życia chłopak, który nagle spotyka wielką miłość. Problem Huéscara polegał na tym, że miał kochać dwie kobiety naraz i dzielić między nie czas. Na szczęście Elene w ostatnich dniach zaczęła traktować go chłodno i nie spotykali się już tak często. Ich związek nigdy nie kipiał namiętnością — był tylko niezobowiązujący seks i ucieczka przed samotnością.



Czwartego lipca wezwano komisarza Juveta do gmachu przedwojennej Ecole Militaire przy placu Fontenoy, nieopodal Pola Marsowego. Wiedział, że w tym budynku, chwale francuskiej armii, swoją siedzibę ma teraz paryska filia SD, hitlerowskiej służby bezpieczeństwa. Tego dnia po raz pierwszy kilku kolegów z pracy popatrzyło na komisarza z pogardą. Ale Juvet nie zwracał na to uwagi. Nie uważał, by Niemcy byli większym wrogiem Francji niż Anglicy. Jadąc tramwajem, nie przypuszczał, że ten dzień będzie jednym z najważniejszych dni w jego życiu.

Ku jego zaskoczeniu, przyjął go sam szef SD w Paryżu, SS-standartenfuhrer Edmund Knochen, oraz jeszcze jeden esesman, kapitan Karl Giering. Gestapowcy byli bardzo mili. Kapitan poczęstował go kieliszkiem alzackiego rieslinga, a Knochen uprzejmie zapytał, czy komisarz czytał już dzisiejszą prasę.

— Nie, nie zdążyłem — odparł komisarz.

Niemiec podał mu „Nouvel Observateur” oraz „Le Temps”. I w jednej, i w drugiej gazecie na pierwszej stronie można było przeczytać:

**MASAKRA FRANCUSKICH MARYNARZY**

oraz

**TRAGEDIA W MERS-EL-KABIR**

Juvet z niedowierzaniem, a potem z rozpaczą czytał te wiadomości — brytyjskie okręty i samoloty trzeciego lipca, we wczesnych godzinach rannych, zbombardowały francuską flotę stojącą w porcie Mers-el-Kabir w północnej Afryce, zabijając przeszło trzy tysiące marynarzy i posyłając dużą część francuskiej floty śródziemnomorskiej na dno.

— Współczuję panu, komisarzu — powiedział Knochen. — Tak właśnie Churchill postępuje ze swoimi sprzymierzeńcami. Zrobił tak, ponieważ nie chciał, aby ta flota została podporządkowana legalnemu francuskiemu rządowi w Vichy. Bez zmrżenia oka zabił trzy tysiące pańskich rodaków.

Komisarz milczał, wstrząśnięty.

— Wiem, że jest pan świetnym fachowcem — podjął Knochen po krótkiej chwili. — Pana osiągnięcia w dziedzinie kryminalistyki były znane przed wojną także poza granicami Francji i dlatego proponuję panu uczciwą współpracę przy robieniu porządków w Paryżu. Obaj chcemy, by to piękne miasto nadal było pełne życia i żeby było w nim bezpiecznie. Chciałbym, abyśmy razem zwalczali wrogów Francji i Niemiec.

Juvet popatrzył na Niemca zaskoczony.

— Pan mówi poważnie, panie Standartenführer? — wyjąkał.

— Jak najpoważniej. Proszę się zastanowić. Nam, Niemcom, naprawdę zależy na spokoju w Paryżu. Pan zna to miasto lepiej od nas. Myślę, że możemy sobie pomóc.

Komisarz wiedział, że propozycji SD się nie odrzuca. Był załamany. Zawsze uważał się za francuskiego patriotę, nie gorszego od tego nadętego brygadiera de Gaulle'a, który teraz siedział w Londynie i jadł Churchillowi z ręki. Temu samemu, który kazał bezlitośnie pozabijać francuskich chłopców w Mers-el-Kabir! Świadomość bezsensu tej rzezi była dla komisarza nie do zniesienia. Czuł, że nie może tego de Gaulle'owi darować.

— Zgadza się — powiedział cicho.

— Doskonale. — Knochen uśmiechnął się szeroko. — Będzie pan współpracował z kapitanem Gieringiem. — Wskazał milczącego dotychczas oficera.

Juvet odwrócił się w jego stronę. Był to krępy mężczyzna



o rudych, krótko ostrzyżonych włosach, z trzydniowym zarostem. Nosił czarny mundur gestapo.

Komisarz miał pomagać Niemcom w sprawach dotyczących komunistów i gaullistów. Ustalili, że będzie składał raporty co dwa tygodnie. Niemców interesowały wewnętrzne nastroje we francuskiej policji. Nie mógł jednak zrozumieć, dlaczego miał śledzić osoby żydowskiego pochodzenia. Żydzi mogli być przecież równie dobrymi policjantami, jak Francuzi.

I tak zdolny i uczciwy komisarz Edgar Juvet został kolaborantem.



Pierwszego września po południu na dworzec Montparnasse wjechał opóźniony i zatłoczony ekspres z Brukseli. W wagonie drugiej klasy siedzieli naprzeciwko siebie Augustine Lafargue

i niezwykle atrakcyjna kobieta w wieku około trzydziestu lat, w czarnej żorzetowej garsonce i czarnych eleganckich pantoflach. Augustine od czasu ostatniego krótkiego pobytu w Paryżu w maju nie kochał się z kobietą. W okopach i w ciężkich chwilach na froncie nie myślał o Sylvie. Lecz kiedy znalazł się w niewoli, tęsknota za nią stała się nie do zniesienia.

Trzy tygodnie temu zdecydował się na szaleńczy krok. Niemcy mieli przenieść jego obóz jeniecki na Wschód, prawdopodobnie do Polski albo protektoratu Czech i Moraw. Wraz z kilkoma kolegami zdecydował się na brawurową ucieczkę. Ukradli z magazynu niemieckie mundury i po prostu wyszli przez bramę. Nikt ich nie rozpoznał. Uciekali długo, aż wreszcie w okolicach Sztrasburga dobrzy ludzie ukryli ich, nakarmili, dali cywilne ubrania, a także trochę pieniędzy. Augustine chciał od razu wrócić do Paryża, ale okazało się to niemożliwe. Niemiecki kordon wokół miasta był zbyt szczelny. Koledzy

załatwili mu papiery belgijskiego górnika. Pojechał do Liège. Tam przesiedział dwa tygodnie, aż wreszcie zarobił na czarno trochę pieniędzy, załatwił sobie lepsze dokumenty i postanowił wrócić do Paryża.

Atrakcyjna sąsiadka od razu zwróciła jego uwagę. Miała zmysłowe małe usta, pociągnięte czerwoną szminką, duże czarne oczy, kształtny nos i wysokie czoło, na które opadały kosmyki czarnych włosów. Augustine pomyślał, że nie jest Francuzką. Czytała niemiecką książkę.

Chciał za wszelką cenę wciągnąć ją w rozmowę, dlatego zaczął rozmawiać z innymi osobami w przedziale. Jedna z pasażerek, starsza Francuzka, podejrzewając, że młody człowiek może być żołnierzem (nie miał bagażu poza małym płóciennym tobołkiem), poczęstowała go bułką z wędzonym udkiem kurczęcia i szklaneczką burgunda. Miała ze sobą cały koszt wiktuałów. Chłopak podziękował serdecznie i jakby w dowód wdzięczności wyznał, że walczył na froncie, że jest bez pieniędzy i wraca do Paryża, do dziewczyny. Chciał jednak przede wszystkim wzruszyć nieznajomą, która z pozoru zajęta lekturą, słuchała tego, co mówił. Nastawieni patriotycznie pasażerowie zdecydowali, że trzeba pomóc temu „wspaniałemu młodemu człowiekowi” i każdy dał mu trochę pieniędzy. Nieznajoma, chcąc nie chcąc, wyciągnęła banknot dwustufrankowy. Już miała położyć go na kolanach Augustine'a, kiedy pociąg nagle zwolnił i banknot pofrunął na podłogę. Augustine szybko schylił się, podniósł banknot i chciał oddać go pięknej pasażerce.

— Nie, jest pański — powiedziała kobieta z uroczym uśmiechem.

Zaczęli rozmawiać. Augustin był ciekawy, skąd kobieta jedzie, czy ma gdzie się zatrzymać w Paryżu, pytał, czy mógłby jej pomóc nieść bagaż, ponieważ nieznajoma podróżowała z trzema dużymi walizami.

Gdy dojechali na miejsce, Augustine wyniósł jej walizy z przedziału, a ona posłała mu długie spojrzenie i powiedziała cicho i melodyjnie:

- Dziękuję panu. Był pan dla mnie bardzo miły.

Augustine odprowadził ją do taksówki. Przy wyjściu z dworca jakiś mężczyzna, widząc ich w drzwiach, cofnął się nerwowo i szybko oddalił w przeciwnym kierunku. Kobieta nie zwróciła na niego uwagi. Gdy odjechała taksówką, Augustine postanowił, że pójdzie do Sylvie.



Kobieta poprosiła taksówkarza żeby zawiózł ją do jakiegoś niedrogiego hotelu. zaproponował Hotel Burgundzki przy placu Monge.

Wzięła prysznic, kolację kazała sobie podać do pokoju. Kamerdyner był młody, nie miał chyba dwudziestu lat. Popatrzył na nią wyzywająco, prawie tak samo jak ten chłopak w pociągu. Włożyła mu do kieszeni dwudziestofrankowy banknot i poprosiła, żeby obudził ją nie wcześniej niż o dziewiątej rano. Gdy wyszedł, pomyślała: Ach, ci Francuzi. Ledwo kobieta przyjedzie do Paryża, a oni od razu chcieliby wskoczyć jej do łóżka.

Gdy się rozpakowała, zapaliła papierosa, mocnego skręta, jakich we Francji nikt nie palił. Wyciągnęła z walizki czarną teczkę, otworzyła ją i wyjęła zdjęcie swojego męża, Leopolda Treppera.

Sierow postawił przed nią trudne zadanie: musiała pomóc w jego odnalezieniu i zlikwidowaniu. Uwierzyła w to, co mówił — *ze* to mąż wydał ją podczas przesłuchania. Uwierzyła również, że jej syn, Kola, wróci do niej, gdy wykona zadanie.

W ciągu kilku najbliższych dni Natasza Aleksandrowna Trepper miała nawiązać kontakt z odpowiednimi służbami wywiadowczymi przy ambasadzie radzieckiej w Vichy i przystąpić do poszukiwania męża.



Trepper szedł szybkim krokiem do domu. Był zbyt wzburzony, żeby logicznie i na chłodno wszystko przemyśleć. Miał iść

na dworzec i kupić bilet na najbliższy pociąg do Brukseli. Wchodził właśnie głównym wejściem, gdy nagle w drzwiach zobaczył swoją żonę Nataszę w towarzystwie jakiegoś młodego mężczyzny.

Cofnął się przerażony. Nie widział jej od czasu aresztowania. Jego najgorsze obawy właśnie się potwierdziły. NKWD trafiło na jego ślad. Inne wytłumaczenie nagłej obecności Nataszy w Paryżu nie przychodziło mu do głowy. Kiedy wszedł do mieszkania, natychmiast otworzył butelkę wódki i siedząc długo w nocy na fotelu przy oknie, opróżnił prawie całą.

## ROZDZIAŁ 14

### Szpiegowskie rendez-vous

Dworzec w Brukseli nigdy się Trepperowi nie podobał. Uważał, że jest obskurny, te odrapane ściany, odpadający tynk... Przez całą drogę myślał o żonie. Był pewny, że upłynie trochę czasu, zanim Natasza natrafi na jego ślad i wskaże go NKWD. Miał też pewność, że zdąży się do tego spotkania dobrze przygotować. Przeczuwał, że kazali jej go zlikwidować. Natasza przecież też była szpiegiem i wiedziała, że aby ocalić życie, musi go zabić. Mogli ją ponadto szantażować dzieckiem. On tak właśnie by zrobił.

Złapał taksówkę i kazał się zawieźć do przytulnego hoteliku położonego niedaleko brukselskiego ogrodu botanicznego przy rue Godefroi de Bouillon. Lubił ten hotelik, ilekroć był w Brukseli, zawsze w nim mieszkał. Hotelik był mało znany, a jego właściciele, flamandzkie małżeństwo, Hans i Honorata van Guytenowie, byli z nim zaprzyjaźnieni. Nie kryli się z lewicowymi sympatiami, prowadzili jednak własny interes, ponieważ żyli w kraju kapitalistycznym. Van Guytenowie byli marksistami i kapitalistami, według zasady, że wolność to uzasadniona konieczność.

Trepper wykorzystał również fakt, iż znał syna van Guytenów, Pierre'a, lewicowego działacza, dziennikarza i żołnierza Brygad Międzynarodowych zabitego podczas hiszpańskiej wojny domo-

wej. Miody Flamand zwierzył mu się przed śmiercią, nie wiedząc, z kim ma do czynienia, że rodzice mają kłopoty finansowe. Trepper napisał do nich list, już jako „przyjaciół” ich syna, Jean Gilbert. Zaproponował pożyczkę i w ten sposób zdobył ich zaufanie. Kiedy wraz z Orłowem zdecydował się zerwać ze Stalinem, musiał stworzyć sobie krąg znajomych, by lepiej wtopić się w zachodnie społeczeństwo, a rodzice Pierre'a doskonale nadawali się na przyjaciół — spokojni, poważni, nie wzbudzający podejrzeń.

Na podstawie informacji, jakie uzyskał od Jacques'a Duclosa, zamierzał odszukać w stolicy Belgii Alfreda Corbina. Gdy okazało się, że nadal mieszka w Brukseli, Gilbert poprosił van Guytenów, aby w jego imieniu zaproponowali Corbinowi interes, współpracę z bogatym paryskim przedsiębiorcą. Nic podejrzanego. Trepper znał Corbina z Moskwy i wiedział, że ten jest znakomicie wyszkolonym radzieckim agentem. I tylko równie dobry szpieg mógł spróbować go podejść. A takim człowiekiem był Trepper.

Van Guytenowie nawiązali kontakt z Corbinem i zaproponowali mu w imieniu firmy „Syntex” korzystny kontrakt w Paryżu. Nazwisko Gilbert nic mu nie mówiło, uznał jednak, że to wiarygodna propozycja francuskiego przedsiębiorcy, który pragnie wejść na belgijski rynek. Poza tym niedawno zaczęła się niemiecka okupacja, a nawiązanie kontaktów handlowych z Paryżem w takiej sytuacji zapewniało firmie dodatkowe dochody. Corbin byłby głupi, gdyby przegapił taką okazję.

Alfred Corbin naprawdę nazywał się Jewgienij Fensztajn i podobnie jak Trepper, w niczym nie przypominał typowego funkcjonariusza NKWD — tępego sadystycznego brutala o nikłej inteligencji. Był wykształcony, znał doskonale francuski i był jednym z tych ludzi, których wywiad radziecki przeniósł na Zachód w nadziei, że kiedyś mogą się przydać. Corbin był handlowcem. Miał w Brukseli kilka sklepów z aparatami telefonicznymi.

Jednak najbardziej nawet utalentowany i genialny szpieg, jakim był Kameleon, nie mógł robić wszystkiego sam. Przebrać się, zmienić image — dobrać okulary, przefarbować włosy,

i nauczyć się sztuki charakteryzacji — to wszystko można opanować dość szybko. Podrabianie dokumentów było o wiele trudniejsze. Potrzebował genialnego fałszerza.

Takim człowiekiem był Joseph Greenveld, skromny bibliotekarz z Amsterdamu. Jego historia, podobnie jak historia Kameleona, była bardzo skomplikowana. On również został ściągnięty przez generała Orłowa ze Związku Radzieckiego do Hiszpanii podczas wojny domowej. Naprawdę nazywał się Izaak Rawinowicz i był Żydem z Nowogrodu. Jeszcze za czasów carskich podrabiał dokumenty i podpisy. Z tego żył, a kiedy wybuchła rewolucja, najpierw CzK, pierwszy instrument czerwonego terroru Lenina, a potem NKWD, przekonały się, że jego umiejętności są niezwykle. Rawinowicz robił perfekcyjne papiery. Jego podstawowa zasada brzmiała: fałszerz nie robi fałszywych dokumentów, tylko udoskonala prawdziwe. Po wojnie w Hiszpanii wyjechał do Holandii i zatrudnił się w bibliotece. Po holendersku mówił bez obcego akcentu.

Gdy Kameleon musiał przedzierzgnąć się w kogoś innego, człowiek, który miał dostarczyć mu tożsamości, był na ogół likwidowany, a w ręce Kameleona trafiały prawdziwe dokumenty. Po dwóch miesiącach Rawinowicz przysyłał je do Paryża przerobione. Fałszerz miał kilkadziesiąt nielegalnie skopiowanych pieczętek różnych urzędów z różnych państw. Pieczętkę kradł na minutę, odciskał w miękkim mydle i robił odlew, a oryginał zwracał.

Bibliotekarz wykonał już dla Treppera dwa paszporty. Miały się one przydać „na później”. Paszport Ulyssesa de la Cruz powstał natomiast w Moskwie w 1936 roku, na zamówienie generała Orłowa.



Pierwszy dzień po przyjeździe do Brukseli Trepper spędził w hotelu. Czytał belgijską prasę i wypytywał gospodarzy o sytuację w mieście. W południe drugiego dnia wybrał się na

spacer i zakupy, uważając na niemieckie patrole, które można było spotkać w całym mieście. Był zdania, że Belgowie urodzili się w czepku — okupanci, podobnie jak we Francji, nie byli zbyt brutalni. Z brukselskiego ratusza nie zdjęto belgijskiej flagi, tylko obok zawieszono nazistowską. Nie zamknięto również belgijskiej prasy, i tej francuskojęzycznej, i tej flamandzkiej. Poddano ją jedynie dyskretnej cenzurze. Nie było na ulicach ani łapanek, ani wywózek na roboty, ani publicznych egzekucji wyreżyserowanych niczym teatralne przedstawienia.

Trzeciego dnia postanowił złożyć wizytę Alfredowi Cor-binowi.

★

— Mam kogoś — oznajmiła Sylvie drżącym głosem, gdy tylko Augustine wszedł do pokoju. — Nie Kocham cię — dodała.

Nie chciała go ranić, ale nie mogła dłużej udawać, że coś do niego czuje.

— Od jak dawna spotykasz się z tym facetem? — zapytał Augustine, chodząc nerwowo z kąta w kąt.

— Od marca tego roku.

— Kto to jest? Jaki on jest? W czym jest lepszy ode mnie?! — zaczął histerycznie krzyczeć.

— Uspokój się, proszę. On jest inny niż ty. Rozumie moje ciało. Kocha mnie. Jest przedsiębiorcą. Ma ułożone życie.

— Jest w moim wieku?

— Starszy od ciebie. Nazywa się Jean Gilbert.

Chłopak zamknął oczy. Był zdruzgotany. Nie potrafił zrozumieć, jak Sylvie mogła kochać się z nim w maju, mimo że już spotykała się z tamtym mężczyzną!

— Augustine... na pewno sobie kogoś znajdziesz... jest tyle dziewczyn — próbowała go pocieszyć.

— Milcz! — warknął.

W jego oczach był ból i wściekłość. Wyszedł bez słowa, trzaskając drzwiami.

Szedł bez celu i myślał o tym, że musi się dowiedzieć wszystkiego o człowieku, który zabrał mu ukochaną. A potem się zemścić.





Kapitan Harro Schulze-Boysen zamieszkał niedaleko Sylvie Faveur. Zdjęcia, które agentka Funke zrobiła przed kilkunastoma dniami przed Café de la Nouvelle Athènes, miały pomóc kapitanowi rozpoznać Kameleona.

Jednak człowiek ze zdjęcia nie był jedynym powodem, dla którego Niemiec znalazł się w Paryżu. Przed kilkoma dniami został dowódcą eskadry myśliwców złożonej z dwudziestu sześciu samolotów Messerschmitt Bf-109.

Francuska rodzina, do której skierowała go na kwaterę komendantura, z początku odnosiła się do niego nieufnie, jednak kiedy Boysen zaproponował, że będzie płacił czynsz, choć nie musiał, lody zostały przełamane. Po dwóch tygodniach czuł się jak w domu.



Augustine długo błąkał się po Paryżu. Jeździł metrem i tramwajami, wydając pieniądze, które dostał od ludzi w pociągu. Nie wiedział, dokąd pójść. Nie znał w tym mieście nikogo. Na stacji metra Solferino ktoś zawołał go po imieniu. Zaskoczony Augustine odwrócił się i zobaczył swojego dowódcę, kapitana Pierre'a Georges'a. Był ubrany jak robotnik.

— Chłopie, co ty tu robisz? — zapytał wesoło.

— To samo pytanie mógłbym zadać panu, kapitanie — odrzekł ponuro chłopak.

— Masz gdzie przenocować?

— Szczerze mówiąc, nie.

— No to chodź ze mną.

Kapitan Georges również był uciekinierem. Nie miał zamiaru dać się zamknąć w obozie jenieckim w Niemczech i dlatego po rzezi w Eperney rozpuścił oddział i wyrzucił mundur. Przedostał się do Paryża. Chciał walczyć, ale nie tak jak Francuzi de Gaulle'a, których w 1940 roku była garstka. Georges był komunistą, jednak Augustine nie wiedział o politycznych sympatiach kolegi.



Sekretarka niemieckiego ambasadora w Paryżu, Anna Margeret Hoffman-Schiltz, dopiero po przeprowadzce do stolicy Francji mogła przyznać, że uśmiechnęło się do niej szczęście. Znalazła się w Paryżu właściwie wbrew swojej woli. Jej ojciec należał do zaufanych SS dziesięć lat przed wybuchem wojny i dobrze znał Otto Abetza. To dzięki jego wstawiennictwu Anna Margaret dostała dobrze płatną posadę.

Anna nie była zbyt ładna, raczej przeciętna. Lubiła kwiaty, szczególnie róże, pluszowe króliczki i filmy z Rudolfem Valentino. Blond włosy upinała w kok, miała bladą cerę upstrzoną nielicznymi piegami, które starała się ukryć pod warstwą pudru. Ubierała się skromnie, nigdy nie pozwalała sobie na żadną ekstrawagancję.

Pierwszy i jedyny chłopak Anny, Robert, był podoficerem łączności i zginął w pierwszych dniach września 1939 roku podczas inwazji na Polskę. Anna przyplaciła to ciężkim załamaniem nerwowym. Po kilku miesiącach ojciec załatwił jej posadę u Abetza, licząc, że dzięki temu córka zapomni wreszcie o narzeczonym. I miał rację.

Któregoś dnia, wychodząc z gmachu niemieckiej ambasady przy rue de Lille, Anna postanowiła, że wreszcie kupi sobie radio. W „Le Temps” znalazła adres firmy oferującej używane odbiorniki, mającej siedzibę przy rue St-Dominic. Kupiła tam aparat Marconiego z 1938 roku. Obsługiwał ją przemiły młody człowiek. Instruował, jak regulować głośność i jak szukać stacji.

Właśnie kończył pracę i zaproponował, że pomoże jej zanieść pudło z odbiomikiem do taksówki.

Obok firmy zauważyła luksusową perfumerię. Wstąpiła do niej, chłopak nadal jej towarzyszył i doradzał, jakie perfumy kupić. Spędzili razem godzinę. Po wyjściu ze sklepu rozstali się, lecz Anna zauważyła, że młody człowiek idzie za nią i nie spuszcza jej z oka. Gdy odjechała taksówką, wsiadł do następnej i nadal ją śledził. Dopiero pod wieczór, kiedy wróciła do domu, stwierdziła, że nie ma portmonetki.

Następnego dnia w pracy nie mogła się skupić, wciąż rozmyślała o tym, że została okradziona. Koło południa zadzwonił telefon na jej biurku. Wartownik poinformował ją, że przed ambasadą czeka młody Francuz i mówi, że znalazł jej portmonetkę. Anna natychmiast zbiegła do holu i wyszła przez główną bramę. Zobaczyła przystojnego młodego Francuza, którego poznała w sklepie z radiami. Wyjaśnił, że portmonetkę zostawiła w perfumerii.

Jak on na mnie patrzy, pomyślała dziewczyna. Czuła, że coraz mocniej bije jej serce. Chcąc mu się odwdziżyć, zaprosiła go na kawę do pobliskiej kawiarni. Przystojny młodzieniec wyraźnie ją adorował. Schlebiało jej to. Zaczęli umawiać się na spacer. Pokazywał jej Paryż. Nie miało dla niej znaczenia, że nie był Niemcem.

Kiedy spędzili ze sobą noc, Anna znów poczuła, że jest kobietą. Jej ciało odżyło. Zaczęły cieszyć ją drobiazgi — podlewanie kwiatów czy przeciąganie się w łóżku. Którejś upojnej nocy kochanek wyznał, że ukrywa się we Francji przed agentami generała Franco. Anna, zakochana do szaleństwa, postanowiła mu pomóc. Nareszcie była komuś potrzebna, kochana i szczęśliwa.



Ulysses de la Cruz wyszedł z hoteliku van Guytenów i udał się na przystanek tramwajowy koło ogrodu botanicznego. Stojący obok wejścia na przystanek dwaj niemieccy żołnierze

sprawdzili jego dokumenty. Wszystko było w porządku. Podrobiony paszport zawierał prawdziwą dwumiesięczną wizę, wystawioną przez niemieckie władze okupacyjne Paryża.

Tym razem Ulysses miał kozią bródkę i starannie wypielegnowane wąsy.

Załatwienie niemieckiej wizy, umożliwiającej obywatelowi neutralnego państwa, jakim był Urugwaj, podróżowanie po terytoriach okupowanych przez III Rzeszę, nie było trudne. Aby zachęcić urzędnika do szybszego wystawienia dokumentu, Ulysses dyskretnie włożył do kieszeni jego marynarki banknot studolarowy. Po godzinie miał wizę.



Przedsiębiorstwo Alfreda Corbina, Corbin GmbH, miało w Brukseli kilka filii, a główna siedziba mieściła się przy rue des Atrebatos w dzielnicy Etterbeek. Firma handlowała głównie aparatami telefonicznymi oraz zakładała przyłącza do sieci telefonicznej. Próbowala też sił na rynku odbiorników radiowych. Alfred Corbin miał zacząć działalność szpiegowską, gdyby Związek Radziecki zmienił nastawienie do hitlerowskich Niemiec. Na razie korzystał z tego, że niemieckie władze patrzyły przez palce na działalność NKWD w krajach zachodnich. W ciągu paru lat działalności wykończył kilku rosyjskich „białych” dysydentów, którzy ukrywali się w Belgii od czasów zakończenia wojny domowej w Rosji w 1922 roku.

Nie krył zaskoczenia, gdy sekretarka powiadomiła go koło godziny ósmej piętnaście rano, że w poczekalni czeka wysłannik nowego kontrahenta z Paryża, Jeana Gilberta, pan Ulysses de la Cruz.

— Czy ten pan jest rzeczywiście z Paryża? — upewnił się Corbin.

— Wszystko na to wskazuje. Ma nawet list polecający od Jeana Gilberta, właściciela „Synteksu”, z którym współpracujemy.

— Dobrze, niech wejdzie. Mogę mu poświęcić nie więcej niż kwadrans. Proszę nikogo nie łączyć.

Sekretarka odłożyła słuchawkę i zwróciła się do Urugwaj-czyka:

— Szef pana prosi...

★

Obydwaj szpiedzy widzieli się pięć lat temu, w lipcu 1935 roku w porcie w Odessie. Wtedy Trepper zegnał swego znajomego, Jewgienija Fensztajna. Mieli ze sobą wiele wspólnego: żydowskie pochodzenie, nieustępliwy charakter i wiarę w system radziecki. Potem Trepper został aresztowany i skazany na roboty w Kazachstanie, a Fensztajn, już jako Corbin, rozkręcał interesy w Brukseli. Od razu rozpoznał Treppera. Cofnął się pod ścianę i rozluźnił krawat.

— Nie powiesz mi: witaj, towarzyszu? — odezwał się gość po rosyjsku.

— Nie wiedziałem, że żyjesz — wymamrotał Fensztajn. — Mówiono, że zaginałeś w Hiszpanii. Ale domyślałem się, że takiego sukinsyna jak ty niełatwo wykończyć. Słyszałem również, że uciekłeś z Orłowem do Ameryki.

Trepper uśmiechnął się ironicznie.

— Jewgieniju, zanim przejdę do rzeczy naprawdę ważnych, musisz mi powiedzieć, czy słyszałeś, że do Paryża przyjechała Natasza?

Fensztajn pokręcił głową.

— Naprawdę nic nie obito ci się o uszy? Widziałem ją w Paryżu. Zdaje się, że centrala urządziła na mnie polowanie.

— Dziwisz się? Stalin uważa cię za zdrajcę...

Zdrada, pomyślał Trepper, to magiczne radzieckie słowo...

— Ty też nie pojechałeś do Moskwy w trzydziestym siódmym roku — syknął. — Na pewno zostało to odnotowane.

— Do czego zmierzasz? — zaniepokoił się Fensztajn.

— Jewgieniju, chcę uratować nam życie. Ponieważ według

naszych towarzyszy jesteście zdrajcami i nie wiemy, kiedy wybije nasza godzina, musimy zrobić wszystko, żeby centrala uwierzyła, że jesteście lojalni.

— Ja jestem lojalny — podkreślił Fensztajn. — Zawsze byłem.

— Jesteś zamożnym człowiekiem — ciągnął Trepper. — Jesteś w Belgii kimś. Masz firmę, zatrudniasz ludzi. Dobrze zarabiasz. Jednym słowem masz wszystko to, czego nie miałbyś, żyjąc w kołchozie na Syberii czy w Kazachstanie. Więc przestań mi pieprzyć o lojalności. Gdyby zastosować twarde zasady Trockiego, już dawno dostałbyś kulkę. Choćby dlatego, że jesteś bogaty.

Na wysokim czole Fensztajna pojawiły się krople potu.

— W gruncie rzeczy ja jestem taki sam. Jestem jeszcze bogatszy od ciebie — dodał Trepper.

— Pracujesz dla Jeana Gilberta?

— Można tak powiedzieć.

— Czego chcesz?

— Współpracy. Razem przystąpimy do budowy siatki szpiegowskiej, na początek we Francji, w Belgii, a potem może w Holandii. Musimy zebrać zaufanych ludzi. Mogą być wśród nich towarzysze z Moskwy, ale nie powinni wiedzieć, że to ja i ty jesteście szefami. Trzeba również znaleźć operatora radiostacji.

— Znam takiego człowieka. Pracuje w Liège, w kopalni. Był w Hiszpanii.

— Znam go?

— Nie sędzę. Nazywa się Wiktor Sokołow-Guriewicz. Centrala twierdzi, że jest dobrym fachowcem.

— To dobrze. Już wkrótce *matuszka Rosija* weźmie się za łby z Hitlerem. Jestem tak pewny wybuchu wojny, jak tego, że tu stoję. Jeśli wybuchnie wojna, obojętnie czy Stalin zaatakuje Hitlera, czy on Stalina, znów będziemy przydatni.

— Taak... aleja mogę być przydatny już teraz — stwierdził Fensztajn z dziwnym uśmiechem.

— Doprawdy? A w jakiż to sposób?

— Mógłbym cię wydać. Pytałeś o Nataszę. Jeżeli ją widziałeś, to wiesz, że centrala będzie próbowała nauczyć cię rozumowi.

— Mój drogi, to ja cię znalazłem i byłbym głupi, gdybym przyszedł do ciebie niezabezpieczony. Wiem o tobie wszystko. — oświadczył Trepper.  
— Czytałeś dzisiejszy numer „Bimellen Post”? Piszą, że przed kilkoma tygodniami zamordowano w Meksyku Lwa Trockiego.

Trepper pamiętał, że Fensztajn cenił Trockiego za jego bardziej elastyczne podejście do komunizmu.

— Trocki został zabity przez swojego ochroniarza w doskonale strzeżonej willi pod Mexico City — ciągnął Trepper, nie zważając na to, że Fensztajn zbladł i zaczął się trząść. — Stalin wybrał dobry moment, prawda? Kiedy poległa Francja, któż by się przejmował Trockim.

Fensztajn milczał.

— Teraz już widzisz — mówił spokojnie Trepper — że nie mamy żadnych szans, jeśli nie będziemy się nawzajem kryli. A jak nie, skończymy jak Trocki. Rozumiesz?

— Tak — wyszeptał Fensztajn.

— Doskonale. Organizację siatki w Belgii sfinansujesz ty. Ja zrobię to samo we Francji. Lepiej, jeśli nie będziemy się spotykali. Kontakt w hotelu van Guytenów przy rue Godefroi de Buillon. Wystarczy raz na miesiąc. To wszystko.

Trepper wstał i skierował się do wyjścia. Gdy naciskał kłamekę, odwrócił się i powiedział zimno:

— Jewgieniju, jeśli spróbujesz mnie zdradzić... lub kombinować za moimi plecami... zabiję cię jak psa.

## ROZDZIAŁ 15

### Pani Ivory

Festiger wkroczył energicznie do pomieszczeń departamentu centralnej dokumentacji i digitalizacji danych, w którym pracowała jego była żona.

Kiedyś połączyła ich namiętność równie gwałtowna, co krótkotrwała. Szybko okazało się, że Festiger nie przepada za jej przyjaciółmi, a ona źle się czuje w towarzystwie jego znajomych, głównie policjantów.

Yves był synem surowego i twardego żołnierza, kochającego syna ponad wszystko i marzącego dla niego o wspaniałej karierze. Kontrolował go, wtrącał się do jego małżeństwa i od pierwszego wejrzenia znienawidził Louise. W końcu Yves musiał zerwać z nim stosunki. Matka Festigera, nauczycielka francuskiego, zmarła na raka. Yves odniósł wtedy wrażenie, jakby ojca to w ogóle nie obeszło.

Ojciec Louise, Pierre Domrémy, był znanym politykiem partii socjalistycznej, a matka, Gabrielle Marchand, wiolonczelistką. Państwo Domrémy uważali, że córka popełniła mezalians. Nie potrafili zaakceptować zięcia, który łapał przestępców i rzadko bywał w domu. Trudno się dziwić, że Yves nie miał ochoty odwiedzać teściów, a Louise, bardzo związana z rodzicami, nieustannie robiła mu z tego powodu wyrzuty.



Takie małżeństwo nie mogło przetrwać, mimo to po rozwodzie Festiger odczuwał pustkę, a kiedy myślał, że być może Louise spotyka się z innymi mężczyznami, czuł palącą zazdrość.



Drzwi do pokoju Louise były uchylone, co oznaczało, że interesanci są mile widziani. Otworzył je szerzej i oparł się o framugę. Nie widział Louise, lecz słyszał jej głos:

— Jak to się nie da?! To zróbcie coś, do ciężkiej cholery, żeby te komputery działały jak należy!!

Chwilę potem ją zobaczył. Zawsze mu się podobało, jak idąc, poruszała biodrami. Mój Boże, pomyślał Festiger, jak ja uwielbiałem całować te biodra! Louise krzątała się energicznie przy biurku, wkładając papiery do teczki. Nie zauważyła go. Zastanawiał się przez chwilę, jak wyglądałoby ich małżeństwo, gdyby mieli dziecko...

— Cześć, Louise — powiedział. Odwróciła głowę.

— Czego chcesz? — warknęła. — Przestań wreszcie nosić ten krawat, Yves — dodała nieco łagodniej, patrząc na jego niebieski krawat w białe groszki.

Uśmiechnął się.

— Jesteś złośliwa wobec wszystkich mężczyzn, czy tylko wobec mnie?

— Wejdz, proszę — bąknęła, nieco zmieszana. — Przepraszam, ale znowu mamy kontrolę z urzędu skarbowego. Już drugą w tym roku. Doprowadza mnie to do szału. Napijesz się kawy?

— Chętnie — odpowiedział Festiger, siadając na fotelu naprzeciwko jej biurka. — Ty się w ogóle nie zmieniasz. — Pokręcił głową.

— Ty też nie — powiedziała Louise, nalewając kawę do filiżanek.

Biorąc filiżankę, musnął jej palce.

— Ładnie wyglądasz.

— Daruj sobie, Yves. Co cię sprowadza?

— Chciałbym, żebyś mi powiedziała, czy we francuskich archiwach mogą znajdować się informacje dotyczące obcych agentów, którzy w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat pracowali na terenie Francji?

— Czy ja dobrze słyszę? W ostatnim półwieczu"?

— Tak.

— Może i są, ale dotarcie do tych materiałów nie będzie możliwe bez zgody tego bufona Chiraca. A może znasz kogoś w Pałacu Elizejskim? — rzuciła ironicznie.

— Louise, prowadzę zawikłaną sprawę. Kilka dni temu zamordowano człowieka, który prawdopodobnie był szpiegiem, ostatnio pracował dla Mossadu. Miał przy sobie dwa paszporty na dwa różne nazwiska. Mamy powody przypuszczać, że w czasie wojny działał na terenie Francji.

Louise parsknęła śmiechem.

— Druga wojna? A kogo to dziś obchodzi?! No tak... on może jednak mieć teczkę w głównym archiwum kontrwywiadu.

— Właśnie, a ja drepczę w miejscu i głowię się nad tym, kto i z jakiego powodu go załatwił. Mogłabyś popytać tu i ówdzie. Masz w ministerstwie koleżanki...

— Komisarzu Festiger, czy ty przypadkiem nie nakłaniasz mnie to zdrady tajemnicy państwowej? To przestępstwo, panie policjancie. — Uśmiechnęła się kokieteryjnie.

— Louise, wiesz dobrze, że w archiwach ministerstwa są te czki różnych dziwnych ludzi.

— Dobrze, jakoś nie potrafię ci odmówić — westchnęła.

— Poza małżeństwem.

— Yves, proszę, nie zaczynajmy kłótni.

— Ja się nie kłócę.

— Zawsze zaczynaliśmy kłótnie od tego, że twierdziłeś, że ty się nie kłócisz.

— Bo to prawda.

— Och przestań! — parsknęła. — Do rzeczy. Jak brzmi nazwisko tego człowieka?

— Trepper. Leopold Trepper, ale może również występować pod nazwiskiem Jean Gilbert.

Louise zapisała obydwa nazwiska na kartce.

— Zobaczę, co da się zrobić. Zadzwonię, jak tylko się czegoś dowiem.

— Wspaniale.

Pocałował ją w policzek. Pachnie moimi ulubionymi perfumami, pomyślał, gdy był już na korytarzu. Zadzwoiła jego komórka.

— Przyjedź do hotelu Continental — powiedział Al-Douri. — Znalazła się twoja Amerykanka. Była z wnuczką na wycieczce w Orleanie.

— Będę za dziesięć minut.

★

Joseph czekał na niego, spacerując po hotelowym holu.

— Przepraszam, Zidane, korki.

— Nie nazywaj mnie Zidane.

— Dlaczego, przecież to dobry piłkarz...

— Nie chcę, żebyś tak do mnie mówił, bo podkreślasz, że jestem z Algierii.

— W porządku, przepraszam.

— Uprzedziliśmy panią Ivory, że będziesz chciał z nią porozmawiać.

— Mówiliście jej o zabójstwie w hotelu?

— Nie, ty jej powiesz. Ja jadę prowadzić moje internetowe śledztwo. Chłopcy znaleźli kilku typków z blizną. Muszę ich obejrzeć. Powodzenia.

Drzwi otworzyła Festigerowi młoda dziewczyna o rudawych włosach, w białym podkoszulku i džinsach. Była bardzo ładna. Jak dla niego, dziesięć punktów na dziesięć możliwych.

— To pan jest tym gliniarzem, który chciał rozmawiać z babcią? — zapytała po angielsku.

— Tak, to ja — odrzekł Festiger w tym samym języku. Nigdy nie był zadowolony ze swojego angielskiego. Mówił ze śmiesznym francuskim akcentem. Dziewczyna uśmiechnęła się ironicznie.

— Proszę wejść. Babcia czeka na pana. Wasi ludzie trochę ją przestraszyli. Jestem Nicole Ivory.

— Komisarz Festiger. Przykro mi, ale muszą was pilnować.

— Nie wygląda pan na Herculesa Poirota — rzuciła z uroczym uśmiechem, odwracając się w drzwiach.

— On był Belgiem, o ile dobrze pamiętam — odpowiedział Yves.

Stwierdził, że Nicole nie jest chyba typową Amerykanką z okropnych dowcipów, jakie krążą we Francji. Nie była ani gruba, ani brzydka, nie wyglądała też na panienkę, która rozwiązuje krzyżówki, żując gumę i pijąc wiadra coca-coli.

Rozejrzał się ciekawie. Wynajęcie takiego apartamentu musiało kosztować mnóstwo pieniędzy. Hotel miał pięć gwiazdek i położony był nad samą Sekwaną przy ruchliwej Quai Voltaire. Pani Ivory musi być nadziana.

Sprawdził, czy w bocznej kieszeni marynarki ma kopię listu, jaki Sylvie Ivory wysłała z USA do Leopolda Treppera.

— Babciu, ten pan z francuskiej policji już jest i chciałby z tobą porozmawiać — dobiegł z salonu głos Nicole.

— Poproś go, kochanie.

Festiger wszedł do salonu. Starsza pani siedziała w wiklinowym fotelu, przeglądając czasopisma kobiece, leżące na małym szklanym stoliku. Jej siwe włosy upięte były w kok, mimo podeszłego wieku miała zgrabną sylwetkę, ładne, starannie wypielęgnowane dłonie o długich palcach. Jej delikatna twarz zachowała świeżość i wdzięk. Festiger zwrócił uwagę na jej biżuterię, niezwykle gustowną — srebrny naszyjnik z bursztynami i dwa pierścionki również z bursztynami, doskonale pasującymi do amarantowej letniej sukienki.

— Komisarz Yves Festiger... wydział zabójstw — przedstawił się po angielsku, nieco onieśmielony.

Sylvie Ivory podniosła na niego wzrok.

— W której dzielnicy znajduje się pański komisariat? — zapytała po francusku.

— Na Montmartrze, ale nasz rejon obejmuje również Dzielnicę Łacińską.

— Podczas wojny pracowałam na Montmartrze... Panie komisarzy, zastanawia mnie, co wydział zabójstw paryskiej policji może chcieć od takiej starej kobiety jak ja. Ale jeśli tylko będę mogła w czymś panu pomóc... Proszę siadać.

Ruchem dłoni wskazała wygodny fotel po drugiej stronie stolika.

— Zgaduję, komisarzy, że jest pan zaskoczony, iż nie jestem rodowitą Amerykanką? — spytała, patrząc na niego przenikliwie.

— Tak — skłamał, nie chcąc na razie zdradzać tego, że czytał jej list do Treppera.

— Urodziłam się w Orleanie, a młodość spędziłam w Paryżu. Muszę przyznać, że pańscy ludzie trochę mnie przestraszyli, mówiąc, że są moją ochroną i że bym nie ruszała się z hotelu.

— Przepraszam, nie chcieliśmy pani zdenerwować. Chodzi o pani bezpieczeństwo.

— O moje bezpieczeństwo? — zdziwiła się. — Mógłby pan to sprecyzować?

Festiger poczuł się, jakby to on był przesłuchiwany.

— Między innymi w tym celu tu przyjechałem — wyjaśnił pospiesznie. — Moja troska o pani bezpieczeństwo ma pewne podstawy. Zaraz wszystko pani wyjaśnię, przedtem jednak to ja chciałbym zadać pani parę pytań.

— Proszę bardzo — odpowiedziała pani Ivory. — Napije się pan kawy? — A gdy komisarz skinął głową, zwróciła się do wnuczki:

— Kochanie, zadzwoń, niech przyniosą dwie kawy i może jakieś ciasteczka.

Po chwili pokojówka przywiozła na wózku kawę i talerz herbatników.

— A może ma pan ochotę na coś mocniejszego? — Nicole spojrzała na niego pytająco.

— Dziękuję, nie, jestem na służbie.

— A więc jest pan policjantem, który przestrzega regulaminu. Jakich jeszcze regulaminów pan przestrzega? — zapytała wyzywająco, opierając ręce na biodrach.

— Kochanie, pan komisarz przyszedł do mnie, a nie do ciebie — wtrąciła się starsza pani.

Nicole przewróciła zabawnie oczami i usiadła w fotelu. Festiger zerknął na nią raz jeszcze, po czym zwrócił się do pani Ivory:

— Kilka dni temu w hotelu przy rue St-Lazare został zamordowany pewien starszy mężczyzna.

Wyjął ksero zdjęcia paszportowego Leopolda Treppera i podał je pani Ivory. Obserwował jej twarz. Znikła łagodność i pogoda, pojawiło się napięcie, a w oczach nieme pytanie.

— Znała pani tego człowieka?

— Tak... Mój Boże... co się stało?

— Został zastrzelony przez wynajętego mordercę, a więc najprawdopodobniej była to egzekucja. Wiemy, kto go zabił, ale nie wiemy, na czyje polecenie. Chciałbym, żeby pani pomogła nam w ustaleniu kilku ważnych faktów.

Pani Ivory odstawiła filiżankę na stolik i ukryła twarz w dłoniach. Festiger odczekał chwilę i zapytał:

— Czy przyjechała pani do Paryża, by spotkać się z tym człowiekiem?

— Tak, ale chciałabym podkreślić, że nie mam z jego śmiercią nic wspólnego — odpowiedziała zdecydowanie, podnosząc głowę.

— Niczego takiego nie sugeruję — zapewnił komisarz. — Poza tym ma pani alibi — dodał.

— Skąd pan wie? — zapytała, unosząc głowę. Na jej policzkach błyszczały łzy.

Festiger wyjął z kieszeni kopię listu i podał ją kobiecie. Ta głęboko westchnęła.

— Ten list znaleźliśmy przy zmarłym — wyjaśnił. — Oczywiście musieliśmy go przeczytać, mam nadzieję, że nam pani wybaczy... Dowiedzieliśmy się z niego, po co pan Trepper przyjechał do Paryża. Prawie nic o nim nie wiemy. W ambasadzie izraelskiej niewiele nam powiedzieli. Tylko tyle, że pracował dla Mossadu. Pomoże nam pani?

Przygnębiona pani Ivory skinęła głową.

— Proszę powiedzieć, kiedy, gdzie i w jakich okolicznościach poznała pani Leopolda Treppera.

Sylvie Ivory odetchnęła głęboko. Widać było, że ze wszystkich sił stara się zachować spokój.

— To było tuż przed inwazją Niemiec na Francję — zaczęła drżącym głosem. — Chyba na wiosnę tysiąc dziewięćset czterdziestego. Pracowałam wtedy jako kelnerka w Café de la Nouvelle Athènes. To była moja pierwsza praca w Paryżu i bardzo się z niej cieszyłam. Poznałam go właśnie w tej kawiarni. Często tam przychodził. Właściwie to on zwrócił na mnie uwagę...

— Babciu, nigdy o tym nie mówiłaś — odezwała się Nicole.

— Bo też nie było powodu, aby o tym mówić, kochanie. Byłam wtedy bardzo do ciebie podobna, a przecież ty, będąc w college'u, nie mogłaś narzekać na brak zainteresowania ze strony chłopców, prawda?

— Prawda — mruknęła dziewczyna, posyłając Festigerowi długie spojrzenie. Nagle wstała energicznie i powiedziała: — No to zostawię was samych.

I wyszła dziwnie pospiesznie, trzaskając drzwiami.

— Wtedy go poznałam i zakochałam się w nim — podjęła pani Ivory. — Nie wiem, czy pan wie, co to znaczy kochać kogoś tak, żeby pozwolić sobą zaważać?

— Zapewniam panią, że tak — odpowiedział, myśląc o Louise.

— Byłam wtedy młoda i głupia, ale po pewnym czasie doszłam do wniosku, że on coś przede mną ukrywa. Znałam go pod nazwiskiem Jean Gilbert. Sprawiał wrażenie pewnego siebie, bogatego człowieka, a czasy były ciężkie. No i wybuchła wojna...

— Przepraszam, że pani przerwę, ale takie samo imię i nazwisko, Jean Gilbert, widniało na kopercie, w której znaleźliśmy ten list. Czy mogłaby pani to wyjaśnić?

— Ten człowiek miał wiele twarzy. Jean Gilbert był jednym z jego licznych wcieleń.

— Chce pani powiedzieć, że był szpiegiem?

— Można tak to nazwać. Spotykaliśmy się też po tym, jak Niemcy wkroczyli do Francji. To była trudna miłość. To on dyktował warunki, ciągle mi się wymykał... A ja chciałam tylko być z nim... Dopiero po jakimś czasie zorientowałam się, że Gilbert jest niebezpiecznym człowiekiem. Zabijał ludzi. Otaczał się podejrzanymi typami. Nie był to dobry czas na szczęście i miłość. Nie wiem, jak to wytrzymałam, te zmiany miejsca zamieszkania, strach...

— Proszę powiedzieć o jego pracy wywiadowczej.

— Pracował dla Związku Radzieckiego.

— Był człowiekiem Stalina? — Komisarz poczuł, że robi mu się gorąco.

— Tak. Ale to nie było takie proste. Chyba czymś się Związkowi Radzieckiemu naraził, bo musiał się ukrywać, szukali go... Nie wiedziałam dokładnie dlaczego, mogłam jedynie snuć domysły, ale nie o domysły przecież panu chodzi.

— Dlaczego pisała pani do niego na adres w Szwajcarii?

— Och, Jean nie wyglądał może na bogatego człowieka, ale myślę, że nie brakowało mu pieniędzy. Mieszkał w Izraelu i w Szwajcarii. Ja znałam go zawsze jako Jeana Gilberta i takim pozostanie w mojej pamięci. Natomiast jego prawdziwe nazwisko, Leopold Trepper, poznałam dopiero wtedy, kiedy po latach napisał do mnie pierwszy list.

— Ma go pani przy sobie?

— Nie...

Powiedziała to z wahaniem, a Festiger udał, że tego nie dostrzegł.

— Napisał, że ma zaawansowany nowotwór, a ludzi w jego wieku raczej się nie operuje, że wkrótce umrze i chciałby mi



coś powiedzieć, osobiście, właśnie w Paryżu, tu, gdzie się poznaliśmy.

— Nad tym się właśnie zastanawiam — podchwycił komisarz. — Co spowodowało, że tak chory człowiek wypisał się ze szpitala i przebył szmat drogi, żeby się z panią spotkać?

— Nie wiem — powiedziała bezradnie Sylvie Ivory. — Nie zdążył mi tego powiedzieć... — urwała, jakby się bała, że wybuchnie płaczem.

— Proszę mi wybaczyć, ale nie sędzę, żeby pani nie wiedziała, o co chodzi. W liście wspomniała pani, że jest coś, o czym nie może pani napisać, a chce mu powiedzieć.

Pani Ivory milczała. Festiger obserwował jej twarz.

— Byłam z nim w ciąży, ale poroniłam — odpowiedziała w końcu bardzo cicho.

Festiger poczuł się idiotycznie. Poprawił się w fotelu, odchrząknął i postanowił, że lepiej zmienić temat.

— Wiemy, kim był człowiek, który zamordował Treppera. Nie działał jednak na własną rękę, został wynajęty przez mężczyznę z blizną na prawym policzku. Wiemy od recepcjonisty, że najprawdopodobniej ten właśnie mężczyzna był tu i pytał o panią.

— O mnie?

— Tak, dlatego dałem pani ochronę. Proszę, niech mi pani powie wszystko, co wie o Leopoldzie Trepperze.

Pani Ivory milczała, patrząc niewidzącym wzrokiem w okno. Festiger poczuł, że dziś już niczego się od niej nie dowie.

— Bądźmy w kontakcie — rzucił, wstając. — Bez pani pomocy niewiele zdziałamy. Zostawię pani moją wizytówkę.

Wyjął z kieszeni mały kartonik, położył go na szklanym blacie stolika i cicho wyszedł.



Jadąc do domu, analizował rozmowę z panią Ivory. Było jasne, że kobieta coś ukrywa. Mój Boże, myślał Festiger, jak ja mało wiem o czasach wojny!

Wziął prysznic, po czym zadzwonił do Al-Douriego, a potem do doktora Busé i umówili się na mecz. Tego dnia miały grać Belgia i Holandia. Bilety kupili pół roku przed mistrzostwami. Rzecz jasna Festiger kibicował Belgom, bo przynajmniej część z nich mówiła po francusku.

Przed wyjściem odgrzał paskudną pizzę w kuchence mikrofalowej. Kiedy jadł, poczuł, jak bardzo jest zmęczony. Wysłał jeszcze SMS-a do Louise. Napisał, że wie na pewno, iż Trepper pracował podczas drugiej wojny światowej dla radzieckiego wywiadu. Prosił, żeby wzięła to pod uwagę, gdy będzie przeglądała archiwa MSW. Napisał też, że ją pozdrawia i całuje. Odpisała, że jest zmęczona i że gdy się czegoś dowie, da mu znać.

Włożył koszulkę Paris Saint-Germain i pojechał na stadion St. Denis. Ostatni odcinek przed wejściem szli w tłumie ubranych na pomarańczowo kibiców holenderskich. Nie mógł jednak skupić się na grze, wciąż myślał o zabójstwie Treppera, choć Busé głośno wrzeszczał i co chwilę zrywał się ławki. Mecz zakończył się remisem.



Sylvie Ivory po wyjściu Festigera długo nie mogła dojść do siebie. Gdy Nicole wróciła, zastała ją siedzącą nieruchomo w fotelu.

— Przepraszam cię, Nicole, ale przez tego policjanta będziemy musiały zostać jeszcze w Paryżu — powiedziała.

— Nic nie szkodzi, babciu. Ja się cieszę. To fajny policjant.

— Tylko mi nie mów, że ci się podoba.

— Podoba. — Dziewczyna przekrzywiła zadziornie głowę.

— Kobieta policjanta ma marne życie — próbowała zażartować pani Ivory.

Okłamała komisarza, mówiąc, że nie zabrała z domu ostatniego listu Gilberta. Przed snem raz jeszcze go przeczytała. Spojrzała na ostatni fragment, w którym napisał, że w banku

Hugona Tranknera w Genewie nadal są zdeponowane jej pieniądze — razem z odsetkami ćwierć miliona dolarów. Intrygowało ją jednak co innego. Gilbert napisał, że ktoś czyha na jego życie. Jakiś człowiek z blizną miał o niego wypytywać w szpitalu w Tel Awiwie. Jego koledzy z Mossadu namierzyli przez satelitę, z kim ten osobnik rozmawiał przez komórkę. Sylvie gorzko zapłakała.

## ROZDZIAŁ 16

### Teczka

Po wizycie Festigera Louise zadzwoniła do dyrektora archiwum Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, kolegi ze studiów, Michela Leroi. Poprosiła go, żeby poszukał materiałów, które wiązałyby się z osobą Leopolda Treppera. Tym większe było jej zaskoczenie, kiedy następnego dnia rano zadzwonił do niej.

— Louise, musimy porozmawiać — powiedział, wyraźnie zdenerwowany.

— Michel, o ile sobie przypominam, nie spaliśmy ze sobą, prawda? — zapytała z uśmiechem, bo Leroi zapraszał ją kilka razy na kolację i wyczuwała, że ma nadzieję na coś więcej.

— Nie pora na żarty. Przyjdę do ciebie. Musisz mi odpowiedzieć na kilka pytań.

Rozłączył się, zanim zdążyła coś powiedzieć.

Leroi zjawił się po godzinie, niosąc grubą poźółkłą teczkę. Usiadł na krześle po drugiej stronie biurka, zapalił papierosa i zapytał:

— Powiedz mi, dlaczego interesujesz się jakimiś brudami z czasów drugiej wojny światowej?

— Z drugiej wojny? — Udała zaskoczoną. — O czym ty mówisz?

— Wczoraj poprosiłaś mnie, żebym poszukał materiałów na temat dwóch osób, Jeana Gilberta i Leopolda Treppera, czy tak?

— No tak, ale w dalszym ciągu nie rozumiem, co to ma wspólnego z drugą wojną światową.

— Już wyjaśniam. Otóż wyobraź sobie, że spełniłem twoją prośbę. Znalazłem te materiały. Okazało się, że Leopold Trepper i Jean Gilbert to ta sama osoba. W archiwum materiały na jego temat są w sześciu teczkach, z których tylko ta jedna — wskazał żółtą teczkę, którą trzymał na kolanach — została niedawno odtajniona w trybie pilnym. Ktoś już szukał w naszym archiwum tych akt.

— Kto?

— To właśnie jest problem. Była to osoba mająca dostęp do akt francuskiego wywiadu. Jakaś ważna figura. Próbowałem dowiedzieć się, kto to jest, bez skutku. Komuś zależało, żeby po jego wizycie w archiwum nie został najmniejszy ślad. Pozostałe pięć teczek Jeana Gilberta ma status ściśle tajnych i tylko podpis prezydenta może je otworzyć. Powiedz mi, dlaczego interesujesz się tym człowiekiem?

— Wcale się nim nie interesuję... Po prostu...

— Nie kłam, Louise, znam cię. Tak samo kłamałaś na studiach. Czy wiesz, że ten facet szpiegował dla Związku Radzieckiego?

Louise nie odpowiedziała. Pomyślała o wczorajszym SMS-ie od Festigera.

— To był typek spod ciemnej gwiazdy. Zawodowy morderca — dodał Leroi.

— Dlaczego te materiały są tajne? — zapytała Louise.

— Nie udawaj, że się nie domyślasz — prychnął zniecierpliwiony. — Z wywiadu nie odchodzi się nigdy. Po wojnie Trepper nadal pracował, między innymi dla naszego wywiadu oraz dla izraelskiego Mossadu. Materiały na jego temat są tajne, bo figurują w nich nazwiska ludzi, którzy jeszcze żyją.

Louise milczała. Słowa Leroi naprowadziły ją na pewien trop. Festiger wspominał, że morderstwo Treppera może mieć szersze tło. Teraz je dostrzegła. Musi nakłonić Leroi, żeby

zostawił jej teczkę na jeden, dwa dni. Zamierzała zapoznać się z aktami, zanim powie o nich Yves'owi.

— Michel, czy mógłbyś mi zostawić te akta? Chciałabym je przeczytać.

— Nie mówię nie, ale pod dwoma warunkami: po pierwsze powiesz mi, dlaczego się nimi interesujesz, po drugie zjesz ze mną kolację.

— Muszę? — jęknęła.

— Louise, proszę... Próbuję zaprosić cię na kolację, odkąd skończyliśmy studia.

— No dobrze... — Uśmiechnęła się zalotnie. — Aleja też mam warunek.

— Jaki, powiedz! — wyszeptał Leroi.

— Że to będzie tylko kolacja — odpowiedziała Louise, kładąc nacisk na słowo „tylko”.

— Dobrze, Louise, wybierzemy się zatem tylko na kolację — westchnął Leroi z rezygnacją. — Czy odpowiada ci niedziela dziewiętnastego?

— Odpowiada.

— W takim razie jesteśmy umówieni, przyjadę po ciebie. Tym swoim szpanerskim kabrioletem, pomyślała Louise.

Boże, jacy ci faceci są łatwi do przejrzenia! Gdyby tylko Yves wiedział, jak ona się dla niego poświęca!

— Louise, mam mało czasu, a ty jeszcze nie odpowiedziałas na pierwszą część mojego pytania.

— A jak ono brzmiało? — zapytała niewinnie Louise.

— Dlaczego interesują cię te akta?

— Mój były mąż o nie prosił.

— Po co?

— Nie wiem. Jak chcesz, to go zapytaj. Najlepiej zrobisz, jeśli zaprosisz go na kolację. Mogę dać ci numer jego komórki, chcesz?

— Louise, przepraszam, tylko pytałem. Możesz zatrzymać teczkę na dwa dni. Ani minuty dłużej.

— Rozumiem.

Michel wstał i wygładził marynarkę. Kurdupel i pedant, pomyślała Louise.

— Już idziesz? Jaka szkoda! — wykrzyknęła z afektacją.

— Obowiązki... Jesteśmy umówieni — przypomniał.

— Oczywiście — odpowiedziała, starając się, by „oczywiście” zabrzmiało naturalnie, a nie jak „mam to w nosie” lub „wszystko mi jedno”. Kiedy wyszedł, żałowała, że jednak nie powiedziała czegoś miłego o jego nowym samochodzie. Popatrzyła na grubą żółtą teczkę. Będzie miała lekturę do poduszki.

★

Michel Leroi, kiedy widział Louise, zawsze dostawał erekcji. Pragnął jej do obłędu. Złany potem, szybkim krokiem skierował się do windy, by zjechać do archiwum, gdzie znajdowały się zbiory podręczne archiwum MSW. Każdy archiwista bardzo by się zdziwił, gdyby zobaczył teczki Treppera właśnie tutaj. Właściwym miejscem ich przechowywania powinno być archiwum służb specjalnych. Było jasne, że ktoś się postarał, aby te materiały znalazły się właśnie tutaj. Ktoś, komu zależało, aby te teczki nigdy nie ujrzały światła dziennego. Osobą, która dopilnowała tej przeprowadzki, był właśnie Leroi. A zrobił to na czyjaś prośbę. Wiedział, że nie powinien nikomu o nich mówić, ale chęć zobaczenia Louise i wkupienia się w jej łaski była silniejsza.

Teraz musiał natychmiast zadzwonić.

\*

W luksusowej rządowej klinice w Nancy znajdował się oddział hospitacyjny. Przebywał tam pacjent otoczony szczególnie troskliwą opieką, cieszył się też sympatią lekarzy i pielęgniarek. Pan Delacroix był członkiem partii socjalistycznej i byłym ministrem spraw wewnętrznych w lewicowych gabinetach. Starsi ludzie znali go jako przyjaciela François Mitterranda,

Giscarda d'Estaigne oraz długoletniego przywódcy francuskich komunistów, Jacques'a Duclosa, z którym łączyły go szczególne więzi. Delacroix był człowiekiem bardzo zasłużonym dla Francji. Uosabiał republikę.

Był sparaliżowany. Trzy lata temu, podczas wakacji na Riwierze, jadąc sportowym porsche w towarzystwie młodej przyjaciółki, uderzył w barierę przy szosie.

Konsekwencją było uszkodzenie rdzenia kręgowego, a co za tym idzie paraliż dolnej części ciała. Przyjaciółka zginęła na miejscu. Poza tym Delacroix chorował na astmę.

— Już niedługo umrę, ale zanim przyjdzie po mnie kostucha, muszę jeszcze załatwić parę spraw — powtarzał ciągle.

Mimo choroby nie tracił kontaktu ze światem. Miał laptopa, stały dostęp do Internetu, codziennie przynoszono mu prasę, odbierał wiele telefonów. Można było odnieść wrażenie, że trzyma go przy życiu jakaś obsesja, przedsięwzięcie, które za wszelką cenę postanowił doprowadzić do końca.

★

Odebrała pielęgniarka.

— Słucham, klinika rządowa w Nancy.

— Dzień dobry pani. Czy mógłbym prosić do telefonu pana Delacroix?

— A kto mówi?

— Och, przepraszam, nie przedstawiłem się. Michel Leroi, dyrektor archiwum MSW. Dzwonię z Paryża. To ważna sprawa.

— Proszę chwilę zaczekać. Przełączę pana.

Chwila trwała prawie minutę. Wreszcie usłyszał w słuchawce świszczący astmatyczny oddech starego człowieka.

— Witam pana, Leroi. Dlaczego pan do mnie dzwoni? — W jego głosie dało się wyczuć zdenerwowanie.

— Panie przewodniczący, nie zakłócałbym pańskiego spokoju bez ważnego powodu — wybąkał Leroi.

— W takim razie słucham, o co chodzi?



— Wydało się, że teczki Treppera są w naszym archiwum. Znalazła je jedna z pracownic — skłamał. — Szukała ich na prośbę swojego byłego męża. A ten mąż jest policjantem.

— Co?!

— Naturalnie nie widział ich i nie zobaczy, już ja o to zadbam...

— Jak nazywa się ten gliniarz? — przerwał mu Delacroix.

— Yves Festiger z wydziału zabójstw.

— Jakie są powody jego zainteresowania?

— Prowadzi jakieś dochodzenie. Starzec zaniósł się kaszlem. Leroi czekał cierpliwie.

— Dziękuję panu, Leroi — wycharczał Delacroix po kilku sekundach.

— Jest pan dobrym przyjacielem. Proszę się nie przejmować. Policjanci prowadzą różne dochodzenia, które niekoniecznie muszą przynosić efekt w postaci dotarcia do prawdy. Jako przyszły polityk powinien pan rozumieć, że nie należy ujawniać prawdy, jeśli może zranić wielu ludzi. Tak jest lepiej dla wszystkich.

— Ma pan rację, panie przewodniczący. Uznałem jednak, że powinien pan wiedzieć o tym wścibskim gliniarzu. Wierzę, że kierował się pan dobrem Francji, polecając mi przenieść te teczki.

— Zawsze kierowałem się dobrem Francji — odrzekł Delacroix, co zabrzmiało nieco patetycznie.

\*

Al-Douri przyniósł Yves'owi listę jedenastu mężczyzn z bliźniami na twarzy, którzy w ciągu ostatnich piętnastu lat byli podejrzani o dokonanie na terenie krajów unijnych rozmaitych przestępstw. Trzech podejrzewano o to, że są członkami różnych grup terrorystycznych. Należało sprawdzić, czy któryś jest teraz we Francji. Al-Douri rozesłał do wszystkich komisariatów policji i żandarmerii na terenie całej republiki fotografie tych

ludzi. Tego samego dnia policja z Marsylii i Bordeaux poinformowała, że trzech delikwentów siedzi w więzieniu. Jeden był handlarzem narkotyków, drugi seryjnym mordercą i gwałcicielem, trzeci to serbski żołnierz z jednostek specjalnych, który we Francji odbywa karę więzienia za udział w masowych mordach na Chorwatach i Bośniakach podczas wojny w byłej Jugosławii. Zostało ośmiu.

Tego ranka komisarz znalazł w skrzynce e-mailowej wiadomość od Elizy Baum.



Krabbe od dwóch dni nie opuszczał motelowego pokoju. Po zabiciu Treppera postanowił, że musi przyczaić się na jakiś czas, jeśli chce mieć swobodę w wykonaniu dalszej części zadania. Był pewny, że do tej pory nie popełnił żadnego błędu. Trucizna w strzykawce to był jego pomysł. Roztwór cyjanku często stosowała Legia Cudzoziemska w krajach afrykańskich. Prosty i niezawodny sposób likwidowania niepokornych czarnuchów.

Często używał trucizny. Wprawdzie by ją wstrzyknąć, musiał znaleźć się blisko ofiary, ale lubił ryzyko. Uderzenie adrenaliny było prawie jak orgazm. Potrzebne substancje kupował przez Internet. W Europie dość trudno zdobyć cyjanek, ponieważ rządy większości państw Grupy Schengen kontrolowały ilość tej substancji, jaka znajdowała się w posiadaniu wywiadów poszczególnych państw i w placówkach naukowych. Na szczęście zawsze można było liczyć na naukowców z Ukrainy lub Rosji.

Leżał na niezasłanym łóżku. Na podłodze wały się puszki po piwie i niedopałki. W pokoju unosił się smród przetrawionego alkoholu i niemytego ciała. Hermann bezmyślnie wpatrywał się w telewizor, właśnie leciała transmisja meczu Francja—RPA. Świat zwariował, pomyślał Krabbe. Żeby w ekipie RPA grali prawie sami czarni!

Już prawie zasypiał, kiedy laptop wydał długi piszczący dźwięk. Był to sygnał wywołania z grupy dyskusyjnej. Hermann zerwał się na równe nogi i jednym susem znalazł się przy komputerze. Wystukał pytanie:

**CO SIĘ STAŁO?**

Po sekundzie pojawiła się odpowiedź:

**WIEM Z PEWNEGO ŹRÓDŁA, ŻE POLICJA JEST NA PANA TROPIE.**

O kurwa, tylko spokojnie, to niemożliwe, to mi się jeszcze nigdy nie zdarzyło. Wystukał drżącymi palcami: **ZNAJĄ MOJE NAZWISKO?**

Odpowiedź brzmiała:

**NIE. NIEWIELE WIEDZĄ, ALE PROSZĘ UWAŻAĆ. MIMO TO MUSI PAN COŚ DLA MNIE ZROBIĆ, ABY ZAPEWNIĆ NAM OBU BEZPIECZEŃSTWO.**

**NIE CHCĘ RYZYKOWAĆ. MUSZĘ NA JAKIŚ CZAS PRZYWARO-WAĆ** — odpisał Hermann.

**NIE MOGĘ POZWOLIĆ, ABY KTOKOLWIEK RZUCIŁ NA MNIE CIEN PODEJRZENIA. PROSZĘ PAMIĘTAĆ, ŻE RYZYKUJĘ WIĘCEJ NIŻ PAN. NIKT NIE MOŻE MNIE POWIĄZAĆ Z BRUDAMI Z PRZESZŁOŚCI. ZAPŁACĘ PANU DODATKOWO MILION FRANKÓW. JUTRO ZLECĘ PRZELEW.**

Facet jest zdeterminowany, pomyślał Hermann, i zgodził się. Wpatrywał się w ekran laptopa. Po chwili zobaczył dane osób, które miały umrzeć.

**MICHEL LEROI, DYREKTOR ARCHIWUM FRANCUSKIEGO MSW, LOUISE MARCHAND, WICEDYREKTOR CENTRUM DIGITALIZACJI DANYCH, MSW.**

Poniżej widniał link do strony internetowej ministerstwa z ich zdjęciami i krótkim życiorysem oraz numerami służbowych komórek.

## ROZDZIAŁ 17

### Agentka

Komisarz Juvet zauważył, że niektórzy z jego kolegów z policji niechętnie patrzą na jego współpracę z Niemcami. Część policjantów uważała Niemców za wrogów, ale zdecydowana większość zachowywała się wobec niemieckiej administracji lojalnie. Owa lojalność wynikała z faktu istnienia rządu francuskiego w Vichy, współpracującego z III Rzeszą.

Juvet tropił w Paryżu spiski antyniemieckie. W większości przypadków natrafiał na gówniarzy z francuskiego ruchu oporu, którzy myśleli, że jeśli ogolą w bramie jedną czy drugą dziwkę, która sypia z Niemcami, obronią w ten sposób honor Francuzów. Komisarz nimi gardził. Marzył o wielkim sukcesie, czymś naprawdę spektakularnym, na przykład zlokalizowaniu i rozbiciu komunistycznej siatki szpiegowskiej. Na razie jednak Związek Radziecki był w sojuszu z Niemcami, choć, jak mówił mu Karl Giering, już wkrótce miało się to zmienić.

Juvet pocieszał się myślą, że w końcu aresztuje Jeana Gilberta. Jego szpicle nie spuszczały z oka siedziby „Synteksu”, jednak Gilbert się nie pojawiał. Po Ulyssesie de la Cruz również nie było śladu.



Pierre Georges załatwił Augustine'owi pracę w podparyskiej fabryce Renault. Mimo okupacji zarząd koncernu miał pełne ręce roboty. Niemcy rekwirowali w całej Francji dużo samochodów, ale Wehrmacht złożył ostatnio zamówienie na pięć tysięcy ciężarówek.

Augustine był Pierre'owi bezgranicznie wdzięczny. Kolega uratował go od nędzy, a może i czegoś gorszego. Augustine obmyślał zemstę na Sylvie. Nie mógł się pogodzić, że ją stracił. Czuł się upokorzony. Próbował szukać zapomnienia w pracy. Brał dodatkowe zmiany, chodził na tajne spotkania komunizujących robotników.

Często korzystał z usług prostytutek. Miał nadzieję, że oddając się najbardziej wyuzdanym praktykom, zapomni o Sylvie, o jej ciele, o jej zapachu. Jednak w każdej prostytutce widział Sylvie, upokarzał je i poniżał, jakby to jej wymierzał karę, na niej się mścił, jej sprawiał ból. Jakby to ją traktował jak zwierzę.

Pierre Georges uważnie mu się przyglądał. Intrygował go ten zamknięty w sobie chłopak, zastanawiał się, jaką tajemnicę nosi w sercu. Pomyślał, obserwując, jak aktywnie zabiera głos na tajnych zebraniach, że doskonale nadaje się na członka partii komunistycznej. Była w nim zajadłość i nieustępliwość. Na początku nigdy przecież nie chodzi o idee. Do idei można dorosnąć.



Nazajutrz po przybyciu do Paryża Natasza udała się do radzieckiego przedstawicielstwa handlowego, mieszczącego się przy placu Zgody, a będącego tak naprawdę siedzibą radzieckiego wywiadu. Niemcy o tym wiedzieli, ale Stalin wciąż był sojusznikiem Fuhrera, więc przymykali na to oko.

Oficerem łącznikowym między Nataszą i Moskwą był kapitan Anton Lebiediew, pracownik przedstawicielstwa, a faktycznie rezydent NKWD w Paryżu. Był służalczy i brutalny. Jego ospowata twarz nie wyrażała żadnych emocji. Zawsze tłuste

włosy nosił zaczesane do tyłu, co nadawało mu wygląd prowincjonalnego fryzjera.

Lebiediew urządził w budynku przedstawicielstwa małą katownię. Torturowano tu i likwidowano wrogów państwa radzieckiego, których funkcjonariusze NKWD zdołali złapać w stolicy Francji. Byli to na ogół wrogowie urojeni lub tylko „teoretycznie” nastawieni nieprzyjaźnie do Kraju Rad — trockiści oraz nieliczni przedstawiciele białej emigracji. Zmasakrowane ciała wywożono pod osłoną nocy za miasto i zakopywano.

— Witajcie, towarzyszeko — powiedział obojętnie Lebiediew, stojąc tyłem do Nataszy i patrząc niewidzącym wzrokiem w okno. — Zamieszkacie tutaj.

Natasza była atrakcyjną kobietą i nawet lata spędzone na Syberii nie pozbawiły jej urody. Przywykła do lubieżnych męskich spojrzeń, zdziwiła ją więc obojętność Lebiediewa.

— Myślałam, że wynajęliście mi coś w mieście. To ułatwiłoby mi poszukiwania... — zaczęła.

— Będzie, jak powiedziałem — uciał. — Nie mamy pieniędzy na takie ekstrawagancje. W Paryżu jest ambasador, towarzysz Bogomołow. Musicie się z nim koniecznie spotkać przed jego wyjazdem do Vichy — dodał, nadal się nie odwracając.

Natasza w milczeniu przyjęła polecenie. Sprzeciw nie miał sensu. Myślała o Koli, którego ostatni raz widziała w dniu aresztowania. Świadomość, że gdzieś tam, za kręgiem polarnym, jest jej syn, dodawała jej otuchy podczas pobytu w obozie. Pomyślała, że nie ma rzeczy, której by nie zrobiła, by znów go zobaczyć.



Ambasador ZSRR w Vichy, Aleksander Bogomołow, był typowym radzieckim urzędnikiem — bezmyślnym i ślepo oddanym władzy. Miał okrągłą, piegowatą, wiecznie skrzywioną twarz i blond włosy ostrzyżone najeża. O przyjeździe Nataszy i zadaniu, jakie jej powierzono, został powiadomiony szyfro-

gramem. Trepper był dla Moskwy bardzo ważny, bo jako jedyny mógł znać miejsce pobytu tego zdrajcy Orłowa. Miał opinię jednego z najlepszych agentów, jacy kiedykolwiek pracowali dla Związku Radzieckiego, co, o ironio, sprawiało, że był praktycznie nie do odnalezienia. Niezwykle niezależny, o rozległych kontaktach, znający kilka języków obcych oraz posiadający zadziwiającą umiejętność wtapiania się w otoczenie sprawiały, że wpadnięcie na jego trop było prawie niemożliwe. Był jednak zdrajcą, a Stalin zdrajcom nie wybaczał.

Bogomołow dostał polecenie od samego Ławrentija Bern, by go odnaleźć i zlikwidować za wszelką cenę. Natasza, po wykonaniu zadania, również miała zostać zabita. Taka ładna kobieta, myślał Bogomołow, ale trudno, świadek nie może żyć.

Bogomołow zastał ją w salonie w towarzystwie Lebediewa.

- Francuska kawa pozytywnie nastawia do świata. Napijcie się, towarzyszek? — zagał.

- Mnie nastraja pozytywnie do świata szklanka kaukaskiego bimbru, towarzyszu ambasadorze — oświadczyła Natasza.

Bogomołow się uśmiechnął. Niezła jest, pomyślał.

- Żartów wam się zachciewa, towarzyszek. Siadajcie. —  
Wskazał fotele.

— Wcale nie żartuję. Kto w Związku Radzieckim pija rano kawę? Nabraliście, towarzyszek, zachodnich przyzwyczajeń. Po powrocie do Moskwy może wam być ciężko — odcięła się, patrząc na niego zalotnie.

Bogomołow zmrużył oczy. A może ta ślicznotka została tu przysłana, żeby donosić na niego i jego współpracowników?

— No to gdzie ta kawa? — zapytała.

Bogomołow parsknął śmiechem. Nawet na twarzy niewzruszonego Lebediewa pojawił się grymas, który miał być zapewne uśmiechem.

Ambasador sięgnął po telefon stojący na stoliku.

— Trzy kawy — rzucił do słuchawki.

Po chwili pracownik przedstawicielstwa, wysoki i chudy

mężczyzna, przyniósł na tacy trzy filizanki i postawił je na stoliku.

— Dziękuję wam, Gaładze — mruknął ambasador. — Towarzyszko, mam nadzieję, że rozumiecie, jak delikatne i poważne zadanie postawiło przed wami kierownictwo partii?

— Rozumiem doskonale — zapewniła Natasza.

— Widzicie, my we Francji prowadzimy pewne działania o charakterze rozpoznawczym. Szukamy jakiegoś punktu zaczepienia. Wiemy, że Trepper, wasz mąż, przebywał w Hiszpanii podczas wojny domowej i działał tam pod nazwiskiem Ulysses de la Cruz. Ponieważ nie wiemy, jak teraz wygląda ani jak się nazywa, wy, towarzyszko, musicie nam pomóc.

— Wiem, jaka jest moja rola — odrzekła Natasza, upijając łyk kawy. — Wiem to doskonale, towarzyszu ambasadorze.



Pablo zatrzymał samochód przed dworcem Montparnasse. Zaczęło padać. Szybkim krokiem poszedł na peron, na który miał wjechać opóźniony o dwadzieścia minut ekspres z Brukseli. Wczoraj wieczorem zadzwonił do niego Trepper. Prosił, by Pablo czekał na niego na dworcu.

Ostatnie dni były dla młodego Hiszpana trudne. Przed wszystkim musiał dzielić czas między dwie kobiety. Pierwsza zachowywała się ostatnio tak dziwnie i wyniośle, że Huescar zaczął się zastanawiać, czy romans z Elene nie dobiegł właśnie końca. Dziewczyna zniknęła na całe dni, ale nie miał czasu jej śledzić, musiał zajmować się panną Hoffman-Schiltz.

— Witaj, Pablo — rzucił Trepper, wysiadając z wagonu i podając Huescarowi swoją walizkę.

— Cześć, szefie.

— Jak twoje sprawy?

— Pytasz o Elene czy o Niemkę? — mruknął Huescar, biorąc bagaż. Zauważył, że widnieją na niej inicjały Ulyssesa de la Cruz.

— O jedną i drugą.

— Z Elene poza pracą prawie się nie widzimy. Nie mam czasu, żeby ją śledzić. Roboty jest tak dużo, że z trudem znajdujemy czas na obiad. O randkach nie ma mowy.



Przeciskali się przez tłum. Ktoś potrącił Treppera, a ten zaklął w jakimś obcym języku.

— To źle, że przestałeś ją śledzić — powiedział niezadowolony.

— Szefie, nie mogę się rozdziwić — jęknął bezradnie Pablo. — Wyszli z budynku dworca i zmierzali w stronę samochodu. — Ta Niemka chyba się we mnie zakochała... — westchnął.

— Wzruszające. Chyba się rozplącę.

— To nie jest wcale śmieszne, szefie. Anna to dobra, uczciwa dziewczyna, nie podejrzewa mnie o złe zamiary.

— To chyba dobrze?

Kiedy wsiedli do samochodu Trepper rzucił:

— Do mieszkania Ulyssesa.

— Jak sobie życzysz, szefie. Myślę, że mógłbym już rozpocząć operację w ambasadzie. Oczywiście to niemożliwe, żeby ktoś taki jak ja tam wszedł, ale...

— Ona sfotografuje te dokumenty dla ciebie — dokończył Trepper.

★

Gdy Bogomołow, Lebiediew i Natasza rozmawiali, nad Paryżem rozszalała się burza. Natasza lubiła deszcz. Na Syberii zawsze był zwiastunem wiosny, która przychodziła po surowej polarnej zimie.

Bała się spotkania z mężem. Nie chciała go zdradzić. Już raz to zrobiła, żeby ratować dziecko. Oficerowie śledczy zagrozili jej, że Kola będzie odpowiadał jak dorosły i może zostać skazany nawet na karę śmierci. Od ich fantazji zależała interpretacja jego czynów. Poddała się i złożyła zeznania obciążające męża.

Bogomołow, który spieszył się na pociąg do Vichy, powiedział jej, że Trepper na pewno jest w Paryżu. Na szczęście Lebediew nie okazał się tak głupi, na jakiego wyglądał, i przed przyjazdem Nataszy sporządzono listę stu dwudziestu bogatych paryskich przedsiębiorców, wśród których mógł być Trepper.

Lebediew był przekonany, że jeśli Trepper ukradł z Orłowem hiszpańskie pieniądze, to przyjechał do Francji na tyle bogaty, żeby założyć własny biznes. Taka firma może być znakomitą przykrywką dla działalności szpiegowskiej. Tego uczyło NKWD agentów, którzy mieli pracować na zachodzie Europy.

★

Pablo Huescar mógł mówić o szczęściu. W łazience w siedzibie firmy zauważył na szafce małe pudełko, a w umywalce drobinki jakiejś substancji chemicznej. Ponieważ zajmował się fotografią, wiedział, że to siarczek srebra, używany do wywoływania i utrwalania zdjęć. Kilka miesięcy temu przystosował łazienkę tak, by można było w razie potrzeby zamienić ją w ciemnię. Nie przypuszczał, że ktoś poza nim z niej korzystał.

Na szafce leżało pudełko po filmie, obok niego dwie odbitki, zamazane, nieudane i pewnie dlatego odłożone na bok. Ktoś zapomniał je zabrać. Gdy Pablo obejrzał dokładnie jedną, zmarł z przerażenia. Był na niej Jean Gilbert, sfotografowany w jakiejś restauracji.

★

— Kapitanie, telefon do pana! — zawołała gospodyni. — Jakaś młoda dama.

Schulze-Boysen wyszedł ze swojego pokoju i wziął od niej słuchawkę.

— Słucham? — rzucił, patrząc znacząco na starszą panią, która natychmiast wycofała się do kuchni.

— Tu Funke — usłyszał, i żywiej zabiło mu serce. — Mam kłopoty. Muszę się z panem natychmiast spotkać.

— Proszę być za pół godziny przy kolumnie na placu Vendôme.

Major Böhm nie wybaczyłby mu, gdyby agentce Funke stało się coś złego. Miał przeczucie, że jej rola opiekunki Kameleona właśnie się zakończyła.



Elene Ortiz rzeczywiście miała powody do niepokoju. Zrobiła Jeanowi Gilbertowi zdjęcia, kiedy siedział w Café de la Nouvelle Athènes. Film wywołała w łazience w siedzibie firmy. Dużo ryzykowała, jednak zależało jej na czasie. Chciała jak najszybciej przesłać je majorowi Böhmowi.

Po zrobieniu odbitek odłożyła na półkę dwa nieudane zdjęcia. Resztę fotografii wysłała do Böhma. O tych odłożonych zapomniała.

Pierwszy raz, odkąd została agentką „Winnicy”, popełniła tak poważny błąd. Gdy tylko to stwierdziła, pobiegła do firmy, ale zdjęć nie znalazła. Oznaczało to, że znalazł je albo Gilbert, albo Pablo.

Poczuła, że ma już dość. Zmęczyły ją trzy lata szpiegowania, przebierania się, udawania kogoś innego. Chciała zrezygnować. Postanowiła porozmawiać z Schulze-Boysenem.



Pablo natychmiast pojechał do mieszkania Ulyssesa.

— Po co przyszedłeś? — zapytał Trepper, gdy otworzył Pablowi drzwi. — Jesteś pewny, że nikt za tobą nie szedł?

— Szefie, nie jestem dzieckiem...

Nie czekając na dalsze pytania, wyjął z kieszeni marynarki małe pudełko i dwa zdjęcia.

— To pudełko po filmie, które nasza mała Elene zostawiła

w łazience w firmie. A to dwie odbitki z tego filmu. Popatrz, jestem pewny, że znasz tego faceta.

Zdjęcia były zamazane, ale na jednym z nich z łatwością można było rozpoznać Jeana Gilberta pijącego kawę.

Pablo widział, jak oczy Treppera zwięzają się, usta zaciskają w wąską kreskę, a na skroniach zaczynają nabrzmiewać żyły.

— Używała dobrego obiektywu — dodał Hiszpan. — Wygląda na to, że Elene bardzo się tobą interesuje. Co robimy?

— Trzeba jej złożyć wizytę — wycedził Trepper.

★

Schulze-Boysen postanowił nie zakładać munduru Luftwaffe. Miał na sobie brązowy garnitur ze sztruksu i brązowe mokasyny. Nigdy wcześniej nie spotkał się z Funke, wiedział jednak, jak wygląda, bo opisał mu ją major Bóhm. U kwiaciarki kupił pęk herbacianych róż. Chciał wyglądać na kogoś, kto czeka na narzeczoną. Po dziesięciu minutach poczuł na plecach dotknięcie czyjejś ręki. Odwrócił się.

— Kochanie — powiedziała atrakcyjna blondynka—jak to dobrze, że jesteś.

Popatrzyli sobie w oczy. Dziwnie długo.

— Usiądźmy gdzieś — zaproponował Boysen, wręczając jej kwiaty.

— Czy może pani być śledzona? — zapytał, nachylając się do jej ucha.

— Raczej tak... — wyszeptała, delikatnie całując go w policzek.

Objęci niczym zakochani, poszli do ormiańskiej herbaciarni. Kapitan zamówił dwie herbaty.

— Czy mógłby pan zorganizować mój natychmiastowy wyjazd do Niemiec? — zapytała niepewnie Funke, gdy usiedli przy stoliku. — Wiem, że pokpiłam sprawę, takie błędy są niedopuszczalne... ale ja już chyba mam dość... nie wiem, jak mogłam zapomnieć... — Wyglądała, jakby zaraz miała się rozplakać.

Akcent z północnych Niemiec. Może pochodzi z Bremy?, pomyślał Boysen, który był hanowerczykiem.

— Proszę się uspokoić. Nic się nie stało. Naprawdę — uspokajał ją Boysen. — Rozumiem, że nie ma pani żadnych niemieckich dokumentów?

— Oczywiście, że nie. Od trzech lat jestem hiszpańską komunistką — odpowiedziała, zdobywając się na uśmiech.

— Proszę nie wracać do swojego mieszkania. Major Bóhm jest w Strasburgu. Niech pani jeszcze dzisiaj tam pojedzie. Kupię pani bilet. Gdy wsiądzie pani do pociągu, zatelefonuję do majora, żeby po panią wyjechał.

Elene skinęła głową.

— Proszę nie tracić z oczu Kameleona — poprosiła. — To przedsiębiorca, nazywa się Jean Gilbert, jest właścicielem firmy „Syntex” z siedzibą przy rue St-Dominic.

— W porządku. Dla kogo on teraz pracuje?

— A jak pan myśli? — mruknęła Elene, patrząc znacząco. Boysen przypomniał sobie, że Funke przez ostatnie lata rozpracowywała środowisko hiszpańskich komunistów. Wśród nich mogli działać jedynie agenci NKWD.

— Czy może pani pojechać do Strasburga natychmiast, bez ubrań i bagażu?

— A mam inne wyjście? W mieszkaniu zostawiłam dla Kameleona małą niespodziankę.

Dopili herbatę, pogawędzili jeszcze chwilę i wyszli, choć Boysen chciał, żeby to spotkanie nigdy się nie skończyło. Nie wierzył, że można się w kimś zakochać od pierwszego wejrzenia, ale miał niejasne przeczucie, że coś takiego właśnie mu się przydarzyło. Złapał taksówkę, która zawiozła ich na dworzec. Począł, aż Elene wsiądzie do pociągu. Na pożegnanie rzucił żartem, że jeśli przeżyją tę cholerną wojnę, to się z nią ożeni. Dziewczyna zaczęła się śmiać.

— Trzymam pana za słowo, Boysen! Nazywam się Ulrike Schusser.

— Jest pani wyjątkową kobietą — szepnął Harro.

— Dlaczego pan tak uważa? — zapytała, poważniejąc i patrząc mu w oczy.

— A jaka może być kobieta szpieg, jeśli nie wyjątkowa?

— I naprawdę się pan ze mną ożeni?

— Obiecuję.



Kiedy Trepper i Huescar weszli do mieszkania Elene, była druga w nocy. Trepper otworzył drzwi wytrychem. Był przekonany, że dziewczyna śpi.

Zamierzał wydusić z niej, kim jest i dla kogo pracuje, po czym Elene miała przedawkować środki nasenne.

Mieszkanie wyglądało na opuszczone w pośpiechu — w szafie wisały ubrania, w łazience stały kosmetyki, a na stole w kuchni kubek z niedopitą herbatą. Było jasne, że Elene uciekła. Na pewno ktoś jej pomógł. Na myśl, że być może został zdekonspirowany, ogarnęła go zimna wściekłość.

Pablo znalazł na stole w kuchni list zaadresowany do... Jeana Gilberta. Trepper rozdarł kopertę, wyjął kartkę i przeczytał na głos po hiszpańsku:

Szefie, wiem, że przeczytasz ten list w moim mieszkaniu. Nie jestem osobą, za którą mnie uważaliście przez dwa ostatnie lata. Ale nie jestem również tym, za kogo uważacie mnie teraz. Po prostu walczę za mój kraj. Elene Ortiz.

## ROZDZIAŁ 18

### Wierność

Było ciepłe przedpołudnie dwunastego września. Właśnie otworzono restaurację w hotelu Imperial. O tej porze przychodzili pierwsi goście na południową kawę. Nikt nie zwrócił uwagi na mężczyznę w popielatym garniturze z małą niebieską różą w butonierce. Był to kapitan Harro Schulze-Boysen. Popijał koniak i czytał poranne wydanie „Nowel Observateur”. Czekał na Kameleona dwunastego dnia każdego miesiąca, mając nadzieję, że agent w końcu przyjdzie na spotkanie. Kapitan stosował się do rozkazu majora Bôhma, który polecił mu nawiązać kontakt ze szpiegiem, podobnie jak uczynił to szwedzki dyplomata. Bóhm uprzedził kapitana, że Kameleon jest wyjątkowo ostrożny, sprytny i bezwzględny.

Koło wpół do pierwszej do restauracji wszedł kolejny gość. Zajął stolik naprzeciwko Boysena, a ten dopiero po dłuższej chwili, wiedziony impulsem, zaczął przypatrywać się nowo przybyłemu, spoglądając dyskretnie zza gazety.

Jegomość był szpakowaty, koło sześćdziesiątki, wyglądał na urzędnika. Jego garnitur, wyświecony na łokciach i wymięty, lepsze czasy miał już za sobą, lecz spinki przy mankietach były bez wątpienia złote. Oprawki okularów o grubych szklach sklezione zostały plastrem. Na jego twarzy malował się nie-

przyjemny spryt i hardość. Kapitan nie mógł oderwać od niego wzroku.

Przystojny młody kelner przyniósł jegomościowi kawę i miseczkę z pieczonymi kasztanami, nachylając się, by usłyszeć, co ten do niego mówi. Po chwili podszedł do stolika Schulze-Boysena.

— Tamten pan — wskazał ruchem dłoni nieznanego — uprzejmie zaprasza, by wypił pan z nim kawę.

Boysen spojrzął na mężczyznę, a ten skłonił się nisko.

Kapitan wstał, wziął swoją filiżankę i podszedł do sąsiedniego stolika. Jakie dziwne oczy... pomyślał, siadając. Starsi ludzie tak nie patrzą.

— Kasztany w miodzie — powiedział po niemiecku nieznanomy. — Uwielbiam je.

Nagle dotarło do Boysena, że dał się podejść. Poczł się jak idiota.

— Popelnił pan dziś dwa poważne błędy — zaczął Kameleon. — Po pierwsze od razu zauważyłem, że przygląda mi się pan zza gazety. A po drugie zajął pan stolik stojący za blisko baru, zbyt dobrze widoczny. Żebyśmy mogli porozmawiać, musiałem zaprosić pana do mojego stolika.

Boysen milczał, skonfundowany. Duże wrażenie wywarł na nim niemiecki Kameleona. Mówił jak rodowity Bawarczyk.

— Zauważył pan dwóch tajniaków francuskiej policji, którzy siedzieli w holu? — zapytał Kameleon, sięgając do miseczki po kasztana.

Boysen miał przed sobą człowieka zupełnie niepodobnego do tego z fotografii, jaką zrobiła mu Funke. Zrozumiał, dlaczego major Böhm nazwał go Kameleonem. Zmarszczki na twarzy, blada cera, krople potu na czole świadczące o wysiłku, jaki sześćdziesięcioletni człowiek musiał podjąć, żeby tu przyjść... Charakteryzacja była doskonała.

— Nie, nie zauważyłem.

— Chodzą za panem. Widziałem, jak wszedł pan do hotelu godzinę temu. Musi pan wyjść godzinę po mnie.



— Tak jest.

Boysen zauważył w klapie marynarki Kameleona mały znaczek. Gdzieś go już widział. Przedstawiał tarczę podzieloną na trzy pola — czerwone, białe i zielone, oraz złotą koronę. Była to korona świętego Stefana. A więc jest Węgrem, lub za Węgra pragnie uchodzić.

— Jest pan Węgrem? — zapytał.

— Jaki pan spostrzegawczy — mruknął z przekąsem Kameleon. — To dobrze. Nazywam się Ferenc Trencsenyi. Pracuję w węgierskim Ministerstwie Łączności, a obecnie jestem na stażu w niemieckiej organizacji Todta.

Organizacja Todta, założona w 1933 roku, była największą organizacją niemieckich przedsiębiorców branży budowlanej, która, jak mówili Boysenowi znajomi z Abwehry, budowała teraz na zachodniej granicy Niemiec umocnienia znane pod nazwą Linii Zygfryda.

— Skąd mam wiedzieć, że jest pan tym, za kogo się podaje? Równie dobrze może pan pracować dla gestapo. Potrzebuję dowodu.

— To my przekazaliśmy panu informacje o inwazji na Polskę i na Francję — przypomniał Boysen. — To chyba jest dowód. Jesteśmy zainteresowani współpracą z panem...

— Zamieniam się w słuch.

— Moi przełożeni szukają kontaktu z angielskim wywiadem.

— To nie mój biznes — skrzywił się Kameleon. — Jeśli mnie śledziliście, wiecie, że działałam na własną rękę.

— I dla NKWD — dodał Boysen.

— Możliwe — odparł szpieg z dziwnym błyskiem w oczach. — Ale możliwe również, że zależy mi, aby moi dawni przyjaciele mnie nie znaleźli.

— Rozumiem. Chcielibyśmy nadal utrzymywać z panem kontakt. Na wypadek gdybyśmy mieli coś do przekazania, powinniśmy ustalić sposób, w jaki będziemy się porozumiewali. Oczywiście zgadzam się z panem, że nie możemy się spotykać.

Kameleon zastanawiał się przez chwilę, po czym odrzekł:

— Proponuję skrytkę pocztową numer trzydzieści trzy na poczcie naprzeciwko College Stanislas. To niedaleko dworca Montparnasse. Rozumiem, że pańskim przełożonym zależy na przeszkadzaniu Hitlerowi?

— Można tak to ująć. W skrzynce zostawię panu dowód, o który mnie pan prosi. Powiedzmy, że będzie to zdjęcie dawnego znajomego. Odpowiada to panu?

— Doskonale... Miło się z panem gawędziło — rzucił Kameleon i wyszedł nieco zbyt energicznym jak na sześćdziesięciolatka krokiem.



Zespół operacyjny NKWD pod dowództwem Lebediewa nie marnował czasu. Dzięki pomocy Nataszy enkawudziści sporządzili kilkanaście różnych wariantów wyglądu towarzysza Treppera. Natasza wybrała kilka fotografii, zrobionych przez pracowników radzieckiego przedstawicielstwa handlowego w Paryżu kilkunastu przedsiębiorcom francuskim, które przedstawiały mężczyzn najbardziej podobnych do jej męża, lecz szczególnie jedna przykuła jej uwagę. Odkładała ją, niezdecydowana, by po chwili znów nie móc oderwać od niej wzroku. Te oczy, ich wyraz, sposób, w jaki mężczyzna pochylił głowę... Lebediew obserwował ją uważnie, ale nic nie mówił. Ona zaś upierała się, że nie ma pewności... Jednak stary wyjadacz już wiedział, kogo ma śledzić.

Po kilku dniach znali zwyczajnie i rozkład dnia przedsiębiorcy Jeana Gilberta. Lebediew spodziewał się, że Trepper będzie typowym samotnikiem, unikającym kontaktu ze zbyt wieloma osobami, i nie pomylił się. Doszedł do wniosku, że Natasza może posłużyć za przynętę, choć tak naprawdę miał ochotę podejść do tego zdrajcy na ulicy i po prostu strzelić mu w tył głowy.



Firma „Syntex” prosperowała doskonale. Kierował nią Pablo, Trepper tylko wpadał od czasu do czasu, gdy trzeba było podpisać jakieś dokumenty.

— Chciałbym zapytać cię o coś ważnego — zwrócił się do Pabla podczas jednej z takich wizyt.

— Zamieniam się w słuch, szefie.

— Czy nie miałeś wrażenia, że w ostatnich dniach ktoś cię śledził? Dobrze się zastanów.

— Chyba nie — odpowiedział powoli Pablo, jakby nie miał całkowitej pewności. — Dlaczego pytasz, szefie?

— Mam zwyczaj za każdym razem wracać do domu inną drogą. Sprawdzam, czy nie łążą za mną tajniacy. No i łążą. Dwóch gości. Wyglądają na gliniarzy albo na gestapowców. W ogóle nie potrafią się kamuflować. Na kilometr czuć, kim są. Od kilku dni widuję też czarnego citroena na dyplomatycznych numerach.

— Może to przypadek?

— Nie wierzę w przypadki. Zapamiętałem numery i zadzwoniłem do wydziału komunikacji, podając się za niemieckiego urzędnika z wojskowej intendencji. Chciałem rozmawiać z naczelnikiem. Powiedziałem, że jakiś sukinsyn blokuje moje auto i zażądałem, żeby natychmiast wlepiono mu mandat. Kiedy zadzwoniłem następnego dnia, urzędnik powiedział, że citroen należy do radzieckiego przedstawicielstwa handlowego.

Hućscar usiadł z wrażenia na kanapie.

— Co teraz zrobimy? — zapytał cicho.

Trepper zapalił papierosa i podszedł do okna. Przyglądał się przez chwilę przechodniom.

— Coś mi mówi, że przypomnieli sobie o mnie nasi starzy towarzysze — odezwał się wreszcie. — Jak mnie znaleźli, nie wiem. Kilka tygodni temu, na dworcu Montparnasse, zderzyłem się w drzwiach z moją żoną...

— Ale przecież ona siedzi w obozie...

— Jak widać postanowili ściągnąć ją do Francji, żeby pomogła mnie złapać. To jedyne rozsądne wytłumaczenie. Nie wiem, ile mam czasu.

— Chcesz wyjechać z Paryża?

— Tak, co najmniej na pół roku. Zanim wyjadę, podpiszę wszystkie pełnomocnictwa, żebyś mógł kierować firmą. Nawet ty nie będziesz wiedział, gdzie jestem. Będziemy rozmawiali przez radiostację.

— Dawno jej nie używałem...

To znów zaczniesz. Muszę jeszcze porozmawiać z Sylvie... Nie wiem, jak ona to przyjmie — westchnął.



Po powrocie do domu zaczął się przygotowywać do wyjazdu. Spakował radiostację, zestawy ubrań dla Jeana Gilberta, Ulyssesa de la Cruz oraz dla szwedzkiego handlowca, Magnusa Gustavs-sona, swojego czwartego wcielenia. Walizki nadał na bagaż. Miały pojechać do Brukseli, do pensjonatu van Guytenów.

Z niechęcią myślał o rozmowie z Syvie. Z równowagi wytrącała go świadomość, że będzie za nią tęsknił, że przywiązał się do niej, chociaż obiecał sobie kiedyś już nigdy nie uzależnić się od żadnej kobiety. Zakochany szpieg to nie szpieg.

Zmobilizował się jednak i zatelefonował do niej. Mieli spotkać się wieczorem w La Bohemę.



Tajniacy francuskiej policji, którzy nie spuszczaali z oka Jeana Gilberta, zauważyli, że przed siedzibą „Synteksu” już drugi dzień stoi czarny citroen na dyplomatycznych numerach. Okazało się, że samochód należy do radzieckiego przedstawicielstwa handlowego w Paryżu. Tajemnicą poliszynela było, że instytucja ta związana jest z radzieckim wywiadem. Gdy powiedzieli o swoim odkryciu Juvetowi, syknął:

— Ten skurwiel pracuje dla Stalina.

Doskonale wiedział, że w szeregach Francuskiej Partii Komunistycznej jest mnóstwo wtyczek Kominternu i radzieckich

służb wywiadowczych. Intuicja podpowiadała mu, że na razie nie powinien podejmować żadnych zdecydowanych kroków. Związek Radziecki był przecież sojusznikiem Niemiec...



Lebiediew dostał wreszcie od Bogomołowa pozwolenie na aresztowanie Treppera. Postanowił, że zgarną Treppera z ulicy albo z jakiejś kawiarni. Najpierw zagadnie go Natasza, zacznie z nim rozmawiać, a gdy jego czujność osłabnie, podejda, przystawia mu pistolet do głowy i wyprowadzą.



Trepper szedł, nie spiesząc się, nie zdając sobie sprawy, że jest śledzony przez dwóch agentów, którzy bynajmniej ze sobą nie współpracowali. Pierwszym był francuski tajniak, a kilkadziesiąt metrów za nim szedł jeden z ludzi Lebiediewa.

Do spotkania z Sylvie zostało jeszcze trochę czasu, postanowił więc zajrzeć na pocztę i sprawdzić, czy w skrytce są jakieś wiadomości.

Tajniak NKWD widział, jak Trepper wszedł do restauracji La Bohemę. Odczekawszy dziesięć minut, pobiegł do budki telefonicznej.

— Jest w La Bohemę — rzucił do słuchawki. — Przy rue de Babylon... dobrze, towarzyszu... czekam.

Przez okno doskonale widać było Gilberta, który w towarzystwie młodej kobiety jadł kolację. Kwadrans później pod restaurację zajechał czarny citroen Lebiediewa. Tajniak podszedł do auta i do niego wsiadł.

\*

Sylvie spokojnie przyjęła wyjaśnienia Jeana. Powiedział jej, że w związku z kłopotami finansowymi firmy będzie musiał

pojechać do Brukseli, żeby tam popracować. Nie wie, kiedy wróci do Paryża, przecież jest wojna, wszystko się może zdarzyć.

— Obiecuj mi, że przyjedziesz chociaż mnie odwiedzić — wyszeptała, zrezygnowana.

— Obiecuję — odpowiedział z ulgą, zadowolony, że nie posypał się na niego grad wyrzutów i że nie musi patrzeć na łzy Sylvie.

Tak naprawdę nie wiedział, czy wróci do Francji. Jego siatka szpiegowska miała zacząć działać w chwili, kiedy Związek Radziecki i Niemcy wezmą się za łby. Wiedział, że w końcu do tego dojdzie.

— Muszę teraz wyjechać, żeby zapracować na nasze szczęście — dodał nieco górnolotnie, co najwyraźniej spodobało się dziewczynie.

Najbardziej bała się, że ich związek nagle się zakończy. Że kochanek ją porzuci. Nie zniosłaby tego. Chciała coś powiedzieć, ale zauważyła, że Gilbert rozgląda się niespokojnie, jest spięty, jakby oczekiwał, że za chwilę coś się wydarzy.



Lebiediew siedział zdenerwowany w samochodzie już ponad godzinę. Zdał sobie sprawę, że w lokalu są również niemieccy oficerowie, co komplikowało sprawę. Szyki pomieszała im również obecność tej kobiety. Natasza milczała. Udało jej się przekonać go, że jej również zależy na aresztowaniu Treppera.

— Towarzyszu Gaładze — warknął do tajniaka — idźcie i sprawdźcie, co ten sukinsyn tam robi i czy jest jakieś inne wyjście z tej knajpy.



Sylvie dostrzegła, że Jean ukradkiem spogląda na człowieka, który usiadł przed chwilą przy barze.

— Dokończ kolację — syknął Gilbert.

Zbladł, a jego oczy, jeszcze przed chwilą pełne ciepła, stały się zimne i nieobecne. Skinął na znajomego kelnera, który natychmiast stanął przy ich stoliku.

— Służę państwu uprzejmie.

— Czy mógłby pan coś dla mnie zrobić? — zapytał Gilbert, wkładając do kieszeni kelnera banknot.

— Naturalnie — mruknął zdziwiony kelner.

— Proszę wyjść przed restaurację i sprawdzić, czy nie stoi gdzieś w pobliżu czarny citroen na dyplomatycznych numerach.

— Jak pan sobie życzy. Poproszę parkingowego. Kelner wrócił po jakichś pięciu minutach. W tym czasie mężczyzna przy barze dopił drinka.

— Miał pan rację, jakieś pięćdziesiąt metrów od La Bohemę stoi zaparkowany taki samochód, jaki pan opisał. Siedzą w nim trzy osoby.

— Doskonale — odparł Gilbert, a do kieszeni kelnera powędrował kolejny banknot. — Proszę podzielić się z parkingowym. A teraz niech pan naleje temu gościowi w niemodnym garniturze przy barze trzy szkockie z lodem. Na mój koszt. Proszę jednak nie mówić, że te drinki są ode mnie.

— Jak pan sobie życzy — odparł uprzejmie kelner. Wkrótce Gilbert zauważył, że Gaładze nerwowo rozejrzał się po lokalu. Jednak po chwili zajął się piciem.

— Wiedziałem — syknął po rosyjsku Trepper. — Ten skurwiel nie odmówi sobie kielicha... Musisz coś dla mnie zrobić, kochanie — zniżył głos, pochylając się do Sylvie. — Być może od tego zależy nasze życie. Idź do łazienki i zdejmij pończochy.

— Jean, co się dzieje? — spytała przestraszona dziewczyna.

— Idź i zrób, co mówię — powiedział z naciskiem Gilbert. — Mamy mało czasu.

— Czasu? Na co?

— Ruszaj się! — Trepper zaczynał tracić cierpliwość. — Przyjdę tam za pięć minut.

Gaładze nie zauważył, jak Sylvie wstaje i wychodzi. Kończył właśnie pierwszą szkocką.

Mijały sekundy, które Trepperowi wydawały się wiecznością. W końcu dopił drinka, zostawił na stoliku pieniądze, wstał i skierował się do łazienek.

— Nie ma nikogo? — spytał, gdy tylko wszedł do damskiej toalety.

— Nie ma — odpowiedziała drżącym głosem Sylvie, podając mu pończochy.

— A teraz poczekamy sobie na tego drania.

— Kto to jest? — Sylvie była coraz bardziej przerażona. Miała ochotę po prostu wyjść, nie oglądając się za siebie.

— Dawny kumpel — warknął. - Zamknij się w kabinie. Może mieć broń.

★

Gaładze skończył drugiego drinka i rozejrzał się po sali. Trepper zniknął! Nie, to niemożliwe. Przecież cały czas obserwowałem wejście, pomyślał. Kobiety również nie było. Gaładze zeskoczył ze stołka i popędził do męskiej toalety. Pusta. Stał przez chwilę zdezorientowany, po czym spojrzał na drzwi do damskiej łazienki. Zaczął się pocić. Podszedł, otworzył je powoli i zajrzał. Nikogo. Energicznie wszedł do środka, jednocześnie wyciągając z kabury pod marynarką pistolet. Nagle poczuł na szyi zaciskającą się cienką pętlę. Trepper pociągnął go do tyłu, kopnięciem zamykając drzwi. Gaładze zaczął się szamotać, usiłował rozluźnić morderczy uścisk, na próżno. Osunął się na zimną posadzkę, z jego gardła wydobywał się charkot. Próbował uderzyć napastnika lub złapać go za włosy, jednak Trepper robił zręczne uniki. Po dwóch minutach ciało enkawudzisty wreszcie znieruchomiało, a na posadzce pod nim powiększała się kałuża moczu.

Trepper wstał, wzdygając się z obrzydzenia. Otarł rękawem pot z czoła. Wiedział, że nie ma zbyt wiele czasu. Za chwilę



wpadną tu pozostali tajniacy. Nie zwracając uwagi na Sylvie, która stała oniemiała pod ścianą, sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki nieboszczyka i wyjął dokumenty. Obmacał go dokładnie. Pod prawym kolanem znalazł przyklejony plastrem sprężynowy nóż.

— Wybacz — rzucił spokojnie. — To było konieczne. Sylvie patrzyła na niego otepiała. Trzęsła się tak bardzo, że nie mogła wykrztusić słowa.

— Posłuchaj, kochanie, ludzie, którzy znajdują się przed restauracją, będą chcieli mnie zabić — tłumaczył cierpliwie. — Z nimi nie ma żartów. Jeżeli mi nie pomożesz, zabiją i mnie, i ciebie.

— Co mam robić? — wyszeptała Sylvie.

— Przede wszystkim się uspokój. Nie patrz na trupa. Za tym oknem jest podwórze. Wyjdiesz przez okno, przejdiesz przez podwórze na ulicę i pojedziesz prosto na dworzec Montparnasse. Spotkamy się tam za godzinę. Musimy wyjechać z Paryża.

— Ale dlaczego? Kim był ten człowiek? Jezu... Jezu... nie rozumiem.

— Uspokój się — powtórzył Trepper przez zęby.

— Skąd wiesz, że tam jest wyjście? — Wskazała ruchem głowy okno.

— To moja ulubiona restauracja. W moim fachu ważne jest, aby zawsze wybierać lokale, z których jest drugie wyjście.

Boże, w jakim fachu?, pomyślała spanikowana. Przecież jest przedsiębiorcą, ma firmę, a teraz własnymi rękami udusił człowieka, jak zawodowy morderca.

Pokiwała głową jak automat, a Trepper podsadził ją do okna. Po chwili zniknęła w mroku październikowego wieczoru.

Trepper zaciągnął trupa do kabiny i posadził na sedesie. Obszukał go raz jeszcze, by sprawdzić, czy nie przeoczył czegoś ważnego. Znalazł w kieszeni numerek do szatni i tłumik. Zabrał

go i przykręcił do lufy pistoletu, po czym schował broń do kieszeni marynarki.

Umył ręce i opłukał twarz. Zaczesał włosy do tyłu. Wyszedł z łazienki i spokojnie skierował się do szatni, gdzie podał w szatni numerkę zabraną tajniakowi. Włożył jego płaszcz. Schował rękę do kieszeni marynarki, odbezpieczył rewolwer i ruszył w stronę wyjścia.

Gdy znalazł się na ulicy, jego spoconą twarz owionął ożywczy podmuch.

Czarny citroen stał w ciemnej pustej uliczce. Trepper ruszył wolno w jego stronę.

— Co ten sukinsyn tam tak długo robił? — syknął Lebediew na widok zbliżającego się mężczyzny.

— Pewnie skorzystał z okazji, żeby sobie chlapnąć... — zarechotał kierowca.

Jednym skokiem człowiek w płaszczu znalazł się przy samochodzie. W uchylonym okienku pojawiła się lufa pistoletu. Padł cichy strzał. Kula przeszła przez lewe ucho Le-biediewa, na szybę prysnęła lepka miazga mózgu i krwi. Kierowca zginął zaraz potem od strzału w brzuch. Trepper otworzył tylne drzwi i usiadł obok przerażonej Nataszy. Oddychała ciężko, patrząc na niego rozszerzonymi ze strachu oczami.

Nie widzieli się od sześciu lat. Patrzył uważnie na jej twarz.

— Chcieli cię zabić... — wyszeptała Natasza.

— Wiem — uciał.

Zapadło ciężkie milczenie. Co mieli sobie powiedzieć? Może powinni zapłakać nad tym, jak okrutnie obszedł się z nimi los? To niemożliwe, że ten mężczyzna o obcym, zimnym spojrzeniu był kiedyś moim mężem, myślała Natasza. Jak to się stało, że ta kobieta, matka mojego dziecka, mnie zdradziła?, zadawał sobie pytanie Trepper.

— Zdradziłaś mnie... — zaczął cicho.

— Mnie powiedzieli, że to ty zdradziłaś mnie.

— Co z Kolą?

— Nie wiem. — Głos Nataszy się załamał, zaczęła szlochać. Trepper przygarnął ją do siebie.

— Kocham cię. Zawsze cię kochałam. Powiedzieli, że jeśli im pomogę, to może Kola... — tłumaczyła gorączkowo.

— Wiem... wiem, serce ty moje, ciiiiii — szepnął, przykładając lufę pistoletu do jej serca.

## CZESC III

## ROZDZIAŁ 19

### Dziennik komisarza

Louise dokładnie przestudiowała akta Leopolda Treppera. Jej zdaniem teczka nie zawierała informacji, które mogłyby zainteresować Festigera. Poza jednym wyjątkiem. Louise znalazła notatkę, sporządzoną przez jakiegoś policjanta z wydziału kryminalnego, dotyczącą zabicia Marie Pregnac, właścicielki kamienicy przy rue St-Lazare. Morderstwa dokonano w maju 1940 roku, na parę dni przed inwazją Niemców na Francję. Śledztwo w tej sprawie powodził komisarz Edgar Juvet, ten sam, który zajmował się sprawą Jeana Gilberta.



Hermann Krabbe chciał szybko uporać się z robotą w Paryżu, chociaż ilość zleceń od tajemniczego zleceniodawcy zaczynała go irytować. Ryzyko wzrastało. Uznał jednak, że za takie pieniądze może się jeszcze trochę ponarażać, a potem raz na zawsze skończy z tym biznesem.

Postanowił, że tym razem użyje najbardziej przerażającej trucizny, jaką wynalazł człowiek. Kupił ją w jednym z krajów byłego ZSRR dwa lata temu. Za małą fiolkę dioksyn zapłacił tysiąc dolarów.

Używając jednorazowej karty SIM, zadzwonił pod numer Leroi podany w Internecie.

— Dzień dobry, panie dyrektorze. Nazywam się Werner Daum, jestem członkiem niemieckiej SPD — przedstawił się. — Przeprowadzam we Francji wywiady z młodymi działaczami Francuskiej Partii Socjalistycznej, ponieważ piszę książkę o współpracy niemieckiej i francuskiej lewicy. Czy zechciałby pan udzielić mi wywiadu?

— To ciekawa inicjatywa — stwierdził Leroi. — Ale skąd pan o mnie wie?

Krabbe zaśmiał się cicho.

— Rozmawiałem już z kilkoma osobami. Powiedziano mi, że jest pan ambitnym i zdolnym politykiem.

— Och, przesadza pan — krygował się Leroi. — Działam w partii dopiero od trzech lat.

— W takim razie nie mogłem lepiej trafić. Ponieważ jestem w Paryżu jeszcze tylko przez jeden dzień, czy zechciałby pan spotkać się ze mną dzisiaj?

— Oczywiście, jestem do pańskiej dyspozycji.

— W takim razie o szesnastej w hotelu Hilton. Umówili się, że po nagraniu zjedzą obiad w hotelowej restauracji.

★

Louise, niezwykle poruszona, zamknęła teczkę z aktami. Wzięła komórkę i zaczęła gorączkowo szukać w spisie telefonów pewnego numeru. Gdy go odnalazła, odetchnęła z ulgą. Nacisnęła zielony klawisz połączenia. Po kilku chwilach odebrał starszy mężczyzna.

— Tak, słucham?

— Mówi Louise.

— Czego chcesz?

Były teść, Jacques Festiger, nigdy jej nie lubił.

— Jak zwykle jesteś bardzo miły — mruknęła.

— Nie muszę być dla ciebie miły. Mój syn miał przez ciebie same kłopoty.

— Proszę, Jacques, nie zaczynaj. Już nie jestem żoną twojego syna.

— I bardzo dobrze.

— Przestań! Dzwonię do ciebie właśnie w sprawie Yves'a. Prowadzi śledztwo, podczas którego może odkryć przykrą rodzinną tajemnicę.

— O czym ty mówisz?

— Zamordowano człowieka, którego ścigał przed laty twój ojciec, Edgar Juvet.

Po drugiej stronie panowała złowroga cisza. Louise ciągnęła:

— Yves prędzej czy później trafi na ślad twojego prawdziwego ojca, dlatego musimy porozmawiać. Kiedy mogłabym do ciebie przyjechać?

— Choćby dzisiaj, chyba że idziesz do pracy — odpowiedział po chwili stary Festiger zmienionym głosem.

— Wzięłam dwa dni urlopu. Będę w południe.



Louise pamiętała doskonale, jak przed czterema laty Yves zaprosił ją po raz pierwszy do domu swoich rodziców. Jacques był oschły i nieprzyjemny, natomiast matka Yves'a, Konstance Festiger, okazała się niezwykle serdeczna. Od razu przypadły sobie do gustu. Konstance była cichą miłą osobą, przez prawie trzydzieści pięć lat znoszącą bez słowa skargi tyranie męża, który spędzał czas głównie w towarzystwie swoich kolegów, również byłych wojskowych, polując i urządzając rajdy po drogich restauracjach. Kiedy Louise ją poznała, Konstance chorowała na nowotwór dwunastnicy, jednak nie straciła pogody ducha.

To właśnie ona opowiedziała synowej mroczną historię rodziny Festigerów.



Tego ranka Yves szczególnie dotkliwie odczuwał brak Louise. Nie miał ochoty jeść samotnego śniadania, wpatrując się w jej zdjęcie, dlatego postanowił przegryźć coś na mieście. Wybrał kawiarenkę nieopodal Muzeum d'Orsay.

Zamówił omlet i sok z grejpfrutów. Prawie kończył, kiedy zadzwoniła komórka.

— Yves, radzę ci szybko przyjechać do komisariatu — powiedział wyraźnie przejęty Al-Douri.

— Właśnie jem śniadanie — warknął komisarz.

— Twoje śniadanie jest teraz najmniej ważne. Masz zaraz być.

— Mógłbyś mi jednak powiedzieć, o co chodzi?

— Chłopcy z narkotykowego aresztowali Raoula Jiméneza, handlarza koką, który był często widywany w towarzystwie Escobara. Nasza wtyczka w klubie Étoile nadała, że po pijaku twierdził, że zna prawdziwego zawodowego mordercę.

— Zaraz będę — rzucił Festiger, jednym haustem dopijając sok.

★

— Czego się napijesz? — zapytał Jacques, gdy Louise usiadła na kanapie w salonie.

— Dziękuję za alkohol — odpowiedziała, widząc, że teść podchodzi do barku.

— A ja się napiję. — Jacques nalał sobie whisky. Jej nie zaproponował kawy ani herbaty.

— Kto ci naopowiadał bzdur o moim ojcu? — zapytał ostro.

— Twoja żona. I nie były to bynajmniej bzdury. Myślę, że mógłbyś pomóc Yves'owi w śledztwie. Konstance powiedziała mi, że przechowujesz dziennik Edgara Juveta.

— Ona zawsze wtykała nos w nie swoje sprawy. W przeciwieństwie do mojej żony, wyznaję zasadę, że domowe brudy powinno się prać w czterech ścianach. Przypominam ci, że nie należysz już do rodziny.



Louise milczała, patrząc na niego wyzywająco.

— Daj mi spokój — warknął. — Nic nie wiem o żadnym dzienniku, a nawet gdybym coś wiedział, to z pewnością niczego bym ci nie powiedział. Zniszczyłaś życie mojemu synowi! — wrzasnął, uderzając pięścią w blat stolika, aż zadzwoniła szklanka.

Jacques nienawidził wszystkich kobiet, z którymi zadawał się jego syn. Kochał go miłością zaborczą i toksyczną. Louise dziwiła się, że mimo takiej presji Yves'owi udało się wyrwać z domu i zacząć samodzielne życie. Jego niezależność była wręcz chorobliwa. Z powodu stosunku ojca do Louise Yves zerwał z nim kontakty, choć ich małżeństwo nie stało się przez to bardziej szczęśliwe. Louise popatrzyła na teścia i zdała sobie sprawę, że ten stary zgorzkniały sukinsyn został skrzywdzony przez swojego ojca bardziej, niż on sam skrzywdził Yves'a.

— Jacques, proszę, pomóż mi. Czytałam raport napisany przez twojego ojca podczas wojny. On pracował dla Niemców.

— Najogólniej mówiąc — mruknął Jacques.

— Pożyczysz mi dziennik Juveta?

Jacques milczał, jakby coś kalkulował. A więc jednak go ma, pomyślała Louise.

— Dobrze — odpowiedział w końcu z westchnieniem. — Ale pod warunkiem że i ty mi coś powiesz.

— Pytaj, o co chcesz. Chciałabym jednak, żebyś wiedział, że Konstancie przeczytała ten dziennik. Oczywiście w tajemnicy przed tobą, bo wiedziała, że nigdy byś jej na to nie pozwolił.

Jacques zmrużył oczy i poczerwieniał.

— Wiem, dlaczego ukrywasz te zapiski — ciągnęła nie-zrażona Louise. — To dowód hańby twojego ojca. Ta hańba zaważyła na całym twoim życiu. Umierasz ze strachu na myśl, że jesteś do swojego ojca podobny.

— Naczytałaś się psychologicznych książek? — prychnął.

— Nie, powtarzam tylko słowa Konstancie — odparła spokojnie.

— Teraz ja, Louise. Powiedziałaś już swoje. — Jacques podszedł do barku i nalał sobie drugą szklaneczkę whisky.

— Proszę, pytaj.

— Nadal sypiasz z moim synem?

Louise parsknęła śmiechem. Obsesje starego Jacques'a bawiły ją tak samo jak przerażały. Wiedziała, że traktował to pytanie jak najbardziej poważnie. Postanowiła więc poważnie odpowiedzieć.

— Oczywiście, że nie. Jesteśmy rozwiedzeni.

— Po tobie wszystkiego można się spodziewać. Dasz mu spokój?

— Już dałam mu spokój. Jeśli któreś z nas chciałoby, żeby było jak dawniej, to Yves, nie ja — powiedziała, wiedząc, że ta odpowiedź na pewno nie spodoba się teściowi. — Skinę palcem i do mnie wróci — dodała.

— Kłamiesz. Małżeństwo z tobą go niszczyło. Rozwód był najlepszą rzeczą, jaką mógł zrobić.

— Przypominam ci — wycedziła Louise, z trudem nad sobą panując — że to ja chciałam rozwodu, bo nie mogłam wytrzymać z popaprańcem, jakiego spłodziłeś! Najpierw włąziłeś z butami do naszego łóżka, a kiedy Yves zerwał z tobą stosunki, miał takie poczucie winy, że wyżywał się na mnie! Tak źle i tak niedobrze! Jesteś podłym człowiekiem, Jacques. Kiedy umierała twoja żona, miałeś to gdzieś! Niszczysz wszystkich i wszystko wokół siebie, ponieważ nie potrafisz żyć ze świadomością, że twój ojciec wydawał Żydów gestapo!

— Ty głupia suko! — wrzasnął Festiger, podnosząc rękę, jakby chciał ją uderzyć. Po chwili jednak cofnął się i opadł na fotel, oddychając ciężko. Ukrył twarz w dłoniach, wydawało się, że zacznie szlochać.

— Jacques, proszę, daj mi ten dziennik — powiedziała cicho. — To pomoże twojemu synowi.

Wstała z fotela i podeszła do niego. Nie podniósł głowy, jakby nie miał odwagi spojrzeć jej w oczy.

— Jacques, wojna się skończyła... wiele lat temu — wyszeptała.

— Dobrze, weź go. Klucz do sejfu jest w górnej szufladzie biurka — odpowiedział stłumionym głosem.



Z dziennika Edgara Juveta 21 czerwca 1943

Cała ta historia z Gilbertem mnie wykańcza. Jestem wyczerpany. Żona działa mi na nerwy. Musiałem ją wczoraj złać, bo powiedziała mi, że sąsiedzi mówią na mnie „zdrajca”. Po co powtarza mi takie rzeczy? Mały Jacques chowa się przede mną, bo ta suka nastawia go przeciwko mnie. Grozi mi, że zabierze małego do matki. A niech zabiera, przynajmniej nie będą mi się plątali pod nogami.

Niemcy naciskają, żeby wreszcie skończyć sprawę z Żydami. Nie wiem, ilu ich ukrywa się w Paryżu, setki, może tysiące... Giering żąda od mnie, aby moja sekcja włączyła się w ich wyłapywanie. Nie wiem, jak zareagują ludzie z komisariatu. Atmosfera robi się z każdym dniem coraz bardziej napięta, nie można już normalnie pracować, co jeszcze bardziej mnie przygnębia. W policji może wybuchnąć bunt przeciw Niemcom. Gdyby coś zaczęło się dziać na poważnie, nie wiem, jak policjanci zachowają się na ulicy. Mimo to modłę się do Najświętszej Pani, żeby zdażył złapać tego drania Gilberta, tego komunistycznego skurwiela.

★

Festiger dawno nie czuł takiej satysfakcji. Przed południem razem z Al-Dourim przesłuchali Raoula Jiméneza, byłego żołnierza Legii Cudzoziemskiej, obecnie handlarza narkotyków. Gość zrobił się niezwykle rozmowny, kiedy powiedzieli mu, że

wiedzą, czym się zajmuje. Ze stosu fotografii przygotowanych przez Al-Douriego bez namysłu wybrał jedną

Był to niejaki Hermann Krabbe, były żołnierz Legii. Jimenez błagał, by dano mu ochronę. Kiedy legionista doniesie na legionistę, nie ma dla niego litości.



Po rozmowie z Daumem i wyśmienitym obiedzie Leroi, bardzo zadowolony, wrócił do domu i natychmiast źle się poczuł. Gdy otwierał drzwi, zaczęło kręcić mu się w głowie. Gdy zdejmował w przedpokoju płaszcz, poczuł silne skurcze żołądka. Po kilku sekundach stały się tak bolesne, że upadł na podłogę, zlany zimnym potem. Wiedział, że nie wstanie, żeby sięgnąć do kieszeni płaszcza i wyjąć komórkę. Zaczął czołgać się do pokoju, gdzie na niskim stoliku stał telefon. Wybrał numer, choć z bólu prawie nic nie widział. Kobieta przyjmująca zlecenia usłyszała w słuchawce jedynie charkot.

Kiedy ustalono, z jakiego numeru dzwono, i przyjechała karetka, sanitariusze musieli wyważyć drzwi. Leroi skręcał się w drgawkach, nie panował nad odruchami. Młody lekarz, który go badał, nigdy nie widział czegoś podobnego. Doszedł do wniosku, że został porażony układem nerwowym.

W ciągu trzydziestu minut od przewiezienia pacjenta na oddział intensywnej opieki na całym jego ciele pojawiły się ropne wybroczyny, pęcherzyki i bąble jak po oparzeniu. Wezwano toksykologa, który stwierdził, że objawy przypominają mu zatrucie związkami chloru.

Nad ranem pacjent zmarł.

## ROZDZIAŁ 20

### Berlin

Kiedy okazało się, że martwy mężczyzna znaleziony w toalecie w restauracji La Boheme oraz ludzie zamordowani w czarnym Citroenie są pracownikami radzieckiego przedstawicielstwa handlowego, wybuchł skandal.

Do Paryża natychmiast przyjechał Bogomołow i bardzo długo musiał tłumaczyć Niemcom, że władze radzieckie nie prowadziły na terenie Paryża żadnej tajnej operacji, a śmierć pracowników radzieckiej ekspozytury to sprawa francuskich trockistów, którzy chcieli pomścić śmierć Trockiego. Ambasador zapewnił Niemców o przyjaźni, jaka połączyła dwa wielkie narody — radziecki i niemiecki. Niemcy musieli jednak wszcząć oficjalne śledztwo, które oczywiście powierzono najlepszemu francuskiemu policjantowi, Edgarowi Juvetowi. Ten, po przesłuchaniu świadków z restauracji, doszedł do wniosku, że zabójstwa mógł dokonać tylko jeden człowiek.



Niedziela dwudziestego drugiego czerwca 1941 roku była kolejnym gorącym, słonecznym dniem. Berlińczycy lubili spędzać takie dni w parku Tiergarten lub w ulubionym przez dzieci ogrodzie zoologicznym. Ci lepiej sytuowani wybierali się do

Poczdamu lub do innych podberlińskich miejscowości, by w brandenburskich knajpkach zjeść golonkę i napić się piwa.

Tego samego dnia dla licznych radzieckich miast położonych na zachodzie czerwonego imperium zaczęło się piekło. Eskadry niemieckich samolotów już wczesnym rankiem zaczęły zrzucać na nie grad bomb. Od rana trwała również wielka graniczna bitwa na największym froncie, jaki znała nowożytna historia, rozciągającym się po Morze Czarne.

Na całą zachodnią granicę imperium Stalina nacierało łącznie pięć milionów żołnierzy niemieckich oraz armie sojuszników III Rzeszy — Węgrów, Finów, Rumunów, Słowaków i Włochów. Niemieckie wojska pancerne, wspierane przez osławione nurkujące bombowce — Stukasy — i zmotoryzowane oddziały piechoty, błyskawicznie przełamały linie radzieckiej obrony i w tempie dotąd niespotykanym w historii wojen nacierały na wschód w kierunku Kijowa, Smoleńska, Leningradu i Moskwy.

W Moskwie na wieść o wybuchu wojny zapanowała konsternacja. Gdy tylko niemiecki ambasador, hrabia Schulenburg, oznajmił, że między III Rzeszą i Związkiem Radzieckim jest stan wojny, Wiaczesław Mołotow, radziecki komisarz spraw zagranicznych, wyszeptał: „Czym sobie na to zasłużyliśmy?”.

Faktycznie, przez ostatnie dwa lata nikt nie zrobił więcej dobrego dla maszyny wojennej Hitlera niż Stalin. Ale przewidujący hrabia Schulenburg, który musiał natychmiast opuścić Moskwę, powiedział do Mołotowa: „Ta wojna to szaleństwo. Nawet gdybyście musieli się wycofać dwa tysiące kilometrów, i tak wygracie”.

Wypowiedź Schulenburga, który sympatyzował z niemieckimi opozycjonistami, takimi jak admirał Canaris czy major Böhm, musiała jednak owego dnia brzmieć w uszach Mołotowa dość śmiesznie. Na froncie panował chaos. Nie istniało centralne radzieckie dowództwo, nie działała prawie łączność, a radzieckie dywizje, które do tej pory szkolono jedynie do ataku, nie

wiedziały, jak się zachować. Dlatego Niemcy otaczali je, wybijali do nogi lub brali setki tysięcy jeńców. Kiepskie radzieckie drogi były zapchane tysiącami uciekinierów gnanych bezlitośnie na wschód pod bagnietami krasnoarmiejców i ostrzeliwane przez niemieckie samoloty. Tylko do połowy lipca, a więc w ciągu trzech tygodni kampanii, Niemcy posunęli się naprzód o trzysta kilometrów, zdobywając wiele miast, i nadal szybko parli do przodu.

Tymczasem na umęczonej głodem Ukrainie ludzie we wsiach i kołchozach witali Niemców kwiatami. Jednak wkrótce bestialstwo hitlerowców miało dorównać rzeziom stalinowskim. Tymczasem Stalin stracił kontakt z rzeczywistością. Po zdradzie swego przyjaciela Fiihrera pogrążył się w depresji i zamknął w swoim gabinecie na ponad dwa tygodnie. Wierny pies, szef NKWD Beria, nie wiedział co robić, kogo przewencyjnie rozstrzelać, a kogo wysłać na front, żeby zatrzymać niemieckie czołgi. Radziecki kolos zaczął się chwiać od niemieckiego uderzenia.

W całym tym bałaganie tylko NKWD zdołała zachować część swojej dawnej zdolności operacyjnej. Rozpoczęto ewakuację miast, które miały być zajęte przez Niemców. W okupowanym od 1939 roku polskim Lwowie rozstrzelano natychmiast wszystkich więźniów, których z powodu wielkiej liczby nie można było pognąć na Wschód. Wchodząc do miasta, Niemcy w okolicach lwowskiego więzienia zastali tysiące polskich trupów. Tylko NKWD uciekała szybciej od innych formacji radzieckich. Gdy ktoś stawał im na drodze, rozstrzeliwano go na miejscu. Mówiono, że „towarzysze z bezpieczeństwa” wycofywali się na z góry upatrzone pozycje.

Pod Kijowem, w sierpniu 1941 roku, Niemcy wzięli do niewoli prawie milion żołnierzy radzieckich, a także zniszczyli kolejny tysiąc radzieckich czołgów. Na północnym odcinku wielkiego frontu oddziały Wehrmachtu zbliżały się do Leningradu, a na południu Niemcy oraz wojska rumuńskie przekroczyły rzekę Don i zmierzały szybkim marszem w stronę

Krymu. Radzieckie dowództwo miało przed oczami czarny scenariusz. Armii Czerwonej groziła klęska, i nie było na horyzoncie niczego i nikogo, kto mógłby tę katastrofę zatrzymać...

Jednak trzy dni po rozpoczęciu wojny na froncie wschodnim stało się coś niesłychanego. Nikt w Moskwie się tego nie spodziewał.



Koło północy z dwudziestego siódmego na dwudziestego ósmego czerwca, w tajnym ośrodku podsłuchowym Abwehry w Cranz w Prusach Wschodnich, sierżant Winfried Stöger, rumiany Austriak, po ośmiogodzinnym dyżurze z ulgą oddał słuchawki młodszemu koledze, kapralowi Erichowi Mältzowi.

— Cześć, Erich — rzucił Stöger. — Ja na dziś mam dość.

— Było coś ciekawego? — zapytał Maitz.

— To co zwykle. O wpół do dziesiątej nadawała jakaś czeska stacja. Przekazali meldunki do Londynu, zanim zdołaliśmy ich namierzyć.

— Chłopcy czekają w kasynie — przypomniał kapral Maitz.

— Nie, dzięki. Idę spać...

Stöger poklepał młodszego kolegę po ramieniu i wyszedł. Przez uchylone okno wpadał przyjemny chłód czerwcowej nocy. Na konsolocie mrugały czerwone, zielone i białe lampki, nad całą Europą krzyżowały się setki meldunków i rozmów między walczącymi sztabami, dowódcami i podwładnymi, między szpiegami i ich centralami operacyjnymi.

Maitz rozsiadł się wygodnie w fotelu. Przekręcił małą gałkę i ustawił aparat podsłuchowy na częstotliwość radiostacji z Polski. Przez chwilę pomyślał, że Polak musi często zmieniać miejsce nadawania, ponieważ specjalne grupy Abwehry, gdy wpadały w Warszawie do mieszkania, z którego nadawano, nie zastawały nikogo. Czekał cierpliwie. Polak zaczął dokładnie o drugiej trzy. Maitz szybko przebiegł wzrokiem po papierowej



taśmie, jaką igłowa drukarka zapisywała, brzęcząc niczym duży trzmiel.

— Kryptolodzy znów będą mieli robotę — westchnął.

Polak nadawał szybko, z charakterystycznym dla niego mocnym akcentowaniem kropek i nieco słabszym, ale dość wyraźnym sygnałem składającym się na kreski. Niemiec stwierdził, że musi to być wyjątkowo uzdolniony radiooperator, który każdemu meldunkowi potrafi nadać indywidualne, niepowtarzalne brzmienie.

Radiostacje ruchu oporu nadawały zawsze według ściśle określonego harmonogramu. Po Polaku zwykle nadawał ktoś z okupowanej Norwegii. Prawdopodobnie z Bergen, ale nie było to regułą. Maltz zerknął do księgi operacyjnej i zauważył, że norweskiej radiostacji również nie udało się zlokalizować. Podobnie jak Polak Norweg również potrafił indywidualizować styl nadawania. Znów profesjonalista, pomyślał.

W pewnej chwili odebrał bardzo silne zakłócenia norweskiego sygnału. Znany rytm Norwega osłabł. Maltz próbował go odnaleźć, delikatnie kręcąc gałką częstotliwości, na próżno. Zakłócenia były coraz silniejsze. Po dłuższej chwili ucho kaprała wyłowiło z kakofonii pisków, trzasków i zgrzytów jeden wyraźny, uporządkowany sygnał. Usłyszał w słuchawkach wywołanie alfabetem Morse'a:

*DYG...DYG.....2.34...2.34...FPX...FPX*

Spociał się z emocji. Wreszcie uśmiechnęło się do niego szczęście. Złapał nieznaną radiostację! Dostroił błyskawicznie aparaturę do nowej częstotliwości. Wkrótce igła drukarki zaczęła pokrywać papierową taśmę kropkami i kreskami. Maltz usłyszał:

*DYG de FPX. 29.06.02.35 wdm... mhz wdm.. I4gbt.....gcvx  
23grh...*

Szybko sprawdził kryptonim wywoławczy nowej radiostacji w księdze szyfrów. Nie znalazł niczego podobnego. Natychmiast zadzwonił na czerwoną linię do swojego przełożonego, pułkownika Gahlena.

Pół godziny później Gahlen zatelefonował do Berlina i postawił na nogi wszystkich pracowników centrali Abwehry.



W upalną niedzielę dwudziestego dziewiątego czerwca na berlińskim dworcu Tagethoff nie było tłoku. O szesnastej czterdzieści pięć miał przyjechać tylko jeden pociąg — nocny z Brukseli. Wjechał na peron drugi z ponadgodzinnym opóźnieniem, spowodowanym upałem, który od ponad dwóch tygodni nie dawał Niemcom wytchnąć.

Jednym z pasażerów pierwszej klasy sypialnej był wysoki przystojny blondyn w wieku około trzydziestu pięciu lat. Wsiadł z wagonu i donośnym głosem wezwał bagażowego.

Gdy bagażowy zmagął się z jego walizami, mężczyzna podszedł do okienka celnego. Podał urzędnikowi dokumenty wystawione przez niemiecką komendanturę w Brukseli, w których stwierdzono, że bagaż pana Magnusa Gustavssona nie może być obłożony cłem, ponieważ obywatel szwedzki jest dyplomatą neutralnego państwa. Dokumenty podrobione przez amsterdamskiego fałszerza, z oryginalnymi ukradzionymi pieczętkami, nie wzbudziły najmniejszych podejrzeń.

Zameldował się w niezbyt drogim hotelu Burger, oddalonym nieco od centrum. W recepcji siedziała brzydka Niemka w szarym żakiecie ze znaczkiem NSDAP w klapie. Wzięła jego paszport, otworzyła na stronie ze zdjęciem i zaczęła uważnie studiować.

— Jest pan obywatelem szwedzkim? — zapytała w końcu.

— Tak, nazywam się Magnus Gustavsson — odpowiedział z uśmiechem.

— Czy ma pan zezwolenie niemieckich władz w Brukseli na podróż do Berlina?

— Oczywiście. — Podał kobiecie odpowiedni dokument, wystawiony przez brukselską delegaturę gestapo.

Dostał klucz do pokoju, a dwóch silnych boyów zabrało

walizy i ruszyło schodami na pierwsze piętro. Zastanawiał się, który z pracowników hotelu jest na usługach gestapo — recepcjonistka, kamerdynerzy, sprzątaczkę, ktoś z kuchni? A może wszyscy?

Trepper był w Berlinie po raz drugi.

Po raz pierwszy odwiedził stolicę Niemiec w marcu 1941 roku. Przyjechał z Brukseli jako Węgier, Ferenc Trencsenyi. Chciał poznać miasto i odszukać pewnego człowieka, którego nie widział od czasów wojny hiszpańskiej. Teraz, pod koniec czerwca, kiedy wybuchła wojna Niemiec ze Związkiem Radzieckim, przywiózł temu człowiekowi radiostację. Miał zamiar włączyć go do swojej siatki, którą przez ostatnie dziewięć miesięcy rozbudowywał wraz z Alfredem Corbinem.



Pokój był bardzo wygodny — dębowe meble, ładne lampy. Na nocnym stoliku stało radio.

Spojrzał na zegarek. Dochodziło wpół do ósmej. Od niemieckiego oficera, który jechał w jego przedziale, dowiedział się, że / . powodu bombardowań latem od dwudziestej pierwszej obowiązuje zaciemnienie.

Trepper wybierał się do dzielnicy Grinewald, gdzie przy Hagenstraße mieszkał ktoś, z kim miał się spotkać.

Człowiek ten pracował w kancelarii Rzeszy, w biurze Martina Bormanna i znany był Trepperowi jako Olaf. W marcu 1941 roku zgodził się wejść do siatki, ale pod pewnymi warunkami. Miał przekazywać informacje tylko drogą radiową, nie chciał być zaangażowany w działalność szpiegowską na terenie Berlina. Trepper przywiózł mu radiostację o dużym zasięgu, którą załatwił Corbin.

Gdy Trepper jechał tramwajem, stwierdził, że berlińczycy nie wyglądają na przestraszonych bombardowaniami i że zachowali butę i pewność siebie. Z zainteresowaniem przysłuchiwał się rozmowie dwóch kobiet, z wielkim zapalem opowiada-

jących o sukcesach „dzielnych chłopców” Fihrera na Wschodzie.

Pomyślał, że ci „dzielni chłopcy” teraz bez skrupułów mordują cywilów i jeńców wojennych, a w szczególności członków partii i Żydów. Najważniejsze będą dwa, trzy najbliższe miesiące, pomyślał. Jeżeli Niemcy nie zajmą Moskwy przed zimą, nie wygrają tej wojny.

Po kwadransie wysiadł na Hagenstraße. Szybko odnalazł numer trzynasty. Na liście lokatorów obok numeru dwadzieścia sześć nie było żadnego nazwiska.

— Jest ostrożny — mruknął.

Zadzwoił dwa razy. Po chwili zauważył, że w szparze między drzwiami i podłogą pojawiła się smuga światła i przecinający ją cień.

— Kto tam? — padło pytanie.

— Magnus Gustavsson.

Zgrzytnął zamek, potem drugi, zabrzączał łańcuch i drzwi się otworzyły.

— Proszę wejść — powiedział cicho młody mężczyzna. Mieszkanie było czteropokojowe, luksusowo i gustownie urządzone.

— Ładnie pan mieszka — mruknął Trepper.

— Jakie stanowisko, takie mieszkanie — odpowiedział z ironicznym uśmiechem młody Niemiec.

Trepper uważnie przyjrzał się człowiekowi, którego poznał przed laty w Hiszpanii. Wtedy był romantycznym lewicowcem, teraz wyglądał na pewnego siebie urzędnika. Miał przyjemną pociągłą twarz, płaski nos, szerokie usta i gęste blond włosy.

— To już prawie cztery lata, odkąd się widzieliśmy, panie de la Cruz.

— Teraz nazywam się Gustavsson. Jestem Szwedem — zaznaczył Trepper.

— Zawsze podziwiałem pańską zdolność do zmiany wyglądu.

Przeszli do salonu.

— Proszę siadać. — Niemiec wskazał obite bordowym aksamitem fotele stojące przy kominku.

— Przywiozłem dla pana radiostację — powiedział Trepper. — Mam ją w hotelu. Jutro mogę ją panu wysłać taksówką pod wskazany adres. Zgaduję, że ma pan jeszcze jakieś mieszkanie w mieście?

— Mam, ale teraz w Berlinie nigdzie nie jest bezpiecznie, gestapo wszędzie ma swoich szpicli. Jutro mogę przysłać do hotelu mojego człowieka z samochodem.

— Wykluczone. Nikt nie może wiedzieć, gdzie się zatrzymałem. Zostawię walizkę w przechowalni bagażu na dworcu Berlin Zoo. Skrytka numer dwadzieścia, na pana nazwisko. Zapłacę z góry.

— To dobry pomysł. Kiedy mam rozpocząć nadawanie?

— Jak najszybciej. Jednak z uwagi na bezpieczeństwo, będzie musiał pan zmieniać miejsce nadawania co najmniej raz na trzy miesiące. To uciążliwe, ale cóż, jest wojna. Proponuję wynająć poddasze gdzieś na przedmieściach. Na dachach nie ma zakłóceń.

Trepper wyjął z kieszeni kurtki szarą kopertę i położył ją na stole.

— Dwieście tysięcy marek — rzekł. — Ufamy panu.

— Podczas wojny w Hiszpanii lewica inaczej zdobywała zaufanie, panie Gustavsson — odrzekł z nutą wyrzutu Niemiec.

— W Hiszpanii toczyła się mała wojna. Tam mógł pan sobie być idealistą. Teraz mamy wielką wojnę. Wszystkie chwytły dozwolone.

— Proszę mi powiedzieć, według jakiego klucza i jakiego szyfru mam nadawać?

Trepper uśmiechnął się zagadkowo. Wyjął z kieszeni małą książeczkę oprawioną w skórę. Na okładce widniały złote litery: Jakub de Vorágine *Złota legenda*.

— Oto pański szyfr — oznajmił. — Technika szyfrowania jest bardzo prosta. Szyfr jest niemożliwy do złamania dla kogoś, kto nie zna tej książki.

Wyjaśnił Niemcowi sposób szyfrowania.

— Oczywiście *Złota legenda* miała wiele wydań, bo tekst był w kręgach kościelnych bardzo popularny — powiedział na zakończenie. — My używamy wydania z roku tysiąc dziewięćset czternastego z serii *Annalecta Bollandiana*. To belgijska seria wydawnicza źródeł historycznych do historii Kościoła. Nakład był limitowany. To również ma znacznie.

— Czy porządek wersów i wierszy jest taki sam jak w innych wydaniach?

— Oczywiście, że nie. W naszym wydaniu, na przykład, czwarty wyraz w siódmym wierszu na stronie dwudziestej ósmej wstępu brzmi „cisza”, ale w wydaniu austriackim Kuhbauera z tysiąc dziewięćset jedenastego „nakaz Boga”. Gdyby jakimś cudem Abwehra lub gestapo trafiły na nasz ślad, nie dotrą do sedna szyfru. Możemy przecież zmienić wydanie albo książkę. Niech pan nigdy nie trzyma tego egzemplarza w domu.

— To proste — stwierdził Niemiec.

— I skuteczne.

— Czy będziemy zmieniali zakres fal, porę nadawania i kryptonim wywoławczy?

— Tak, myślę, że to będzie konieczne. Podstawą zmiany zakresu fal, na jakich będzie pan nadawał, będzie księżycowy cykl sydereczny. Będzie pan dokonywał zmian według pory wschodu i zachodu księżyca, co trzeci zakres fali radiowej. Jednocześnie do godziny zachodu księżyca co dwa tygodnie należy dodawać liczbę osiem, a odejmować odpowiednio jeden lub dwa, w zależności od tego, czy miesiąc kalendarzowy będzie parzysty czy nieparzysty. Łączność ze mną będzie pan nawiązywał co drugi wtorek każdego miesiąca, szyfrując wiadomość kodem, jaki panu podałem.

Niemiec zanotował wszystkie uwagi na kartce.

— Niech pan się nauczy tego na pamięć i kartkę zniszczy — powiedział Trepper, wstając. — Na mnie już czas.

Pożegnał się i wyszedł w mrok.

Po wyjściu Gustavssona Niemiec podszedł do telefonu i wybrał berliński numer.

— Siostró, mamy go — powiedział. — Był dziś u mnie. Zawiadom majora Bóhma, że wracamy do gry.

Dwóch najlepszych agentów „Winnicy” majora Bóhma było rodzeństwem. Nazywali się Dietmar i Ulrike Schusserowie. Ona pracowała pod kryptonimem Funke, on — Sanger.

## ROZDZIAŁ 21

### Zamach

Szóstego sierpnia rano obudził majora Bóhma dźwięk telefonu. Kto może czegoś chcieć tak wcześnie rano?, pomyślał z irytacją. Dzwonił telefon czerwonej linii, której numer znali tylko agenci „Winnicy”, na wypadek gdyby zdarzyło się coś nieoczekiwanego. Aż do tego ranka telefon milczał.

— Musi mieć pan bardzo ważny powód, że budzi mnie pan o szóstej rano — powiedział Bóhm, rozpoznając głos Sangera.

— Mam ważne wiadomości. Pamięta pan, jak podczas wojny w Hiszpanii trafiłem w Barcelonie na ślad Kameleona?

— Pamiętam doskonale.

— Jestem od kilku dni radiooperatorem siatki, którą nasz znajomy zakłada pod okiem tych idiotów z gestapo w kilku miastach Europy. Przywiózł mi nawet radiostację. I to kilka dni po inwazji na Związek Radziecki!

Major zaniemówił. Doskonale zdawał sobie sprawę, że inwazja na Związek Radziecki może być dla Niemiec początkiem końca. Był w rozterce: tropić siatkę założoną przez człowieka, który był potrzebny niemieckiej opozycji, czy też pozwolić jej działać — oczywiście tylko przez ściśle określony czas.

— Niech pan mnie uważnie posłucha, Sanger — odezwał się w końcu. — Pod żadnym pozorem nie wolno panu nikomu mówić o tym człowieku. Nie może pan rozmawiać z żadnym



oficerem Abwehry. Człowiek, który się z panem skontaktował, jest dla nas bardzo ważny. Proszę zdobyć jego zaufanie i na razie wykonywać zadania, które panu zleca. I czekać. Wkrótce się do pana odezwę. — Tak jest, *Herr Major*.

Böhm należał do kręgu niemieckich oficerów, którzy nie mogli pogodzić się z faktem, że kanclerzem Niemiec jest austriacki gefrajter. Nie znosili Fiihrera, ale byli zbyt słabi i zbyt rozproszeni, by podjąć jakiegokolwiek działania. Podobnie jak admirał Canaris major Böhm miał mieszane uczucia na wieść, że armia niemiecka dokonywała w Związku Radzieckim okrutnych rzezi, podobnie jak działo się to w Polsce w 1939 roku. Zastanawiał się, czy pomagając Kameleonowi, nie staje się zdrajcą. Tego ranka zdał sobie sprawę, że nie wierzy już w sprawę, za którą walczy.



Tymczasem Trepper zaszył się w Brukseli. Nie mógł wrócić do Paryża. Huéscar, który dzięki płomiennemu romansowi z panną Hoffman-Schiltz wiedział coraz więcej o posunięciach niemieckich władz okupowanej Francji, poinformował go, że zabójcy czterech Rosjan szuka nie tylko francuska policja, ale także paryska ekspozytura gestapo.

Trepper nie mógł się otrząsnąć po zabiciu Nataszy. Gdy zamykał oczy, widział jej twarz zalaną łzami, czuł miękkość jej włosów. W snach wydawało mu się, że trzyma ją martwą w ramionach, budził się zlany potem, szlochając. Znow zaczął pić, ale to tylko wzmagало cierpienie. Zastanawiał się, czy mógłby zabić Sylvie...

Przez ostatnie kilka miesięcy, odkąd wyjechali razem z Paryża, zbliżyli się do siebie, choć Sylvie z początku nie ukrywała, że się go boi. Na jej oczach z zimną krwią zabił człowieka, zobaczyła jego inną, przerażającą twarz. Może podświadomie rozumiała, że gdyby chciała odejść, on by jej na to nie pozwolił.

Jednak jak każda zakochana kobieta łudziła się, że go zmieni. Chciała wierzyć, że pod straszną maską kryje się wrażliwy człowiek, który zabija, ponieważ został do tego zmuszony. Nie wyobrażała sobie, że mogłaby oddać się innemu mężczyźnie. Uwielbiała jego silne ręce, znające jej ciało lepiej niż ona sama. Gdy nie widzieli się przez jakiś czas, kochali się tak, jakby robili to ostatni raz w życiu. Ich miłość była wyspą w chaosie, pozwalała im wierzyć, że przetrwają najgorsze, zapomną o koszmarze, jaki był ich udziałem, i zaczną kiedyś normalne spokojne życie.



Siatka szpiegowska miała być polisą na życie Treppera, jednak ku jego zdziwieniu, zamieniła się w sprawną i skuteczną maszynę kierowaną przez komunistów.

Podstawą jej działania był system dwójkowy, co oznaczało, że każda osoba mogła znać jedynie dwa kontakty. W razie aresztowania pozostali musieli natychmiast zmienić miejsce pobytu, a skrzynki kontaktowe były likwidowane. Pomysłowość agentów w werbowaniu nowych członków była ogromna. Wielu spośród szpiegów siatki nie wiedziało nawet, że pracuje dla Moskwy, a system dwójkowy skutecznie uniemożliwiał jej rozbicie.

W dawnym mieszkaniu Corbina przy rue de Atrebaty działała główna brukselska radiostacja. Prowadził ją fanatyczny komunista Wiktor Sokołow-Guriewicz, który noc w noc wysyłał w eter dziesiątki meldunków. Właśnie owa nadgorliwość Guriewicza była problemem. Trepper uważał, że należy ograniczyć ilość meldunków, bo zbyt długi czas nadawania zwiększa ryzyko, że radiostacja zostanie namierzona. Guriewicz nie chciał jednak o tym słyszeć. Postawił sprawę jasno: albo nadaje każdej nocy po cztery godziny, albo nie nadaje wcale. Był jedynym sprawnym operatorem w Belgii. Trepper ustąpił. Zyskiwał jednak coraz większą pewność, że za nadgorliwość jednego człowieka przyjdzie zapłacić wielu członkom siatki.

Między Corbinem, Trepperem i Guriewiczem był tylko jeden łącznik — kochanka Guriewicza, członkini belgijskiej partii komunistycznej, Rita Arnould. Trepperowi wcale się to nie podobało, ale Belgia była terenem działań Corbina i to on dobierał sobie współpracowników.



Komisarz Juvet miał coraz więcej pracy. Po wybuchu wojny radziecko-niemieckiej w stolicy Francji rozpoczęły działalność grupy komunistycznego podziemia. Francuska Partia Komunistyczna była jedną z najlepiej zorganizowanych i najsilniejszych w całej Europie Zachodniej.

Komisarz coraz ściślej współpracował z hitlerowską służbą bezpieczeństwa. Raz w tygodniu spotykał się z SS-hauptsturm-führerem Karlem Gieringiem. Zauważył, że Niemcom bardzo zależy na jakimś spektakularnym sukcesie. W końcu do Paryża dotarły informacje, że niemiecki kontrwywiad odkrył istnienie dobrze rozgałęzionej komunistycznej siatki szpiegowskiej w Europie Zachodniej. Juvet, słysząc te rewelacje, doszedł do wniosku, że w tę aferę może być zamieszany Jean Gilbert. Komisarz od roku notował wszystkie spostrzeżenia na temat aktywności komunistów w Paryżu. Sporo miejsca poświęcił Gilbertowi. Złapanie tego człowieka było dla niego tak ważne, że zanedbywał żonę i syna, spędzając długie godziny na mozolnym sprawdzaniu wszystkich poszlak, wątków, badaniu dokumentów i relacji. Informacje te skwapliwie zapisywał w swoim dzienniku, stawiając wciąż nowe hipotezy. Gdy zyskał pewność, że zebrał wszystkie materiały, przystąpił do pisania raportu, który miał zamiar przekazać pułkownikowi Knoche-nowi, szefowi SD w Paryżu.

Napisał, że wpadł na trop groźnego komunistycznego agenta, powiązanego z radzieckim NKWD. Według niego, prawdziwy Jean Gilbert był francuskim komunistą z Lille, który działał w górniczych związkach zawodowych. Kiedy w Hiszpanii

wybuchła wojna domowa, Gilbert miał agitować na rzecz komunistycznych Brygad Międzynarodowych wśród robotników i górników w Lille. Ludzie komisarza już wtedy go śledzili, ale nie zrobili mu dobrych zdjęć. Chyba w 1938 roku stracili Gilberta z oczu. Człowiek o takim samym nazwisku pojawił się w roku 1940 w Paryżu jako bogaty przedsiębiorca. To powinno zwrócić uwagę policji i kontrwywiadu, tak się jednak nie stało.

Dopiero po zbadaniu dokumentów z MSW oraz dwóch podań z archiwum francuskiego MSZ o wydanie paszportu na nazwisko Jeana Gilberta, okazało się, że dane osobowe były takie same, lecz ludzie zupełnie inni. Juvet stwierdził, że osoba podająca się za Jeana Gilberta jest szpiegiem. Komisarz był zdania, iż agent NKWD przejął dokumenty prawdziwego Jeana Gilberta podczas wojny w Hiszpanii, po czym przybył do Francji.

Następnym punktem w raporcie komisarza była sprawa zabójstwa Marie Pregnac. Jedynym podejrzanym był Jean Gilbert. Na podstawie zeznań Sylvie Faveur oraz urugwajskiego emigranta Ulyssesa de la Cruz został on jednak uwolniony od zarzutów. Komisarz zaznaczył, że nie widział Gilberta i nie dysponował zdjęciami sprzed 1937 roku, oraz tymi, które znalazły się w formularzu paszportowym w 1939. Dopiero porównanie tych fotografii mogłoby wykazać, że byli to dwaj różni ludzie. Na podstawie opisu wyglądu Urugwajczyka de la Cruz ustalono również, że jest to ta sama osoba, ale znakomicie ucharakteryzowana. Ponadto komisarz stwierdził, że z Jeanem Gilbertem współpracuje Pablo Huéscar, Hiszpan posiadający francuskie obywatelstwo. Komisarz nie bez satysfakcji napisał, że jego ludzie, śledząc Huéscara, zauważyli, że często spotyka się z pracownicą niemieckiej ambasady.

Zdaniem komisarza to powinno dać Knochenowi do myślenia,

Po morderstwie przed La Bohemę Jean Gilbert zniknął. Juvet podejrzewał, że to jego robota. Dysponował jedynie zeznaniami

kelnera, który pracował tamtego wieczoru i rozpoznał Gilberta na zdjęciu. Ale dlaczego agent NKWD miałby zabijać innych agentów NKWD?

Komisarz wykręcił numer sekretariatu Knochena.

— Panie pułkowniku... mam dla pana ważne informacje... Tak, mogę spotkać się zaraz... oczywiście, na mieście. Proszę, żeby przyszedł pan sam. To delikatna sprawa.

Godzinę później Juvet jechał taksówką na Montparnasse, nie wiedząc, że tym samym przypieczętowuje swój los.

★

Spotkał się z Knochenem w Café de la Nouvelle Athènes.

— Czy pan wie, Juvet, że w tej restauracji jadali Verlaine i Rimbaud?

— Nie tylko oni — odparł policjant, którego zirytował ten egzamin z kultury francuskiej przeprowadzany przez gestapowca w cywilu. — Lubił tu także przychodzić Matisse.

Kelnerka podała im karty dań. Niemiec zaczął przerzucać jadłospis strona po stronie.

— Zje pan ze mną — oznajmił. — Oczywiście na koszt Rzeszy.

— Jest pan niezwykle uprzejmy, panie standartenfuhrer.

— Jestem w cywilu — warknął gestapowiec. — Na co pan ma ochotę?

— Omlet z szynką.

— Doskonale. Dwa razy. I kawa.

Kiedy jedli, Juvet opowiedział wszystko, czego dowiedział się o Jeanie Gilbercie.

— Czy ten pański Gilbert jest teraz w Paryżu? Jeśli tak, rozkażę zdjąć go jeszcze dzisiaj.

— Obawiam się, że ukrywa się poza miastem. Aresztowanie go teraz, kiedy jego siatka być może dopiero zaczęła się rozkręcać, nie miałoby większego sensu. Moi ludzie ustalili, że Gilbert współpracuje w Paryżu z jakimś Pablem Huéscarem.

Razem prowadzą firmę „Syntex”. Proponuję śledzić jego oraz tego Hiszpana, który jest w Paryżu. Niech zaprowadzi nas do jak największej liczby swoich komunistycznych towarzyszy.

— Co to za firma?

— Przedsiębiorstwo handlowe. Zleciłem już dyskretną obserwację. Proszę, aby podległe panu służby, szczególnie SD, przyjrzały się uważnie przelewom bankowym. Byłoby dobrze, gdybyśmy wiedzieli, z czego Gilbert czerpie środki na prowadzenie działalności wywiadowczej.

— Dobrze — odpowiedział Knochen. — Potrzebuje pan ludzi?

— Chyba pan żartuje! Proszę wybaczyć szczerą, ale do prowadzenia inwigilacji nadają się wyłącznie Francuzi. Pańskich ludzi w tych długich czarnych płaszczach, bawarskich kapeluszach z piórkiem rozpoznają nawet dzieci.

Na tę uszczypliwość na twarzy Niemca pojawił się złowrogi grymas. Po chwili Knochen powiedział:

— W takim razie ma pan wolną rękę, Juvet. Będzie pan składał raporty tak jak do tej pory, za pośrednictwem haupt-sturmfuhrera Gieringa.

Wstał, zapłacił i wyszedł. Komisarz nie wiedział, że podczas posiłku ktoś zrobił mu zdjęcia. Był to jeden z jego podkomendnych, członek francuskiego ruchu oporu.

★

Kiedy dwaj młodzi mężczyźni weszli rankiem, dwudziestego pierwszego sierpnia, na paryską stację metra Barbes-Rochechouart, nie wzbudzili niczyjego zainteresowania. Wśród ludzi czekających na pociąg przechadzali się spokojnie tylko dwaj francuscy policjanci. Na peronie znajdowało się nie więcej niż dwadzieścia pięć osób. Dochodziło wpół do ósmej rano.

Po schodach zszedł na peron postawny oficer Kriegsmarine. Miał w ręku torbę podróżną. Tydzień temu przyjechał na przepustkę do Paryża. Nazywał się Alfons Moser. Ludzie z grupy Pierre'a Georges'a śledzili go od kilku dni.

— Augustine... teraz — szepnął Pierre.

Zaczęli powoli przesuwać się w stronę Niemca. Na peronie było coraz więcej ludzi. Dochodziła siódma trzydzieści trzy, za dwie minuty miał nadjechać pociąg. Georges włożył rękę do kieszeni płaszcza i dotknął małego pistoletu. Zadaniem Augustine'a było ubezpieczenie Pierre'a. Miał rzucić w tłum dwie świece dymne, żeby zwiększyć szanse ucieczki. Przed stacją czekał na nich samochód z kierowcą.

Pierre stanął za plecami Niemca. Usłyszeli z głębi tunelu turkot nadjeżdżającego pociągu, którego światła rzuciły upiorny blask na ludzi na peronie. Pociąg się zatrzymał, a ludzie ruszyli w stronę rozsuwanych automatycznie drzwi wagonów.

Nagle rozległy się dwa strzały. Niemiecki oficer osunął się na kolana, po czym upadł na wznak. Jakaś kobieta przeraźliwie krzyknęła. Zapanował chaos.

Pierre rzucił się do ucieczki, natomiast Augustine cisnął w tłum petardę, drugą zaś w dwóch policjantów, którzy zaczęli przeciskać się w ich kierunku. Pierre dopadł schodów, złapał się poręczy i pognął na górę, przeskakując po dwa stopnie. Nagle jednak zachwiał się, zrobił jeszcze trzy niezręczne kroki i upadł, trzymając się za zwichniętą kostkę.

Z kłębow dymu wynurzył się policjant i przeraźliwie gwizdząc, popędził po schodach.

— Niech pan ucieka! — krzyknął do Pierre'a jakiś przechodzień.

Policjant był tuż-tuż, ale ktoś podstawił mu nogę. Upadł twarzą na schody, a Pierre, jęcząc z bólu, wstał i wbiegł na górę. Tymczasem Augustine próbował wydostać się ze stacji, sunąc wzdłuż poręczy. Zaalarmowani gwizdkiem gliniarza dwaj niemieccy żołnierze wchodzący właśnie na peron rzucili bagaże i ruszyli biegiem do miejsca, skąd dobiegały krzyki. Augustine próbował wyszarpnąć broń z kieszeni płaszcza, ale żołnierz z całej siły uderzył go kolbą karabinu w twarz, przewracając na schody.

Pierre nie czekał na niego. Wskoczył do samochodu, a na peronie zaroilo się od niemieckich mundurów. Tak skończył się pierwszy zamach komunistów w okupowanym Paryżu.



— Dziś rano na stacji metra, w centrum miasta, zastrzelono niemieckiego oficera — poinformował Knochen komisarza Juveta przez telefon. — Zatrzymaliśmy jednego z zamachowców. Należy chyba do komunistycznego ruchu oporu. Przyznał się, że jest komunistą, ale poza tym milczy. Chciałbym, żeby to pan go przesłuchał.

— Ale ja mam co innego do roboty — zaprotestował komisarz.

— To należy do pana obowiązków! — powiedział twardo Knochen. — Umówiliśmy się, że będzie pan zwalczał komunistyczny ruch oporu. Może pan potrafi lepiej rozmawiać z Francuzami niż my.

— Zbiliście go?

— Juvet, moi ludzie są fachowcami, ale mimo ich starań chłopak niczego nie powiedział. Może Francuz lepiej dogada się z Francuzem.



Dwudziestego trzeciego sierpnia w nocy Trepper otrzymał wiadomość od Huescara. Wzywał go do Paryża. W odpowiedzi wściekły Trepper wystukał alfabetem Morse'a:

*Spotkanie niemożliwe.*

*Kapitan ma ważną wiadomość — padła odpowiedź.*

Trepper ściągnął z głowy słuchawki i wyłączył nadajnik. Co za dyletant! Nie mógł uwierzyć, że Pablo, tak ostrożny przez lata wspólnej działalności, teraz o mało nie zdekonspirował Schulze-Boysena, a do tego nadawał otwartym kanałem, poza czasem wyznaczonym do komunikowania się członków siatki.

Trepper pomyślał o Guriewiczu, który wysyłając tysiące meldunków, doprowadzi do tego, że prędzej czy później Abweh-ra lub gestapo trafią na jego ślad. Czuł się coraz bardziej zmęczony. Potrzebował Sylvie, która mieszkała teraz i pracowała w hoteliku van Guytenów. On, dla bezpieczeństwa, przeniósł się w inne miejsce. Spotykali się dwa, trzy razy w tygodniu.



— Jesteś zdenerwowany — stwierdziła, gdy przyszedł do niej tego wieczoru.

— Muszę jechać do Paryża.

— Po co?

— Sprawy zawodowe.

Akurat, pomyślała. Przyzwyczała się do jego zdawkowych odpowiedzi. Zresztą nie chciała wiedzieć za dużo. Nadal nie mogła zapomnieć o tym, co wydarzyło się w La Bohemę.

— Sylvie, chciałbym porozmawiać... o nas — powiedział, gładząc jej włosy.

Dziewczyna zamknęła oczy, bojąc się tego, co usłyszy.

— Być może nadejdzie taki dzień — ciągnął Trepper — kiedy będziemy musieli się rozstać, niezależnie od tego, co do siebie czujemy. Rozumiesz?

Słowa uwięzły jej w gardle.

— Nie, nie rozumiem — wyszeptała po chwili.

— W końcu mnie złapią, jak nie Niemcy, to moi dawni towarzysze, dla których pracuję. Oni nie zapomną, że ich zdradziłem. Zabiłem zbyt wielu ludzi.

Chciał jej powiedzieć o Nataszy. Ale nie przeszło mu to przez gardło. Nie zrozumiałaby go. Czasami myślał, że żaden normalny człowiek nie pojąłby motywów, które nim kierowały, kiedy zabijał swoją żonę. Ktoś, kto nigdy nie poczuł smrodu radzieckiego więzienia, nie uwierzy, że w państwie Stalina dzieci zdradzały rodziców, a żony mężów. Tej nocy miał sen, w którym w samochodzie leżał trup Sylvie, a nie Nataszy.

— Chciałbym, żebyś mnie teraz uważnie wysłuchała. Jeżeli coś mi się stanie, musisz natychmiast wyjechać do Genewy, lam wynająłem dla ciebie mieszkanie. Zapłaciłem z góry za

cztery lata. W banku należącym do Hugona Tranknera są zdeponowane pieniądze na twoje nazwisko. To całkiem spora suma. Wystarczy ci na kilka lat.

— A ty?

— Po prostu będziesz czekała na mnie w Genewie. Jeśli przez trzy miesiące nie dam znaku życia, możesz czuć się wolna. Obiecuj mi, że zaczniesz wszystko od nowa. Znajdziesz sobie chłopaka w twoim wieku, nie takiego starego durnia jak ja. Urodzisz mu dzieci...

Położyła dłoń na jego ustach.

— Chcę mieć dzieci z tobą—pocałowała go. — Chcę mieć z tobą dziecko, Jean — powtórzyła.

— Jean... to nie jest moje prawdziwe imię.

— To nie ma znaczenia.

★

Dwudziestego trzeciego sierpnia po południu do kwatery „Winnicy” w Sztrasburgu zmierzał energicznym krokiem niemiecki oficer. Był to pułkownik Reinhard Gahlen, przyjaciel Bóhma z kręgu antynazistowskiej opozycji. Jego szofer zatrzymał samochód pod siedzibą Abwehry. Nie zważając na zaskoczenie żołnierza w recepcji, zażądał natychmiastowego widzenia z majorem Bóhmem.

— Major jest zajęty — odpowiedział kapral. — Pakuje się. Przenosi się do Brukseli.

— Wiem, ale, do cholery, natychmiast muszę się z nim zobaczyć! Jeśli nie wykona pan mojego polecenia, wyląduje pan na froncie wschodnim!

Kapral podniósł słuchawkę, wykręcił numer majora i podał słuchawkę pułkownikowi.

— Cześć, Heinrich — rzucił Gahlen. — Zbieraj się, polecisz ze mną do Oldenburga... Wiem, że jesteś w trakcie pakowania, niech twój ordynans spakuje cię i wyśle rzeczy do Brukseli. Canaris chce cię zobaczyć... Jak najszybciej.

Po kilku minutach po schodach zbiegł zdenerwowany Böhm.

— Do diabła, mógłbyś mi wyjaśnić, dlaczego Canaris chce mnie zobaczyć? Przed wyjazdem mam mnóstwo rzeczy do załatwienia.

— Wybacz. To pilna sprawa — rzucił Gahlen zagadkowo i ruszył w stronę samochodu.

Kierowca jechał tak szybko, że już po kwadransie znaleźli się na podmiejskim lotnisku, gdzie wsiedli do samolotu, potężnego transportowca junkers. Lot trwał około dwóch godzin.

Sala konferencyjna w ośrodku szkoleniowo-nasłuchowym Abwehry w Oldenburgu pełna była oficerów. Böhm zdał sobie sprawę, że gdyby spotkanie dotyczyło działań „Winnicy”, Canaris nie wezwałby wszystkich najważniejszych oficerów wywiadu.

Admirał przedstawił sprawę niedawno odkrytej radiostacji. Stwierdził, że komunistyczna dywersja na zachodzie Europy w chwili, kiedy Wehrmacht walczy na froncie wschodnim, jest bardzo groźna.

— Czy wiecie, panowie, jak Führer nazwał tę siatkę? Cisza. Wszyscy czekali na to, co powie Canaris.

— „Czerwona Orkiestra”.

Dobre, pomyślał Böhm. Zastanawiał się jednak, dlaczego Canaris, tak nienawidzący reżimu, nagle uderzył w patriotyczny lon? Przecież wiedział, że agenci „Winnicy” poświęcili dużo czasu, żeby trafić na ślad przywódcy tej organizacji.

Nagle doznał olśnienia. Zrozumiał, że Canaris rzuca na pożarcie wywiadowi „Czerwoną Orkiestrę”, aby chronić coś ważniejszego, coś, dzięki czemu będzie mógł zrealizować swój cel — dezinformować otoczenie Führera. Ależ byłem głupi, pomyślał major. Anglicy! Canaris pracuje dla Anglików! Musiał jakimś kanałem nawiązać kontakty z brytyjskim wywiadem. Jak tego dokonał? Przez Hiszpanów generała Franco? A może przez Portugalczyków Salazara? To bez znaczenia. Czas „Winnicy” dobiegł końca.

## ROZDZIAŁ 22

### Przesłuchanie

— *Du franzosische Schweine!!!*

Celę wypełniał wrzask gestapowca. Augustine uparcie milczał. Rozwścieczony Niemiec bił go gdzie popadło. Tłukł pałką po rękach, w krocze, po nogach i brzuchu. Z każdym ciosem w chłopaku kurczył się świadomy swojej godności człowiek.

Ale najgorsze jeszcze nie nastąpiło.

Kiedy Augustine mdlał, polewano go lodowatą wodą i znów zaczynało się bicie. Nie pozwalano mu spać. Nie mógł leżeć na plecach. Miał odbite nerki. Czuł smak krwi, która sączyła się z popękanych warg.

Nad ranem znów zaczęło się przesłuchanie. Tym razem gestapowców było dwóch. Poprowadzili go ciemnym korytarzem do innej celi, gdzie oprócz stołu stał drewniany taboret, a mrugająca żarówka zalewała pomieszczenie upiornym blaskiem. Scharführer Gabel kopniakiem przewrócił taboret. Augustine też dostał kopniaka w brzuch i upadł, zwijając się z bólu. Drugi, gestapowiec ściągnął mu spodnie i oszołomionego z bólu posadził na nodze od krzesła. Noga była na końcu opiłowana, miała ostry czubek. Augustine stracił przytomność.

Ocucił go strumień lodowatej wody. Podniósł głowę. Stwierdził, że jest w innej, czystszej i jaśniejszej celi. Nie miał pojęcia, co się z nim działo od czasu, kiedy stracił przytomność.

— Wstawaj, ty komunistyczna świnio — usłyszał. Popatrzył w kierunku, z którego dochodził głos. Zobaczył wysokiego, krótko ostrzyżonego esesmana w szaro-zielonym mundurze z czarnym kołnierzem, na którym po prawej stronie widniały dwie symetryczne błyskawice, wyszyte srebrną nicią. Po lewej stronie kołnierza cztery małe srebrne kwadraciki iskrzące się w mocnym świetle lampy. Esesman był oficerem w randze kapitana.

— Wstawaj — powtórzył Niemiec, kalecząc francuski. — Jestem hauptsturmfuhrer Karl Giering.

Spełnienie polecenia zajęło chłopakowi ponad dwie minuty. Bał się, że esesman zniecierpliwi się i go kopnie. W kroczu czuł piekący ból. Jednak oficer nawet się nie poruszył. Utkwił spokojne szare oczy w twarzy Augustine'a. Kiedy wreszcie chłopak stanął na nogach, kapitan SS warknął:

— Nie wyglądasz na komunistyczną świnie, która strzela w plecy niemieckim żołnierzom.

Augustine zdawał się nie słyszeć tych słów. Cały jego umysł skupiony był na utrzymaniu równowagi

— Damy ci szansę, gnojku — kontynuował esesman. — Albo wskażesz nam wszystkich swoich kumpli, albo... — Zrobił przerwę, żeby nadać groźbie odpowiednią moc. — Albo zrobimy z ciebie miazgę i wyniesiemy do śmietnika na szufelce...

Giering otworzył drzwi. W półmroku korytarza majaczyła czyjaś sylwetka.

— A teraz chce z tobą pogadać twój rodak — dodał.

★

Z dziennika komisarza Juveta 24 sierpnia 1941

Rozmowa z Knochenem była dla mnie bardzo ważna. Myślę, że Niemcy będą zainteresowani złapaniem tej komunistycznej świni Gilberta. Uważam, że dzięki jego aresz-

towaniu zostaną osłabieni komuniści — prawdziwy rak, który toczy ten kraj. Marzę o Francji wolnej od komunistów i emigrantów. Mówią, że w oddziałach de Gaulle'a w Afryce są czarni żołnierze. Nie wiem, dlaczego de Gaulle bruka francuski mundur. Ostatnio dzwonił do mnie Giering — jego też nie znoszę. Wiem, że w głębi duszy mną gardzi, ale to nic, muszę to wytrzymać, żeby złapać Gilberta.

Giering zaproponował mi współpracę przy aresztowaniu Żydów, którzy ponoć tysiącami ukrywają się w Paryżu. Nie mogę powiedzieć, że mam coś przeciwko Żydom. Żyli w tym kraju. Tworzyli go. Odmówiłem, tłumacząc się brakiem czasu. Giering odpowiedział, że w interesie francuskiej policji jest odnajdywać i wydawać wrogów Rzeszy, z którą Francja jest połączona sojuszem. Zdecydowałem, że policjanci z mojego wydziału będą uczestniczyli w obławach przeciw Żydom, choć ja osobiście nie chcę mieć z tym nic wspólnego. Nie będę jednak przeszkadzał. Nic mnie to nie obchodzi.

W gruncie rzeczy Żydzi sami są sobie winni. Po co ich rodacy uczestniczyli w Kominternie, tej komunistycznej międzynarodowej siatce spiskowej? Wszyscy Żydzi w gruncie rzeczy są komunistami. A ja chcę, żeby Francja była katolicka, a nie czerwona...



Trepper przyjechał do Paryża jako Węgier. Z aparatu telefonicznego na dworcu Montparnasse zadzwonił do Huéscara. Rozmawiali krótko. Pablo powiedział tylko, że wiadomość od Schulze-Boysena znajduje się w skrytce pocztowej w urzędzie pocztowym naprzeciwko Collège Stanislas.

Trepper nie czuł się bezpiecznie. Wiedział, że policja, a może nawet gestapo prowadzi śledztwo w sprawie zabicia tajniaków NKWD. Kelner, barman i tuzin gości widzieli mnie tamtego dnia w towarzystwie Sylvie, pomyślał. Na pewno połączą mnie z tą sprawą.

Zameldował się w hotelu President w XVI Dzielnicy. Po posiłku zjedzonym w hotelowej restauracji wyszedł na miasto. Odebrał ze skrytki małą szarą kopertę. Harro Schulze-Boysen musiał ją zostawić już po jego wyjeździe z Paryża. Po odebraniu przesyłki kręcił się jeszcze przez kilkanaście minut wokół poczty, by sprawdzić, czy urząd nie jest obserwowany. Bał się, że jest śledzony. Gdy zyskał pewność, że nie ma ogona, wrócił do hotelu, otworzył kopertę i przeczytał:

*Czekam w nieparzyste dni w kawiarni hotelu Imperial między 11.00 a 12.00. Pilne.*

Zgniół karteczkę i spalił ją w popielniczce. Oprócz karteczki w kopercie znajdowała się kopia notatki służbowej brukselskiego oddziału Abwehry wysłanej do paryskiej delegatury, w której ostrzegano, że w Brukseli działa siatka komunistyczna, która może mieć również swój odpowiednik w Paryżu. Przeczytawszy notatkę, spalił ją i usiadł ciężko w fotelu.

Zapalił papierosa. Ten idiota Guriewicz pociągnie nas wszystkich na dno, pomyślał. Musi skłonić brukselskiego radiooperatora do zmiany szyfru, a także pory nadawania, a przede wszystkim do ograniczenia nadawania w nocy. Skoro Abwehra wie, że radiostacja nadaje z Brukseli, to jej odnalezienie jest tylko kwestią czasu.

Chciał wyrzucić kopertę, ale spostrzegł, że znajduje się w niej jeszcze jedna kartka, której nie zauważył. Była to wyblakła fotografia młodego mężczyzny siedzącego nad kuflem piwa. Za nim wznosiły się eleganckie kamienice i charakterystyczny gotycki ratusz. I nagle wszystko stało się jasne.

Gorzko się uśmiechnął. Czy to ironia losu, czy chichot Boga, w którego Trepper nie wierzył? Tego człowieka Trepper poznał przed wojną... Tylko gdzie? Po chwili sobie przypomniał. Niemiecko-radziecka konferencja w Królewcu latem 1934 roku. Wspólny wyjazd do Wrocławia. A potem Alpy. Niemiec ze zdjęcia pośliznął się na mokrej skale. Byłby spadł, gdyby nie błyskawiczna reakcja Treppera, który go asekurował.

Poczuł, że musi się napić. Zadzwoił do recepcji i zamówił

butelkę koniaku. Rozprawił się z nią w dwie godziny. Zamówił następną. Czuł się bezbronny, kiedy przed jego oczami zaczęły pojawiać się twarze ludzi, których zabił. Nie zauważył, jak nadpłynął głęboki, pijacki sen, brat śmierci.



Augustine zobaczył policjanta w wytartym jasnobrązowym płaszczu.

— Pewnie myślisz, chłopcze, że jestem kolaborantem. Nie lubię tego słowa. Uważam, że jest niesprawiedliwe.

Augustine milczał. Bał się, że za drzwiami stoją ci sami gestapowcy, którzy posadzili go na nodze od stołka.

— Wiem, co czujesz — ciągnął Francuz. — Przez lata pracy w policji widziałem wielu ludzi, którzy po ostrym przesłuchaniu, po kilku nocach spędzonych w areszcie lub po zobaczeniu niezbitych dowodów swojej winy byli na krawędzi załamania. Ty chyba również do nich należysz, prawda? — Uśmiechnął się. — My, oczywiście, nigdy nie używaliśmy takich metod — powiedział z niesmakiem. — Między nami mówiąc, ludzie z gestapo potrafią być bezwzględni. Jestem tutaj, żeby ci pomóc.

Z kieszeni płaszcza wyciągnął małą fajkę i woreczek z tytoniem.

— To doskonały tytoń — powiedział, nabijając fajkę. — Naprawdę myślisz, że jesteś taki twardy? Naprawdę chcesz cierpieć? Przecież nie musi tak być... Powiedz mi szczerze, dla kogo tak się męczysz? Za kogo chcesz oddać życie? Za tę czerwoną bandę, która zostawiła cię, kiedy byłeś w potrzebie?

— Nie chcę cierpieć — wyszeptał Augustine.

— I słusznie. Nie jesteś Jezusem. Nie jesteś nawet święty, bo uczestniczyłeś w zamachu na niemieckiego oficera... Powieszają cię. To pewne.

— Nie zabiłem go... Nawet nie strzelałem.

— A jakie to ma znaczenie? Powieszają cię albo zatłuką na śmierć... Jeśli mi nie pomożesz, ja też ci nie pomogę.

Augustine zakrył twarz dłońmi. Chciało mu się płakać. Wiedział już, po co ten Francuz przyszedł.



— Jestem twoją jedyną szansą, chłopcze. Drugiej nie będzie, rozumiesz? Nie będzie! Jeśli wyjdę z tego pomieszczenia bez twojej zgody na współpracę, oni cię wykończą.

— Czego pan ode mnie chce?

— Chcę, żebyś mi pomógł. — Głos policjanta brzmiał teraz niemal przyjacielsko. — Popatrz na siebie. — Wyciągnął lusterko i podał je Augustine'owi. — Jesteś wrakiem człowieka. Nie wytrzymasz. Wiesz dobrze, że gestapo ma swoje sposoby, żeby łamać takich opornych chłopaczków jak ty. Jeśli mi pomożesz, wyciągnę cię z tego piekła w ciągu kilku godzin. Uwierz mi.

Chłopak ze szlochem osunął się na betonową podłogę.

— Co mam zrobić? — zapytał w końcu.

— Na początek opowiedz mi wszystko, co wiesz o komunistach w Paryżu.

★

Schulze-Boysen pił właśnie kawę po irlandzku z kieliszkiem brandy i śmietanką, kiedy do restauracji w hotelu Imperial wszedł Trencsenyi i usiadł naprzeciwko niego. Podali sobie ręce. Węgier zaczął przeglądać kartę dań.

— Nie mogę się przyzwyczaić do pańskiego nazwiska — zagadnął Boysen.

— Węgierskie nazwiska są trudne — mruknął Trepper. — Słucham, o co chodzi? Dlaczego zostałem wezwany tak nagle?

Boysen tym razem nie popełnił błędu. Wybrał stolik tuż przy szklanej ścianie, oddzielającej część dla palaczy od tej dla niepalących.

— Mam dla pana ważne informacje — powiedział. — Chcemy, żeby wziął pan udział w planie dezinformacji bezpośredniego otoczenia Stalina. Wiem, że brzmi to teraz dość niepraw-

dopodobnie, ale proszę mi wierzyć, w pańskiej sytuacji współpraca z nami opłaci się wszystkim, i nam, i panu... *Herr* Trencsenyi.

— A jaka jest moja sytuacja? Boysen upił łyk kawy.

— Abwehra jest na tropie pańskiej siatki. Radiostacja została wykryta pod koniec czerwca przez ośrodek nasłuchowy w Cranz w Prusach Wschodnich. Od tej pory grupy operacyjne Abwehry są na pana tropie.

— Ile radiostacji zostało zlokalizowanych?

— Wystarczająco dużo.

Wiedziałem, że tak będzie, pomyślał z wściekłością Trepper. Zabiję tego Guriewicza.

— Wiemy, że główna radiostacja jest w Brukseli — ciągnął kapitan.

— Wiemy, że pracuje pan teraz dla Moskwy. Pański znajomy, major Böhm, został przeniesiony do Brukseli. Aresztowanie tych ludzi to tylko kwestia czasu.

— Skąd pan przyszło do głowy, że pracuję dla Kremla?

— Nasza agentka podążała za panem od czasów wojny w Hiszpanii. Potwierdziła, że był pan związany z NKWD. Czy myśli pan, że ryzykowalibyśmy taką rozmowę, gdybyśmy nie wiedzieli o panu wystarczająco dużo?

Trepper milczał.

— No, co pan powie?

— Pracuję tylko dla siebie. Dla nikogo więcej — odpowiedział Kameleon, wyraźnie akcentując każde słowo. — To, co robię teraz, jest moją polisą na życie. Moi dawni przyjaciele nie zapomnieli, że nie byłem im wierny przez ostatnie lata.

— W takim razie nasza propozycja jest dla pana dobrym rozwiązaniem.

— Proszę o szczegóły.

— Major Böhm rozpracowuje siatkę wokół brukselskiej radiostacji Czerwonej Orkiestry. Chcielibyśmy, aby nie przeszkadzał nam pan w jej rozbiciu.

— Nie bardzo rozumiem...

— Major gwarantuje panu bezpieczeństwo. W gazecie, która leży na stole, na stronie z ogłoszeniami, zapisałem numer telefonu w Brukseli, tak na wszelki wypadek, gdyby miał pan kłopoty. Mogę powiedzieć tylko

tyle, że odegra pan ważną rolę w planie dezinformowania bezpośredniego otoczenia radzieckiego dowództwa...

— Pan żartuje — prychnął Trepper. — Pański plan jest nierealny. A poza tym nie mam żadnej pewności, czy wyjdę z tego cało.

— Ależ wyjdzie pan! Obydwaj świetnie wiemy, że Niemcy nie wygrają wojny. Mają przeciwko sobie nie tylko Churchilla, Amerykanów, ale i Związek Radziecki. Naszym celem jest jak najszybsze doprowadzenie do destrukcji systemu politycznego w Niemczech, aby oszczędzić Niemcom radzieckiej okupacji. Jednak w tym celu trzeba utrzymać front wschodni. Pan może dezinformować stronę radziecką...

— Skąd pan wie, czy zaraz pana nie zastrzelę? — zapytał szeptem Trepper, pochylając się nad stolikiem.

— A skąd pan wie, czy przed tą kawiarnią nie ma naszych ludzi? — odciął się Boysen. — Nawet jeżeli pan do mnie strzeli, nie wyjdzie pan stąd żywy — blefował. — Dlatego nie strzeli pan do mnie, jestem tego pewny.

Trepper poczuł, że przegrał. Kapitan mu zaimponował. Był pewny siebie, wierzył w to, co mówił. Trepper nie miał wątpliwości, że rozmawia z człowiekiem wysłanym przez bliżej nieokreśloną niemiecką opozycję. Skoro Böhm jest oficerem Abwehry, to za nim musi stać tylko Canaris, może jeszcze jacyś generałowie. Nikt inny nie odważyłby się prowadzić tak niebezpiecznej gry.

— Ma pan rację, nie strzele — odezwał się po dłuższej chwili Trepper, prostując się. — Ile daje mi pan czasu do namysłu?

— Do jutra. Informacja tam gdzie zwykle — odpowiedział kapitan. Rozmowa była skończona. Trepper zabrał gazetę i wyszedł.

Nazajutrz zostawił wiadomość w skrytce pocztowej: „Zgoda”. Nigdy więcej się nie spotkali. Trepper nie rozpoczął współpracy z niemiecką opozycją. Nie starczyło na to czasu.



Z dziennika komisarza Juveta 16 listopada 1941

Więzienie Fresnes jest przygnębiające. Widziałem sporo więźniów, ale w żadnym ludzkie nie byli tak upadłani jak tutaj. Gestapowcy pracujący w tym miejscu to zwyrodniali sadystyczni imbecyle, ale są wśród nich wyjątki, choćby kapitan Giering. To piekielnie inteligentny gość. Poprosił mnie, żebym złamał psychicznie chłopaka aresztowanego po zamachu na tego niemieckiego marynarza w paryskim metrze. Strasznie go pobili. Chłopak okazał się nadzwyczaj pojętny.

Nazywa się Augustine Lafargue, jak się wydaje był blisko związany z komunistami w Paryżu i to nie z byle jakimi komunistami. Wyśpiewał, że jego szefem był Pierre Georges, były oficer (swoją drogą wkurwia mnie, że czerwoni są w armii... aż się dziwię, dlaczego marszałek Petain nie zrobił z nimi porządku choćby w armii kolonialnej w Algierze czy Tunezji). Ten oficer figurował w kartotece żołnierzy Brygad Międzynarodowych. Na pewno jest związany z komunistyczną śmietanką. Dlatego mam ochotę urządzić na niego polowanie.

## ROZDZIAŁ 23

### Przerwana aria

Augustine okazał się zdolnym tajniakiem. Nikt się nie domyślał, jaka jest jego prawdziwa rola. Wszyscy koledzy byli natomiast ciekawi, jak wy dostał się po zamachu ze stacji metra. Pisała o tym nawet podziemna gazeta „L'Humanité”, organ prasowy francuskich komunistów. Augustine szybko znalazł rozsądne wytłumaczenie:

— Skręciłem nogę na schodach. Dowlokłem się jakoś na górę, do samochodu, i pojechałem do byłej narzeczonej. Ona wywiozła mnie na wieś.

Jego wyjaśnienia brzmiały przekonująco. Opowiadał kolegom o swojej wielkiej miłości — Sylvie Faveur, która zostawiła go dla starszego mężczyzny, jednak gdy znalazł się w potrzebie, pomogła mu bez wahania.

Augustine zamieszkał w małym mieszkaniu wynajętym dla niego przez policję w rejonie składów kolejowych w dzielnicy Ivry. Policja i gestapo miały go stale na oku. Czuł się coraz bardziej samotny i wyobcowany. Dręczyły go wyrzuty sumienia. Koledzy z partii opowiadali, że wielu Francuzów wolało umrzeć, niż wejść w jakiegokolwiek układy z Niemcami. On nie miał tyle siły. Złamali go. Z każdym dniem nienawidził siebie coraz bardziej. Pocieszenia szukał w ramionach prostytutek.

Paryskie prostytutki dzieliły się na te luksusowe, z których usług korzystali urzędnicy, niemieccy wyżsi oficerowie i speku-

lanci, jednym słowem ludzie bogaci. Drugą grupę stanowiły kobiety, które przyjechały do Paryża z biednej prowincji, oddające się za grosze, byle tylko przeżyć.

Miała na imię Anne, niedawno skończyła osiemnaście lat. Pochodziła z biednej robotniczej rodziny. Była drobna, miała rude farbowane włosy, malowała się wyzywająco, żeby wydać się starszą. Trochę przypominała mu Sylvie. Augustine początkowo próbował być dla niej miły, ale kiedy stanął przed nią bez spodni, dziewczyna wykrzyknęła ze śmiechem:

— Ale ty jesteś mały!

Podciągnął gwałtownie spodnie i rzucił się na nią. Ścisnął jej gardło tak mocno, że zaczęła charczeć. Zaczął bić po głowie, kopać w brzuch i krocze. Lecz tak naprawdę nie katował biednej małej prostytutki, przed oczami miał twarz Sylvie.

Opamiętał się dopiero wtedy, kiedy stwierdził, że dziewczyna przestała się ruszać. Z jej skroni sączyła się krew. W tej samej chwili do mieszkania wpadli dwaj policjanci — obstawa Augustine'a.

— Coś ty, kurwa, zrobił najlepszego? — zapytali na widok trupa.

Augustine popatrzył na nich niewierzącym wzrokiem szaleńca.

— Zabierzcie tę dziwkę — syknął. — Sekwana jest blisko. Policjanci stali nad ciałem jak zahipnotyzowani.

— Na co czekacie? Zabierzcie ją! — wrzasnął. Zawinęli ciało w koce, a wieczorem wrzucili je do rzeki.

\*

Z dziennika Edgara Juveta 1 grudnia 1941

Augustine Lafargue to osobnik o spaczonym perwersyjnym umyśle, zdolny do wszelkiego okrucieństwa. Jego upodobania seksualnie są co najmniej dziwne. Ostatnio przeleciał jakąś dziwkę, a potem zatłukł ją na śmierć. Gdyby nie to, że najważniejszą sprawą jest teraz zlikwidowanie komunistycznego podziemia, z przyjemnością postawiłbym go na gilotynę. Augustine dostarcza jednak mnóstwa informacji.

Dużo pije. Ale jest zadziwiająco skuteczny. Podszedł czerwonych tak, że nikt się nie zorientował, że to on pomaga nam ich wyłapać. Podoba mi się ten chłopak, choć to zboczony sukinsyn.

★

Policja francuska i gestapo rozpoczęły aresztowania. Na pierwszy ogień poszła redakcja „L'Humanité”. Augustine wskazał tylko jednego drukarza. To wystarczyło, gestapo, torturując go, poznało nazwiska pozostałych. W krótkim czasie aresztowano wszystkich członków redakcji. Na początku grudnia Duclos zatelefonował do ukrywającego się w Montpellier Pierre'a Georges'a. Chciał, żeby Pierre wrócił do Paryża i znalazł zdrajcę.

Tymczasem Augustine dostał od komisarza Juveta polecenie rozpracowania firmy „Syntex”. Odpowiedział na ogłoszenie o pracy. Firma potrzebowała kierowcy. I chłopak od razu pracę dostał.

— Proszę stawić się jutro o siódmej rano na placu przy stacji Clichy — powiedział szef paryskiej filii firmy.

— Tak od razu? — zdziwił się Augustine.

— Czas to pieniądz.

Augustine, wychodząc, zerknął na tabliczkę na drzwiach biura „Synteksu”. Widniał na niej napis: Pablo Hućscar, dyrektor oddziału.

Komisarz Juvet miał wreszcie wtyczkę w firmie Gilberta.

★

Po powrocie z Paryża Trepper postanowił bezzwłocznie skontaktować się z „Małym Szefem” Czerwonej Orkiestry, Alfredem Corbinem. Nie było go jednak w mieście. To, co

Trepper usłyszał od Harro Schulze-Boysena stawały pod znakiem zapytania działanie brukselskiej siatki. Ponieważ Trepper nie chciał dekonspirować się nawet przed radiooperatorem, zczekał na powrót Corbina, aby wraz z nim przekonać Gu-riewicza do zmiany pory nadawania i ograniczenia ilości meldunków.

Nie było to jednak proste. Guriewicz pracował bez wytchnienia. Razem z Ritą Arnould, dokonywał selekcji dziesiątków meldunków, wybierali tylko te, które w ich przekonaniu mogły pomóc Związkowi Radzieckiemu. Pośpiech Guriewicza podyktowany był przede wszystkim sytuacją na froncie wschodnim. Niemcy stali pod Moskwą. Przez lornetki widzieli niknące w tumanach śniegu wieże Kremla. Władze niemieckie w Holandii i Belgii rekwirowały ciężarówki, futra, a we flamandzkich gazetach pojawiały się apele Leona Degrelle'a, przywódcy flamandzkich faszystów, o oddawanie ciepłej odzieży „dla Wehrmachtu, jedynej armii, która prowadzi krucjatę przeciwko komunizmowi”. Nikt jednak nie kwapił się z oddawaniem czegokolwiek, więc Niemcy brali to sobie siłą, rekwirując.

Guriewicz i Rita byli fanatycznymi komunistami, gotowymi na wszystko, byle tylko radiostacja mogła nadawać bez przeszkód. Radiooperator miał żelazne zdrowie. Spał najwyżej cztery godziny na dobę, nie dojadł. Liczyła się tylko praca.



Wieczorem dziesiątego grudnia w gmachu brukselskiego sztabu Abwehry w dzielnicy St. Gilles panowała nerwowa atmosfera. Major Böhm wezwał na odprawę wszystkich współpracowników. Ten dzień był dla jego zespołu szczęśliwy. Samochód goniometryczny zlokalizował wreszcie nad ranem silny sygnał, zbliżony częstotliwością do sygnału, jaki w czerwcu tego roku wyłapał Maitz. Sygnał emitowała radiostacja położona w dzielnicy Etterbeek. Należało przystąpić do żmudnego przeszukiwania stu tysięcy mieszkań.



Böhm popatrzył na plan Brukseli, rozłożony na stole w pokoju odpraw. Sekcja goniometryczna zlokalizowała sygnał radiostacji w wielkim czworokącie położonym między College St. Michel, brukselskim Uniwersytetem Vrije, kościołem św. Antoniego i ruchliwą promenadą Tervueren. Major miał pewien pomysł. Dlatego zwołał naradę.

— Panowie, przeszukanie stu tysięcy mieszkań jest niemożliwe. Nawet gdybyśmy mieli stu ludzi, nie znaleźlibyśmy tej przekłetej radiostacji. Z pomocą przyjdzie nam ten oto przedmiot... To najnowszy aparat do podsłuchu.

Böhm otworzył małą teczkę i oczom zebranych ukazał się zmminiaturyzowany aparat nasłuchowy, złożony z małej radiostacji, słuchawek, baterii oraz wysuwanej antenki.

— Miałem wam, panowie, powiedzieć o tym cacku jakiś czas temu, ale czekałem na lokalizację radiostacji. Admirał przesłał nam pięć takich urządzeń. Słuchawki można podłączyć oddzielnym przewodem, nawet kiedy teczka zostanie zamknięta. Zademonstruję to panom.

Włączył urządzenie, zamrugały dwie lampki. Wyciągnął antenę i zamknął teczkę. Antena wystawała na wysokość dwudziestu centymetrów.

— Do regulowania zakresu fal używamy tych dwóch pokręteł — wskazał dwie gałki znajdujące się przy skórzanej lśniącej ręczce teczki.

— A słuchawki? — zapytał ktoś z sali.

— Wejście na słuchawki jest tutaj. — Böhm wskazał dwa otwory przy dolnej prawej krawędzi.

Po sali rozszedł się cichy szmer uznania.

— Jak długo może pracować to urządzenie? — zapytał jakiś młody podoficer.

— Około trzech godzin. Potem trzeba naładować baterię. Gdy wszyscy obejrzeliby to cacko, major poprosił o uwagę i powiedział:

— Zarządzam dyżury nocne w pięciu zespołach po czterech ludzi. Będziecie spacerowali nocą po Etterbeek. Należy tak

ustalić trasy, aby zespoły nasłuchowe nie wchodziły sobie w drogę. Proszę nie przebywać w jednym miejscu dłużej niż dziesięć minut. Tyle czasu powinno wystarczyć dobremu radiooperatorowi na określenie kierunku, z jakiego będą nadawać. Do roboty!

Polowanie się rozpoczęło.



Dochodziła szósta rano. Hotelik van Guytenów pogrążony był w ciszy. Trepper prawie nie spał. Źle się czuł. Od kilku dni miał wrażenie, że jego klatkę piersiową ściska żelazna obręcz. Nie przypuszczał, że rozmowa z Schulze-Boysenem tak wyprowadzi go z równowagi.

Pomyślał o Guriewiczu. Miał ochotę pojechać na rue de Atrebates i go zastrzelić. Był pewny, że przez tego fanatyka cała siatka znajdzie się w niebezpieczeństwie. Podjął decyzję, że po raz ostatni spróbuje przekonać Guriewicza o konieczności zmian w systemie nadawania. Miał zamiar udać się do mieszkania radiooperatora jako szwedzki wspólnik „Synteksu”, Magnus Gustavsson. Nie chciał czekać na Alfreda Corbina.



Było późne popołudnie. Zaczęła się odwilż. Od morza wiał ciepły wiatr, śnieg topniał w oczach. Rita stała w oknie, paląc papierosa.

Była komunistką i była z tego dumna. Przed wojną spędziła nawet dwa miesiące w więzieniu za zorganizowanie w jednej z brukselskich fabryk nielegalnego strajku. Wtedy spotkała Sokołowa-Guriewicza, który pracował jako robotnik. Od razu domyśliła się, że Wiktor jest z Rosji. Imponowało jej to. Pokochali się, ale postanowili żyć w wolnym związku. Ona nie dbała o konwenanse, on nie chciał wiązać się na stałe.

Rita patrzyła na rue de Atrebates. Ulica była dobrze oświetlona i w pewnym momencie Rita dostrzegła mężczyznę z teczką. Pewnie wraca z pracy, pomyślała. Widywała go od kilku dni — czasem nad ranem, czasem wieczorem. Lubiła obserwować ludzi, zastanawiać się, jakie życie prowadzą, czy są szczęśliwi.

— Rita, zrób mi kawy! — rozległ się ostry głos Guriewicza.

Zaciągnęła się po raz ostatni papierosem i wyrzuciła niedopałek przez uchylone okno. Gdyby została minutę dłużej, zobaczyłaby, jak mężczyzna z teczką wchodzi do kamienicy naprzeciwko i z klatki

schodowej obserwuje ich okna. Kiedy Rita parzyła kawę, kilkunastu mężczyzn w mundurach lub długich płaszczach skierowało się w stronę ich domu.



Rita nalala kawę do filiżanek, filiżanki postawiła na tacy i właśnie zamierzała zanieść ją do pokoju, gdzie nad aparaturą nadawczą siedział Wiktor. Wydawało się jej, że ktoś wchodzi po schodach, ale nie chciało się jej sprawdzać. Nagle rozległo się pukanie do drzwi.

— Spodziewasz się kogoś?! — krzyknęła do Wiktora.

— Oczywiście, że nie — mruknął.

Pukanie się powtórzyło. Wiktor zaklął cicho po rosyjsku i ruszył do przedpokoju.

— Kto tam? — zapytał po francusku.

— To ja, de Flandre — zabrzmiał głos dozorca. — Przyniosłem rachunek za prąd.

— Dlaczego nie przyszedł pan wcześniej? — Guriewiczowi wydało się to podejrzanym.

— Noga mi dokucza. To jak będzie, otworzy pan czy nie?

— Wpuść go — powiedziała Rita, podchodząc bliżej. Guriewicz miał właśnie uchylić drzwi, gdy ktoś pchnął je tak

mocno, że uderzyły go w twarz. Zachwiał się. Rita krzyknęła. Zobaczyła przerażoną minę starego de Flandre'a, któremu

niemiecki oficer przystawił do głowy pistolet. Odciągnął stróża, a do przedpokoju wpadli niemieccy żołnierze z pistoletami maszynowymi. Jeden z nich uderzył Ritę kolbą w brzuch, a drugi przewrócił Wiktora i przycisnął jego twarz do podłogi.

Niemców było dziewięciu — w tym dwóch tajniaków. Na znak oficera dwaj żołnierze wzięli leżącego Wiktora pod ramiona i zaciągnęli na krzesło obok stołu z radiostacją. Rita klęczała, trzymając się za brzuch. Nie mogła złapać tchu. Oniemiały Wiktor patrzył to na Niemców, to na radiostację. Jeden z tajniaków powiedział coś do Rity po niemiecku i wskazał krzesło pod ścianą, lecz ona nadal klęczała. Niemiec podszedł do niej, złapał ją za włosy i posadził na krześle.

— Przeszukać mieszkanie — warknął jeden z oficerów. — Zwracajcie uwagę na książki, kartki z cyframi, wycinki z gazet. Wszystko może się przydać kryptologom.

Ten sam oficer, przystojny blondyn w wieku około trzydziestu lat, zwrócił się do Rity po francusku:

— Proszę nam wybaczyć, że przerwaliśmy państwu ten przyjemny szpiegowski wieczorek. Czy mogę poczęstować panią papierosem?

Rita skinęła głową. Niemiec wyjął paczkę papierosów i podał jej jednego. Rita drżącą ręką włożyła go do ust. Niemiec zapalił zapałkę i dotknął nią końcówki papierosa, która oświetliła twarz kobiety czerwonym blaskiem.

— Już wkrótce nie będziemy tacy mili, szanowna pani — powiedział. — Muszę przyznać, że to bardzo piękna radiostacja. — Skinął głową w stronę stołu. — Będiesz mówiła, kwiatuszku?

Rita popatrzyła na jegomundur. To nie gestapo, pomyślała. A więc jest nadzieja...

— Dobre papierosy — odpowiedziała. — Ale nie będę mówiła...

Oficer uśmiechnął się, po czym uderzył ją w twarz. Rita spadła z krzesła. Poczowała w ustach smak krwi. Niemiec posadził ją z powrotem.

Tymczasem tajniacy wywracali mieszkanie do góry nogami. Na podłodze poniewierały się ubrania, bielizna, książki.

— Nazwisko, imię, siatka... Dla kogo pracujecie? Kto do was przychodził? Mamy mnóstwo czasu, *mon petit coeur*... naprawdę mnóstwo czasu — mówił oficer, przysuwając twarz do twarzy Rity.

Rita milczała, patrząc mu hardo w oczy.

Niemiec podniósł z podłogi papierosa, który wypadł Ricie z ust. Przypalił go, zaciągnął się, rozgrzewając końcówkę do czerwoności, i przyłożył papierosa do jej policzka. Rozszedł się swąd spalonej skóry.

Rita zamknęła oczy, szlochając z bólu.

W tej samej chwili Magnus Gustavsson wysiadł z tramwaju na skrzyżowaniu rue de Bollandistes i rue de Atrebatos i ruszył w stronę domu Guriewicza.



Oficer Abwehry, który pobił Ritę, nazywał się Kurt Wintz. Miał opinię człowieka, który z każdego potrafi wydobyć zeznania. Jednak tym razem nie o zeznania Rity mu chodziło. Chciał zmiękczyć Guriewicza.

Wiktor był dobrze wyszkolony, wiedział, jak się zachowywać, gdy zostanie aresztowany. Znał sposoby, do jakich uciekali się oprawcy. Kiedyś na jego oczach enkawudziści zamęczyli jego siostrę. Nic z niego nie wydusili. Teraz być może będzie świadkiem śmierci kochanki.

— Nic wam nie powiem, faszystowskie bydlaki! — syknął.

— Myli się pan, wkrótce zacznie pan śpiewać — odpowiedział spokojnie porucznik Wintz.

Ludzie z Abwehry nie mieli zamiaru spędzać całej nocy w mieszkaniu Guriewicza. Miano go przewieźć do więzienia, a w jego mieszkaniu urządzić zasadzkę.

Wintz miał już wyjść, żeby jak najszybciej złożyć raport majorowi Bóhmowi, kiedy rozległ się dzwonek do drzwi. Ktoś

dzwonił w umówiony sposób: dwa krótkie dzwonki i jeden długi.

— Czekasz na kogoś? — spytał Guriewicza. Wiktor nie ruszył się z miejsca.

— Idź i otwórz drzwi. — Wintz wyciągnął z kabury pistolet. Wiktor siedział nieruchomo.

— W porządku. Ona to zrobi — odparł Niemiec, odwracając się w stronę Rity.

W tej sekundzie Guriewicz zerwał się, żeby podbiec do drzwi i ostrzec czekającego za nimi człowieka. Jednak tajniak był szybszy. Uderzył Guriewicza kolbą w potylicę, pozbawiając go przytomności. Wintz dał znak swoim ludziom, żeby podprowadzili do drzwi Ritę. Nie próbowała się opierać. Czuła na karku lufę pistoletu.

— Kto tam? — zapytała, starając się nadać głosowi naturalne brzmienie.

— Magnus Gustavsson, przyszedłem po pieniądze — odpowiedział głos za drzwiami.

Jakie pieniądze?, myślała gorączkowo Rita. Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Niemiec dźgnął ją lufą w plecy. Zrezygnowana, otworzyła drzwi i krzyknęła:

— Uciekaj!

Niemiec uderzył ją w plecy, aż zatoczyła się na ścianę, ale nieznajomy nie miał najmniejszego zamiaru uciekać. Trepper wiedział, że ucieczka będzie dowodem na to, iż ma coś na sumieniu. Tylko żelazne nerwy i inteligencja mogą uratować go z opresji. Wszedł do mieszkania z podniesionymi do góry rękami.

— Kim pan jest? — zadał pytanie porucznik Wintz.

— Nazywam się Magnus Gustavsson. Jestem Szwedem — oznajmił po niemiecku. — Przyszedłem po pieniądze. W tym lokalu rok temu była siedziba firmy Alfreda Corbina. Zjawiłem się...

— Dokumenty! — przerwał mu Niemiec.

— Proszę bardzo...

Jeden z żołnierzy najpierw go obszukał.

— Wyciągaj dokumenty powoli — rozkazał Wintz. Pozostali wycelowali w Treppera broń. Spokojnie wyjął z kieszeni płaszcz paszport.

— To jakieś nieporozumienie — powiedział, wręczając dokument porucznikowi. — Mam wizę pobytową na Niemcy i państwa okupowane wydaną przez Główny Urząd Bezpieczeństwa Rzeszy.

Wiza zrobiła odpowiednie wrażenie. Posiadacz takiej wizy był nietykalny.

— Czy wszystko się zgadza? — zapytał pewnym głosem Trepper. — To nieporozumienie. Jestem handlowcem.

Zauważył klęczącą pod ścianą Ritę. Biedna kobieta, pomyślał, nie ma dla niej ratunku. Nie widział natomiast Guriewicza, który leżał nieprzytomny w pokoju.

— Do kogo pan przyszedł? — dopytywał się Wintz.

— Mówiłem już panu, że jeszcze rok temu w tym mieszkaniu miała siedzibę firma Alfred Corbin GmbH. Są mi winni pieniądze. Corbin sprowadzał za moim pośrednictwem drewno ze Szwecji.

Zagrał *va banque*. Alfred Corbin rzeczywiście miał tutaj swoją firmę. Mówiąc o nim, denuncjował go, ale chronił własną skórę.

— Niech pan zapyta dozorcę, czy była tutaj taka firma. On na pewno to wie. — Popatrzył na staruszka skulonego w kącie.

Dozorca skinął głową.

— Paszport wygląda na autentyczny — stwierdził Wintz, oddając go Trepperowi — ale zatrzymamy pana do wyjaśnienia. Skontaktujemy się ze szwedzką ambasadą w Berlinie jeszcze tej nocy.

— Proszę pana — powiedział Trepper, najspokojniej jak mógł, choć tego właśnie obawiał się najbardziej — proszę zatelefonować pod brukselski numer sześćset dziewięćdziesiąt pięć-dwieście dwadzieścia trzy. Pański człowiek wyjaśni panu, że nie ma potrzeby mnie zatrzymywać.

Wintz skinął na tajniaka, żeby zadzwonił pod ten numer. Wiedział, że to prywatny numer... majora Böhma.



Major Böhm nie położył się tej nocy spać. Czekał na wiadomości od Wintza.

Słuchał *Czarodziejskiego fletu*. Stary gramofon trochę się zacinał, co niezmiernie irytowało Böhma. Uważał, że słuchanie Mozarta na takim sprzęcie to profanacja.

— Ty stary gracie... wyrzucę cię przy najbliższej okazji — mruczał pod nosem. Właśnie zaczynała swą arię Królowa Nocy, gdy zadzwonił telefon. Böhm zerwał się z fotela. Kolejna profanacja.

— Kurwa... posłuchać w spokoju nie dadzą — warknął.

Zastanawiał się, kto może dzwonić o tej porze. Wintz. Zatrzymali człowieka ze szwedzkim paszportem wystawionym na nazwisko Gustavsson.

— Wintz, ty cholerny głupcze, oczywiście, że ma pan zaraz zwolnić tego Szweda, słyszy pan?!

— Ale, panie majorze...

— Zwolnić go natychmiast i przygotować raport na rano! — wrzasnął Böhm i rzucił słuchawkę.

W pokoju znowu królował Mozart.



## ROZDZIAŁ 24

### Pojednanie

Louise po dwóch dniach wróciła do pracy i natychmiast zatelefonowała do Leroi, ponieważ chójła oddać mu akta Treppera. Telefon w jego biurze nie odpowiadał. Spróbowała na komórkę. Nie odbierał. Zaintrygowana, zatelefonowała do jego sekretariatu. Telefon odebrała zapłakana sekretarka.

— Pani wicedyrektor — wychlipała — mam... straszną wiadomość... Pan dyrektor zmarł nad ranem w szpitalu Świętego Jakuba.

— Michel nie żyje?! Co się stało?

— Niestety, wiemy bardzo niewiele. Zmarł nagle, podobno strasznie cierpiał... Chyba go zamordowano... otruto...

Louise odłożyła słuchawkę. Spojrzała na teczkę. Nie mogła oprzeć się wrażeniu, że jego śmierć jest w jakiś sposób z tą teczką powiązana. Trzeba powiadomić Festigera. Zabrała akta i wybiegła z biura, rzucając zdziwionej sekretarce, że bierze jeszcze jeden dzień urlopu.



Kilkanaście minut po wyjściu Louise do jej biura wszedł wysoki mężczyzna ze szramą na policzku. Przedstawił się jako pracownik Ministerstwa Obrony zajmujący się digitalizacją

danych. Zapytał uprzejmie, czy jest pani wicedyrektor i poprosił o spotkanie z nią. Sekretarka powiedziała, że pani Louise Marchand właśnie wyszła.

— Sprawa, z jaką przyszedłem, jest bardzo pilna — zaznaczył. — Czy mogę dostać jej adres?

— Proszę bardzo. — Sekretarka zapisała na kartce adres Louise i podała ją z uśmiechem mężczyźnie.



Festiger wpatrywał się w twarz Sylvie Ivory i po raz kolejny próbował znaleźć w tym, co mówiła, ślad wahania lub jakąś nieścisłość. Spotkali się po raz drugi, ale i tym razem Sylvie Ivory zachowywała się z rezerwą. Ukrywała coś, choć wydawało się, że odpowiada szczerze na pytania Festigera, patrząc mu spokojnie w oczy.

— Czy nie czuła pani do tego człowieka nienawiści?

— A jakie to ma znaczenie po pół wieku? — odpowiedziała, wzruszając ramionami.

Opowieść pani Ivory wywarła na komisarzu duże wrażenie. Zaczynał rozumieć, że zamordowany był jednym z najniebezpieczniejszych szpiegów działających w czasie ostatniej wojny światowej. Z uwagą słuchał o zamordowaniu radzieckiego tajniaka w paryskiej restauracji oraz o ucieczce Treppera do Brukseli, a także o działalności założonej przez niego komunistycznej siatki szpiegowskiej, która przeszła do historii jako „Czerwona Orkiestra”. Szukał w tych opowieściach jakiegoś punktu zaczepienia, choćby małej poszlaki, która mogłaby otworzyć przed nim nowe możliwości poprowadzenia sprawy.

Zauważył na przegubie prawej ręki Sylvie wytatuowany numer. Spojrzał na nią pytająco.

— Byłam więźniem obozu koncentracyjnego dla kobiet w Auschwitz-Birkenau — a potem w Ravensbrück — wyjaśniła. — W kwietniu jeden z podobozów w Austrii, gdzie zostałam po jakimś czasie przeniesiona, wyzwolili Ameryka-

nie. — Westchnęła ciężko i podjęła, mówiąc cicho, jakby każde słowo sprawiało jej ból. — Wyglądałam jak szkielet. Właściwie nie czułam się człowiekiem. Myślałam tylko o jedzeniu... Umieszczono mnie w szpitalu polowym. No i tam poznałam mojego męża, Jamesa Ivory'ego. Był porucznikiem. Wpadał do mnie wieczorami, rzekomo szlifować francuski. — Pani Ivory uśmiechnęła się lekko.

Komisarz siedział przed dłuższą chwilę w milczeniu. Wreszcie pożegnał się, czując wyrzuty sumienia, że za jego sprawą powróciła bolesna przeszłość.

Wychodząc, włączył komórkę. Na wyświetlaczu pojawił się numer Louise. Dzwoniła dwa razy. Odsłuchiwał pocztę głosową. Louise chciała jak najszybciej się z nim zobaczyć. Powiedziała, że przyjedzie do niego koło piątej.



Louise chciała pokazać Festigerowi akta Treppera i porozmawiać o śmierci Leroi. Ale przede wszystkim chciała mu przekazać dziennik Juveta.

Zaparkowała samochód przed swoją kamienicą. Od rana nad Paryżem wisały ołowiane chmury, ale Louise, niepoprawna optymistka, wierzyła, że deszcz ominie miasto, rano nie zabrała więc parasolki. Kiedy na szybie auta pojawiły się pierwsze krople deszczu, postanowiła po nią wrócić i zabrać także jakąś palstikową torbę, żeby akta i dzienniki nie zmokły.

Nakryła głowę płaszczem i pobiegła w stronę domu. Wbiegając na pierwsze piętro, nie zauważyła, że w prześwicie między stopniami schodów rysuje się sylwetka mężczyzny.

Hermann przydeptał niedopałek papierosa i ruszył na górę.



Louise została znaleziona w drzwiach swojego mieszkania przez sąsiadkę, która natychmiast zawiadomiła policję i pogo-

towie. Drogówka zjawiała się błyskawicznie, ale pierwszym policjantem z wydziału zabójstw, który znalazł się na miejscu, był Al-Douri. Usłyszał wezwanie przez radio.

Z bijącym sercem wszedł po schodach. Na klatce schodowej kręciło się mnóstwo ludzi — policjanci, sanitariusze, ciekawscy sąsiedzi. Czekano na ekipę kryminalistyczną i patologa.

Al-Douri zamknął oczy. Nie chciał tego widzieć. To było ponad jego siły. Pomyślał o Yves'ie. Jak on to przyjmie?

Policjanci poznali go.

— Dzwoniłeś do Yves'a? — zapytał jeden z nich.

— Nie. I mam nadzieję, że nikt z was tego nie zrobił. Po schodach wbiegł przejęty Busé, a za nim stażystka.

— Cierpiała? — zapytał Al-Douri, kiedy lekarz pobieżnie obejrzał ciało.

— Raczej nie. Pocisk roztrzaskał potylicę, więc nie sędzę, żeby Louise zdążyła cokolwiek poczuć.

Al-Douri próbował zebrać myśli. Jak powiedzieć o tym Yves'owi?

— Joseph, wiesz, o co tu chodzi? — spytał Busé. — To robota zawodowca. Chłopcy przepytali sąsiadów. Nikt niczego nie widział ani nie słyszał.

— Nie wiem... Naprawdę nie wiem, co to wszystko znaczy...

★

Al-Douri nie miał odwagi sam pojechać do Festigera. Poprosił Agnès Duby, żeby mu towarzyszyła. Yves na ich widok uniósł pytająco brwi, ale zaraz wykrzyknął, zadowolony, że ma gości:

— Cześć! A co was sprowadza? Czekam na Louise. Znalazła coś na temat Leopolda Treppera. Wchodźcie... — Uśmiechnął się i machnął zachęcająco ręką, ale na widok ich pełnych napięcia twarzy spoważniał nagle i zaczął im się uważnie przyglądać. — Coś się stało? — zapytał cicho.

Al-Douri nie wytrzymał. Oparł się o ścianę i zaczął płakać. Agnès stała nieruchomo, nie mogąc wykszusić słowa.

— Louise nie żyje. Została zamordowana — powiedziała po dłuższej chwili.

Festiger zbladł śmiertelnie i ukrył twarz w dłoniach, kołysząc się w przód i w tył.

— Chcę być sam — wyszeptał.



Po przeszukaniu mieszkania Louise i jej samochodu policjanci oddali Al-Douriemu teczkę z archiwum MSW oraz trzy pożółkłe zeszyty z jakimiś zapiskami. Nie wyglądały na pamiętniki Louise. Przejrzano billing jej komórki i stwierdzono, że w ostatnich dniach dzwoniła między innymi do ojca Yves'a. To zdziwiło Al-Douriego tak bardzo, że postanowił przed rozmową z Yves'em spotkać się ze starym Festigerem. Śmierć synowej wywarła na nim ogromne wrażenie. Przejęty opowiedział o spotkaniu z Louise, a także o teźce Treppera, którą znaleziono w jej samochodzie. Al-Douri pokazał mu zeszyty, a Jacques niechętnie przyznał, do kogo należały.

Kiedy po kilku dniach Algierczyk przyszedł do Festigera, ten jadł właśnie obiad. A raczej próbował jeść. Wpatrywał się apatycznie w talerz, rozgrzebując widelcem makaron.

Al-Douri usiadł naprzeciwko niego. Yves wyglądał jak upiór.

— Jak się czujesz? — zapytał.

— Nie mogę się rozplakać — wyznał bezradnie Yves. — Jestem kompletnie oziębiały, a przecież nie biorę żadnych prochów.

— Potrzebujesz odpoczynku — stwierdził Al-Douri. — W takim stanie nie możesz prowadzić śledztwa.

— Wiem, ale muszę złapać ludzi, którzy zabili Louise! Inaczej oszaleję. Pomóż mi.

— Wiemy już na pewno, że zabójstwo Louise jest powiązane z zabójstwem Treppera. W dniu, w którym zginęła, pytał o nią mężczyzna z blizną... Był w jej biurze.

— Hermann Krabbe — wyszeptał Festiger. — Wciąż go nie namierzyliście?

— To nie takie proste. Był w Legii Cudzoziemskiej. Tam uczą, jak się dobrze ukrywać. Myślę, że Louise dowiedziała się czegoś istotnego i dlatego zginęła. Wiesz, co to mogło być?

— W zeszłym tygodniu wpadłem do niej do pracy. Prosiłem, żeby sprawdziła, czy w archiwum ministerstwa jest coś na temat Treppera.

— I sprawdziła tak skutecznie, że kosztowało ją to życie — westchnął Al-Douri. — To chyba o tę teczkę chodziło — dodał, kładąc na stole akta Treppera. — Była w samochodzie. Wydaje mi się, że Louise zamierzała dokądś pojechać i wpadła do domu tylko na chwilę. Kiedy ją znaleziono, miała na sobie płaszcz i pantofle, obok leżała torebka. Mordercy chodziło o teczkę, nie znalazł jej, a samochodu nie mógł przeszukać, bo stał przy ruchliwej ulicy.

— Nigdy sobie tego nie daruję. Umarła przeze mnie — wyszeptał komisarz. — Co jest w tej teczce?

— Zaraz się dowiesz. Ale najpierw muszę ci powiedzieć, że możemy powiązać z tą sprawą jeszcze jednego trupa. Siedemnastego czerwca zginął Michel Leroi, dyrektor archiwum MSW. Dowiedziałem się o tym przypadkiem w sobotę, kiedy zabezpieczaliśmy dokumenty i komputer Louise. Leroi był u niej dzień po twojej wizycie. Podobno miał ze sobą jakąś teczkę. Tak powiedziała sekretarka.

— Co się stało z tym Leroi? Tylko mi nie mów, że zginął od teflonowej kuli.

— Nie. Został otruty. Lekarze nigdy czegoś takiego nie widzieli.

— Cyjanek?

— Nie wiadomo, co to było. Jakiś piekielnie trujący środek. Lekarze powiedzieli nam, że objawy przypominały oparzenie chlorem, ale toksykolog przypuszcza, że mogły to być dioksyny.

— Kurwa, a skąd one się wzięły? — zaklął Festiger.

— Nie wiemy. Lekarze nie potrafią powiedzieć, jak doszło do zatrucia. Może dostał to w jedzeniu. W dniu, w którym zmarł, był umówiony w Filtonie z jakimś Niemcem. Tak zapisał

w swoim notesie. Przesłuchaliśmy pracowników hotelowej restauracji. Zeznali, że widzieli Leroi jedzącego kolację w towarzystwie mężczyzny z blizną na twarzy. Rozesłaliśmy zdjęcia Krabbego do wszystkich komisariatów żandarmerii i policji w całej Francji. Jestem pewny, że w końcu ten skurwiol wpadnie w nasze ręce. Zostawiam ci akta. Przeczytaj je uważnie, może przyjdzie ci coś do głowy.



Tego dnia nad Paryżem wisały ołowiane chmury, ale cmentarz Père-Lachaise był w deszczu jeszcze piękniejszy. Lało. Louise była ateistką, więc świecka ceremonia pogrzebowa odbywała się w sali krematorium. Jej prochy złożono w rodzinnym grobowcu rodziny matki.

Komisarz miał wrażenie, że wszystkie oczy patrzą tylko na niego. Z wyrzutem. Wiedział, że nie był lubiany przez rodzinę i przyjaciół Louise. Uważali go za prostaka. Nie był z ich sfery.

Na pogrzeb przyszło sporo policjantów z komisariatu Fes-tigera, ale Yves udawał, że ich nie widzi. Dobrze pamiętał docinki i sprośne żarty, jakie rzucali pod jego adresem, gdy zaczął spotykać się z Louise.

Trumna była droga, kapiąca od złota, jakby rodzicom Louise zależało na zrobieniu odpowiedniego wrażenia.

Jacques Festiger przyjechał na pogrzeb synowej w galowym mundurze. Podeszedł do syna, i kiedy trumna z ciałem Louise zniknęła za zasuwanyimi drzwiami pieca, mocno uścisnął jego rękę. Yves wreszcie zapłakał.

Stracił Louise, ale odzyskał ojca.



Sędzia Fauchaux uważał się za człowieka niepodatnego na żadne naciski. Był też przekonany o swojej nieomyślności i bezstronności. Mimo to ucieszył się, że znalazł powód, by odsunąć

Festigera od sprawy. Tym bardziej że taką decyzję sugerował mu sam przewodniczący Delacroix. Oczywiście bez naciskania. Zaznaczył tylko, że ojciec Louise nie życzy sobie, aby śledztwo w sprawie zamordowania jego córki prowadził ktoś tak niezrównoważony i nieokrzesany jak Festiger.

Tak więc Fauchaux nie mógł pozostać głuchy na sugestie starego Delacroix. Ten człowiek pociągał w partii socjalistycznej za wszystkie sznurki. Bez jego poparcia nikt nie mógł marzyć o kandydowaniu do parlamentu. A Fauchaux miał ambicje polityczne.

Cóż wobec tych ambicji znaczyła kariera jednego policjanta?



## ROZDZIAŁ 25

### Koniec marzeń

Sylvie polubiła Brukselę. Czowała się tu bezpieczna. Przez te kilka miesięcy mogła żyć u boku mężczyzny, którego kochała, miała pracę. Była więc zrozpaczona, gdy tego wieczoru Jean, który był wyjątkowo wzburzony, oznajmił:

— Musimy natychmiast wyjechać z Brukseli. Ja już się spakowałem.

— Nigdzie nie jadę.

— Pakuj się, wyjeżdżamy! Bez dyskusji!

— A ja ci mówię, że nigdzie nie pojedę, dopóki mi nie powiesz, dlaczego mamy wyjechać. Przecież nam tu dobrze! — Sylvie podniosła głos.

— Nie mam zamiaru niczego ci mówić, to nie są twoje sprawy.

— Jesteś wstrętny! To, że ze mną sypiasz, nie oznacza, że możesz mnie tak traktować!

— Pakuj się! — warknął Jean.

Wyciągnął spod łóżka dwie walizy, otworzył szafę z ubraniami Sylvie i zaczął je wrzucać do jednej z nich.

— Co się stało? Możesz mi powiedzieć? — nalegała dziewczyna. — Chyba zasłużyłam na odrobinę szczerości po tym, co razem przeszliśmy i po tym, co widziałam rok temu w Paryżu?!

— Pakuj się!

— Kogo tym razem zabiłeś, bydlaku?!

Odwrócił się w jej stronę. Jego oczy były zimne jak lód.

— Kochanie — powiedział zimno — nie pamiętam, ilu ludzi zabiłem. Nie zmuszaj mnie, żebym... — Podszedł do Sylvie, a ona cofnęła się pod ścianę zbyt przerażona, by coś powiedzieć. — Sylvie, jesteś jedynym jasnym punktem w moim parszywym życiu.

Wrócił do pakowania ubrań.

— Ty łajdaku... — wyszeptała ze łzami w oczach. — Nigdy nie mówiłeś mi prawdy... nigdy...

— Sylvie, czego ty ode mnie chcesz?

— Chcę, żebyś mi powiedział prawdę. Jean uśmiechnął się dziwnie.

— Nie ma żadnej prawdy. I właśnie to jest moja prawda. Jestem szpiegiem... zabijałem ludzi... zresztą, nazwij to jak chcesz, wszystko mi jedno... Właśnie wpadła nasza radiostacja, a ja muszę wyjść z tej awantury cało. Ty też. Więc nie przeszkadzaj mi, tylko pomóż w pakowaniu.

Podszedł do niej i mocno ją objął, szepcząc:

— Chcę, żebyś pojechała ze mną do Paryża. Wszystko się ułoży. Obiecuję ci.

Wiedziała, że on kłamie, ale wsiadła z nim do pociągu.

★

Z dziennika komisarza Juveta 12 lutego 1942

Nareszcie przełom. Augustine widział dziś Jeana Gilberta. Wrócił do Paryża.

Chłopak usłyszał, jak ten Hiszpan, Huéscar, rozmawiał z człowiekiem podobnym do Gilberta. Augustine znalazł go jedynie ze zdjęć. Moi ludzie sfotografowali Gilberta przed kamienicą, w której mieści się gabinet dentystyczny doktora Maleplate'a. Augustine co tydzień dostarcza do gabinetu

jakieś paczuszki, a odbiera stamtąd inne. Oczywiście nie zadaje żadnych pytań. Jest przecież tylko kierowcą.

Wiem, dlaczego Augustine wykazał tak niezwykłą ochotę do śledzenia Gilberta. Dałem mu do przejrzenia akta sprawy zabójstwa Marie Pregnac. Kiedy przeczytał, że niejaka Sylvie Faveur, lat 22, z zawodu kelnerka, zeznała na policji, iż spędziła noc w towarzystwie Jeana Gilberta w czasie, kiedy zamordowano panią Pregnac, wpadł we wściekłość. Okazało się, że ta Faveur to jego była dziewczyna. Rzuciła go właśnie dla Gilberta! Co za historia! Nawet George Sand, gdyby żyła, nie powstydziliby się takiej miłosnej intrygi. Oczywiście tę Faveur też zgarniemy. Za fałszywe zeznania.



Odkąd zaczęła się niemiecka okupacja, Duclos nie miał łatwego życia, jednak w porównaniu z tym, co działo się po inwazji Niemiec na Związek Radziecki, okres sprzed czerwca 1941 roku można było w sumie uznać za całkiem spokojny. Wtedy francuscy komuniści mogli swobodnie działać. Gestapo się nimi nie interesowało. Od czerwca Duclos musiał sześć razy zmieniać mieszkanie, ale nigdy nie miał pewności, czy za rogiem nie czai się jakiś gestapowski tajniak albo policyjny prowokator. Miał poczucie graniczące z obsesją, że jest obserwowany.

Od początku grudnia praktycznie nie wychodził z domu. Jednym z głównych jego zmartwień były coraz częstsze aresztowania członków partii komunistycznej w Paryżu. W więzieniu Fresnes siedziała już prawie cała redakcja „L'Humanité”.

Tego zimowego popołudnia czekał na Pierre'a Georges'a, którego obowiązki zatrzymały w Montpellier. Chciał z nim porozmawiać, ponieważ przyznawał przed samym sobą, że nie panuje już nad sytuacją, a partii grozi rozbitcie. Zastanawiał się, czy w szeregach towarzyszy nie wkradł się zdrajca. Jeśli tak, to musiał być wyjątkowo sprytnym i bezwzględny człowiekiem.

Z drugiej strony aresztowano też zwolenników de Gaulle'a, bo przecież nie tylko komuniści walczyli z okupantem. W gruncie rzeczy byli marginesem Résistance. Sam Duclos musiał to przyznać.

Georges przyszedł z obstawą, którą stanowili chłopcy z bojówki. Kazał im czekać przed bramą i w razie zagrożenia dać sygnał. Był ubrany w podniszczoną kurtkę i wytarte spodnie. Wyglądał jak zwykły robotnik.

— Witaj, Pierre. Wejdz. Zjesz coś?

— Tak, chętnie coś przekaszę. Jak sytuacja? — zapytał Georges bez zbędnych wstępów, siadając przy stole.

— Nie najlepiej. Wspominałem ci, jaki mamy problem...

— Taak... zdrada. Ile osób aresztowano do tej pory?

— Około pięćdziesięciu — odpowiedział Duclos, stawiając przed gościem talerz z serami, kieliszek i butelkę wina.

— Dogadzasz sobie, Jacques — mruknął Pierre.

— Marks nie zabraniał dobrego jedzenia — odciął się Duclos.

— Na prowincji ludzie głodują. Niemcy rekwirują wszystko, co nadaje się do jedzenia, i wysyłają na front wschodni.

— Wsadzili całą redakcję „L'Humanité”. — Duclos bardzo chciał zmienić temat.

— To poważna sprawa — stwierdził Georges.

— Niestety tak, *mon Dieu* — westchnął Duclos.

— Od kiedy jesteś wierzący?

— Przestań się mnie czepiać!

— Jakiś ty nerwowy. — Georges dolał sobie wina. — Co ustalono w trakcie śledztwa? Jest zdrajca?

— Żartujesz sobie? Nie było żadnego śledztwa! Jak mogę oskarżyć towarzyszy partyjnych o zdradę! Mam robić jakieś czystki? Jak w Moskwie? Mam zmuszać ludzi, żeby donosili jedni na drugich? — Duclos aż trząsał się z oburzenia.

Pierre zrozumiał to po swojemu: stary bał się, że straci stołek.

— A więc to ja mam odwalić brudną robotę — skwitował tylko.

— Przykro mi, Pierre, nie możemy narazić partii na wewnętrzny kryzys.

Co za wyrachowany sukinsyn, pomyślał Pierre.

— Masz dyskretnie odnaleźć zdrajcę i go zlikwidować.

— A jeśli ten człowiek był torturowany? Jeśli go złamano?

— A co to nas obchodzi? Zdrajca to zdrajca.

★

— Chłopcy, jest robota — powiedział Pierre Georges do czekających przed bramą towarzyszy. — Mamy znaleźć i zlikwidować zdrajcę. Co ty na to, Augustine?

— Znajdziemy i zlikwidujemy — mruknął Augustine, patrząc gdzieś w bok.

★

Sylvie znów zamieszkała u babki. Jean powiedział jej, że ze względów bezpieczeństwa nie będą mogli mieszkać razem, tak jak w Brukseli, ale obiecał jej, że latem pojedą na wakacje na Riwierę. O pieniądze ani o pracę nie musiała się martwić, Gilbert dał jej okazałą sumę i obiecał, że jeśli tylko będzie potrzebowała, da jej jeszcze więcej. Dziwiła się, że tak ją omotał. Nie wierzyła w ani jedno jego słowo, nie ufała mu, a mimo to nie potrafiła od niego odejść.

Był marcowy wieczór. Wracała z kina. Sama. Jean wymówił się bólem zęba. Na pocieszenie przysłał jej miły bilecik i bukiet róż. Powietrze pachniało wiosną, zdjęła kapelusz i pozwoliła, żeby wiatr rozwiewał jej włosy.

Przystanąwszy przed witryną sklepu z sukienkami, dostrzegła kątem oka, że ktoś, kto szedł za nią, również się zatrzymał. Zanim ukrył się w bramie, zdążyła zauważyć, że to postawny młody mężczyzna w wytartym płaszczu i pomiętym kapeluszu. Ktoś mnie śledzi?, pomyślała. To niemożliwe. Na wszelki wypadek przyspieszyła kroku.

Kiedy stanęła wreszcie przed drzwiami klatki schodowej i otworzyła torebkę, by poszukać klucza, ktoś zakrył jej usta dłonią i zaczął wlec w stronę pobliskiej bramy.

— Nie krzycz, Sylvie... nie krzycz — szeptał mężczyzna drżącym głosem.

Poznała ten głos. Augustine Lafargue! Kiedy przycisnął ją do ściany, napierając na nią całym ciężarem, zobaczyła jego twarz. W niczym nie przypominał radosnego, beztroskiego, miłego chłopaka, z którym się kiedyś spotykała. Był blady, miał spierzchnięte, popękane wargi i spojrzenie szaleńca.

— Nie będziesz krzyczała? — wydyszał.

Pokiwała głową, cofnął rękę, choć nadal mocno trzymał ją za ramiona. Gwałtownie zaczerpnęła powietrza.

— Czego chcesz? — wykrztusiła.

— Kocham cię... Dziewczyna parsknęła śmiechem.

— Uważasz, że to śmieszne, dziwko? — warknął. — Gadaj, w czym ten twój Gilbert jest lepszy ode mnie? — Złapał ją za gardło. Drugą rękę zaczął wsuwać pod jej spódnicę.

— Augustine... Proszę, nie rób mi krzywdy... — błagała.

— Ty parszywa dziwko! Mogliśmy być szczęśliwi... Powiedz mi, dlaczego ten skurwiel jest lepszy ode mnie?!

— Zabieraj te śmierdzące łapy! — wrzasnęła, próbując wyzwolić się z jego uścisku.

— Już niedługo... będziesz mnie błagała, żebym do ciebie wrócił... powiedz temu swojemu Gilbertowi, żeby... — charczał, napierając na nią coraz mocniej.

Nie pozwoliła mu dokończyć. Gdy na moment zwolnił uścisk, żeby rozpiąć rozporek, resztką sił kopnęła go w krocze.

Augustine jęknął i osunął się na kolana. Sylvie rzuciła się w stronę masywnych drzwi kamienicy. Oglądając się niespokojnie na zwijającego się z bólu Augustine'a, znalazła w torebce klucze, otworzyła drzwi i wpadła na klatkę schodową.

Augustine dopiero po dwudziestu minutach powlókł się w stronę przystanku tramwajowego, zataczając się i dygocząc z wściekłości.



W marcu wezwano majora Böhma do Berlina. Nie lubił tego miasta. Drażniła go pycha i poczucie wyższości jego mieszkańców. Pochodził z Wrocławia i jako *breslauer* nie znosił Prusaków.

Z lotniska Tempelhoff pojechał służbowym samochodem do siedziby Abwehry, gdzie czekał na niego admirał Canaris.

— Cieszę się, że tak szybko pan przyjechał — przywitał go. — Proszę za mną.

Wsiedli do windy i zjechali do podziemi. Szli w milczeniu. Ciszę zakłócał tylko miarowy stukot ich oficerskich butów. W końcu Canaris zatrzymał się przed pancernymi drzwiami i dwa razy nacisnął dzwonek znajdujący się po prawej stronie. Po chwili drzwi drgnęły i zaczęły się otwierać. Weszli do pomieszczenia, którego ściany wyłożono tłumiącym dźwięki korkiem. Major zastanawiał się, skąd taka ostrożność.

Pośrodku stał stół, przy którym siedzieli oficerowie w mundurach Wehrmachtu. Byli to: pułkownik Franz Oster z kontrwywiadu, młody antynazista porucznik Hans von Dohnayi oraz pułkownik Gahlen, jedyny, którego major Böhm znał. Musiało się stać coś poważnego, pomyślał.

— Panowie — zaczął Canaris, gdy usiedli — wezwałem was, aby wam zakomunikować, że wczoraj wieczorem Hitler zdecydował, iż Abwehra ma być odsunięta od śledztwa w sprawie „Czerwonej Orkiestry”. Teraz zajmie się tym SD, a to oznacza, że rzeźnicy z gestapo będą szukali szefa tej siatki, który odgrywał pewną rolę w naszych planach. Myślę, panowie, że ktoś z otoczenia Hitlera będzie próbował nawiązać kontakt z Rosjanami, a w jakim celu, możemy się jedynie domyślać.

Admirał powiódł wzrokiem po twarzach oficerów. Milczeli.

— Böhm, co pan na to? To pańscy ludzie aresztowali radiooperatora tej siatki.

Major odchrząknął, po czym odpowiedział:

— Myślę, że tego należało się spodziewać. Człowiek, który stoi na czele „Czerwonej Orkiestry”, znajduje się pod naszą obserwacją od kilku lat. Być może Bormann, a może nawet sam Himmler, będą próbowali wykorzystać sprawę „Czerwonej Orkiestry” do własnych celów. Chciałbym zwrócić panów uwagę, że w bezpośrednim otoczeniu Bormanna mamy agenta, który współpracował ze mną podczas wojny domowej w Hiszpanii. Myślę, że dzięki niemu będziemy mogli się dowiedzieć, do jakich celów zostanie wykorzystana sprawa „Czerwonej Orkiestry”.

— Zgaduję, że szef tej siatki to Kameleon? — zapytał siedzący po lewej stronie majora pułkownik o siwych włosach.

— Tak, to on.

— Szkoda, przecież moglibyśmy wykorzystać tego człowieka do naszych celów — dodał oficer.

— Mam pewien pomysł, ale zanim go panom przedstawię, chciałbym wiedzieć, majorze, jak bliscy byliście złapania Kameleona? — zapytał Canaris.

— Bardzo blisko. Od jakiegoś czasu nawiązywałem z nim kontakt przez naszego człowieka w Paryżu.

Böhm nie wspomniał jednak o tym, iż przyczynił się do tego, że Kameleon uciekł z zasadzki w mieszkaniu Guriewicza. Tak naprawdę zastosował się do polecenia Canarisa, któremu bardzo zależało, by Kameleon był na wolności. Major jednak nie do końca rozumiał grę, jaką prowadzi admirał. Podejrzewał jedynie, że Canaris pracuje dla Anglików. A Kameleon mógł im się przydać po wygranej wojnie. Jego wiedza o pracy NKWD była bezcenna.

Przez pokój przebiegł szmer zdumienia.

— Utrzymywaliście kontakt z wrogiem? — oburzył się pułkownik w okularach.



— Z wrogiem? — prychnął Canaris. — Pułkowniku Oster, proszę nam powiedzieć, kto tak naprawdę jest wrogiem? W styczniu tego roku w Wansee odbyło się spotkanie, na którym oprócz Himmlera byli tacy ludzie z RSHA jak Eichmann, szef SD Heidrich i kilku innych wyższych oficerów SS. Ustalili, że należy rozpocząć likwidację Żydów. Na początek w Polsce, potem w innych krajach. Mord na Żydach ściąga na nas hańbę.

— Skąd pan to wie, admirale? — zapytał Gahlen.

— W Głównym Urzędzie Bezpieczeństwa Rzeszy pracuje druga nasza wtyczka, jest sekretarką. Widziała protokoły ze spotkania w Wansee — odpowiedział admirał. — Wszyscy wiemy, że skoro Amerykanie przystąpili do wojny, to ją przegramy. Obmyśliłem pewien plan i chciałbym panom o nim opowiedzieć. I nie ma w nim miejsca dla Hitlera — zaznaczył.

Narada trwała jeszcze długo. Było to pierwsze spotkanie, na którym ta garstka rozsądnych Niemców odważyła się powiedzieć prawdę. Ci czterej oficerowie chcieli, żeby Niemcy znów były demokratyczne, chrześcijańskie i po prostu normalne.

Tylko pułkownik Gahlen przeżył wojnę i od roku 1968 kierował wywiadem RFN.

## ROZDZIAŁ 26

### Wpadka

Wiadomość o aresztowaniu Guriewicza, choć z opóźnieniem, dotarła do Francji. Huescar nalegał na spotkanie. Nie rozumiał obsesji Treppera, że są obserwowani. Trepper przyszedł do małej kafejki przebrany za Ulyssesa. Przyniósł egzemplarz „Le Temps” — tuby reżimu w Vichy, z artykułem głoszącym triumfalnie, że „III Rzesza znów wbiła gwóźdź w trumnę światowego komunizmu”. Chodziło oczywiście o wykrycie brukselskiej radiostacji.

— Czy ty, szefie, naprawdę wierzysz w te faszystowskie brednie? — pytał Pablo.

— To nie jest sprawa wiary, Pablito, ale faktów. A z faktami trudno dyskutować. Byłem tam wtedy.

Opowiedział Pablowi o aresztowaniu Guriewicza.

— Chciałbym, żebyś ukrył się na jakiś czas, dopóki wszystko nie ucichnie — zakończył.

— Dlaczego? Ta twoja obsesja...

— To nie obsesja. Jestem śledzony. A skoro ja jestem śledzony, to ty prawdopodobnie również. Poza tym Abwehra, rozbijając naszą siatkę w Brukseli, powiąże ją bez wątpienia z Corbinem, Ulysessem de la Cruz albo z Jeanem Gilbertem. To tylko kwestia czasu. Dojdą i do ciebie.

— Nie wierzę, że Guriewicz sypnie — powiedział z przekonaniem Huescar.

— Może i nie, ale widziałem Ritę Arnould... dobrze znam wyraz twarzy załamane go człowieka, Pablo. Nie wytrzyma. Jestem tego pewny. Zmieniłeś szyfr nadawania?

— Oczywiście. Nadajemy z Paryża w zupełnie innej konfiguracji. Tylko raz w tygodniu. Nadaję sam.

— To dobrze. Nalegam, żebyś na jakiś czas zniknął.

— A firma?

— Miesiąc przerwy jej nie zaszkodzi. Dasz pracownikom urlopy.

— Szefie, a może nic się złego nie wydarzy? — przekonywał Pablo. — Tak dobrze nam idzie. Anna Margaret przystała na współpracę z nami. Udało mi się ją przekonać, że walczymy o słuszną sprawę. Ostatnio znalazła w biurku ambasadora Abetza ciekawy dokument od tej świni, marszałka Petaine'a. Napisał, że zgadza się na deportację Żydów z części podległej rządowi w Vichy!

— Nie ekscytuj się.

— Szefie, gdybyśmy wysłali ten dokument do Moskwy, to towarzysze wiedzieliby, jaki zrobić z niego użytek!

Trepper uśmiechnął się ironicznie.

— Wydaje ci się, Pablo. Stalin nic nie robi. Stalina Żydzi nie obchodzą. Przyjmij do wiadomości, że Stalina w ogóle nie obchodzą ludzie.

— Myślałem, że robimy to wszystko dla idei — odrzekł z rezygnacją Pablo.

— Nie, Pablo, ja robiłem to tylko dla siebie — odpowiedział zimno Trepper. — Zapłać za kawę. Kontaktujemy się za tydzień przez skrzynkę na dworcu Montparnasse — rzucił i szybko wyszedł.

W tym czasie po drugiej stronie rue de Fleurs, w warsztacie zegarmistrzowskim położonym dokładnie naprzeciwko kawiarni, poruszyła się firanka. Błysnął flesz.

Przecucia nie zawiodły Treppera: był śledzony przez dwóch

tajniaków. Zrobili mu trzy zdjęcia, które tego samego dnia po południu znalazły się na biurku komisarza Juveta.



Sylvie była przerażona, jednak wahała się, czy powiedzieć Jeanowi o spotkaniu z Augustine'em. Bała się jego reakcji.

Jean znów był dla niej czuły, kupował kwiaty, obiecywał wspaniałe wakacje.

Któregoś kwietniowego dnia, gdy leżeli w łóżku, Jean powiedział, gładząc jej plecy:

— Sylvie, jeśli przez dwa dni się nie pojawię, a nie uprzedzę cię, że wyjeżdżam, masz niezwłocznie jechać do Genewy. Pieniądze i dokumenty dla ciebie zostawiłem w skrytce w Banque de France. Klucz do skrytki oraz hasło jest na komodzie w twoim pokoju. Hasła naucz się na pamięć, a kartkę zniszcz.

— Dlaczego miałbyś się nie zjawić? — Sylvie, przestraszona, uniosła się na łokciu.

Nie odpowiedział.

— Bardzo cię potrzebuję — mruknął i zaczął ją całować. Kiedy wyszedł od Sylvie zauważył, że jedzie za nim wolno

czarna limuzyna. Nie przyspieszył kroku, ale gdy minął skrzyżowanie, obejrzał się za siebie. Limuzyna wciąż tam była, a człowiek za kierownicą zapalił papierosa.

Trepper postanowił się tym nie przejmować. Rozboleł go ząb i to było teraz jego główne zmartwienie.



Antoine Maleplate bardzo się zdziwił, gdy pewnego sierpniowego dnia, o dziewiątej rano, zamiast pacjentów zobaczył w poczekalni tuzin gestapowców z Karlem Gieringiem na czele. Dentysta był tak zaskoczony, że od razu przyznał się, że jest członkiem siatki szpiegowskiej. Odpowiedział na wszystkie

pytania. Wskazał również, gdzie ukrył materiały dla Pabla Hućscara.

Gestapo go oszczędziło, ponieważ komisarz Juvet powiedział wcześniej Gieringowi o roli, jaką Maleplate odgrywał w „Czerwonej Orkiestrze”. Poprosił również, by nie przewożono go do więzienia Fresnes, bo przecież przyznał się do wszystkiego i okazał chęć współpracy. Postanowiono urządzić w gabinecie dentysty kocioł. Maleplate miał nadal przyjmować pacjentów, lecz miejsce pomocnicy zająć miał gestapowiec, będący z wykształcenia technikiem dentystycznym.

Juvet czuł, że grunt zaczyna palić mu się pod nogami. Francuski ruch oporu był coraz aktywniejszy, rosła popularność generała de Gaulle'a. Francuzi zaczęli odwracać się od kolaboranckiego rządu Vichy. Komisarza nie opuszczało przeświadczenie, że przyjdzie mu drogo zapłacić za swoje czyny.



Pierre Georges zadał sobie wiele trudu, żeby odtworzyć ciąg okoliczności, jakie doprowadziły do aresztowania paryskich komunistów. Przesłuchiwał mnóstwo świadków, a kiedy zebrał wszystkie zeznania, zaczął czytać je jeszcze raz i od nowa analizować. Prawda okazała się straszniejsza, niż przypuszczał. Doszedł do wniosku, że zdrajcą może być tylko jeden człowiek.

Jego przyjaciel, Augustine Lafargue.

Początkowo nie mógł w to uwierzyć, ale nagle zdał sobie sprawę, że po zamachu w metrze Augustine zniknął na całe trzy miesiące. Utrzymywał, że uratowała go była dziewczyna, Sylvie Faveur. Pierre nie zamierzał tego sprawdzać. Postanowił dowiedzieć się wszystkiego od samego podejrzanego.

Tego dnia Augustine wcześniej skończył pracę. Gdy wrócił do domu, stwierdził zaskoczony, że drzwi są otwarte, a w kuchni siedzi komisarz Juvet. Przyszedł mu powiedzieć, że opracował plan aresztowania Jeana Gilberta. Było w nim miejsce dla Augustina. Komisarz wiedział, że chłopak nie przepuści takiej

okazji — będzie mógł się zemścić na Gilbercie za to, że ten przyprawił mu rogi. Omawiali szczegóły akcji, gdy ktoś zapukał do drzwi.

— Kto to może być? — zapytał zaniepokojony Juvet. — Spodziewasz się gości?

— Nie — odparł nie mniej zdenerwowany Augustine. Komisarz schował się w łazience i wyjął z kabury pod pachą pistolet.

Augustine podszedł do drzwi i spojrział przez wizjer. Gdy zobaczył Pierre'a, poczuł się nieswojo. Otworzył drzwi po dłuższej chwili, jakby miał nadzieję, że wymyśli pretekst, by ich nie otwierać

— Wejdz, Pierre — powiedział. — Miło mi, że wpadliście, towarzyszu — zażartował.

Słowo „towarzysz” powiedział głośniej, tak by Juvet zorientował się, kto przyszedł.

— Augustine, chciałbym, żebyś mi odpowiedział na kilka pytań — zaczął Georges. — Mam podstawy podejrzewać, że to przez ciebie zostali aresztowani nasi towarzysze. Jesteś zdrajcą!

— Nie rozumiem, o czym mówisz — odpowiedział wolno Augustine, cofając się powoli pod ścianę.

Wiedział, co robi. Schodził ukrytemu w łazience komisarzowi z linii strzału.

— Gdzie ostatnio bywasz, co? — mówił gniewnie Pierre. — Na policji, wiernej tej świni Petainowi, czy lecisz od razu do siedziby gestapo?

— Pierre, ty nic nie rozumiesz... to nie tak...

— Jak mogłeś?! Zdradziłeś ludzi, a przysięgałeś razem z nimi walczyć... Nie wypieraj się, wiem wszystko...

Patrzyli sobie w oczy.

— Partia skazała cię na śmierć — powiedział zimno Georges. Augustine uśmiechnął się jak człowiek, który nie ma nic do stracenia.

— Nie, Pierre, ty nic nie rozumiesz... — zaczął cicho — nie

wiesz, jak oni biją... nie wiesz, co to znaczy leżeć w celi i czekać, aż znów po ciebie przyjdą...

W tej chwili dostrzegł kątem oka, że Juvet zaczyna otwierać drzwi łazienki. Pierre, który wpatrywał się w twarz Augustine'a, wyczuł, że coś się dzieje. Odwrócił się i widząc człowieka z pistoletem, sięgnął do lewej kieszeni po broń. Juvet był jednak szybszy. Rozległy się dwa strzały, jeden po drugim. Pierre miał o ułamek sekundy mniej, żeby odbezpieczyć pistolet i strzelić. Dostał w lewą rękę i w pierś. Siła odrzutu pchnęła go na kuchenne drzwi, po których osunął się na podłogę. Ciężko oddychał, z jego ust płynęła krew. Naraz zacharczał głośno i umarł.

Chwilę później wpadli zaalarmowani strzałami tajniacy, którzy jako ochrona Augustine'a zajmowali sąsiednie mieszkanie. Komisarz nachylił się nad zaszokowanym Augustine'em, który nie mógł złapać tchu.

— O mały włos... Augustinie Lafargue... zapamiętaj, o mały włos... — szepnął.

Zawinęli ciało w koc, dla obciążenia włożyli pod sweter młotek i w nocy wrzucili je do Sekwany. W drodze powrotnej do domu Augustine i komisarz ustalili, że dalszy pobyt chłopaka w Paryżu może być niebezpieczny. Nie wiedzieli, że Pierre nikogo nie powiadomił o swojej wizycie.



Ból zęba nie ustępował. Po południu Trepper pojechał do Sylvie sprawdzić, jak radzi sobie z pakowaniem. Nazajutrz, to jest trzynastego sierpnia, mieli wyjechać do Bretanii. Wprawdzie obiecał jej Riwierę, ale z uwagi na niepewną sytuację polityczną zdecydowali się na małą spokojną wioskę nad morzem. Gdy wrócił do domu, połknął trzy proszki przeciwbólowe i popił je szklanką koniaku. Niestety, ból nie ustępował. Był jak nieznośna mucha brzęcząca w pokoju w upalny dzień. Trepper postanowił, że następnego dnia rano pójdzie do dentysty. Przed

paroma miesiącami był u stomatologa, którego polecił mu Huéscar, a którego nazwiska nie mógł sobie przypomnieć. Wstał z łóżka, podszedł do telefonu i wykrecił numer Pabla.

— Tu szef. Jak nazywa się dentysta, którego mi polecałeś?

— Doktor Antoine Maleplate, rue de Mozart piętnaście. Zadzwoń do niego i umów mnie na rano, powiedzmy na ósmą trzydzieści, bo jeszcze muszę się spakować. Wyjeżdżam jutro z Sylvie do Bretanii.

— Już się robi. Rano przyślę po ciebie samochód. Kierowca dowiezie cię na miejsce i odwiezie do domu.

— Nikt nie powinien wiedzieć, gdzie mieszkam — przypomniał Gilbert. — Ale niech tak będzie, byle tylko przestało boleć.



Następnego dnia samochód dostawczy „Synteksu” przyjechał o ósmej rano pod dom Treppera. Kierowcą okazał się młody człowiek, ciemny blondyn o krótko ostrzyżonych włosach, miły, choć w Trepperze wzbudził niejasny niepokój. Coś mu się w tym chłopaku nie podobało, ale nie potrafił określić co.

Gdy dojeżdżali na miejsce, kierowca popatrzył mu w oczy i zadał dziwne pytanie:

— Proszę pana, ma pan dziewczynę?

-Tak — rzucił Trepper, który właśnie zamierzał wysiąść.

— Jak ma na imię? — indagował chłopak.

— Sylvie — odpowiedział Trepper.

— Niech mi pan powie, jaka ona jest?

O co mu chodzi?, pomyślał Trepper, jednak był zbyt oszołomiony bólem, by się nad tym zastanawiać.

— Jest wspaniała, nie zamieniłbym jej na żadną inną kobietę — odpowiedział. — Kiedy będzie mnie pan odwoził, pogadamy o pańskiej dziewczynie — zażartował i zatrzasnął drzwi.





Trepper był pierwszym pacjentem tego dnia. Nie zauważył w gabinecie ani w poczekalni niczego nadzwyczajnego. Zdziwiło go tylko, że przy biurku w poczekalni, zamiast recepcjonistki, jakiejś ślicznotki w białym fartuchu, tkwi ponury mężczyzna. Trepper usiadł na fotelu i zamknął oczy. Gdy dentysta krzątał się po gabinecie, przygotowując narzędzia, nagle zrozumiał, dlaczego recepcjonista wydał mu się dziwny. Pod niedopiętym fartuchem miał czarny mundur!

Dentysta był nadzwyczaj sprawny. Miał pewną rękę, lecz jednocześnie był delikatny. I mimo że Trepper nie poprosił o znieczulenie, bo nie chciał ani na moment stracić przytomności czy poczuć się oszołomiony, ani się obejrzał, a ząb był wyrwany.

— No i po bólu! — powiedział dentysta dziwnie głośno. Sekundę potem drzwi otworzyły się z hukiem i do gabinetu

wpadło czterech gestapowców z bronią gotową do strzału. Za nimi wszedł człowiek w czarnym mundurze oraz niski mężczyzna w wytartym prochowcu.

— Dzień dobry panu — odezwał się ten w prochowcu. — Edgar Juvet, policja kryminalna. Jest pan aresztowany, panie Gilbert... a może panie de la Cruz?

Trepper popatrzył na dentystę, który zdążył wyszeptać:

— Przepraszam.

Gilbert wypluł krew i tampony, i powiedział:

— W porządku, będę z wami współpracował. Mam słabe zdrowie.

Tak zaczął się najbardziej mroczny rozdział w życiu Leopolda Treppera.

## CZESC IV

## ROZDZIAŁ 27

### Gracz

Sylvie na próżno czekała na kochanka. Gilbert nie przyszedł ani nie zadzwonił. Ogarnęła ją rozpacz. Przez jedną krótką chwilę pomyślała nawet, że może zostawił ją dla innej kobiety, zaraz jednak przypomniała sobie, co jej powiedział: „Jeśli przez dwa dni się nie pojawię, a nie uprzedzę cię, że wyjeżdżam, masz niezwłocznie jechać do Genewy. Pieniądze i dokumenty zostawiłem dla ciebie w skrytce w Banque de France. Klucz do skrytki oraz hasło jest na komodzie w twoim pokoju. Hasła naucz się na pamięć, a kartkę spal”.

Rankiem następnego dnia postanowiła zadzwonić do jego firmy. Odebrał Pablo.

— Dzień dobry, nazywam się Sylvie Faveur, jestem przyjaciółką pana Gilberta. Czy przyszedł dzisiaj do pracy?

— Niestety nie. Wczoraj również go nie było. Miał iść rano do dentysty, a potem przyjść do biura, ale się nie pojawił. Nie mam pojęcia, co się stało.

— Bardzo się martwię. Mieliśmy wczoraj jechać do Bretanii na krótkie wakacje... Jestem pólżywa ze zdenerwowania. On... Jean zawsze mnie uprzedzał, kiedy zmieniał plany...

— Jeśli tylko się czegoś dowiem, natychmiast do pani zadzwonię — powiedział uspokajająco Hućscar. — Proszę zostawić mi swój numer.

Sylvie odłożyła słuchawkę i nagle poczuła paraliżujący strach. Gilbert wielokrotnie wspominał jej, że być może jest na celowniku gestapo i może zostać aresztowany. Nigdy nie traktowała poważnie tych słów, ale teraz nabrała pewności, że stało się najgorsze.

Nie pozostało jej nic innego, jak uciekać do Genewy. Była zrozpaczona. Jej rozpacz była tym większa, że w dniu wyjazdu miała powiedzieć Jeanowi, że spodziewa się dziecka.



— Co się, do diabła, mogło stać? — mruknął Pablo, gdy odłożył słuchawkę.

Postanowił pojechać do gabinetu doktora Maleplate'a. Zastał zamknięte drzwi. Zapukał do mieszkania obok.

— Przepraszam, czy doktor Maleplate dziś nie przyjmuje? — zapytał, gdy drzwi otworzył szpakowaty elegancki pan w średnim wieku.

— To pan nie wie? Wczoraj rano doktora aresztowało gestapo. Widziałem też, jak zabierali jakiegoś pacjenta. Gestapowcy siedzieli w gabinecie doktora przez cały dzień i zamykali każdego, kto przyszedł. To straszne...

Huéscar poczuł, że uginają się pod nim nogi. Musiał oprzeć się o ścianę.

— Źle się pan czuje? — zapytał zaniepokojony mężczyzna.

— Nie, nie... — wyszeptał Pablo. — Z doktora był taki porządny człowiek, taki porządny... — mamrotał, idąc w stronę schodów.

Długo błąkał się bez celu, nie wiedząc, co robić. Jak gestapo się dowiedziało, że Maleplate działa w siatce? A może śledzili też jego i Annę Margaret? A może ją też aresztowali? Nie, raczej nie. Zamknięcie pracownicy ambasady byłoby strasznym skandalem... Postanowił, że tę noc spędzi w mieszkaniu Ulyssesa de la Cruz. Otworzy drzwi wytrychem. Gdy sytuacja trochę się uspokoi, zabierze część firmowych pieniędzy i ucieknie za granicę.

Huéscar nie opuszczał mieszkania Ulyssesa przez dwa tygodnie. W nocy z drugiego na trzeciego września ludzie Gieringa wyważyli drzwi. Wyrwany ze snu Pablo nie stawiał oporu. Jadąc do więzienia Fresnes, wyrzucał sobie, że nie wyjechał z Paryża natychmiast po zatrzymaniu

szefa. Żałował, że nie ma przy sobie kapsułki z cyjankiem. Zastanawiał się też, kto mógł nadać gestapowcom mieszkanie Ulyssesa. Odpowiedź była tylko jedna — sam szef.



Juvet nie mógł uwierzyć, że tego dnia, kiedy dokonał najważniejszego aresztowania w swojej karierze, sam został aresztowany przez gestapo. Kiedy popatrzył w twarz SS-hauptsturm-fuhrera Gieringa, wydawało mu się, że to jakiś straszliwy żart. Jednak Giering pozbawił go złudzeń, mówiąc:

— Juvet, jest pan dobrym fachowcem, jednak nie mogę zostawić pana na wolności. Człowiek, którego pomógł nam pan aresztować, jest dla nas zbyt ważny, żeby pan mógł z tą wiedzą bezpiecznie chodzić po Paryżu. Dlatego zapraszam pana na przejażdżkę do więzienia Fresnes.

— Poskarżę się standartenfuhrerowi Knochenowi — zagroził Juvet.

— Proszę bardzo. Wykonuję rozkaz standartenfihrera.

Z końcem sierpnia Juvet został przewieziony do obozu koncentracyjnego w Dachau, a potem do Flossenburga, gdzie przebywał do wyzwolenia obozu przez Amerykanów w kwietniu 1945 roku.



Sylvie również miała pecha. Sto metrów od domu natknęła się na niemiecki patrol.

— *Papier-en!* — warknął żandarm.

Postawiła walizkę na chodniku i wręczyła Niemcowi szwaj-

carski paszport, który tego samego dnia wzięła ze skrytki z banku. Żandarm długo wpatrywał się w dokument, jakby chciał pozbawić ją pewności siebie. W końcu oddał jej paszport, stuknął obcasami i odwrócił się, by odejść. Sylvie złapała walizkę, zrobiła krok... i się potknęła. Ponieważ nie zdążyła zapiąć torebki, cała jej zawartość wysypała się na chodnik. W tym karta stałego zameldowania w Paryżu. Ze zdjęciem. Wystawiona na prawdziwe nazwisko Sylvie. Obok wylądował przewiązany sznurkiem plik franków szwajcarskich.

Żandarmi, widząc, że upadła, zawrócili i zaczęli zbierać rozrzucone drobiazgi.

— *Was ist das, meine franzosische Mädchen?* — zapytał jeden z nich, podnosząc kartę stałego zameldowania.

Drugi pomógł jej wstać, po czym zwrócił się do niej łamaną francuszczyzną:

— My wyjaśnić to na komendanturze... *raus, komm mit uns.*



Od aresztowania Treppera minęły dwa miesiące. W przeciwieństwie do innych więźniów Fresnes, był nadzwyczaj dobrze traktowany. Wiedział dlaczego. Chętnie współpracował. Był nieocenionym źródłem informacji.

Wiedział, że gestapo chce unicestwić „Czerwoną Orkiestrę”. Nie zależało mu na tej siatce aż tak bardzo, żeby dla bezpieczeństwa Alfreda Corbina czy Pablo Huéscara ryzykować życie. Nie miał zamiaru nawet przez chwilę być męczennikiem. Nie dla towarzysza Stalina. Poza tym wiedział, że jeśli letnia ofensywa Wehrmachtu na Kaukaz i Stalingrad zakończy się klęską, to Niemcy będą postawieni pod ścianą.

— Proponuję panu układ — powiedział Giering podczas jednego z przesłuchań. — Pan pomoże nam wykończyć „Czerwoną Orkiestrę”, a my pomożemy panu.

— Proszę o konkrety.

— Nie wystarczy panu, że nie wyślemy pana do obozu koncentracyjnego?

— Pan raczy żartować, *Herr* hauptsturmführer. Obydwaj jesteście inteligentni i obydwaj wiemy, że mnie potrzebujecie. W przeciwnym razie już od dawna siedziałbym w obozie. No cóż, ale to pan rozdaje karty w tej grze...

Giering uśmiechnął się, jakby naprawdę tak było, jednak w rzeczywistości wykonywał polecenia przychodzące z Berlina. Osobą Jeana Gilberta był zainteresowany ktoś bardzo wysoko postawiony. Naciskał na szefa gestapo i policji w Paryżu, gruppenführera Oberga, by dobrze go traktował. Trepper wiedział, że Niemcy nie znają jego prawdziwego nazwiska. Poza tym był pewny, że uda mu się dojść z nimi do porozumienia. Dziwił się, że do tej pory nie zapytano go o powiązania z grupą niemieckich opozycjonistów, z którymi był w kontakcie od 1939 roku. Oczywiście nie miał zamiaru poruszać tego wątku.

Mógł tylko czekać.

★

Pewnej nocy niespodziewaną wizytę złożył mu Giering.

— Proszę się porządnie umyć i ubrać — rozkazał. — Wybiera się pan w daleką podróż.

— Dokąd?

— Wkrótce się pan dowie.

Giering i dwóch esesmanów zawieźli Treppera na małą stację kolejową pod Paryżem. Oprócz wagonów towarowych i lawet z czołgami do składu tego pociągu włączono również wagon pasażerski, do którego wsiedli. Pociąg wkrótce ruszył i mknął na wschód przez ponad dobę. Już w Niemczech pasażerski wagon doczepiono do pociągu wiozącego oficerów na front wschodni. Trepper wyglądał przez okno i myślał o ucieczce.

Pociąg zatrzymał się w Erfurcie. Doczepiono mniejszą lokomotywę, i ruszyli w stronę Lasu Turyńskiego. Tam, na małej

wiejskiej stacji, pociąg się zatrzymał. Wysiedli. Trepper z przyjemnością rozprostował kości. Było białe. Środek zimy.

Po kwadransie podeszło do nich kilku esesmanów. Wszyscy byli oficerami od kapitana wzwyż. Mieli na sobie długie skórzane płaszcze, a na ich czapkach skrzyły się trupie główki. Ruszyli w stronę lasu, gdzie znajdowała się bocznica kolejowa. Stał na niej pociąg złożony z lokomotywy oraz dwóch luksusowych wagonów.

— Niech pan nie zrobi jakiegoś głupstwa — mruknął mu do ucha Giering.

Gilbert znalazł się w wagonie restauracyjnym. Stali tam dwaj milczący kelnerzy, na stoliku lśniła srebrna zastawa. Jeden z kelnerów zapraszającym ruchem dłoni wskazał miejsce przy stole. Po chwili wszedł niewysoki otyły mężczyzna w wieku czterdziestu kilku lat o nalanej aroganckiej twarzy. Nosił brązowy mundur SA, z opaską ze swastyką na prawym ramieniu. Podał Trepperowi rękę i rzekł:

— Myślę, że tacy ludzie interesu jak my, *Herr* Gilbert, mają sobie wiele do powiedzenia. Proszę, niech pan siada.

Gilbert milczał.

— Przepraszam, nie przedstawiłem się — powiedział oficer, usadawiając się za stołem. — Nazywam się Martin Bormann' jestem sekretarzem Fuhrera. Jakie wino wypije pan do pieczeni z jagnięcia?

— Poproszę wytrawne chianti.

★

Od spotkania z Bormannem minął miesiąc. Przez cały ten czas Trepper rozmyślał nad swoim położeniem. Wartownicy traktowali go dobrze, a z jednym z nich, *volksdeutchem* ze Śląska, Trepper prawie się zaprzyjaźnił. Rozmawiali po polsku, choć Trepper nie zdradził się, skąd pochodzi.

Na początku lutego Ślązak przyniósł ważną wiadomość.

— Szósta armia poddała się pod Stalingradem — oznajmił.

A więc teraz propozycja Bormanna jest nic niewarta, pomyślał Trepper. Sekretarz Hitlera podczas grudniowej rozmowy namawiał go do udziału w zamachu na Stalina. Propozycja była tak dziwna, iż Trepper nie miał wątpliwości, że Bormann albo blefuje, albo zamierza realizować



szalone pomysły, które zrodziły się w głowie Fuhrera. Zrozumiał, że musi za wszelką cenę uciec, bo jeśli przestanie być potrzebny, zostanie zlikwidowany.



Giering również zdawał sobie sprawę, że po Stalingradzie wygranie wojny przez Niemcy stało się nierealne.

— Chciałbym panu złożyć propozycję, *Herr* Gilbert — powiedział pewnego dnia, gdy kazał przyprowadzić Treppera do swojego gabinetu.

— Wiem, że jest pan zamożnym człowiekiem... I niezwykle zdolnym.

— Pozwoli pan, że uściślę — przerwał mu Trepper. — Byłem zamożnym człowiekiem.

— Niech pan nie żartuje! Na pewno schował pan coś na czarną godzinę! Ma pan też kilka talentów, które pozwoliły panu tak długo i dobrze żyć. Jest pan piekielnie inteligentny, zna pan języki, ma pan znajomości. Jestem przekonany, że w każdych warunkach poradzi pan sobie znakomicie.

— Do czego pan zmierza, *Herr* hauptsturmfuhrer?

— Powiedzmy, że wojna niedługo się skończy... Niestety nie tak, jak byśmy chcieli.

— To raczej pewne — mruknął Trepper.

— Powiedzmy. Mam pod swoimi rozkazami wielu ludzi i razem ze standartenfuhrerem Knochenem możemy wiele w Paryżu zdziałać.

— Zapewne...

— Już bardzo nam pan pomógł — ciągnął Niemiec. — Dzięki panu aresztowaliśmy wszystkich głównych „muzyków” „Czerwonej Orkiestry”. W Belgii złapano niedawno niejakiego

Alfreda Corbina, a kilka miesięcy temu w Paryżu Hiszpana, Pablo Huéscara. Na miły Bóg, Gilbert, skąd pan wytrzasnął takich ludzi?

— Jak był pan uprzejmy zauważyć, mam rozliczne talenty — odrzekł Trepper skromnie.

— Proponuję panu następujący układ: za kilka miesięcy zostanie pan przewieziony do innego więzienia, powiedzmy gdzieś na południu Francji, z którego łatwo będzie mógł pan uciec. Załatwimy panu w Paryżu melinę, w której pan przeczeka. W międzyczasie rozejrzy się pan, czy w Hiszpanii nie znalazłoby się miejsce dla pewnego niemieckiego przedsiębiorcy...

Trepper uśmiechnął się ironicznie.

— Giering, pan chce uciec? I ja mam panu w tym pomóc? Nigdy w życiu...

Giering poczerwieniał, starał się jednak zachować spokój. Zrozumiał, że po dobroci niczego nie wskóra, najwyżej narazi się na złośliwe docinki. Przypomniawszy sobie, że przecież ma w ręku argument, który zmusi do współpracy nawet kogoś tak opornego jak ten Gilbert.

Zawołał strażników. Drzwi gabinetu otworzyły się i dwaj gestapowcy wprowadzili przerażoną młodą kobietę. Miała ogoloną głowę, ubrana była w łachmany. Widać było, że jest w ciąży.

Trepper zamarł z przerażenia. Był pewny, że Sylvie posłuchała go i uciekła do Szwajcarii. Przecież załatwił jej dokumenty. Teraz jednak klęczała przed nim skulona ze strachu.

— To twoja dziwka, prawda? — syknął Giering. — Aresztowaliśmy ją na ulicy podczas próby ucieczki. Miała przy sobie znakomicie podrobione dokumenty i sporo gotówki.

Trepper nie wiedział, co powiedzieć.

— Nasz były przyjaciel, komisarz Edgar Juvet miał obsesję na twoim punkcie — mówił Niemiec. — Tropił cię przez prawie dwa lata. Opowiedział nam o tobie wiele interesujących rzeczy. O tej dziwce też. — Giering trącił Sylvie butem. — Chyba już niedługo urodzi twojego bękarta.

Trepper zdawał się nie słyszeć tych słów. Patrzył na Sylvie, a ona wpatrywała się w niego. Widział sińce na jej rękach i twarzy i myślał o tym, że oto już druga kobieta, którą kochał, może przez niego umrzeć.

— Jean... błagam, ratuj mnie — wyszeptała.

— Zamknij się, suko — warknął jeden z gestapowców, uderzając ją w twarz.

Trepper siedział jak skamieniały. Giering mówił dalej:

— Wiesz, kto pomógł nam cię aresztować? Były chłopak tej dziwki, którego z tobą zdradziła, Augustine Lafargue. Wsypał cię facet, któremu przyprawiłeś rogi.

Huescar zatrudnił człowieka o takim nazwisku! To ten chłopak, który wioził go do dentysty i pytał o Sylvie, jakby ją znał.

— Co oni mówią? — zapytała cicho Sylvie, która nie znała niemieckiego.

— Powiedzieli, że wsypał nas twój były chłopak, Augustine — odpowiedział Trepper. — Kochana, oni cię nie skrzywdzą. Obiecuję.

Nie wiedział, dlaczego to powiedział. Nie miał przecież pojęcia, co zrobić, żeby ją uratować.

— W porządku, Giering. Czego pan chce? — westchnął z rezygnacją. Esesman dał znak i gestapowcy wyprowadzili Sylvie.

— No proszę, mamy miękkie serce! Będzie pan dla nas pracował? Ja i Standartenführer Knochen mamy znajomych w Berlinie, którzy muszą wywieźć z Niemiec pewną ilość złota. Uznaliśmy, że pan mógłby je dla nas ukryć w Hiszpanii. Zna pan odpowiednich ludzi.

— Istotnie, jest w Madrycie człowiek, z którym współpracowałem.

— Kto to taki?

— Alejandro del Castilla.

— Skontaktuje się pan z nim i za jego pośrednictwem wywiezie pan nasze złoto za Pireneje.

— Jaką mam pewność, że Sylvie nic się nie stanie?

— Żadnej.

Esesman już miał wychodzić, gdy Gilbert powiedział:

— Giering, obiecuję, że gdy wojna się skończy, odnajdę pana i zabiję jak psa.

Giering uśmiechnął się ironicznie, po czym podszedł do więźnia i uderzył go pięścią w twarz, mówiąc:

— Licz się ze słowami, komunistyczna świnio.



W lipcu 1943 roku alianci dokonali inwazji na Sycylię i Włochy, w rezultacie czego Niemcy wkroczyli do południowej Francji. Rząd Vichy robił to, co chciał Hitler.

We Włoszech po upadku Mussoliniego ruch oporu działał coraz aktywniej. Został tam oddelegowany Giering, jako człowiek mający doświadczenie w tropieniu nieposłusznymi obywateli.

— Dlaczego ja? — pytał, nie kryjąc, iż jest zaskoczony tą decyzją.

— Cóż, Giering, ja wykonuję tylko rozkazy gruppenfuhrera Oberga, a ten dostał rozkaz wysłania do Rzymu najlepszego człowieka — odpowiedział Knochen.

— Ale ja mam tutaj niezakończone sprawy, *Herr* Standartenführer — tłumaczył Giering.

— Niech pan nie dramatyzuje. Nasze złoto trafi do Hiszpanii. Osobiście tego dopilnuję. Gilbert zawiezie złoto, a potem go rozwalimy. Będę z panem w kontakcie.



Wyjazd do Hiszpanii odwlekał się, a potem w ogóle nie doszedł do skutku. Trepper po nagłym wyjeździe Gieringa nie mógł pozostać bez opiekuna. Knochen mianował nim Untersturmführern Willy'ego Bergera, alkoholika. Po dziesięciu latach służby nadal był tylko podporucznikiem, podczas gdy oficerowie z podobnym stażem dosłużyli się rangi kapitanów i podpuł-

kowników. Mówiono, że Oberg chce dać mu jeszcze jedną szansę, by poprawił swój wizerunek. Berger jednak najlepiej czuł się wśród swoich kumpli, najbardziej zwyrodniałych sadystów paryskiego garnizonu esesmanów. Oni też lubili się napić, wódka lała się strumieniami, a Berger prawie nigdy nie trzeźwiał.

Wtedy Trepper obmyślił plan ucieczki. Miał pieniądze schowane na czarną godzinę w skrytce na cmentarzu Pere-Lachaise. Dowiedział się od znajomego volksdeutscha, że w sierpniu ma zostać przeniesiony do więzienia Moabit w Berlinie. Nie miał na tę wycieczkę najmniejszej ochoty. Zdecydował, że ucieknie podczas podróży do Berlina.

Poprosił strażnika o kartki i ołówki, mówiąc, iż chce napisać prośbę o ułaskawienie. Wykorzystał jedną kartkę, a resztę zjadł. Dostał strasznych bólei i więzienny lekarz dał mu tabletki, które miały pomóc mu przetrwać podróż.

Trepper dzwemał, osłabiony biegunką, gdy do jego celi wszedł gestapowiec?':^

— Zbieraj się — warknął. — Za piętnaście minut jedziesz. Berger czeka w samochodzie.

Czarny volkswagen mknął w kierunku dworca. W aucie unosił się mdlący smród przetrawionego alkoholu. Gdy wyjechali na rue de Babylon, gdzie znajdowała się jedna z jego ulubionych restauracji, La Boheme, Trepper powiedział:

— Muszę skorzystać z ubikacji.

— Miałeś czas w więzieniu — warknął Berger.

— Mam biegunkę. Zatruję się waszym ohydnyim żarciem. Jeśli pan chce, mogę narobić w portki w samochodzie.

— Panie Untersturmführer, niech mu pan pozwoli się wysrać w jakiejś restauracji — odezwał się kierowca. — Nie mam zamiaru znowu czyścić siedzeń. Ostatnio wyrzygał pan na nie wytworną francuską kolację.

— Nie bądź bezczelny. Dobrze, zaparkuj przed jakąś knajpą. Kiedy volkswagen zatrzymał się przed La Boheme, Trepper

wysiadł, dziwiąc się, że Berger jest takim idiotą — nawet nie założył mu kajdanek. Wszedł do restauracji. Po sali kręciło się

kilkanastu gości w wieczorowych strojach. Skierował się do damskiej toalety. Minęło piętnaście minut.

— Co on tam tak długo robi? — burknął Berger, pociągając z butelki.

Po dalszych dziesięciu minutach wysiadł i ruszył chwiejnym krokiem do restauracji, a po chwili wybiegł stamtąd z bezsilnym wrzaskiem. Trzy tygodnie później stanął przed plutonem egzekucyjnym.



Kapitan Schulze-Boysen walczył w szeregach Luftwaffe, lecz coraz wyraźniej widział bezsens tej wojny. W czerwcu 1944 roku, po inwazji sił sprzymierzonych na Normandię, walczył z amerykańskimi i brytyjskimi pilotami nad kanałem La Manche i nad północną Francją. Podczas jednego z lotów, kiedy dokonywał zwrotu, zaskoczył go szybki amerykański myśliwiec, jeden z tych jankeskich samotnych łowców, spadających z góry na samoloty wroga niczym jastrząb. Znajdowali się jakieś półtora kilometra nad kanałem. Boysen widział klify w okolicach Southampton. Nie mógł zgubić siedzącego mu na ogonie jankesa, który ostrzeliwał go seriami z karabinów maszynowych. Samolot kapitana został trafiony.

Schulze-Boysen katapultował się w ostatniej chwili.

Wylądował w morzu niedaleko od brzegu. Nieopodal przepływała łódź królewskiej straży przybrzeżnej. Angielscy marynarze wyciągnęli go z wody. Został więźniem Jego Królewskiej Mości. Dla niego wojna się skończyła.



Juvet w marcu 1945 roku był jednym z dwudziestu sześciu tysięcy więźniów obozu koncentracyjnego we Flossenburgu. Z pewnego siebie, zarozumiałego policjanta nie zostało nic.

Był ludzkim wrakiem. Jego paryskie życie wydawało mu się dalekie i nierealne.

Jeden z więźniów powiedział mu pewnego wieczoru, że pracując w komando, które sprząta okolice kuchni i kwater esesmanów, można uszczknąć coś więcej do jedzenia. Juvet długo zabiegał o tę robotę. Musiał przekupić kapo kradzionymi innym więźniom papierosami i spirytusem, które organizował, sobie tylko znanym sposobem pewien Rosjanin. W końcu ją dostał, więc czasami wpadały mu jakieś resztki z kuchni, najczęściej pomyje, jak miał szczęście, to z kawałkami kartofli lub kośćmi. Zdarzały się też jednak baty od esesmana, któremu nie spodobał się śnieg na trawniku.

Amerykanie byli coraz bliżej, a esesmani wykańczali ostatnich więźniów, których nie mogli pognać na wschód w marszu śmierci. Niektórzy Niemcy, wiedząc, że armia Radziecka, a także I Armia Wojska Polskiego otoczyły już Berlin, zaczęli uciekać, zrzucając mundury. Jednak najbardziej fanatyczni funkcjonariusze SS postanowili wymordować ostatnich więźniów politycznych, między innymi admirała Canarisa oraz kilkunastu innych wyższych oficerów Abwehry, którzy trafili do Flossenburga po nieudanym puczu w lipcu 1944 roku.

Canaris, Böhm i kilku innych oficerów zostało powieszonych na strunie od fortepianu. Edgara Juveta wybrano do komanda odpowiadającego za pozbycie się ciał. Kopał z innymi nieszczęśnikami dół, w którym, oblane benzyną, spłonęło ciało Canarisa i innych oficerów.

Potem był chaos i ucieczka. Juvet przeznaczony został do rozstrzelania, ale w ostatnim momencie wmieszał się w tłum więźniów wychodzących z obozu. Jednak esesmani nie doprowadzili tej ostatniej kolumny więźniów do celu.

Żołnierze z dywizji z Teksasu oniemieli, kiedy zobaczyli wygłodzonych i przerażonych ludzi; oddali im wszystko, co mieli do jedzenia. Nie mogli im jednak udzielić pomocy na drodze. Wydano rozkaz odprowadzenia więźniów z powrotem do obozu, by tam zapewnić im bezpieczeństwo i pomoc medycz-

ną. Rozpętało się piekło. Niektórzy biedacy próbowali popełnić samobójstwo, byle tylko nie wracać do miejsca udręki.

Juvet zachował resztki zdrowego rozsądku. Wiedział, że wraz z nadejściem Amerykanów jego koszmar się skończył. Słuchał amerykańskich lekarzy, którzy mówili, że jeśli jest się wygłodzonym, nie można łąpczywie jeść, bo to może skończyć się śmiercią. Spędził we Flossenburgu jeszcze cztery miesiące. Kiedy poczuł się lepiej, zgłosił się do pracy w amerykańskim biurze, które prowadziło ewidencję więźniów. Amerykanie cenili go za rzetelność i spostrzegawczość. Juvet miał okazję zobaczyć egzekucję czternastu esesmanów z załogi obozu, których Amerykanie powiesili na tych samych szubienicach, na których ginęli więźniowie.

Powoli dochodził do siebie. W lipcu 1945 roku postanowił wrócić do Paryża i po dwóch latach zobaczyć żonę i syna. Bał się tylko kolegów z policji — na pewno pamiętają, że był kolaborantem i zdrajcą. Amerykanom skłamał, że działał w ruchu oporu. Opuszczając obóz, dostał od władz amerykańskich tymczasowe dokumenty, trochę gotówki oraz zaświadczenie, że był więźniem obozu koncentracyjnego.



## ROZDZIAŁ 28

### Lekcja historii

Festiger po pogrzebie Louise zaprosił ojca na obiad do restauracji. Długo rozmawiali. Powiedział o wszystkim, co przez tyle lat leżało mu na sercu. Wyrzucał mu zaborczość, oschłość i to, że nie wspierał żony, kiedy walczyła ze śmiertelną chorobą. Obwiniął go o rozpad swojego małżeństwa. Ojciec słuchał w milczeniu, a gdy syn skończył, gorzko się rozplakał. To była trudna rozmowa, ale miała moc oczyszczającą.

Ojciec powiedział komisarzowi, że Louise była u niego przed śmiercią i chciała dostać dzienniki Edgara Juveta.

— Co one mogą mieć wspólnego ze śmiercią Louise? Nic z tego nie rozumiem. — Yves bezradnie kręcił głową.

— Edgar Juvet był przed wojną naczelnikiem wydziału kryminalnego paryskiej policji. Podczas wojny kolaborował z Niemcami. Ścigał tego człowieka, Treppera czy Gilberta... Louise powiedziała mi, że prowadzisz śledztwo w sprawie jego zabójstwa.

— Tak, zgadza się.

— Louise miała ci powiedzieć jeszcze coś, czego ja nigdy nie miałem odwagi ci wyjawić — westchnął Jacques.

— Co to takiego?

— Edgar Juvet był moim ojcem. Moim... prawdziwym ojcem, a twoim dziadkiem. — stary Festiger siedział przez dłuższą

chwilę ze spuszczoną głową, jakby to, co zostało jeszcze do powiedzenia, było zbyt straszne, by o tym mówić. — Kiedy byłem już dorosły — podjął cichym głosem — przeczytałem w różnych opracowaniach historycznych, że rząd Vichy wydał ponad osiemdziesiąt tysięcy francuskich Żydów w ręce niemieckiej policji. W większości ludzie ci zginęli w obozach śmierci... Komisarz milczał.

— O wielu swoich draństwach mój ojciec pisał w pamiętniku. Przez całe życie drżałem ze strachu, że ktoś się dowie, że jestem synem antysemitę i mordercy. To nie do zniesienia! A jeśli jestem taki sam jak on? Jeśli w podobnej sytuacji zachowywałbym się tak samo?

— Ojczy, nie możesz tak myśleć! Ty nie zrobiłeś nic złego... Czy Louise przeczytała te pamiętniki?

— Nie wiem. Zabrała je przed południem, a parę godzin potem nie żyła. O to samo pytał mnie ten twój kolega, ten Arab...

— Al-Douri?

— Tak, pytał, czyje przeczytała. Był bardzo zdenerwowany. To podejrzane...

— Tato, był zdenerwowany, bo zamordowano Louise. Znał ją przecież. Muszę przeczytać te pamiętniki.

— Mam cię zostawić samego?

— Nie, nie chcę zostać sam. Pojedźmy do ciebie.

★

### **Z dziennika Edgara Juveta 19 lipca 1943**

Nie mogę chodzić po mieście bez obstawy. Już nie tylko w komisariacie, ale również na ulicach mam wrażenie, że ludzie na mój widok odwracają się albo spluwają. Nie wiem, jak długo wytrzymam. Wszyscy zaczynają mówić o rychłej inwazji aliantów na Francję. Zastanawiam się, jak zostanę potraktowany, jeśli alianci wkroczą do Paryża. Przychodzą mi do głowy straszne myśli. Nie wiem, co powie kiedyś mój syn Jacques, kiedy dowie się, co robił jego ojciec. Uważam, że postępowałem słusznie. Ta suka, jego matka, nie pozwalała mi się z nim widywać. W ciągu ostatnich dwóch lat widziałem go może ze dwa razy.



— Tato, ostatni zapis Juveta pochodzi z dziewiętnastego lipca. Wiesz, co stało się z twoim ojcem?

— Nie. Widziałem go po wojnie tylko raz. Przyszedł do nas, ale bałem się go i nie chciałem, żeby do nas wrócił. Matka mieszkała już z Phillipem Festigerem.

Duże wrażenie zrobiły na Yves'ie drobne opisy śledztwa, które prowadził Juvet.

Lektura pamiętników nasunęła mu wiele pytań. Przede wszystkim miał wrażenie, że skoro jego dziadek ścigał Leopolda Treppera w czasie wojny i *de facto* przyczynił się do rozbicia przez władze niemieckie „Czerwonej Orkiestry”, to jest również możliwe, że wyrok śmierci na Lepolda Treppera jest związany z jego działalnością szpiegowską podczas wojny. Pamiętał również o bardzo dziwnym e-mailu, który otrzymał od charge d'affaires ambasady izraelskiej.

Izraelczycy wiedzieli o tej zbrodni znacznie więcej, niż chcieli ujawnić. Komisarz postanowił przeczytać e-mail jeszcze raz.

OD: Eliza Baum ebaum@embassyinfrance.gov.isr  
DATA: 15 czerwca 1998, 10:04:23

DO: Yves Festiger  
yves.festiger@police.napoli.it

TEMAT : ważne

Panie Komisarzu, ten list może być dla Pana za-  
skoczeniem, ale zdecydowałam się do Pana napisać,

ponieważ nie powiedziałam Panu wszystkiego, co wiem na temat zabójstwa gen. Treppera. W całą tę historię zamieszane są osoby z francuskich kręgów rządowych. Władze Izraela są przekonane, że jeśli zostaną wykryci prawdziwi sprawcy tego zamachu, narazi to nasze kraje na kryzys dyplomatyczny.

Proszę uważać, co Pan mówi i do kogo Pan mówi. w Paryżu są tacy, którym będzie zależało, aby nie wykrył Pan sprawców. Jamogę jedynie powiedzieć, że ludzie z Mossadu namierzali przed kilkoma miesiącami telefon komórkowy, z którego pewien płatny morderca, znany z rasistowskich ekscesów, rozmawiał o gen. Trepperze. Trepper wiedział, że ktoś depta mu po piętach. Musi pan szukać w jego przeszłości. Tam jest klucz do zagadki.

znałam Treppera, ale nie mogę Panu nic na jego temat powiedzieć. To kwestia bezpieczeństwa mojego kraju.

wyjeżdżam z Paryża, zostałam nagle odwołana do Izraela.

Mimo wszystko miło mi było Pana poznać, E.B.

★

Hermann Krabbe był wściekły. Chciał zarobić, ale zaczynał się bać. Był pewny, że ostatnie dwa zabójstwa, a już na pewno śmierć żony policjanta sprawią, że śledztwo w tej sprawie stanie się priorytetem. Jak ma zbliżyć się do Amerykanki, żeby podać jej truciznę? Nie rusza się z hotelu i ma obstawę. Krabbe próbował przekonać zleceniodawcę, że zabicie Sylvie Ivory jest zbyt ryzykowne, zaproponował, żeby znalazł sobie innego idiotę, który będzie nadstawiał karku.

PAN MI GROZI? – przeczytał w odpowiedzi. – NIE WIE PAN, DO CZEGO JESTEM ZDOLNY. RADZĘ TRZYMAĆ JĘZYK ZA

ZĘBAMI I ROBIĆ, CO KAŻĘ. ŻADNYCH GŁUPICH POMYSŁÓW. WIEM, GDZIE PAN JEST. KONIEC ROZMOWY.

Krabbe ze złością wyłączył komputer i nalał sobie wódki.



Yves powiedział ojcu o swoich podejrzeniach związanych z historią „Czerwonej Orkiestry”. Okazało się, że Jacques jest niezwykle odczytany, interesuje się historią, szczególnie wojskową. Poszedł do swojego gabinetu, zastawionego od podłogi po sufit regałami pełnymi książek, i przyniósł pracę niemieckiego historyka, wydaną w Berlinie. Nazwisko autora brzmiało Johann Schulze-Boysen. Był historykiem specjalizującym się w historii ruchu oporu w okupowanej przez Niemców Europie.

Festiger zdecydował, że poleci do Berlina, żeby porozmawiać z rym człowiekiem.



Krabbe zamierzał utopić frustrację w morzu whisky i piwa. Tego popołudnia naprawdę sobie nie żałował. Nawet irlandzki barman był pod wrażeniem jego możliwości. Mało który Irlandczyk odważyłby się na butelkę whisky po pięciu pintach guin-nessa.

Jednak whisky zamiast uspokoić Hermanna, jeszcze bardziej go rozsierdziła. Zaczął zaczepiać innych klientów, a jednego z nich, czarnego amerykańskiego studenta, chciał uderzyć butelką, ponieważ ten nie chciał go przepuścić do łazienki.

W końcu wzięli się za niego bramkarze. Wywlekli go na ulicę, dołożyli parę razy i wezwali żandarmerię. Zamroczony alkoholem, nawet się nie bronił. Noc spędził w izbie wytrzeźwień. Był bez dokumentów, ale miał pecha. Jeden z żandarmów rozpoznał jego twarz — widział ją w liście gończym wiszącym w komisariacie.



Profesor Johann Schulze-Boysen przyjął Festigera serdecznie, mimo że komisarz uprzedził go o swojej wizycie w ostatniej chwili. Dla historyka zajmującego się największą komunistyczną siatką szpiegowską, działającą w Europie podczas drugiej wojny światowej, spotkanie z człowiekiem prowadzącym śledztwo w sprawie zamordowania Leopolda Treppera było nie lada gratką. Profesor Schulze-Boysen był szczupły, wysoki, miał gęste kręcone włosy i starannie przystrzyżoną siwiejącą brodę. Powiedział Festigerowi, że jego ojciec, Harro Schulze-Boysen, służył w Luftwaffe, jego matka zaś, Ulrike Schusser, była deputowaną do Bundestagu z ramienia liberalnej partii FDP. Zmarła w 1986 roku.

— Co pana do mnie sprowadza? — zapytał profesor nienagannym francuskim, wprowadzając Yves'a do niewielkiego pokoju pełniącego funkcję gabinetu i wskazując wytartą skórzaną kanapę. — Do tej pory policja się mną nie interesowała. A już na pewno nie francuska — dodał z uśmiechem.

— Natrafiłem na pańską książkę o „Czerwonej Orkiestrze”. Wiemy, że Trepper był szpiegiem, i wydaje mi się, że to, iż został zamordowany, ma związek z jego działalnością szpiegowską podczas okupacji.

Schulze-Boysen podszedł do stolika pod ścianą, na którym stało kilka butelek, szklanki i kieliszki. Nie pytając komisarza, napemnił dwie szklanki whisky i podał mu jedną.

— To ciekawe — mruknął. — Śledziłem powojenne losy Treppera, szperałem w rosyjskich archiwach. Wiem, że siedział w radzieckim więzieniu, po śmierci Stalina został zrehabilitowany, zamieszkał w Polsce, by w końcu wyjechać do Izraela, ale nie wiedziałem, że żył tak długo. Zbierając materiały do książki, miałem okazję przejrzeć raport pewnego francuskiego policjanta, który śledził go we Francji. Raport wykorzystało SS. Jest przechowywany w archiwum federalnym w Baden-Baden.

Słyszając to, Festiger się uśmiechnął.

— Wiem, o kim pan mówi, profesorze. Ten policjant nazywał się Edgar Juvet. Był moim dziadkiem.

Profesor usiadł na kanapie i upił łyk whisky.

— Jestem zaskoczony — powiedział po chwili. — Wydaje mi się, że to ironia losu, iż ja, syn niemieckiego oficera, który podczas wojny utrzymywał kontakt z niemiecką opozycją i Trepperem, oraz wnuk Edgara Juveta spotkali się właśnie w sprawie „Czerwonej Orkiestry”.

Festiger spędził u profesora całe popołudnie. Później zjedli kolację w restauracji, wciąż rozmawiając o czasach wojny. Postanowił, że raz jeszcze przeczyta dzienniki dziadka. Był przekonany, że pominął coś istotnego.

W samolocie zaczął przeglądać najnowszą książkę profesora zatytułowaną *Weinberg Organisation*, która traktowała o historii mało znanej opozycyjnej grupy, usytuowanej w niemieckim kontrwywiadzie. Dowodził nią major Heinrich Maria Bôhm. Na stronie tytułowej profesor napisał po francusku:

*Historycy są czasem jak policjanci. Idą po śladach do celu, którym zawsze jest człowiek. Powodzenia.*



Al-Douri siedział na kanapie z puszką piwa w ręku i patrzył na dzieci bawiące się na dywanie. Z kuchni dobiegały odgłosy krzątania. Żona przygotowywała kolację. Rozmyślał o tym, że w Algierii nie potrafiłby zapewnić dzieciom dobrej szkoły, nie miałoby samochodu ani ładnego mieszkania. Nie mógł jednak oprzeć się wrażeniu, że to wszystko jest kruche, że kiedyś się skończy, że za spokój i szczęście przyjdzie mu w końcu zapłacić. Kiedyś zaufał niewłaściwemu człowiekowi. I to się zemści.

Nagle zadzwoniła komórka. Al-Douri szamotał się przez chwilę, nie mogąc wyciągnąć jej z tylnej kieszeni dresu. Spojrzał na ekranik. Numer się nie wyświetlił. Był zastrzeżony.

— Czego pan chce? — warknął po arabsku.

— Nadszedł czas, żebyś spłacił dług.

Al-Douri uciszył dzieci niecierpliwym gestem i podszedł do okna. Kolana miał jak z waty, mimo to odpowiedział zaczepnie:

— Nie rozumiem. Zawsze byłem wdzięczny za pomoc, jaką okazał pan mnie i mojej rodzinie. O co panu chodzi?

— Zaraz się dowiesz. Jesteś kością z mojej kości i krwią z mojej krwi. Masz być mi posłuszny. Jestem twoim ojcem.

— Nie jest pan.

— Wiesz dobrze, że tak. Przyjedź do mnie za dwa dni do kliniki rządowej w Nancy.

— Nie zamierzam...

— Ale przyjedziesz. — Zapadła chwila ciszy, którą mącił świszczący, urywany oddech. Pamiętaj, jedno moje słowo i twoja rodzina znajdzie się na przedmieściach Algieru.

— Co mam zrobić? — westchnął Al-Douri z rezygnacją. Coś mówiło mu, że ten staruch nie żartuje.

— Musisz kogoś zabić. Kogoś, kto przed laty mnie skrzywdził i kto musi odpowiedzieć za zdradę.

— Jestem policjantem! — syknął. — Pan oszalał!

— No cóż... Algieria czeka...

— Proszę przestać mi grozić! Kim jest ta osoba?

— Amerykanka, Sylvie Ivory. Wiesz, gdzie jej szukać. Masz dwa dni.

★

Al-Douri miał ciemne włosy i śniadą cerę jak jego matka. To ona chciała, by miał na imię Muhamad. Gdy Al-Douri skończył osiemnaście lat, ojciec uznał, że najlepiej będzie, jeśli syn zostanie policjantem jak on. W Algierii żyło się ciężko. Trwała wojna domowa. O dobrze płatną posadę, która pozwalałaby przeżyć i zapewnić byt rodzinie, nie było łatwo. A praca policjanta była stała i niezłe płatna.

Ojciec Al-Douriego zmarł na zawał w sierpniu 1986 roku. Muhamad znalazł się w trudnej sytuacji, musiał pracować,



jednocześnie kończąc szkołę policyjną. Ożenił się z dziewczyną z sąsiedztwa, córką urzędnika pocztowego. Żył z dnia na dzień. Nie myślał o przyszłości. Nie brał pod uwagę wyjazdu z kraju.

I wtedy matka opowiedziała mu, że we Francji żyje człowiek, który kiedyś bardzo skrzywdził ich rodzinę i który teraz znów się odezwał. Jest bardzo potężny i może mu pomóc urządzić się we Francji.

— Tutaj czeka cię, synu, tylko bieda — mówiła. — On ci pomoże. Chciałabym, żebyś miał lepsze życie, niż miałam ja i niż będą mieli twoi młodszy bracia i siostry.

— Jakie lepsze życie masz na myśli, matko? Francja nie jest krajem, gdzie wyznają wiarę Proroka.

— Synu, ten człowiek się tobą zaopiekuje, załatwi ci pracę w policji. Pomyśl o żonie i dzieciach. Zrób to dla nich!

— Nie ma mowy — uciął Muhamad.

Minęło sześć lat. Tajemniczy Francuz pisał kilka listów w roku, zaznaczając, że jego oferta jest nadal aktualna. W 1992 matka Muhamada zachorowała na nowotwór. W Algierii nikt nie potrafił jej pomóc. Muhamad powiedział, że przyjmie jego pomoc, pod warunkiem że matka pojedzie z nim do Francji i trafi do dobrego szpitala. Tak się stało. Żyła jeszcze tylko trzy lata. Po jej śmierci opiekun zażądał, żeby Muhamad zmienił imię na mniej kojarzące się z islamem.

I tak Muhamad został Josephem.

Dwa dni przed śmiercią matka powiedziała mu coś, po czym długo nie mógł się otrząsnąć.

— Synu, kiedyś pracowałam jako kelnerka w pałacu francuskiego gubernatora Algieru. Któregoś wieczoru napastował mnie pewien francuski polityk. To on nam teraz pomaga.

— Co?! — Muhamad zerwał się z krzesła, na którym siedział przy łóżku chorej.

— Ciszej, synu — syknęła matka. — Muszę powiedzieć komuś o mojej hańbie, zanim odejdę z tego świata. Ten człowiek mnie zgwałcił. Musiałam szybko wyjść za mąż, żeby ukryć hańbę. Miałam szczęście. Dwa tygodnie po tym zdarzeniu

wysłał za twojego ojca. Nigdy nie dowiedział się, że jego pierworodny syn nie był jego synem.

Muhamad zamknął oczy. To było nie do zniesienia. On, gorliwy muzułmanin, był synem jakiegoś...

— Jesteś jego synem — wyszeptała matka. — Żyj we Francji. Pomagaj braciom, ale pamiętaj...

Stara kobieta uniosła się na łokciach i popatrzyła mu w oczy.

— Pomścij moją hańbę. Przysięgnij na Allaha.

— Przysięgam — powiedział Muhamad ze łzami w oczach.

★

W pracy czekała Festigera przykra niespodzianka. Przy jego biurku siedział sędzia Fauchaux. Pod ścianą stał Al-Douri. Wyraz jego twarzy nie wróżył niczego dobrego.

— Dzień dobry komisarzu — odezwał się sędzia. — Chcielibyśmy z panem porozmawiać. Ale może w jakimś spokojniejszym miejscu.

— Oczywiście. Coś się stało? — powiedział niepewnie Yves. Przeszli do gabinetu kapitana Ligny, naczelnika komisariatu, i usiedli przy niewielkim stole konferencyjnym.

— Panie komisarzu — zaczął sędzia — ostatnie wypadki, a szczególnie śmierć pańskiej byłej żony, zmieniły sytuację. Śledztwo stało się dla pana sprawą osobistą, a to może wpłynąć na pańską zdolność do jego samodzielnego prowadzenia. Nie jest pan obiektywny.

— Panie sędzio, czuję się świetnie i zamierzam złapać mordercę.

— Widzę, że mnie pan nie zrozumiał, powiem zatem wprost: jest pan odsunięty od sprawy.

— Ależ panie sędzio, nie popełniłem żadnego błędu! To trudna sprawa, więc chyba zrozumiałe, że jej rozwiązanie musi zająć trochę czasu, ale jesteśmy na dobrym tropie... — Komisarz odsunął gwałtownie krzesło, wstał i zaczął nerwowo chodzić po pokoju. Po chwili przystanął, wbił w sędziego wściekle

spojrzenie i wykrzyknął: — Wiem! Pan tylko czekał na taką okazję! Zawsze chciał mnie pan udupić!

— Proszę się nie ośmieszać — odrzekł sędzia zimno. — Nie zostaje pan odsunięty z przyczyn dyscyplinarnych, choć teraz zdecydowanie pan na to zasłużył. Dostaje pan trzy miesiące urlopu. Odpoczynek dobrze panu zrobi. Naprawdę rozumiem, co pan czuje po stracie bliskiej osoby...

— Gównu pan wie!

— Powiedzmy, że tego nie słyszałem — odpowiedział Fauchaux, wstając i wyglądając marynarkę. — Śledztwo przejmie podkomisarz Al-Douri. Moim zdaniem sprawa wymknęła się panu spod kontroli. Zginęło zbyt wielu ludzi.

Festiger milczał. Patrzył wymownie na Al-Douriego. Po chwili Joseph powiedział:

— Zatrzymaliśmy Hermanna Krabbego. Jest w izbie wytrzeźwień. Urządził rozróbę w irlandzkim pubie.

— Co!?! — ryknął Festiger — Natychmiast tam jedziemy!

— Nigdzie pan nie pojedzie, komisarzu — wtrącił się sędzia. — Od dziś jest pan na zaległym urlopie. Komisarz Al-Douri przesłucha podejrzanego.

— Ten drań Krabbe jest byłym żołnierzem Legii Cudzoziemskiej. Nic wam nie powie. Szkołą ich na takie okoliczności — upierał się komisarz.

— Dam sobie radę — zapewnił Al-Douri, starając się ukryć irytację. Jednak Festiger dobrze go znał i natychmiast wychwycił zdenerwowanie i fałsz w głosie kolegi.

Komisarz odpiął kaburę z beretą, położył na stole, następnie wyciągnął z kieszeni marynarki legitymację i rzucił nią o ścianę pokoju.

— Wszystkich was pierdołę! — wrzasnął. — Słyszycie?! Pierdołę was, gnojki!!

Wypadł z pokoju, lecz zdążył jeszcze usłyszeć słowa sędziego:

— Pańskie zachowanie zostanie odnotowane w aktach.

## ROZDZIAŁ 29

### Powojenne ścieżki

Trepper miał zamiar ukryć się gdzieś w Paryżu i poczekać na koniec wojny. Wszyscy członkowie jego siatki wpadli, ale na wszelki wypadek postanowił sprawdzić, czy przeżył jeszcze ktoś z firmy. Zaczął od starej księgowej Valentine Noel. Widząc w drzwiach wychudzonego Gilberta, przeżegnała się i wykrzyknęła:

— *Mon Dieu!* Pan Gilbert... proszę, niech pan wejdzie. Jak pan wygląda! Musi pan być głodny. Proszę do kuchni, proszę...

Trepper zamieszkał u niej. Ufarbował włosy na czarno i pożyczył okulary zmarłego męża pani Noel. Znów wyglądał jak Ulysses de la Cruz. Zatrudnił się jako robotnik w jednej z paryskich fabryk. Zarabiał marnie, płacił jednak gospodyni za mieszkanie i wyżywienie, a resztę odkładał na cięższe czasy. Wydostał też dolary ze skrytki na cmentarzu.

Nadszedł sierpień 1944 roku. Dwudziestego szóstego wybuchło w Paryżu tygodniowe powstanie przeciwko Niemcom. Po zajęciu miasta przez Amerykanów i Wolnych Francuzów z dywizji generała Leclerca, Gilbert zdecydował, że musi wyjechać z Europy. Jediną drogą było wstąpienie do francuskiej armii. Podał się za Jeana Gilberta, byłego członka Brygad Międzynarodowych z wojny domowej w Hiszpanii. Uwierzono mu i po dwóch miesiącach został podoficerem. W armii wytrwał

do sierpnia 1945 roku. Podejrzewał, że po klęsce Niemiec przypomni sobie o nim wywiad radziecki.

Któregoś dnia, przebywając w wojskowym obozie w Zagłębiu Ruhry, popatrzył na kwaterze w lusterko. Zobaczył twarz ze zmarszczkami zgorzknienia wokół ust i zimne, martwe oczy. Ze wszystkich szpiegów i zdrajców, których w życiu spotkał, on sam wydał się sobie najgorszy. Zamordował matkę swojego dziecka, nie potrafił obronić kobiety, którą kochał; żeby ratować skórę, wydał Niemcom wszystkich członków „Czerwonej Orkiestry”...

— Jesteś zwykłym skurwysynem — szepnął.

Następnego dnia ukradł z kasy pułku czterdzieści tysięcy franków, stos upoważnień do przekraczania granic między wszystkimi strefami okupacyjnymi, a także broń i jeepa, i zniknął.

Uznał, że teraz jest najlepszy moment, żeby wyjechać z Europy. Bał się jednak, że ktoś, kto go zna, powie o nim coś, co naprowadzi psy z NKWD na jego ślad. A że będą go szukali, nie miał najmniejszych wątpliwości. Na początek postanowił odwiedzić fałszerza dokumentów Josepha Greenvelda.

Szanowanego holenderskiego bibliotekarza znaleziono w amsterdamskim kanale. Został uduszony czymś cienkim — może struną, może mocnym sznurkiem...



Edgar Juvet wrócił do Paryża jesienią 1945 roku. Bał się panicznie, że zostanie rozpoznany. Napisy na ścianach domów głosiły, że patrioci francuscy nie wybaczą zdrajcom. W Dzielnicy Łacińskiej widział, jak kilku młodych ludzi wyciągnęło z restauracji kobietę i zawlokło do najbliższej bramy. Potem długo leżała na chodniku, szlochając rozpaczliwie, pobita, z ogoloną głową, obojętnie mijana przez przechodniów.

Komisarza przeszedł dreszcz. Bał się nawet pomyśleć, co go może spotkać.

Pierwsze kroki skierował do swojego dawnego mieszkania przy placu Gambetty. Był pewny, że kiedy opowie żonie co przecierpiał w obozach, ta przyjmie go i wszystko będzie jak dawniej, wszystko się ułoży. Przecież dwa razy przysłała mu do obozu paczkę zjedzeniem, a to znaczy, że o nim nie zapomniała. Miał nadzieję, że nie rozpozna go żaden z sąsiadów. Na wszelki wypadek postanowił poczekać w bramie parę domów dalej, aż zrobi się ciemno.

Przed dziesiątą ruszył z bijącym sercem na pierwsze piętro. Gdy stanął przed drzwiami, ze zdziwieniem stwierdził, że tabliczka z nazwiskiem „Juvet” zniknęła.

Zapukał. Otworzył mu chłopczyk mniej więcej dziesięcioletni. Jego syn. Wzruszenie ścisnęło komisarza za gardło. Boże, jak on urósł, pomyślał.

— Dzień dobry, Jacques — wykrztusił. — Zawołaj mamę. Chłopiec przypatrywał się mu nieufnie. Nie poznał go.

— Tato, jakiś pan przyszedł do mamy! — krzyknął wreszcie do kogoś w głębi mieszkania.

Po chwili do drzwi podszedł wysoki mężczyzna w rozpiętej wojskowej kurtce od polowego munduru.

— W czym mogę panu pomóc? — zapytał uprzejmie. Juvet cofnął się.

~ Nie... nic... przepraszam — wyjąkał. — Najwidoczniej pomyliłem mieszkania.

Nim drzwi się zamknęły, Juvet usłyszał jeszcze, jak ten obcy mężczyzna mówi do Gabrielle, że to chyba jakiś żebrak. Komisarz bez tchu zbiegł po schodach. Czegoś takiego się nie spodziewał.



Augustine Lafargue w dniu, w którym gestapo aresztowało Gilberta, uciekł furgonetką i zamelinował się u kolegów z partii gdzieś pod Paryżem. Nikt nigdy nie dowiedział się, że był szpiclem gestapo. Nie rozwiązano też zagadki zniknięcia Pier-re'a Georges'a.

To zniknięcie było na rękę tylko Jacques'owi Duclosowi. Uznał, że to właśnie Pierre zdradził, i bojąc się konsekwencji, po prostu uciekł. To było niezwykle wygodne rozwiązanie i pozwalało szybko zapomnieć o całej sprawie.

Za to Augustine cieszył się w partii nieposzlakowaną opinią. Był przecież bojownikiem podziemia, który dokonał zamachu na niemieckiego oficera. Duclos mianował go szefem swojej ochrony. Miał także inny powód, by interesować się chłopakiem.

Duclos zawsze był sam. Nie miał żony. Nikt nie wiedział, że przewodniczący lubił towarzystwo młodych mężczyzn. Doskwierala mu jednak samotność, bo jako starszy, niezbyt pociągający mężczyzna z łysiną i brzuchem, nie mógł liczyć na zainteresowanie jakiegoś cherubina, jakich wielu spotkać można było w pewnego typu lokalach. Gdy po raz pierwszy zobaczył Augustine'a, nie mógł o nim zapomnieć.

Któregoś wieczoru wezwał go do siebie do domu w jakiejś mało ważnej sprawie. Poczęstował kolacją. Nadskakiwał, przysuwał się coraz bliżej, patrzył na niego wygłodniałym wzrokiem, a kiedy niby to przypadkiem jego ręka znalazła się na udzie chłopaka, ten postanowił wykorzystać okazję:

— Chce mnie pan przelecieć? — spytał bez ogródek.

— Ależ, chłopcze, skąd takie myśli?! — Duclos poczerwieniał i odsunął się gwałtownie.

— Niech pan nie udaje. Duclos zaczął bezradnie szlochać. Augustine zaczął głaskać go po plecach.

— Ależ proszę nie płakać, towarzyszu Duclos. Nic się nie stało. Doskonale pana rozumiem — mówił. — To zostanie między nami. Taki nasz mały sekret. Jednak mam pewien warunek.

— Jaki?

— Pomoże mi pan stanąć na nogi. Potrzebuję nowego nazwiska, nowej pracy, nowej partii politycznej. Jednym słowem, potrzebuję nowego życia.

— Dlaczego? — zaskoczony Duclos uniósł głowę. — Przecież możesz robić karierę w naszej partii...

— Mogę, ale nie chcę. Albo mi pan pomoże, albo wszyscy się dowiedzą, co pan wyprawia w paryskich kiblach.

Duclos zrozumiał, że wpadł w pułapkę.

Polecił Augustine'a swojej dalekiej kuzynce, trzydziestosześcioletniej starej pannie. Mieszkała w wiejskiej posiadłości pod Bordeaux i nazywała się Charlotte Delacroix.

I tak Augustine zaczął nowe życie. Charlotte zapalała do niego namiętnością i w ciągu roku stanęli na ślubnym kobiercu. Żonka koniecznie chciała mieć dziecko, i choć Augustine tłumaczył jej, że jest za stara, że czasy są niepewne, dopięła swego. Nie przeżyła jednak porodu. Dziecko zmarło po dziesięciu dniach. Tym sposobem Augustine odzyskał wolność, a majątek, jaki zostawiła żona, pozwolił mu na spokojne życie i włączenie się w organizację Francuskiej Partii Socjalistycznej, której stał się filarem. Zrobił błyskotliwą karierę — dwukrotnie był ministrem spraw wewnętrznych, co skwapliwie wykorzystał, by zatrzeć wszelkie ślady po Augustynie Lafargue, jakie mogły przetrwać w archiwach MSW. Tak bardzo wstydził się swojej współpracy z policją Vichy i gestapo, że postarał się, aby z podręczników do historii zniknęło imię i nazwisko człowieka, który strzelał do niemieckiego oficera na stacji metra w 1941 roku.

Jednak przeszłość nie pozwoliła o sobie zapomnieć. Żył człowiek, który wiedział o nieczystych postępках Augustine'a Delacroix podczas wojny — Edgar Juvet, który w 1945 roku przeniósł się do Algierii, gdzie związał się z wojskowymi francuskimi ultranacjonalistami.

\*

Brytyjski transportowiec HMS „Herfordshire” płynął z Genui do Jaffy. Pasażerami były tylko osoby pochodzenia żydowskiego, które jechały do Palestyny. Krążyły plotki, że być może powstanie na tych terenach państwo żydowskie.



Na trap statku wszedł wysoki szpakowaty mężczyzna. Brytyjski żołnierz, zajmujący się kontrolą dokumentów i przydziałem kabin, zapytał:

— Kraj pochodzenia?

— Urodziłem się w Polsce.

— O... tam teraz rządzą komuniści — mruknął Brytyjczyk. — Ale ma pan holenderskie papiery.

— No i co z tego? — mężczyzna wzruszył ramionami. Marynarz popatrzył na niego uważnie.

— Ma pan dokumenty wystawione w Holandii — powtórzył — a urodził się pan w Polsce. To trochę dziwne.

— Nie ma w tym niczego dziwnego. W Polsce mieszkało przecież przed wojną wielu Żydów — odpowiedział Trepper. — Ale jeśli to problem...

Położył na otwartym notatniku urzędnika studolarowy banknot. Anglik z kamienną twarzą schował banknot do kieszeni munduru.

— Jest pan zdeterminowany — stwierdził.

— To prawda. Chciałbym znaleźć się w Palestynie jak najszybciej.

— Proszę wejść. Pokład „B”.

Trepper podziękował skinieniem głowy i poszedł do kajuty. Byli już w niej dwaj młodzi włoscy Żydzi.

Płynąc statkiem, Trepper poczuł, że po raz pierwszy nie musi już nikogo udawać ani nikogo szpiegować, żeby żyć. Otwierały się przed nim nowe możliwości. Był pewny, że przyda się w Palestynie, walcząc za jedyny kraj, za jaki każdy Żyd powinien walczyć, i za który mógłby umrzeć.

Wtedy ten kraj był jeszcze marzeniem.

Ale w 1948 roku marzenie stało się rzeczywistością.



Harro Schulze-Boysen wrócił do Niemiec dopiero w 1947 roku. W rodzinnym Hanowerze nie mieszkał już nikt z jego

najbliższej rodziny. Znalezienie dobrej pracy granoczyło z cudem. Kraj był w ruinie.

Schulze-Boysen zatrudnił się jako mechanik na brytyjskim lotnisku wojskowym. Praca była ciężka, ale Brytyjczycy szybko zaakceptowali tego miłego i pracowitego Fryca, jak go nazywali. Niektórzy dziwili się, że były oficer tak dobrze radzi sobie z naprawą i regulowaniem skomplikowanych przyrządów nawigacyjnych. Kiedy dowiedziano się, że służył w Luftwaffe, przeniesiono go do biura komendantury. Powiedziano mu, że potrzebują tłumacza.

Kiedy po raz pierwszy wszedł do biura, osłupiał. Za biurkiem w sekretariacie siedziała Ulrike Schusser. I ona od razu go poznała.

— Jak pan się tu znalazł? — zapytała zdziwiona i zarazem uradowana.

— To samo pytanie mógłbym zadać pani — powiedział z uśmiechem kapitan i nie zastanawiając się ani sekundy, wziął ją za rękę, wyprowadził z biurka i zamknął w ramionach.

— Pamiętasz naszą rozmowę w Paryżu na dworcu kolejowym? — szepnęła Ulrike.

— Oczywiście.

— A pamiętasz, co wtedy mi powiedziałeś?

— Że jeśli przeżyjemy, to się z tobą ożenię.

— Masz zamiar dotrzymać słowa? — zapytała z figlarnym uśmiechem.

Boysen udawał, że się zastanawia.

— No, mów wreszcie?!

— Tak!

Brat Ulrike, Dietmar Schusser, został stracony po zamachu na Hitlera w lipcu 1944 roku. Ulrike trafiła do obozu.

★

Po wojnie SS-hauptsturmführerowi Gieringowi wiodło się nadzwyczaj dobrze. Z Włoch udało mu się przedostać przez

Morze Śródziemne do frankistowskiej Hiszpanii, gdzie razem z Otto Skorzenym działał w „Odessie”<sup>2</sup>. Dzięki frankistowskiemu reżimowi niemieckim nazistom żyło się doskonale. Wielu ożeniło się z hiszpankami i pędziło żywot niezakłócony wyrzutami sumienia i wojennymi wspomnieniami.

Giering zajmował się finansami „Odessy”. W 1948 roku otworzył w Madrycie trzy duże restauracje, które przynosiły spory dochód. Utył, zapuścił brodę, trudno było rozpoznać w nim dawnego hitlerowskiego oprawcę.

Pewnego kwietniowego dnia jak zwykle odwiózł córkę do szkoły i pojechał do jednej ze swoich restauracji, żeby dopilnować kucharzy, dostawców i sprzątaczk.

Zaparkował samochód przed lokalem. Idąc na zaplecze, zauważył, że przy stoliku w kącie siedzi jakiś człowiek. Spokojnie popijał kawę i czytał gazetę. Giering ze zdziwieniem stwierdził, że jest to przedwojenny numer nazistowskiej gazety „V61-kisher Beobachter”.

— Przepraszam, ale restauracja jest zamknięta. Kto pana wpuścił?

Za jego plecami wyrósł zdenerwowany kelner.

— Szefie, mówiłem mu, że zamknięte, ale powiedział, że jest pańskim znajomym i jest z panem umówiony... — zaczął się tłumaczyć.

— Dobrze, dobrze, zajmę się nim. Odejdź. — Giering machnął niecierpliwie ręką.

Kiedy kelner zniknął na zapleczu, nieznajomy opuścił gazetę. W rękę trzymał mały pistolet z tłumikiem.

— Powiedziałem ci, ty świnio, że cię dopadnę i zabiję — powiedział cicho.

Giering nie wierzył własnym oczom. Jean Gilbert.

— Jak mnie znalazłeś? — wyjąkał.

— Pracuję dla najlepszego wywiadu świata.

---

<sup>2</sup> Organisation der SS-Angehorigen — Organizacja Byłych Członków SS

Padły dwa strzały. Giering osunął się na podłogę. Gilbert wstał, podszedł do ciała, splunął na nie i wycedził przez zęby: — To za Sylvie, bydlaku.



W czerwcu 1961 roku rząd francuski, stojąc w obliczu klęski, podjął negocjacje z algierskimi rebeliantami.

Nie wszystkim Francuzom to się podobało. Do niezadowolonych należał Edgar Juvet, dla którego francuska Algieria była drugą ojczyzną. Nie mógł zrozumieć, dlaczego rząd zdradza swoich obywateli. Któregoś dnia przeczytał w gazecie, że do Algieru przyjeżdżają przedstawiciele rządu, by rozpocząć negocjacje z algierskimi partyzantami. Juvet zobaczył na zdjęciu, które przedstawiało wszystkich członków francuskiej delegacji, Augustine'a Lafargue.

Juvet pędził w Algierze dosyć monotonne życie. Robił to, co umiał najlepiej — był współpracownikiem Ochronnych Oddziałów Operacyjnych, części francuskiego wywiadu, które w czasie wojny algierskiej okryły się złą sławą. Werbował szpicli spośród arabskiej ludności. Poza tym brał łapówki od kilku zaprzyjaźnionych sutenerów w porcie i pomagał kilku wysoko postawionym dygnitarzom francuskiej elity kolonialnej w szpiegowaniu niewiernych żon. Stał się więc przeciwieństwem człowieka, za którego chciał uchodzić przed wojną—wzorowego, nieskorumpowanego policjanta o nieposzlakowanej opinii i ustabilizowanym życiu rodzinnym. Dużo pił. Czasami brał na noc arabską prostytutkę. Kiedyś był gorliwym katolikiem, teraz utracił i wiarę, i złudzenia.



Augustine Delacroix dużo obiecywał sobie po misji w Algierze. Wojna była dla francuskiego rządu coraz bardziej kosztowna, a utrzymanie kolonii stawało się coraz mniej realne.

W Algierii mieszkały prawie dwa miliony Francuzów, jednak Augustine'a nie interesował ich los. W składzie delegacji znalazł się jako przedstawiciel opozycji. Wiedział, że prezydent de Gaulle jest zdecydowany na opuszczenie kolonii. W jego determinacji dostrzegł dla siebie szansę na wzmocnienie pozycji w świecie polityki.



Siedemnastego czerwca, kiedy Juvet wracał wieczorem do domu, spadła na Algierię plaga szarańczy. Owady pojawiały się w chmarach liczących po kilkaset tysięcy osobników, atakowały krzewy, drzewa i pola uprawne.

Spojrzał przerażony na drzewa koło domu. Jeszcze nigdy czegoś takiego nie widział. Gałęzie kołysały się, jakby poruszał nimi wiatr, liście zniknęły pod czarną ruchomą masą.

Wszedł do mieszkania, sprawdził, czy okno jest dobrze zamknięte, nalał sobie wódki i usiadłszy w fotelu, zaczął analizować zdarzenie, które wyprowadziło go z równowagi. Śledził z pomocnikami członków fundamentalistycznej organizacji islamskiej. W dzielnicy, do której Francuzi raczej się nie zapuszczali, zobaczył w tłumie kogoś zdumiewająco podobnego do człowieka, którego złapanie w czasie drugiej wojny światowej stało się jego obsesją.

Jean Gilbert był niczym zły sen.

Juvet nie miał pojęcia, jak ten człowiek mógł przeżyć więzienie Fresnes. Co prawda kilka lat temu pisano we francuskojęzycznej gazecie wychodzącej w Oranie, że w Madrycie zamordowano byłego członka SS Karla Gieringa, i wtedy przemknęło Juvetowi przez myśl, że sprawcą mógł być Gilbert. W artykule wspomniano o specjalnej grupie izraelskiego wywiadu, wykonującej wyroki na zbrodniarzach wojennych.

Zaczął śledzić tego człowieka. Stracił na to pół dnia, jednak śledzony doprowadził go do jedynej w mieście starej synagogi, w której koncentrowało się życie niewielkiej grupy Żydów

aszkenazyjskich. Gilbert wszedł do świątyni, a Juvet udał się nazajutrz do naczelnika algierskiej delegatury Ochronnych Oddziałów Operacyjnych francuskiego wywiadu.

— Tak, Juvet, pomagamy Mossadowi ewakuować znajdujących się w Algierii Żydów — potwierdził naczelnik. — Nie ma pan chyba złudzeń, jaki los czeka algierską synagogę, kiedy wojska francuskie opuszczą ten cholerny kraj.

— Ale ten człowiek jest przestępcą. — Juvet opowiedział wszystko, co wiedział na temat Gilberta.

— Ależ, panie Juvet — prychnął zniecierpliwiony naczelnik — kogo dziś obchodzi wojna? Mnie na pewno nie. Proszę nie zajmować się tą sprawą. Ma pan co innego do roboty.



Pobyt francuskiej delegacji w Algierze zaczął się od rautu w pałacu gubernatora Algierii. Zebrała się tam cała kolonialna śmietanka. Augustine się nudził. Dla zabicia czasu obserwował kelnerkę, ładną, młodą arabską dziewczynę roznoszącą zakąski. Pomyślał, że mógłby po przyjęciu zaprosić ją do hotelu. Przypomniał sobie jednak, co o arabskich kobietach opowiadali koledzy z delegacji podczas lotu nad Morzem Śródziemnym. Gwałcone przez francuskich żołnierzy, nie przestawały gryźć, kopać i pluć. Często rzucały się w czasie walk na kilkunastu francuskich żołnierzy, detonując granat i ginąc wraz z oprawcami.

Augustine szukał nowych podniet. Lubił kobiety. Lubił brać je siłą. Często myślał o Sylvie. Ta algierska dziewczyna była do niej trochę podobna. Tak samo przechylała głowę, poruszała biodrami... To podniecało Augustine'a. Poleciał swoim ochroniarzom, żeby mieli na nią oko. Gdy poszła na zaplecze, złapali ją i zawlekli do magazynu znajdującego się w piwnicach. Jeden z nich pobiegł na górę po deputowanego Delacroix.

Augustine zgwałcił ją przy ochroniarzach, którzy trzymali dziewczynę za ręce i nogi. Rozkoszował się jej jękami i szlochem. Nie podzielił się nią z nikim.

— Może urodzi mojego bękarta — zażartował. Kazał im zawieźć ją do domu, żeby dowiedzieć się, gdzie mieszka. Od tego czasu dostarczano mu o niej informacje.

Kilka lat później, kiedy przybył do niepodległej już Algierii, była żoną jednego z oficerów prezydenta Ben-Belli. Miała syna. Delacroix był pewny, że to jego dziecko.



Juvet postanowił przypomnieć się swojemu podopiecznemu, Augustine'owi. Dzięki temu, gdzie pracował, mógł załatwić sobie wejście do hotelu, w którym mieszkała francuska delegacja.

Usiadł w holu i cierpliwie czekał. Kiedy po półgodzinie pojawił się Augustine, komisarz stwierdził, że bardzo się zmienił. Zmęźniał, a na jego ustach igrał pogardliwy uśmiezek.

Na widok komisarza zbladł.

— Czego chcesz? — zapytał, stając koło fotela, na którym siedział Juvet.

— Nie tym tonem — warknął komisarz, nie wstając. — Zapomniałeś, że tylko dzięki mnie gestapo nie zrobiło z ciebie miazgi w więzieniu?

— Chcesz pieniędzy?

— Nie tylko. Siadaj.

Delacroix usiadł i przysunął fotel do stolika.

— Kopę lat, Augustine... — westchnął komisarz.

— Niech pan nie zaczyna. Nie jestem tym samym człowiekiem, którego znał pan podczas wojny. Nie mam również żadnego długu wdzięczności wobec pana.

— Doprawdy? O ile sobie przypominam, dwa raz uratowałem ci życie. Raz w więzieniu Fresnes, drugi raz, kiedy zabiłem Pierre'a Georges'a. A wiesz, czytałem, że zrobili z niego bohatera wojennego.

— To nie tak. Odchodząc na emeryturę, Jacques Duclos, przywódca Francuskiej Partii Komunistycznej...

— Wiem, kim była ta świnia Duclos! — warknął Juvet.

— Dzięki Duclosowi uczczono Georges'a specjalną uchwałą parlamentu w rocznicę zamachu na stacji metra — dodał Delacroix.

Juvet uśmiechnął się ironicznie.

— W tym zamachu brałeś udział również ty, Augustine. Pamiętasz dzień, w którym poznaliśmy się w więzieniu?

— Czego pan chce?

— O, to już lepsze pytanie. Chcę pomocy.

— Słucham.

— W Algierze jest Gilbert.

— Co?!

— Jean Gilbert. Widziałem go kilka dni temu. Dowiedziałem się z pewnego źródła, że jest oficerem Mossadu. Myślę, że ty, Augustine, pomożesz mi wyrwać się z Algieru, załatwisz mi pracę we Francji, a ja dopadnę dla ciebie Gilberta.

Oczy Augustine'a rzucały mordercze błyski.

— Jutro późnym wieczorem spotkamy się w porcie rybackim i omówimy wszystkie szczegóły — powiedział, opanowawszy się nieco.

— Przyjadę czarnym citroenem. Będę miał dla pana pieniądze.

— Interesy z tobą, Augustine, to prawdziwa przyjemność.

★

Juvet czekał na Augustine'a pewny, że dostał od życia szansę. Augustine nie ośmielił się wystawić go do wiatru. Juvet mógł przecież spotkać się z pierwszym lepszym korespondentem jakiejś wysokonakładowej paryskiej gazety. Artykuł o szpiclu gestapo, który odpowiada za śmierć wielu Francuzów, z pewnością byłby w kręgach rządowych dużym wstrząsem.

Kiedy czarny citroen pojawił się w porcie, Juvet ruszył w jego stronę. W świetle latarni zobaczył, jak Augustine wysiada z samochodu w towarzystwie ochroniarza. Kiedy się do niego zbliżył, Augustine powiedział cicho:



— Nie dałeś mi wyboru...

Wyszarpnął z kieszeni rękę, w której trzymał nóż sprężynowy. Patrząc Juvetowi prosto w oczy, wbił mu go w brzuch. Po chwili ochroniarz zadał mu drugi cios w plecy. Juvet upadł z jękiem. Zabójcy obciążyli ciało kamieniami, związali sznurami, owinęli w koc i wrzucili do morza.



Ponieważ Juvet był cennym współpracownikiem algierskiego wydziału DOP, śledztwo w tej sprawie zlecono nie policji kryminalnej z Algieru, a kontrwywiadowi. Podejrzewano, że został zamordowany przez islamskich fanatyków, których zaciekle tropił. Jednak dwaj młodzi oficerowie kontrwywiadu odkryli straszną prawdę, tym straszniejszą, że jeden z tych młodych oficerów wiedział, że zamordowany Edgar Juvet był jego ojcem.

Jacques Festiger, patrząc na zwłoki ojca wyciągnięte z morza, obiecał sobie, że dowie się, kto i dlaczego go zamordował. Przesłuchano świadków. Kilku robotników widziało w porcie duży czarny samochód. Był to nikły ślad. O wiele bardziej przekonujące dowody Festiger znalazł w mieszkaniu Edgara. Zdziwił się, jak nędznie ojciec mieszkał.

Na odrapanym biurku leżało sprawozdanie z ostatnich dni. Juvet pisał, że spotkał znajomego z czasów wojny, Augustine'a Lafargue'a, który zmienił nazwisko na Delacroix i stał się wpływowym politykiem partii socjalistycznej. Pisał, że Lafargue był zdrajcą i szpiegiem gestapo.

Jacques odkrył prawdę o Augustynie i został odsunięty na boczny tor. Jednak wciąż pamiętał o polityku Delacroix i czekał na okazję, by się zemścić.

## ROZDZIAŁ 30

### Pacjent

Festiger tkwił od jakiegoś czasu za swoim biurkiem i próbował zmobilizować się do spakowania do pudła nielicznych drobiazgów z szuflad. Nie mógł się ruszyć. Był załamany i wściekły. Zadzwoiła komórka. Ojciec.

— Tato, dobrze, że dzwonicz. Mam kłopoty, sędzia Fauchaux odsunął mnie od sprawy. Tak... musiałem oddać odznakę i broń... Mogę do ciebie przyjechać?

Ojciec przyjął go obiadem i butelką dobrego wina.

— Opowiedz mi wszystko — poprosił, gdy usiedli na kanapie w salonie, by napić się po obiedzie koniaku.

Opowieść o sprawie Treppera zajęła Yves'owi ponad dwie godziny. Pułkownik wysłuchał wszystkiego uważnie.

— Nie mamy wyjścia — westchnął, gdy syn skończył. — Muszę uruchomić moje znajomości.

Tato, na miłość boską, jakie ty możesz mieć znajomości? W wojsku?! To nam nie pomoże — parsknął komisarz. Ojciec uśmiechnął się ironicznie.

— Dlaczego się uśmiechasz?

Uśmiecham się, bo ty, podobnie jak twoja świętej pamięci matka, uważasz, że pracowałem w wojsku.

— A nie pracowałeś?

— Synu, co mówi ci skrót DTS?

— Nic. — Yves wzruszył ramionami.

— Direction de la Surveillance du Territoire. Przez czterdzieści trzy lata pracowałem dla kontrwywiadu i służby bezpieczeństwa wewnętrznego — oznajmił Jacques. — Niemal od razu po szkole wrzucono mnie na głęboką wodę. Najpierw były Indochiny, potem Wietnam, gdzie żółtki dały nam nieźle w kość. Pocieszam się myślą, że potem ostro dali w kość także tym głupim jankesom. Potem trafiłem do Algierii. Działy się tam straszne rzeczy. Pilnowaliśmy skrajnie prawicowych działaczy z O AS 3. Byłem w ekipie, która udaremniła dwa zamachy na de Gaulle'a. Potem wróciłem do Paryża, nadeszła wiosna sześćdziesiątego ósmego. Jeśli chodzi o sędziego Fauchaux, to jego niechęć do ciebie bierze się stąd, że to ja go aresztowałem, przesłuchiwałem i kilka razy dałem po pysku.

— Pięknie mnie urządziłeś! — mruknął Yves.

— Przykro mi, synu. W sześćdziesiątym dziewiątym poszedłem w odставку i zajmowałem się mało ważnymi sprawami. Ale nigdy nie straciłem kontaktów. Praca w wywiadzie to układ na całe życie. Nawet jeśli odchodzi się z czynnej służby, nigdy nie wypada się z gry. Byli pracownicy tajnych służb prowadzą różne biznesy, nie zawsze legalne, choć ja zawsze od tego stroniłem.

— Geny Juveta — powiedział cicho komisarz.

— Co?

— Smykałkę do pracy w policji mamy po dziadku.

— To wcale nie jest śmieszne. Pozwól, że dowiem się, o co naprawdę chodzi sędziemu Fauchaux.

— Ojczy, Louise zginęła, bo poprosiła kolegę z pracy, Mi-chela Leroi, o odnalezienie w archiwum materiałów dotyczących Treppera. To ja ją o to poprosiłem. Skoro gość pracował dla Mossadu, to mógł pracować również dla nas.

— Nie sądzę. Gdyby był pracownikiem DTS, na pewno bym o tym wiedział.

— Leroi znalazł w archiwum MSW akta Treppera. — Yves poszedł do holu i wyjął z aktówki poślódką teczkę. — Dał tę teczkę Louise — powiedział, znów siadając. — Dwa dni potem oboje nie żyli.

— Czy Louise mogła komuś powiedzieć, że prosiłeś ją o te materiały?

— Wydaje mi się, że nie.

Nagle komisarz zrozumiał. To Leroi powiedział komuś o słowo za dużo. Zaczął nerwowo chodzić po salonie, intensywnie się nad czymś zastanawiając.

— Uspokój się — powiedział Jacques. — Pozwól, że obdzwonię kilku starych znajomych. Przysięgam ci, że dorwiemy drania, który zabił Louise — dodał z determinacją, która wzruszyła Yves'a.

— Tato...

— Yves, mam wyrzuty sumienia. Zachowywałem się wobec niej bardzo źle...

— Przestań, nie wracajmy do tego.

— Muszę ci to powiedzieć. Kiedy Louise w dniu swojej śmierci przyjechała do mnie po dzienniki Juveta. Byłem na nią zły... ale wiedziałem... — Jacques szukał odpowiedniego słowa. — Przekonałem się, że ona cię kochała. Gdyby jej na tobie nie zależało, nie interesowałaby się całą tą sprawą.

Zapadła ciężka cisza. Przerwała ją komórka Yves'a. Telefonowała żona Al-Douriego, przestraszona i zdezorientowana. Mąż od dwóch dni nie pokazał się w domu, jego komórka milczy. Zostawił list, w którym napisał, żeby o nim zapomniała.

— Co się stało? — zapytał pułkownik, gdy Yves skończył rozmawiać.

— Nowe kłopoty, tato. Al-Douri zniknął.

★

Sylvie Ivory nie spodziewała się, że przeszłość dopadnie ją ponad pięćdziesiąt lat po zakończeniu wojny. Spojrzała na

ostatni list Gilberta. Pisał, że agenci Mossadu są na tropie płatnego mordercy Hermanna Krabbego, który na niego poluje. Trafili na niego w Internecie. Dobrze się maskował, ale to dla izraelskich speców od komputerów nie było żadnym problemem. Kontaktował się z kimś we Francji, ale nie udało się jak na razie ustalić z kim.

Chciała już wyjechać z Paryża. Była załamana. Coś, co miało być podróżą sentymentalną, zamieniło się w koszmar. Postanowiła, że wyśle Nicole do Genewy z upoważnieniem do podjęcia pieniędzy z banku Hugona Tranknera, a potem jak najszybciej wrócić do Stanów i o wszystkim zapomną.

Nie mogła opanować irracjonalnego lęku. Towarzyszył jej, gdy zasypiała i gdy się budziła. Tak, najwyższy czas wracać do poczciwej Ameryki.



Delacroix miał poważne powody do niepokoju. Od sędziego Fauchaux dowiedział się, że policja aresztowała Krabbego. Oczywiście nie zapytał o niego wprost, udawał, że interesuje się sprawą zabójstwa córki Pierre'a Domrémy'ego, polityka partii socjalistycznej.

Jego plan zemsty polegał na tym, żeby najpierw zlikwidować Treppera, a potem, gdy upewni się, że Sylvie z tego powodu cierpi — zabić i ją. Nigdy nie darował jej, że go odtrąciła i upokorzyła. Teraz był wszechwładny, ale sytuacja wyraźnie wymykała się spod jego kontroli. Właśnie otrzymał wiadomość, że ktoś podjął pieniądze z konta Sylvie Faveur w banku Tranknera. On też trzymał tam pieniądze, a ponieważ sobie tylko znanymi kanałami dowiedział się, że w banku tym deponują gotówkę byli naziści, po krótkiej rozmowie z dyrektorem przekonał go, że ceną za jego milczenie będzie udostępnianie mu pewnych informacji.

Nie mógł opanować wściekłości. Z trzaskiem zamknął laptopa i rzucił nim o ziemię. Po chwili do pokoju wpadła pielęgniarka.

— Panie Delacroix, co się stało?

— Ach nic, kochanie — odpowiedział Augustine, z trudem się opanowując. — Laptop spadł na podłogę. Gdybyś mogła...

Pielegniarka, zastanawiając się, jakim sposobem komputer mógł wylądować pod oknem, podniosła go, sprawdziła, czy nie jest uszkodzony, i położyła na kolanach chorego.

— Dziękuję, jesteś aniołem.

Ze wszystkich pacjentów tej kliniki, którymi byli głównie politycy i ich rodziny, Augustine Delacroix najczęściej mówił słowo „dziękuję”. Z tego też powodu w przedterminowych wyborach 1997 roku, kiedy lewica zgniotła niespodziewanie prawicowy rząd, pielegniarka oddała głos właśnie na socjalistów.

★

Po telefonie ojca Al-Douri nie miał wątpliwości, że stał się pionkiem w ręku tego mściwego i złego człowieka. Najgorsze było jednak przeświadczenie, że Allah go opuścił.

Czuł się zaszczuty. Nie chciał, by jego żona i dzieci wróciły do Algieru, stając się pośmiewiskiem sąsiadów i rodziny, która zazdrościła im życia w Paryżu. Nie wiedział, co zrobić: pomścić hańbę matki i śmierć żony przyjaciela, czy ulec szantażowi.

Pojechał do meczetu przy rue du Faubourg St-Denis i tam spędził na żarliwej modlitwie cały dzień. Wątpliwości zniknęły — nie ma innego wyjścia, musi pomścić matkę i Louise.

★

Festiger na próżno próbował skontaktować się z Al-Dourim. Komórka była najwyraźniej wyłączona. Pojechał do jego domu, ale od żony nie dowiedział się niczego nowego. Pozostawało czekanie. Wrócił do siebie, zaparzył kawę i zaczął przeglądać dzienniki Juveta.

Yves wziął do ręki trzeci zeszyt. Otworzył w miejscu zaznaczonym przez ojca kartką. Był to fragment z lutego 1943 roku, w którym Edgar z właściwą sobie złośliwością pisał o swoich podejrzeniach względem dentysty nazwiskiem Maleplate. Nagle na jednej z wcześniejszych stron zauważył nazwisko — Sylvie Faveur. Składała fałszywe, zdaniem komisarza, zeznania, które pomogły Trepperowi uniknąć aresztowania.

Edgar dużo miejsca poświęcił jakiemuś szpiclowi gestapo, Augustine'owi Lafargue'owi.



Kolega starego Festigera z Algieru, Nicolas Clouchy, był teraz doradcą Chiraca do spraw międzynarodowego terroryzmu. Przez cały czas utrzymywali kontakt, jednak z uwagi na to, iż pułkownik był człowiekiem niezwykle zajęтым, nie spotykali się zbyt często. Lecz gdy Festiger zadzwonił, pułkownik chętnie zgodził się spotkanie. Przyjął go w swoim gabinecie w Pałacu Elizejskim.

— Jacques, co cię sprowadza? — zawołał, wstając energicznie zza biurka, by się przywitać. Mimo swoich lat zachował sprężystą sylwetkę.

— Czy powinienem zwracać się do ciebie „panie ministrze”? — zażartował Festiger.

— Tylko przy ludziach.

Zaśmiali się i uściskali. Clouchy polecił sekretarce, żeby nikogo nie łączyła.

— No to o co chodzi? — zapytał.

— O dawne dzieje. Pamiętasz sprawę zamordowania Edgara Juveta w Algierze, przez trzydziestu siedmiu laty?

— Jak mógłbym nie pamiętać tej sprawy... Po tym śledztwie ciebie wykopano za karę na Polinezję, a mnie na Martynikę — westchnął Nicolas. — Nadepnęliśmy chyba wtedy na odcisk jakiemuś sukinsynowi. Nie pamiętam, jak on się nazywał...

— Augustine Delacroix.

— Ach tak... ten socjalistyczny cyniczny drań. Jeśli mnie pamięć nie myli, został potem szefem MSW?

— Aż dwa razy. Co on teraz robi, bo zgaduję, że nie umarł, prawda?  
— zapytał stary Festiger.

— Nie. Leży w jakiejś klinice rządowej, bo kilka lat temu miał wypadek samochodowy i jest sparaliżowany. Niedawno odwiedził go premier Jospin. Pamiętam to, bo pokazywali w dzienniku.

Jacques się zamyślił.

— Zechciałbyś mi wreszcie powiedzieć, o co chodzi? — zapytał Clouchy niecierpliwie.

— Zaraz ci wszystko wyjaśnię. Czy mógłbyś ściągnąć tutaj córkę?

Córka Nicolasa, Katherine Soire, była dziennikarką, pracowała w „Le Figaro”. To ona wywołała swego czasu burzę, pisząc artykuł o pieniądzach na kampanię prezydenta Mitterranda, niekwestionowanego męża opatrnościowego francuskiej lewicy.

— Jacques, tylko mi nie mów...

— To, co mam do powiedzenia, będzie skandalem godnym pióra twojej córki. Dzwonź do niej, i poproś ją, żeby jak najszybciej przyjechała!

★

Al-Douri zmierzał do komisariatu, w którego areszcie siedział Krabbe. Oficjalnie po to, by go przesłuchać.

Gdy stanął w drzwiach jego celi, Niemiec spał. Komisarz poprosił policjanta, który z nim przyszedł, żeby zostawił go sam na sam z zatrzymanym. Podszedł do Krabbego i szarpnął go kilka razy za ramię.

Krabbe otworzył oczy i popatrzył na niego spode łba.

— Jesteś gliniarzem? — mruknął.

— Tak.

— Nie będę odpowiadał na żadne pytania — oświadczył, odwracając się do ściany.



— Wstawaj! — Al-Douri złapał go za rękaw i jednym szarpnięciem odwrócił w swoją stronę. — Kto cię wynajął? — syknął.

— Spierdalaj... — Niemiec popatrzył uważnie na Al-Douriego. — Ty, glino, czy ty jesteś Francuzem?

— Nie twój zasrany interes.

Al-Douri kopnął go w krocze. Krabbe zwinął się na pryczy, zamroczony przez ból. Algierczyk złapał krzesło i przygniótł mu gardło.

— Kim jest człowiek, który cię wynajął, sukinsynu? Gadaj ! — wrzasnął.

Krabbe zacharczał. Al-Douri zwolnił na chwilę nacisk. Po chwili usłyszał, że Krabbe mówi szeptem:

— Nie wiem, przysięgam... Al-Douri postawił krzesło na podłodze.

— Miałem zamiar cię wykończyć, bydlaku. Ale nie mogę odmówić ci przyjemności procesu i wysłuchania wyroku. Życzę ci, sukinsynu, pierdła w Gujanie Francuskiej.



Sylvie Ivory siedziała przy oknie i patrzyła, jak nad Paryżem zapada zmierzch. Czekwała na Nicole, która chyba powinna jechać już z lotniska. Gdy zadzwonił telefon, była pewna, że to ona.

— Dzień dobry, moja droga Sylvie — odezwał się w słuchawce starczy męski głos. — Mam nadzieję, że mnie pamiętasz.

— To pomyłka. Proszę się wyłączyć, czekam na telefon.

— Nie rozłączę się, kochanie. Czekałem na tę rozmowę od czasów wojny. Ostatnim razem, kiedy rozmawialiśmy, nie byłaś dla mnie miła.

Sylvie poczuła obezwładniający strach. W jednej chwili wróciły koszmarnie wspomnienia. Już wiedziała, kto do niej zadzwonił.

— Co, zaniemówiłaś? — zaskrzeczał Augustine.

— Nie spodziewałam się znowu cię usłyszeć, Augustine — odrzekła chłodno. — Czego chcesz?

— Sylvie, bardzo chciałem zrobić ci jakąś przykrość, bo tylko twoje cierpienie może mnie uszczęśliwić.

— Jesteś chory!

— Przede wszystkim wiedz, że pozbyłem się tego drania, z którym mnie zdradziłaś...

— To ty zabiłeś Jeana?

— Tak. Ale mam zamiar zabrać się za twoją wnuczkę, kochanie.

Sylvie z trudem łąpała powietrze.

— Zastanawiam się, co z nią zrobić? Może karzę moim ludziom złamać jej kręgosłup, albo zgwałcić. A może jedno i drugie...

— Jesteś żalosny... zawsze byłeś żalosny. Nie wierzę ci, sukinsynu, nie wierzę ci... — Rzuciła słuchawkę.

Żałowała, że nie pokazała komisarzowi Festigerowi listu od Gilberta. Jeśli Augustine rzeczywiście chce dostać w swoje ręce Nicole, myślała gorączkowo, idąc w stronę garderoby, to na pewno zrobi jej krzywdę. Jest do tego zdolny. Wyjęła z torebki wizytówkę Festigera i drżącymi palcami wybrała jego numer. Komisarz był gdzieś pod Paryżem. Powiedział, że przyjedzie najdalej za pół godziny.

Sylvie opadła bez sił na fotel. Poczowała straszliwy ucisk w klatce piersiowej. Zadzwoiła do recepcji, mówiąc, że bardzo źle się czuje i prosi o wezwanie lekarza. Dwie minuty później pokojówka znalazła ją leżącą na dywanie. Odwieziono ją z podejrzeniem zawału do szpitala Świętego Wincentego à Paulo przy avenue Denfert-Rochereau.



W apartamencie Sylvie Ivory Festiger zastał Nicole. Była załamana. Szlochała jak mała dziewczynka, na dywanie leżały

zużyte chusteczki higieniczne. Usiadł obok niej i ją przytulił. Miał ochotę ją pocałować.

— Chcę pojechać do babci — wychlipała. — Pojedzie pan ze mną?

— Oczywiście. Ale musisz się uspokoić. Babcia nie może zobaczyć cię w takim stanie. Wszystko będzie dobrze. Ciii...

Dziewczyna potrzebowała jeszcze kwadransa, żeby dojść do siebie. Poszła do łazienki, umyła twarz i przytomnie stwierdziła, że trzeba jak najszybciej zawiadomić rodzinę w Stanach. Zatelefonowała i poprosiła, aby przylecieli do Paryża najszybciej jak to możliwe.

Stan Sylvie Ivory lekarze określili jako ciężki, ale stabilny. Zawał był wynikiem silnego wstrząsu. Komisarz zaczął się zastanawiać, co mogło aż tak wyprowadzić ją z równowagi. Miała gościa? Ktoś do niej zadzwonił? Ktoś jej groził?

Festiger zostawił Nicole przy babci, wybiegł przed szpital i zadzwonił z komórki do ludzi z sekcji teleinformatycznej. Poprosił, żeby sprawdzili, kto telefonował do apartamentu numer 209 w hotelu Continental. Wiedzano, że Festiger jest odsunięty od sprawy, ale ponieważ był lubiany i wszyscy współczuli mu po śmierci Louise, mógł liczyć na pomoc.

Po półgodzinie dowiedział się, że do Sylvie Faveur dzwoniono z kliniki rządowej w Nancy.



— Jacques, to nie jest wystarczający powód do oskarżenia — stwierdził Clouchy, gdy Festiger skończył swoją opowieść.

— Właśnie, nie ma pan dowodów — poparła ojca Katherine.

— Yves powie wam o wiele więcej na temat śledztwa. Ja mogę pokazać tylko to...

Wyjął z aktówki kserokopię fragmentu dziennika Juveta, w którym była mowa o szpiclu gestapo, Augustinie Lafargue'u.

Opowiedział, że prowadząc śledztwo w sprawie zabójstwa swojego ojca, dowiedział się, że świadkowie z portu widzieli kogoś podobnego do Delacroix. Zbadał też jego przeszłość i wiedział, że polityk kiedyś nazywał się Lafargue.

— Razem z pani ojcem zostaliśmy odsunięci od pracy w kontrwywiadzie i wysłano nas na mało znaczące placówki zagraniczne — zakończył.

— Dlaczego? Przecież odkryliście prawdę.

— Dla polityków, Katherine, prawda bywa najczęściej niewygodna. De Gaulle potrzebował sukcesu. Negocjacje z algierskimi partyzantami, które w efekcie odprowadziły do opuszczenia przez nas Algierii w sześćdziesiątym trzecim, były przez pewną, wcale niemałą część społeczeństwa, postrzegane jako zdrada interesów narodowych. W tamtym czasie my, czyli kontrwywiad, wydaliśmy śmiertelną walkę OAS, a dobrze wiesz, jako dziennikarka zajmująca się polityką, że OAS czyhała na życie de Gaulle'a. On nie mógł pozwolić sobie na skandal. Nie mogło wyjść na jaw, że w delegacji, która negocjowała z Algierczykami, znalazł się były konfident gestapo. To byłby gwóźdź do trumny prezydenta.

— O Boże... — westchnęła Katherine.

— Może pani napisać, że legenda francuskich socjalistów była szpiclem gestapo i policji Vichy. Może też pani napisać o Edgarze Juvecie. Nie mam nic przeciwko temu. Poza tym jestem przekonany, że Delacroix wie coś o pieniądzach na kampanię Mitterranda i o podsłuchach, jakie Mitterrand kazał zakładać politykom opozycyjnej prawicy.

Zadzwoń na komórkę Jacquesa.

— No, co tam, Yves...

Komisarz opowiedział ojcu, co stało się z Sylvie Ivory oraz o telefonie z kliniki w Nancy.

— Synu, wsiadaj natychmiast w samochód i przyjedź pod Pałac Elizejski...

— Zostałeś prezydentem?

— Nie czas na żarty. Odwiedzam kolegę. Właśnie mówimy o sprawach, które mogą cię zainteresować. Pytaj o biuro doradcy do spraw zwalczania terroryzmu, pułkownika Clouchy. Ochroniarze cię zaprowadzą.

— Będę za pół godziny.

Jacques popatrzył z triumfem na Katherine i jej ojca.

— W jakim szpitalu leży Delacroix? Miałeś to dla mnie sprawdzić.

— No tak... ale sekretarka poszła już do domu. Może coś zostawiła...

Pułkownik wyszedł, a po chwili wrócił rozpromieniony z małą samoprzylepną karteczką.

— Delacroix jest w klinice rządowej w Nancy.

\*

Yves odczytał na głos fragment dziennika Juveta z lutego 1943 roku. Katherine Soire ze zdziwieniem dowiedziała się, że Augustine Delacroix znał Leopolda Treppera i Sylvie.

— Skąd pewność, że ta Sylvie to Sylvie z dziennika?

— Sama mi to powiedziała. Nazywała się wtedy Faveur. Tak jak osoba, o której pisze Juvet.

Augustine był cynicznym, sprytnym i diabelnie niebezpiecznym człowiekiem. Jednak najbardziej przerażająca była jego obsesyjna chęć zemsty.

— Słuchajcie — powiedział Jacques — dowiedzieliśmy się, kto stoi za morderstwami tylko dzięki zbiegowi okoliczności, a może dzięki niezwyklej drobiazgowości Edgara. Można uznać, że w ten sposób mój ojciec odkupił część swoich win.

— Ma pan rację — przyznała Katherine. — Dzięki temu fragmentowi dziennika wiemy, że Augustine Delacroix nie jest człowiekiem, za którego uważa go wielu Francuzów. Miał również motyw, żeby zabić Treppera.

— Piekielną złość rogacza — przytaknął Yves. — Kto by przypuszczał...

— Słuchajcie mnie — odezwał się Clouchy. — Jest co prawda późno, ale jeśli wsiądziemy teraz w samochód, rano będziemy w Nancy.

Kwadrans później citroen komisarza mknął ulicami nocnego Paryża, wypełnionymi tłumami kibiców.

## EPILOG

Klinika mieściła się na przedmieściach Nancy. Była strzeżona przez żandarmerię, ale wystarczyło, że pułkownik Clouchy pokazał dokumenty, a wartownicy ich przepuścili. Budka żandarmów znajdowała się dwa kilometry od budynków kliniki, a dwupasmowa droga dojazdowa wiodła przez las. Prowadząc samochód, Yves zastanawiał się, czy prawda o zabójstwie starego Izraelczyka warta była tylu ofiar? Gdyby nie śmierć Louise, bez wahania odpowiedziałby, że tak. Spojrzał w lusterku na pułkownika i na jego córkę. Był pewny, że jej artykuł o zamordowaniu Treppera wstrząśnie Francją. Teraz mieli stawić czoło hydrze, która przybrała postać bogatego, wpływowego i pazerneho polityka, któremu wydawało się, że stoi ponad prawem. Jednak bez pomocy człowieka siedzącego obok komisarza odnalezienie i pokonanie tej bestii byłoby niemożliwe.

Popatrzył na ojca z wdzięcznością. Nie doceniał go. Przez lata był przekonany, że Jacques jest zwykłym emerytowanym wojskowym, który nie widzi nic poza czubkiem własnego nosa i kolegami. Teraz wiedział, jak bardzo się mylił.



Na parkingu, gdzie zostawili citroena, zauważył auto, które wydało mu się znajome. Był to błękitny volkswagen golf, taki,

jakim jeździł Al-Douri. Nad ranem komisarz odebrał telefon. Dzwonił sędzia Fauchaux, który próbował się dowiedzieć, gdzie jest Al-Douri.

— Sam się nad tym zastanawiam, panie sędzio — odparł Festiger.

Sędzia powiedział mu, że podkomisarz Al-Douri wczoraj po południu pobił w areszcie podejrzanego Hermanna Krabbego.

— Cóż, panie sędzio, czasami trzeba dać po prostu w mordę ludziom, których pan najchętniej wypuściłby za kaucją — skwitował komisarz i się rozłączył.

Weszli do recepcji, gdzie strażnicy poprosili ich o okazanie dokumentów, a Festigera o oddanie służbowej broni. Policjant, dziennikarka, doradca z Pałacu Elizejskiego i emerytowany wojskowy... strażnik popatrzył na nich pytająco, ale ich wpuścił.

— Proszę nie zapomnieć o obuwiu ochronnym i fartuchach. Tam jest automat! — krzyknął za nimi.

— Przynajmniej będziemy wyglądali jak lekarze — zażartował Yves.

Wsiedli do windy, która zawiozła ich na czwarte piętro. Pielęgniarka w dyżurce wskazała im salę, gdzie leżał Delacroix.

— Na pewno się ucieszy — zapewniła. — Tak mało ludzi go odwiedza. Ostatnio był tylko premier Jospin, ale było to rok temu. Dzisiaj przyszedł syn...

— Syn? Kiedy? — zainteresował się Jacques.

— Jakieś pół godziny temu, ale wydaje mi się, że już sobie poszedł.

— Hmm, nie wiedziałem, że miał syna — mruknął Clouchy.

\*

Al-Douri stanął przy łóżku ojca.

— Witaj, synu — powiedział po arabsku Augustine.

— Teraz już wiem, kim jesteś — wycedził Joseph. — Nie zasługujesz, żeby nazwać cię ojcem, kanalio.

— Jesteś moim synem. Nie zmienisz tego.

— Czym innym jest spłodzić dziecko z miłości, a czym innym jest wykorzystać kobietę dla zaspokojenia swojej chuci, ty...

— Zamknij się. Wystarczy jedno moje słowo, i wszyscy wróćcie do algierskiego chlewu.

— Licz się ze słowami. Po co mnie wezwałeś?

— Jestem już stary i niedługo umrę.



— Jeśli o mnie chodzi, możesz umrzeć choćby zaraz.

— Już niedługo, już niedługo... — Na twarzy starca pojawił się grymas, który miał być zapewne uśmiechem. — Zanim jednak nadejdzie ta chwila, chciałem cię zobaczyć i powiedzieć ci, że chcę, abyś mnie pochował i opłakiwał, jak kochający syn opłakuje ojca...

— Oszalałeś, psie! — syknął Al-Douri.

— Nie oszalałem — odparł Augustine spokojnie. — Zrobisz to, w przeciwnym wypadku twoja rodzina znajdzie się na bruku w Algierze. Już moi adwokaci o to zadbają. Jeśli zrobisz, co każę, otrzymasz nagrodę.

— Brzydzę się tobą, ty wieprzu! Kazałeś zamordować żonę mojego przyjaciela...

— Jedna śmierć nic nie znaczy. Wiem, że mnie nienawidzisz. Tym bardziej cieszę się, że będziesz musiał przemóc swoją nienawiść i spełnić warunki, jakie ci stawiam. Czy nie interesuje cię, jaką nagrodę dla ciebie przygotowałem?

— Nie. Twoje pieniądze cuchną trupem!

— Po co ten patos? Zrobiłem w życiu wiele strasznych rzeczy, ale wiem, że niczego nie żałuję. Niczego.

Al-Douri, jadąc do kliniki, był pewny, że go zabije. Teraz jednak łkał, zaciskając bezsilnie pięści.

— Tak, płacz, mój synu. Chciałbym, abyś tak płakał, kiedy umrę.

— Nigdy! — krzyknął Al-Douri i rzucił się na ojca. — Dość tego, łajdaku — sapał, zaciskając palce na jego szyi. — Już więcej nikogo nie skrzywdzisz...

Nagle drzwi się otworzyły i do środka weszli Jacques, Yves,

Katherine i pułkownik Clouchy. Al-Douri odskoczył od łóżka. Delacroix zachłannie łapał powietrze, trzymając się za gardło. Wszyscy stali w niezręcznej ciszy.

— Ten stary sukinsyn sprawia wrażenie, jakby go ktoś nakrył na świntuszeniu pod kołdrą — odezwał się w końcu Yves.

— Co państwa sprowadza? — spytał Delacroix, odzyskując pewność siebie.

— Pracuję dla dziennika „Le Figaro”. Czy zechciałby pan udzielić mi wywiadu? — zapytała Katherine.

— Powinna pani mnie uprzedzić! Czy wywiad będzie dotyczył polityki zagranicznej, czy wewnętrznej? — Delacroix znów wskoczył w skórę polityka. Jego głos, mimo że chrapliwy, był władczy i onieśmielający. Błady Al-Douri cofnął się pod ścianę. Nie mógł opanować drżenia rąk, co nie uszło uwagi Festigera.

— Wywiad będzie dotyczył powiązania historii z czasami współczesnymi...

Dziennikarka włączyła dyktafon.

— To dobrze. Nie jestem na bieżąco, wie pani... — westchnął, pokazując gestem łóżko.

— Czy był pan w Paryżu podczas drugiej wojny światowej?

— Tak... ciężko pracowałem i walczyłem za Francję.

— Czy nosił pan wtedy nazwisko Lafargue?

— O co... o co pani chodzi? Nie rozumiem... — Delacroix wyglądał, jakby nagle uszło z niego powietrze.

— To chyba proste pytanie — stwierdziła z przekąsem dziennikarka.

— Czy znał pan policjanta o nazwisku Edgar Juvet?

— Nie, nie znałem.

— A to ciekawe, bo on znał pana. Pozostawił intrygujący pamiętnik, w którym napisał, że był pan konfidentem gestapo i doprowadził pośrednio do aresztowania i śmierci wielu ludzi. Jak pan to skomentuje?

— To kłamstwo! Proszę wyjść! Koniec wywiadu!

— Czy zna pan Sylvie Ivory, która była kiedyś pańską kochanką? Nazywała się wtedy Faveur? — drażyła Katherine.

Delacroix zaczął się dusić. Sięgnął po inhalator.

— Czy groził pan wczoraj, że zabije jej wnuczkę? Czy to pan doprowadził do zabójstwa obywatela Izraela, Leopolda Treppera, nasyłając na niego płatnego mordercę?

Starzec zrobił się siny. Zaczął się trząść.

— Czy to pan, wiedziony chęcią zemsty, doprowadził do zamordowania Michela Leroi, szefa archiwum MSW, oraz Louise Marchand z departamentu digitalizacji danych tegoż ministerstwa?! — Katherine prawie krzyczała, pochylając się nad łóżkiem.

— Pięknie, panie przewodniczący! Są ze mną ludzie, którzy pomogli mi zebrać dowody tych zbrodni. Zapewniam pana, że już wkrótce wszyscy Francuzi przeczytają prawdę o tym, jakim jest pan człowiekiem, panie Delacroix!

Augustine chciał coś powiedzieć, ale z jego gardła wydobył się bezradny charkot.

— Obiecuję panu skandal i proces — wycedziła Katherine. — Ma pan to jak w banku!

Nagle zauważyli w kącie pokoju jakiś ruch. Zupełnie zapomnieli o Al-Dourim, który, śmiertelnie blady, przez cały czas stał oparty o ścianę, a teraz osunął się na ziemię.

— Zidane, co się stało? — dopytywał się Festiger, kucając przy nim. — Co się z tobą dzieje?

— Przyjeżdżając do Francji, myślałem, że zacznę nowe życie powiedział cicho Joseph, patrząc nieprzytomnym wzrokiem. — Ale to wszystko był zły sen. Słyszysz, Yves, zły sen! Cokolwiek się teraz wydarzy, nic nie będzie takie jak było. Puść mnie! Pozwól mi... — Wstał i odepchnął komisarza. — Jest jeszcze jedna zbrodnia, którą ma na sumieniu—ciągnął, wskazując ruchem głowy Delacroix. — W sześćdziesiątym pierwszym w Algierze zgwałcił arabską dziewczynę... — Wszyscy wpatrywali się w niego w napięciu.—Tą dziewczyną była moja matka...

Stary Delacroix zaczął się śmiać.

— A nie mówiłem ci, synu, że jesteś kością z moich kości i krwią z mojej krwi? — zapytał po arabsku.

Nagle Al-Douri rzucił się w stronę otwartego okna. Festiger skoczył za nim. Spóźnił się o ułamek sekundy. Usłyszeli przeraźliwy krzyk jakiejś kobiety i suche uderzenie. A potem zapadła śmiertelna cisza...



Francja zdobyła mistrzostwo świata. Zinedine Zidane, dziecko algierskiej rodziny z Marsylii, strzelił Brazylii dwa gole. Jednak ósmego lipca, kiedy rozgrywany był mecz finałowy, Festiger stał na małym mużułmańskim cmentarzu, przy grobie Josepha Al-Douriego.

Był ostatnią ofiarą Augustine'a Delacroix. Nazajutrz po wydarzeniach w Nancy dziennik „Le Figaro” opublikował artykuł, który wstrząsnął francuską opinią publiczną. Wybuchł skandal, z którego długo musiały się tłumaczyć władze partii socjalistycznej. Augustine stanął przed sądem. Dostał dożywocie. Hermann Krabbe został skazany na dwadzieścia pięć lat więzienia w Gujanie Francuskiej.

Melisa le Beouff miała odsiedzieć piętnaście lat.

Augustine po ogłoszeniu wyroku dostał wylewu. Po dwóch dniach zmarł. Po raz ostatni miał szczęście. Uciekł przed karą.

Na jego pogrzeb nikt nie przyszedł. Koszty pochówku pokryła partia socjalistyczna.

Sędzia Fauchaux stracił pracę. Podobno założył agencję detektywistyczną.



Yves stał zamyślony nad mogiłą przyjaciela.

— Jesteś pewny? — spytał ojciec, podchodząc do niego. Syn popatrzył ojcu w oczy.

— Nigdy nie byłem niczego tak pewny jak tego. Jacques się uśmiechnął. Dzięki wstawiennictwu pułkownika

Clouchy i rozgłosowi, jaki przyniósł mu proces Augustine'a

Delacroix, Yves dostał posadę w Nowym Jorku przy francuskim konsulacie generalnym. Rzecz jasna jako pracownik wywiadu.

Ale istniał również inny powód, który ułatwił Yves'owi podjęcie decyzji o wyjeździe. Nicole Ivory.

Sylvie nie umarła. Gdy tylko poczuła się lepiej, wróciła do Stanów, gdzie opiekowali się nią synowie.

- Oj, synu... W wywiadzie to dopiero jest harówka... — westchnął Jacques.

## OD WYDAWCY

Książka Wojciecha Dutki *Taniec szarańczy* opowiada o wydarzeniach, które nigdy nie miały miejsca, lecz zawiera także fakty historyczne, i to fakty mało znane i bardzo interesujące. Bohater powieści, Leopold Trepper, żył naprawdę i to on stworzył komunistyczną siatkę szpiegowską, nazwaną przez Niemców *Rote Kapelle* — „Czerwona Orkiestra” — on sam zaś zyskał miano „Wielkiego Dyrygenta”.

„Absurdem byłoby twierdzić, że gdyby nie »Czerwona Orkiestra« Hitler wygrałby wojnę” — mówił Trepper. Prawdą jest jednak, że za sprawą siatki wojska niemieckie poniosły duże straty, a jej działalność nie pozostała bez wpływu na przebieg drugiej wojny światowej. Szef Abwehry, admirał Canaris, ocenił, że praca samej tylko grupy berlińskiej „Czerwonej Orkiestry” kosztowała Niemcy życie dwustu tysięcy żołnierzy.

Leopold Trepper był Żydem, urodził się 23 lutego 1904 roku w Nowym Targu, jego ojciec prowadził mały sklepik, żyli w nędzy. „Moja rodzina była »typowo« żydowska, ale ta »typowość« cechowała wszystkie żydowskie rodziny” — pisał w swoich wspomnieniach. W poszukiwaniu lepszego życia Trepperowie przenieśli się w 1921 roku do Dąbrowy Górniczej. „Warunki egzystencji robotników były potworne — wspomina Trepper. — To tam naprawdę utwierdziła się we mnie stopniowo świadomość przynależności do klasy robotniczej. Po kwestii narodowościowej odkryłem walkę klasową”. Kierował organizacją Haszomer Hacair, działał także w Komunistycznym Związku

362

ku Młodzieży Polskiej pod pseudonimem Domb. Pracował w hucie, a potem w fabryce mydła. Trudnił się też przemysłem alkoholu z Dąbrowy do Krakowa. Gdy był w Krakowie, uczęszczał na wykłady na Uniwersytecie Jagiellońskim, w 1923 brał udział w rozruchach politycznych w tym mieście.

W 1924 wyjechał do Palestyny zajmowanej wówczas przez Brytyjczyków. Pracował na plantacji, a wyzysk, jakiemu był poddawany, spowodował, że wstąpił do Palestyńskiej Partii Komunistycznej, za co najpierw trafił do więzienia, a następnie został deportowany do Francji. W 1930 roku w Marsylii zetknął się z radziecką siatką wywiadowczą. Te

kontakty zaprowadziły go do Moskwy (tam również dotarła jego żona z maleńkim synkiem), gdzie podjął studia na Uniwersytecie Mniejszości Narodowych. Rozpoczął działalność na rzecz wojskowego wywiadu radzieckiego. W 1938, z paszportem kanadyjskiego biznesmena i walizką z dziesięcioma tysiącami dolarów, wyjechał do Belgii, by założyć firmę, mającą być przykrywką dla działalności wywiadowczej. Gdy firma już dobrze prosperowała, zdobyła kontakty i klientów, Moskwa zaczęła przysyłać wykwalifikowany personel: radiotelegrafistów, kryptologów i dobrze wyszkolonych szpiegów (m.in. Wiktora Sokołowa-Guriewicza, legitymującego się urugwajskim paszportem). Organizacja trwała jednak w uśpieniu — czekano, aż Niemcy zwrócą się przeciwko Związkowi Radzieckiemu. W sierpniu 1940 roku Trepper, jako Jean Gilbert, przybył do Paryża, gdzie założył tajną organizację, tym razem działającą pod przykrywką, jaką było przedsiębiorstwo „Simex”. Jego ludzie przeniknęli do takich miejsc jak klinika rządowa, w której leczyli się wysocy urzędnicy francuskiej administracji i władz okupacyjnych, czy sekretariat niemieckiego ambasadora Otto Abetza, gdzie zwerbowano do współpracy Anne Margaret Hoffman-Schiltz. Jednym z ważnych źródeł informacji był zagorzały antynazista, oficer Luftwaffe, kapitan Harro Schulze-Boysen.

Do 1942 roku „Czerwona Orkiestra” drogą radiową przesłała do Moskwy tysiące informacji o ruchach niemieckich wojsk, ich wyposażeniu, a nawet stenogramy z narad u Hitlera. Pierwszego członka „Orkiestry” aresztowano dopiero w 1941 roku. Mimo tortur — nie wydał nikogo. Posypały się dalsze aresztowania, w końcu wpadł sam

Trepper, a stało się to tak jak w powieści — w gabinecie dentystycznym. Nie stawiał oporu, od razu zgodził się na współpracę. Nie tylko wskazał, gdzie ukrywają się członkowie siatki, ale także ułatwił ich złapanie. Dzięki jego pomocy do końca 1942 roku cała siatka została zlikwidowana. Wysyłał też do Moskwy fałszywe meldunki.

Jego zachowanie tak tłumaczy Bogusław Wołoszański w książce *Tajna wojna Hitlera*: „W Związku Radzieckim pozostawił syna, dla którego zdrada ojca, o czym Moskwa musiała dowiedzieć się wcześniej czy później, oznaczała zagładę. Oczywiście można odpowiedzieć, że dla człowieka stojącego przed wizją strasznych tortur i śmierci ani ideologia, ani rodzina mogły nie znaczyć nic. Jednak to, co stało się później, pozwala raczej sądzić, że Trepper, z chwilą gdy gestapowcy przystawili mu pistolet do głowy i skuli ręce, przystąpił do realizowania wcześniej przygotowanego i zatwierdzonego przez Moskwę scenariusza: podjąć współpracę z Niemcami, zdradzić niewiele znaczących towarzyszy walki, aby nie wydać najważniejszych”.

Trepper spędził w niemieckim więzieniu dwa lata — w ostatnim okresie przebywał w wynajętym mieszkaniu na przedmieściach Paryża, gdzie miał dobre warunki i opiekę lekarską. Do jego pilnowania wyznaczono alkoholika, Williego Berga. Trepper skorzystał z pierwszej nadarzającej się okazji i zbiegł (w rzeczywistości nie z restauracji, lecz z apteki). Przedtem jednak udało mu się zawiadomić Moskwę, że „Czerwona Orkiestra” została rozbita, a on sam jest w rękach gestapo i że meldunki, jakie wysyłał, były fałszywe.

Przez ponad dwadzieścia powojennych lat wywiady zachodnich mocarstw próbowały trafić na ślad Treppera, jego prawdziwa tożsamość nie była znana. Nie wiadano, że pod koniec wojny wpadł w ręce Berii i Abakumowa, i jako człowiek, który za dużo wiedział, trafił do radzieckiego więzienia. Po śmierci Stalina został zrehabilitowany.

Jego ostatecznie ustaloną tożsamość i miejsce pobytu podał w 1967 roku do publicznej wiadomości francuski pisarz Gilles Perrault w książce, w której jako pierwszy ujawnił prawdę o „Czerwonej Orkiestrze”. Trepper mieszkał już wtedy od dziesięciu lat w Warszawie i był przewodniczącym Zarządu Głównego Towarzystwa



Spółeczno-Kulturalnego Żydów w Polsce. Jedyny artykuł poświęcony Trepperowi zamieściła „Polityka”.

353

Gdy nadszedł rok 1968, Trepper pragnął, z oczywistych powodów, wyemigrować na Zachód, jednak władze komunistyczne nie chciały wydać zgody na opuszczenie przez niego kraju. Pod presją zachodniej opinii publicznej, zmobilizowanej przez komitety solidarności z Trep-perem powołane do życia przez środowiska lewicy antystalinowskiej, Edward Gierek w końcu zgodził się na jego wyjazd.

Leopold Trepper zmarł w 1982 roku w Jerozolimie, miał 78 lat.

Swoje życie opisał w książce pt. „Wielka gra” napisanej po francusku i po raz pierwszy wydanej we Francji. W Polsce, uważanej przez niego za jedyną ojczyznę, pozycja ta nie doczekała się wydania, a człowiek, którego życie jest gotowym scenariuszem pasjonującego filmu, jest praktycznie nieznany.

Beata Słama/redakcja